



ROZDZIOBIĄ NAS LOKI, WRONY

KRONIKI
ŻELAZNEGO
DRUIDA

KEVIN HEARNE



KEVIN HEARNE

ROZDZIOBIĄ NAS LOKI, WRONY

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska



DOM WYDAWNICZY REBIS

Tricii,

Metalowej Redaktorce,

dzięki której wszystko to stało się możliwe



Wskazówki dotyczące wymowy

Tak jak w poprzednich tomach podaję je tylko dla tych, którzy by chcieli wsparcia przy wymawianiu niektórych nazw. Oczywiście można je sobie wymawiać, jak się komu podoba – nie będzie na końcu sprawdzianu i przede wszystkim chodzi tu o dobrą zabawę. Ale na wypadek, gdyby ktoś miał taką słabość do nazw i słów jak ja, podaję kilka nowych wyrazów i kilka starych dla przypomnienia:

Irlandzkie słowa:

Creidhne: Krejnia

Emhain Ablach: Iwan Ablah. Jedna z irlandzkich krain, wyspa jabłek.

Flidais: Flidisz

Goibhniu: Gawnju

Scáthmhaide: Skaładże. Kij Granuaile.

Tuatha Dé Danann: Tuah De Donan

W poprzednich tomach

Atticus O’Sullivan, urodzony w 83 r. p.n.e. jako Siodhachan Ó Suileabháin, większość długiego druidzkiego życia spędził na uciekaniu przed jednym z bogów Tuatha Dé Danann – Aenghusem Ógiem, który chciał odebrać mu Fragaracha, magiczny miecz ukradziony przez Atticusa w II w. n.e. To, iż Żelazny Druid posiadał sztukę utrzymywania wiecznej młodości i nijak jakoś nie chciał umrzeć, doprowadzało irlandzkiego boga do szału.

Kiedy Aenghus Óg znalazł Atticusa w jego kryjówce w Tempe w Arizonie, druid podjął przełomową decyzję – postanowił walczyć i w ten sposób nieświadomie uruchomił całą lawinę następstw, które spadają na niego mimo jego najszczerzych chęci, by siedzieć cicho i nikomu nie wchodzić w drogę.

W pierwszym tomie pod tytułem *Na psa urok* Atticus zyskał uczennicę – Granuaile MacTiernan, a ponadto: wyłowił naszyjnik, w którym skryła się indiańska wiedźma Laksha Kulasekaran, oraz odkrył, że jego zimne żelazo w aurze stanowi całkiem skuteczną ochronę na ogień piekielny. W końcu udało mu się też pokonać Aenghusa Óga (choć nie bez pomocy Morrigan, Brighid i okolicznej watahy wilkołaków). Przy okazji jednak spowodował poważne szkody wśród grupy czarownic, które nie były może szczególnie sympatyczne, ale jednak chroniły Phoenix i okolicę przed jeszcze gorszymi drapieżnikami.

Raz wiedźmie śmierć, drugi tom serii, opisuje zmagania Atticusa z tą sytuacją – konkurencyjny i zarazem o wiele bardziej niebezpieczny sabat próbuje przejąć terytorium Sióstr Trzech Zórz, a do tego w Scottsdale załęgły się bachantki. Atticus decyduje się na pakt z Lakshą Kulasekaran i wampirem Leifem Helgarsonem, żeby z ich pomocą uwolnić jakoś miasto od tych zagrożeń.

W tomie trzecim – *Między młotem a piorunem* – nadchodzi czas, by zapłacić za te przysługi. Laksha i Leif chcą, żeby Atticus wybrał się na wyprawę do Asgardu i wystrychnął na dudka skandynawskich bogów. Atticus organizuje więc ekipę twardzieli i napada na nordyckie zaświaty – w sumie aż dwa razy – ignorując przy tym rady Morrigan i Jezusa Chrystusa, którzy ostrzegają go, że jest to bardzo zły pomysł i lepiej byłoby już nie dotrzymać słowa. Wszystko to kończy się epickich rozmiarów jatką i poważnymi stratami po stronie Azów, w tym śmiercią Norn i Thora oraz kalectwem Odyna. Wraz z wyeliminowaniem z gry Norn, które były dotąd odpowiedzialne za przeznaczenie, diabli biorą wszystkie stare przepowiednie – również te dotyczące Ragnaröku, który nagle może zacząć się już w każdej chwili, bo Azowie niewiele mogą teraz zrobić, by powstrzymać nieczne plany Hel. W dodatku fiński bohater Väinämöinen nieświadomie przypomina Atticusowi o jeszcze innej przepowiedni – tym razem padającej z ust syren w rozmowie z Odyseuszem – i druida ogarnia złe przeczucie, że za trzysta lat świat spłonie, co być może oznacza jakąś nową wersję Ragnaröku.

W obawie przed skutkami swoich błędów, a zarazem potrzebując czasu na dokończenie szkolenia uczennicy, Atticus pozoruje swoją śmierć. Pomaga mu w tym Kojot – w tomie czwartym pod tytułem *Zbrodnia i Kojot*. Zgodnie z najgorszymi obawami druida rzeczywiście pojawia się Hel i co gorsza, proponuje Atticusowi przejście na ciemną stronę mocy, bo przecież i tak zabił już tylu Azów. Druid pozbawia ją wszelkich złudzeń w tej kwestii, ale zaraz potem sam zostaje wykiwany przez Leifa Helgarsona i ledwo udaje mu się uniknąć śmierci z rąk prastarego wampira imieniem Zdenik. W zakończeniu książki pojawia się przynajmniej nikła nadzieja, że Atticusowi uda się dokończyć nauczanie Granuaile w spokoju, jaki daje im anonimowość.

W opowiadaniu *Dwa kruki i jedna wrona* z długiego snu budzi się Odyn, który doprowadza do rozejmu z Atticusem, wymuszając na nim zobowiązanie, że podczas ewentualnego Ragnaröku przejmie on obowiązki Thora, a przedtem jeszcze załatwi kilka spraw niecierpiących zwłok.

Po dwunastu latach nauki Granuaile jest gotowa do splecenia z ziemią, ale wszystko wskazuje na to, że wrogowie druida tylko czekali, żeby wreszcie wyszedł z ukrycia. W tomie piątym – *Kijem i mieczem* – Atticus musi się użerać z wampirami, mrocznymi elfami, faeriami i rzymskim bogiem Bachusem, aż w tym zamieszaniu ściąga na siebie uwagę jednego z najstarszych i najpotężniejszych panteonów tego świata.

Gdy Granuaile jest już pełnoprawną druidką, muszą z Atticusem uciekać przez całą Europę przed

strzałami Diany i Artemidy, które obraziły się na nich śmiertelnie za złe potraktowanie Bachusa i kilku driad z Olimpu. Morrigan poświęca się, by dać Atticusowi szansę ucieczki, i tak zaczyna się tom szósty – *Kronika wykrakanej śmierci*. Biegnąc i walcząc z wszystkimi mocami, które zmówiły się przeciwko niemu, Atticus dociera wreszcie do Anglii, gdzie udaje mu się zyskać pomoc Herna Myśliwego oraz irlandzkiej bogini łowów Flidais. W końcu wspólnie dają radę pokonać Olimpijczyków i wynegocjować niepewny sojusz przeciwko Hel i Lokiemu. Pod koniec tego tomu Atticus odkrywa również, że przez wszystkie te stulecia jego archdruid tkwił na jednej z Wysp Czasu w Tír na nÓg, a gdy go stamtąd wyciąga, jego stary nauczyciel jest jak zawsze we wszawym nastroju.

W tomie siódmym, *Nóż w lodzie*, archdruid Owen Kennedy zaprzyjaźnia się z wilkołakami z Tempe i pomaga Atticusowi i Granuaile zdusić zamach stanu w Tír na nÓg. Granuaile przechodzi ciężką próbę w starciu z Lokim w Indiach, co zmienia ją raz na zawsze, a wysłannik antycznego wampira Theophilusa atakuje jednego z najstarszych przyjaciół Atticusa.

W opowiadaniu *Preludium wojny* Atticus konsultuje się w Etiopii z wybitną tyromantką, która ma mu doradzić, jak najlepiej odpowiedzieć na ataki wampirów, a Granuaile znów spotyka Lokiego, ale tym razem to ona zastawia na niego pułapkę.

Chcąc raz na zawsze pokonać Theophilusa i pozbyć się pradawnego źródła zła, w tomie ósmym, *Kolek na dachu*, Atticus wchodzi w sojusz z Leifem Helgarsonem. Granuaile tymczasem odkrywa, że Loki sprzymierza się z ciemnymi mocami z całego świata oraz w dość nietypowy sposób próbuje przewidzieć, kiedy najlepiej byłoby rozpocząć Ragnarök. Perun pomaga Granuaile pokonać starego wroga, a zarazem odebrać Lokiemu możliwość przewidywania przyszłości. Owen natomiast zakłada we Flagstaffie zupełnie nowy gaj druidzki, a Creidhne podarowuje mu nawet magiczne kastety. Dochodzi też do starcia między Owenem a pewnym trollem, co kiepsko się kończy dla nich obu. Zostaje zawarty Układ Rzymski – zgodnie z jego postanowieniami wampiry zobowiązują się do ewakuacji z terenów Polski oraz Ameryki Północnej na zachód od Gór Skalistych.

Po wydarzeniach opisanych w *Kółku na dachu* Atticus i jego wierny wilczarz Oberon rozwiązują kilka zagadek w okolicach Portlandu, co opisane zostało w tak zwanych „Mięsnych Tajemnicach Oberona”, czyli opowiadaniach pt. *The Purloined Poodle* [Porwany pudel] oraz *The Squirrel on the Train* [Wiewiórka z pociągu]. Zaprzyjaźniają się przy tym z niejakim Earnestem Gogginsem-Smythe'em, który zobowiązuje się pilnować psów pod nieobecność Atticusa i Granuaile. W wyniku dochodzenia adoptują też nowego pieska, boston teriera imieniem Starbuck.

Ze zbioru opowiadań pt. *Besieged* [Pod oblężeniem] dowiadujemy się o kilku wydarzeniach, które mają bezpośredni wpływ na niniejszą historię. Flidais popełnia sromotny błąd, zabierając Peruna do znajdujących się w Edynburgu „Tulaśnych lochów”. W Krakowie Granuaile musi wyegzekwować postanowienia Układu Rzymskiego na pewnych wampirzych szubrawcach, którzy działają pod dowództwem Kacpra Głowy. Druidzi zostają wezwani do Tasmanii, żeby ratować diabły tasmańskie przed wyginięciem, i na tę misję ruszają również uczniowie Owena. Atticus natomiast dowiaduje się od Morrigan, że Loki już zaraz rozpocznie Ragnarök, i przez to opowiada w końcu Oberonowi o tym, co się stało wiele wieków temu z jego przyjacielem rosomakiem.

I gdzieś tam po drodze była też chyba mowa o pudlicach i kielbasie.

Rozdział 1



Strzeliliśmy sobie kiedyś po kieliszku wina z Galileuszem, który pozostaje dla mnie jednym z największych geniuszy ludzkości, jakich miałem okazję poznać przez te moje dwadzieścia jeden wieków życia. I jednym z najodważniejszych. Pomyśleć tylko, jakimi się musiał wykazać potężnymi, włochatymi *cojones*, żeby tak się postawić Kościołowi katolickiemu w czasach, gdy instytucja ta rutynowo obalała monarchów i zabijała ludzi ku chwale swego boga (który swoją drogą pozwolił mi kiedyś postawić sobie whisky w Arizonie i stwierdził wówczas, że ogromnie nie lubi, jak ktoś go próbuje gloryfikować za pomocą morderstw, i te popełniane w jego imieniu bynajmniej nie stanowią tu wyjątku). A jednak Galileusz przeciwstawił się całemu chrześcijańskiemu światu i wyśmiał jego główniany geocentryzm, nie bacząc na pogróżki – trzeba mieć żelazne nerwy, żeby dokonać czegoś takiego. I w ogóle się nie przejmował, że z początku nikt mu nie chciał wierzyć.

– Mam przecież matematykę – tłumaczył mi, sącząc wino. Po czym wskazał kubek i dodał: – A liczby są jak ten wyśmienity trunek, którym właśnie cieszymy nasze zmysły. Weryfikowalne, widoczne, istniejące niezależnie od nas i nieprzejmujące się zupełnie ludzką wiarą.

Taki był z tego Galileusza kosmiczny typek! Ha! Moje żarciki to są jednak beznadziejne, ale nic to.

W końcu Kościół musiał przyznać, że Galileusz miał rację – a do tego także, choć wiele lat po jego śmierci, że jego życie i praca stały się dosłownie punktem podparcia, na którym kręci się cały ten nasz świat. Rozwój nauk, które wykorzystywały jego metodę, przyniósł ludzkości wiele cudów. Ale i wiele zła.

Zaczynam się nawet ostatnio zastanawiać, czy sam nie jestem takim właśnie punktem podparcia dla dobra i zła – i to mimo że robię, co mogę, żeby zachować anonimowość. Zawsze starałem się trzymać z dala od historii, a tymczasem wciąż mi jej przybywało. Przez większość życia zdawało mi się, że nie prowadzi ono do żadnego specjalnego punktu kulminacyjnego ani oszałamiającego osiągnięcia, poza moim przetrwaniem, ale wydarzenia ostatnich lat sprawiły, że już sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Zgodnie z tym, co zapowiedziała Morrigan podczas swojej koszarnej wizyty, Ragnarök rozpocznie się już za kilka dni, a to nie wróży nikomu nic dobrego, bo apokalipsy z definicji nie kończą się happy endem. Być może uda mi się zrobić jeszcze coś, co zminimalizuje zniszczenia, ale choćbym nie wiem jak się starał, nie wymażę już tego drobnego faktu, że w ogóle by się to wszystko nie działo, gdybym nie zabił Norn i nie zmienił losu nordyckiego panteonu. To w zasadzie całkowicie moja wina i czuję się z tym mniej więcej tak, jakbym miał na karku dziewięcioletni albatros. I obawiam się, że nie wywinę się z tego z taką łatwością jak stary marynarz Coleridge'a. Opowiadanie swojej historii przygodnym gościom weselnym to naprawdę dość łagodna kara i pewnie obowiązuje tylko przy zawaleniu pomniejszych spraw.

Całe szczęście, że mam przyjaciela, który potrafi udźwignąć takie ciężary i pomaga mi na chwilę o nich zapomnieć.

<Opowiedz mi coś więcej o planach na ten bar mięsno-sosowy, Atticusie> poprosił Oberon, kładąc łapy na splecionym drzewie w Tasmanii, bo zamierzaliśmy właśnie wracać do domu, który od

jakiegoś czasu mieliśmy w Oregonie. Mój wilczarz irlandzki miał chrapkę na prawdziwą ucztę, nim wybiorę się na walkę z bogami, potworami i różnymi demonami z różnych panteonów. Rzucił mi wyzwanie polegające na tym, żebym zorganizował jemu, Orlaith i naszemu nowemu boston terierowi Starbuckowi wspaniałą ucztę mięsną w stylu barów sałatkowych. Starbucka adoptowaliśmy podczas naszej próby walki z przestępczością w Portlandzie (tę naszą historię Oberon zatytułował nieco pompatycznie: „Sprawa porwanego pudła”). <Czy w barze dostępne będą wszystkie mięsa, które pewnego dnia opiszę w mojej „Księdze pięciu mięs”, czy też ograniczysz się do tych co bardziej tradycyjnych?>.

– Znajdzie się przedstawiciel każdej z pięciu kategorii mięsa – zapewnilem go.

<A co z sosami? Ich też musi być przecież kilka, prawda?>.

– Oczywiście. Nie miałeś przypadkiem jakiejś maksyminy na ten temat?

<Och, to jest po prostu najlepszy fragment *Manifestu komunistycznego* tego typka, o którym mi kiedyś opowiadałeś. „Każdy według swoich kości, każdemu według jego mięs”>.

– Hm... Wydaje mi się, że coś ci się pomieszało z tym cytatem, Oberonie. Przede wszystkim miało być „każdemu według jego potrzeb”...

<No, i właśnie ja mam taką *potrzebę*, żeby to było o mięsie, Atticusie, toteż to poprawilem>.

Analizy Oberona stanowiły dla mnie zawsze źródło niekończącej się uciechy.

– Świetna robota. Z pewnością nie da się tego inaczej rozumieć. I już jesteśmy na miejscu.

Przeniosłem nas do naszego domku nad rzeką McKenzie w Willamette National Forest. Oberon natychmiast zaczął krzyczeć mentalnie do pozostałych dwóch psów.

<Hej, Orlaith! Starbuck! Jesteśmy w domu i w życiu nie zgadniecie co! Atticus zorganizuje nam bar mięsno-sosowy!>.

<Tak! Jedzenie!> zawtórował wysokim głosikiem Starbuck, używając swojego dość ograniczonego jeszcze słownictwa.

<To chyba najlepszy ludzki pomysł od czasu wynalezienia maszynki do kielbasy!> ucieszyła się Orlaith i oboje wypadli na dwór przez klapę dla psów, Orlaith trochę z tyłu, bo była w ciąży i zbliżał się już termin porodu.

Dałem się porządnie oblizać. Głaskałem trzy psy tylko dwiema rękoma, a one wypytywały mnie o szczegóły mojego projektu baru mięsno-sosowego. Musiałem się im przyznać, że nie znam jeszcze szczegółów.

Oberon był święcie oburzony.

<Dobra, Atticusie, karty na stół. Niby jakich szczegółów nie znasz? Przecież z pewnością masz świadomość podstawowych warunków psiej egzystencji? Całe mięso jest gdzieś tam. Tak jak prawda jest gdzieś tam. Toteż chcę zjeść je całe! To ci wystarczy?>.

– *Całe* mięso? Przecież to niemożliwe, Oberonie.

<Czy to aż takie trudne? Naprawdę?!>.

– Naprawdę. Przynajmniej w tym czasie, który mogę na to przeznaczyć. Może mógłby to być nasz cel na przyszłość. Ale na razie musimy się ograniczyć do tego, co uda się kupić w Eugene. Earnest w domu?

Earnest Goggins-Smythe został niedawno naszym niańkiem do psów i naprawdę ratował nas bardzo od kilku tygodni, szczególnie że zbliżał się przecież termin porodu Orlaith. Miał pudła Jacka i boksera zwanego Algernonem, w skrócie Algy. Teraz oba psy zostały z nim w środku.

<Tak, jest tutaj> powiedziała Orlaith.

– Powinienem się pewnie przywitać i upewnić, że nie ma nic przeciwko temu, żeby Jack i Algy uczestniczyły w tym mięsnym stole szwedzkim. A potem chcielibyście pojechać ze mną do Eugene, żeby kupić mięso? Moglibyście mi doradzić, co wybrać.

<Wspaniały pomysł!> zachwyciła się Orlaith.

<Tak! Jedzenie!> krzyknął Starbuck.

<Ja ci od razu doradzam: kup wszystko> dorzucił swoje Oberon.

– To chcesz jechać czy nie?

<Chcę. Moja rada się nie zmieni, ale lubię węszyć wiatr i ślinić się na twoją tapicerkę, jak

jedziemy samochodem>.

– Dobra, to poczekajcie tu, a ja pogadam z Earnestem.

Upewniwszy się, że Jack i Algy też mogą wziąć udział w naszej mięsnej biesiadzie, zapakowałem moje psy do niebieskiego pikapa – chevroleta rocznik 1954, którego nabyłem podczas naszej eskapady zatytułowanej przez Oberona *Wiewiórka z pociągu*. Oberon wyjrzał przez tylną szybę kabiny na skrzynię ładunkową i krytycznie stwierdził:

<Nie wiem, czy ty masz tu dość miejsca na całe to mięso, którego nam trzeba, Atticusie>.

– Z pewnością starczy, Oberonie.

– A co z resztkami, Atticusie? Co z resztkami, które miały nam zostać na ten czas, gdy wyjedziesz?!>.

– Nie obiecuję nic ponad ucztę skomponowaną z mięs i sosów. I może jeszcze jakąś historyjkę o sławnym psie, którą mogę ci opowiedzieć w drodze do mięsnego, żebyś się trochę uspokoił.

<O sławnym psie?> Orlaith od razu nastawiła uszu.

– Może raczej o piesku, bo w sumie był to beagle.

<Och, lubię beagle!> powiedział Oberon. <Potrafią pięknie wywęszyć mi królika, żebym mógł go sobie potem pogonić>.

<Jak miał na imię ten piesek?> zapytała Orlaith.

– Bingo.

<O. To jak w tej piosence o farmerze, który miał psa?>.

– Otóż to. Mogę wam opowiedzieć prawdziwą historię psa Bingo, o którym mowa w tej piosence.

<To on miał jakąś historię?> Orlaith przekrzywiła z zaciekawieniem łeb. Wyjechaliśmy już na drogę i trochę nam było ciasno, bo wilczarze ledwo się mieściły, a Starbuck musiał mi siedzieć na kolanach. Aż drżał z ekscytacji. <Piosenka mówi tylko o tym, że „Bingo miał na imię”. I tyle>.

– Tak, ale są też wcześniejsze wersje tej piosenki, w których pojawiały się wzmianki o jego bohaterskich czynach. I tak się składa, że znam szczegóły tychże czynów.

Oberon aż przestał się wpatrywać w skrzynię i wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała załadowana mięsiwem.

<Okej, Atticusie, tym mnie zaintrygowałaś. Opowiadaj o Bingo>.

W osiemnastym wieku, tuż przed rewolucją agrarną i przemysłową, żył sobie wśród główek kapusty na wyżynie południowoszkockiej, czyli tuż przy granicy z Brytami, pewien chłop, który zwał się po gaelicku Dúghlas Mac Támhais, po angielsku Douglas McTavish. Poza polem kapusty i pastwiskiem miał jeszcze oborę, gdzie trzymał krowę i konia, a do tego, co najważniejsze, kurnik. Bo kurczaki – skromni potomkowie dinozaurów – są tak pyszne, że należy je koniecznie chronić przed lisami. A ponieważ kapusta też jest, zdaniem niektórych zwierząt, smakowita, ona również wymaga ochrony – przed królikami i tym podobnymi. I tu właśnie pojawia się w naszej historii Bingo: połowa jego zadania polegała na tym, żeby chronić gospodarstwo, a druga, żeby być uroczym. Bingo wykonywał całe to zadanie celująco.

A jednak martwił się o swojego człowieka. Otóż Dúghlas pił coraz więcej piwa, a zaczął po tym, gdy nastąpiła tragedia – stracił żonę przy porodzie ich pierwszego dziecka, a potem jeszcze także dziecko zmarło od gorączki. Dúghlas zupełnie się załamał i pogrążył w alkoholizmie, a Bingo zaczynał się obawiać, że jego człowiek nigdy już nie dojdzie do siebie.

Pewnej nocy, gdy Dúghlas wpatrywał się właśnie z wściekłością w zapiekankę z ziemniaków i kapusty – potrawę zwaną *rumbledethumps* – Bingo wyskoczył jak z procy na dwór i Dúghlas słusznie założył, że mają nieproszonego gościa. Był już niezłe wcięty, gdy chwycił za muszkiet, który trzymał zresztą naładowany z myślą o tego typu nagłych sytuacjach. Do kurnika właśnie zakradał się lis. Bingo w pogoni za nim skierował się w stronę sąsiedniego gospodarstwa. Jako że byli to bardzo dobrzy sąsiedzi, w płocie oddzielającym te dwa obejścia był przełaz i sprytny lis przeszedł po nim. Bingo skoczył za lisem i o tym właśnie opowiada pierwszy wers oryginalnej wersji tej piosenki: „Pies gospodarza skoczył przez płot, na imię miał on Bingo”. Druga zwrotka opowiada natomiast o skłonności tegoż gospodarza do alkoholu, a fakt ten zasługiwał na uwiecznienie w pieśni, ponieważ biedaczyna tak

się już zalał, że zdecydowanie nie powinien był się gramolić na strome schodki przełazu. Nawet udało mu się po nich wejść, ale zaraz potem nastąpiła katastrofa. Potknął się, niechcący nacisnął spust i wypalił, po czym runął na ziemię, uderzając głową o dolny stopień. Stracił przytomność i w dodatku krwawił. Gdy tylko Bingo usłyszał wystrzał i uświadomił sobie, że jego człowiek raptem przestał złorzeczyć, natychmiast poniechał gonitwy za lisem. Pomknął z powrotem do Dúghlasa i próbował go obudzić, nawet oblizał mu nos, ale wszystko na nic. Popędził więc co sił w łapach do sąsiadów i czekał tak długo, aż z domu wyszli ludzie, a potem biegał w tę i z powrotem, żeby się domyślili, że chce im coś pokazać. Poszli w końcu za Bingiem, zobaczyli Dúghlasa, przynieśli go do domu, obmyli i zabandażowali mu głowę. Była wtedy u nich w odwiedzinach ich kuzynka, młoda Kimberly Mayfield. Uznała, że Dúghlas jest przystojny, a Bingo uroczy. Nawet dała mu kielbaskę z sosem za to, że jest takim dobrym pieskiem. A gdy Dúghlas się ocknął, ujrzał czułą i piękną Kimberly, którą wyraźnie lubił jego pies, właściwie więc sprawa była już przesądzona – znów się zakochał. Dlatego właśnie kolejna zwrotka tej starej piosenki brzmi: „Gospodarz kochał piękną pannę, więc dał jej swój pierścionek”. I na tym właściwie kończy się piosenka, ale dodam jeszcze, że Dúghlas przestał pić i znów stał się sobą. I dlatego właśnie Bingo został uwieczniony w piosence. Uratował pyszne kury przed pożarciem przez lisa, a swojego człowieka przed śmiercią. I w dodatku pomógł mu znów odnaleźć miłość. Tylko że wszystko to jakoś uległo zapomnieniu i została tylko ta dość prosta piosenka dla dzieci.

<Skąd to wszystko wiesz?> spytała Orlaith. <Znałeś Dúghlasa?>.

– Nie, ale poznałem jego syna... Tego, którego miał z Kimberly. Spotkałem go wiele lat później w Ameryce. Wielu chłopów przyplęnęło tu wtedy zza oceanu na skutek brutalnych wysiedleń, jak to się teraz nazywa.

<Atticusie, widzę tu pewne znaczące podobieństwa> oświadczył Oberon.

– Tak?

<No pewnie! Świetnie cię chronię, a do tego jestem bardzo przystojny, prawda, Orlaith?>.

<To prawda, Atticusie. Oberon jest bardzo przystojny>.

<Widzisz? Jestem zupełnie jak Bingo! Tylko że nie mam własnej piosenki, co stanowi niedopuszczalne przeoczenie. Może powinniśmy jakąś ułożyć!>.

– Może. Jak by brzmiała?

<Był raz pies, Oberon się zwał,

który uwielbiał sosik!

S-o-o-o-sik! S-o-o-o-sik!

S-o-o-o-sik!

Jak on uwielbiał sosik!>.

<Tak! Jedzenie!> dorzucił Starbuck w ramach aplauzu.

Dłuższą chwilę wymyślali kolejne zwrotki, a potem przez resztę drogi po kolei wystawiali łby za okno.

Kiedy dotarliśmy do miasta, psy zostały na skrzyni pikapa, a ja wszedłem po mięso i składniki na sosy. Wysłałem im mentalny obraz dostępnych mięs, a one wybrały, co który chciał – udało mi się je przekonać, że mają się zdecydować na jakieś jednak konkretne, bo nie będziemy kupować wszystkiego. Powody były praktyczne – nie miałem tyle czasu ani tyle miejsca w kuchni, żeby im przyrządzić wszystko. Chciałem jednak poświęcić chwilę, żeby ten posiłek był naprawdę wart zapamiętania, bo nie wiedziałem przecież, kiedy znów będę w domu. Zagapiłem się przez moment na szczelnie zapakowane upiorne czerwone fale mielonej wołowiny, bo dotarło do mnie, że może już nigdy nie wrócę do domu,

tylko skończę gdzieś jako pożywienie dla robaków opakowane jedynie w skórę miast styropianu i celofanu, ale poza tym jakże podobne do tej chudej wołowiny w mięsnym. I na niewiele zda się wtedy mój duszołap. Oberon postawił sprawę jasno – chciał iść ze mną bez względu na niebezpieczeństwo, ale powiedziałem mu, że nie zniósłbym myśli, że mu się coś stało. Potrzebowałem domu, do którego mógłbym wrócić. Starłem się nie myśleć, jak wyglądałoby jego życie beze mnie albo moje życie bez niego; każdy z nas czułby się wtedy jak zbity pies, że tak powiem. I żaden nawet by nie miał ochoty na taką ucztę, jaką dziś planowaliśmy. Pewnie w ogóle nie mielibyśmy chęci jeść, gdybyśmy nie mieli siebie nawzajem do towarzystwa.

<Atticusie, zaistniał tu pewien drobny problem z zaślinioną tapicerką> ostrzegł mnie lojalnie Oberon, wrywając mnie z otchłani czarnej melancholii. <Może kup od razu rolkę ręcznika papierowego czy coś. Takiego bardziej chłonnego. I streszczaj się>.

<Mam tu szczenięta do nakarmienia> dodała znacząco Orlaith.

Moje ukochane pieski.

Gdy dotarliśmy do domu, Earnest zaczął mi pomagać w kuchni, ale z pięcioma pałętającymi się pod nogami czworonogami nie było łatwo, musiałem więc je wyprosić. Mogły się ślinić i komentować do woli, ale z bezpiecznej odległości. W planie była duszona wołowina, pieczony kurczak (ale nie byle jaki, tylko bojowiec indyjski), kiełbasa suszona dojrzewająca, żeberka z grilla oraz pięć różnych sosów. Do tego zalaliśmy już rybę sokiem z cytryny, żeby zrobić ceviche, na grillu obok żeberek leżały steki z włośnika, a na deskach z cedru ułożyłem cienko pokrojoną wędlinę.

Gdy wszystko było w końcu gotowe, rozłożyliśmy mięsiwa na stole w jadalni – jako że nie mieliśmy prawdziwego baru – a sosy przelaliśmy do sosjerek. Usadziliśmy z Earnestem psy przy stole i strzeliliśmy parę fotek ich głodnych i podekscytowanych pysków. Potem daliśmy każdemu psu po talerzu i spytaliśmy, na co mają ochotę, choć i tak doskonale wiedzieliśmy, że próbują wszystkiego, a potem dopiero wezmą dokładkę tego, co im będzie najbardziej smakowało.

<Ja nie mogę, Atticusie, to jest po prostu najlepsza wyżerka pod słońcem> powiedziała Orlaith.

<To prawda. To przebija nawet tamtą bizonową bonanzę, którą zafundowaliśmy sobie raz w Dakocie Południowej>.

<Tak! Jedzenie!> dorzucił swoje Starbuck.

Sprzątanie było nie lada wyzwaniem, ale daliśmy z Earnestem radę, a potem udało mi się jeszcze zdrzemnąć parę godzin, nim nad ranem pogłaskałem je wszystkie po brzuchach, ucałowałem łebki i zapewniłem, że je kocham. Wymknąłem się tylnymi drzwiami, z ulgą myśląc, że będą tu bezpieczne, gdy ja będę musiał się zabrać do sprzątania swojego bałaganu. Najwyższy czas pozbyć się tego dziewięcietonowego albatrosa z karku.

Morrigan bynajmniej nie zniżyła się podczas swojej ostatniej wizyty do podania mi konkretnych szczegółów. Powiedziała tylko, że Loki wkrótce zacznie działać, ale nie uściśliła ani kiedy, ani gdzie. Żeby skutecznie zapobiec katastrofie, musiałem zdobyć więcej informacji i doskonale wiedziałem, skąd je wziąć. Moje rzucanie różdżkami byłoby w tej sytuacji do niczego. Potrzebowałem pomocy wybitnego jasnowidza, który naprawdę potrafiłby dojrzeć szczegóły przyszłości. Tyromantka Mekera nieraz mi już pomagała w takich sprawach i liczyłem na to, że i tym razem mi nie odmówi.

Od niedawna mieszkała na wyspie Emhain Ablach. Była to jedna z dziewięciu irlandzkich krain i teoretycznie władał nią Manannán Mac Lir, ale dla Mekery najważniejsze było to, że można się tam dobrze ukryć przed wampirami.

Teraz jednak zagrożenie to minęło, bo rzeczony wampiry spotkała ostateczna śmierć, Mekera mogła więc wrócić na Ziemię, jeśli tylko miała na to ochotę.

Okazało się, że owszem, ma. Właściwie to gdy ją spotkałem, jakby się nieco spieszyła.

– Co się dzieje? – zaniepokoiłem się.

– Tu są duchy. Pojawiły się całkiem niedawno. Bardzo to dziwne.

– Atakowały cię?

– Nie, ale nie muszą mnie atakować, żeby mnie nastraszyć.

– Hmm, być może to dlatego, że Manannán Mac Lir przestał być psychopompem. I Morrigan też.

W rezultacie umarli leżą, gdzie chcą, zamiast tam, gdzie powinni.

- Ja w każdym razie chcę się stąd wydostać.
- Właśnie to chciałem ci zaproponować. I poprosić o ser.

Ręce jej opadły.

- Mogłam się domyślić. Czego tym razem chciałbyś się dowiedzieć?

– Podobno niedługo ma się zacząć Ragnarök. Chciałbym wiedzieć, gdzie i kiedy konkretnie nastąpi pierwszy atak.

– Dobrze – powiedziała z rezygnacją. – Czyli jak zwykle zadanie łatwe i przyjemne. To gdzie w dzisiejszych czasach robi się dobre sery?

Wzruszyłem ramionami.

- W różnych miejscach. Co powiesz na Francję? Byłaś tam kiedyś?

Mekera natychmiast się ożywiła.

– A! *Le fromage!* Do Francji zatem. Nawet chętnie się czegoś od nich nauczę, a może i ich warto by czegoś nauczyć.

Pomogłem jej zebrać dobytek i przenieśliśmy się do niewielkiego zagajnika pod Poitiers w rejonie kozich serów. Mekera może sobie potem wybrać inną okolicę, ale moim zdaniem ta ma dużo uroku i uznałem, że powinniśmy znaleźć tu wszystko, czego jej trzeba, unikając przy tym pakowania się w paryski zgiełk. Przez wszystkie te lata Mekera z pewnością przyzwyczała się do pustelniczego życia i nawet stosunkowo zaciszne Poitiers może wywołać u niej szok.

- Dawno nie mówiłam po francusku. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze potrafię.

- Przypomnisz sobie. A na razie zawsze możesz się dogadywać po angielsku.

– Tak myślisz? – Rozejrzała się po ulicach z powątpiewaniem. Szliśmy już do supermarketu, żeby mogła sobie kupić składniki na ser. – Nie widzę tu nikogo, kto by wyglądał tak jak ja. Może to jednak nie był najlepszy pomysł.

Uśmiechnąłem się, bo tak właśnie myślałem, że będzie miała wątpliwości.

– Wejdzmy przynajmniej do sklepu i zróbmy ten ser. Jeśli do tego czasu nie poczujesz się tu lepiej, zabiorę cię gdzie indziej.

Mekera przystała na to, ale rozglądała się czujnie i lekko kuliła. A jednak, gdy tylko weszliśmy do sklepu i chwyciła koszyk, jej lęk społeczny ustąpił zawodowej fascynacji i skupiła się na poszukiwaniu składników. Poza tym zauważyła szybko, że nie wszystkie twarze innych klientów są białe, i już po chwili kiwała zdawkowo głową i uśmiechała się uprzejmie do nieznanym. A przy lodówce z nabiałem zmieniła się nie do poznania. Wyciągała z niej właśnie kozie mleko, gdy odwróciła się nagle i ujrzała kobietę w bardzo podobnym stroju. Była to szata w stylu erytrejskim: lekka tunika z czarno-złotym wyszywanym pasem, który zdobił dekolt i ciągnął się w dół aż na wysokość brzucha. Zdobny pas Mekery był wyszywany niebieskimi i czarnymi nićmi, ale poza tym te dwie kobiety wyglądały niemal identycznie. Spojrzały na siebie z ciekawością. Nieznajoma, której skóra, zupełnie jak u Mekery, była w odcieniu głębokiej, zimnej umbry, odezwała się pierwsza:

- Jest pani z Erytrei? – spytała po francusku.

- *Oui* – odpowiedziała Mekera. – *Vous?*

Nieznajoma przytaknęła i uśmiechnęła się olśniewająco, po czym natychmiast zaczęły mówić w swoim ojczystym języku, którego nie znałem. Odsunąłem się tak, żeby Mekera nie czuła, że powinna mnie przedstawić. Udało mi się to bardzo skutecznie, bo kompletnie o mnie zapomniała z tej ekscytacji, że tak daleko od domu spotkała kogoś z Erytrei.

Ich rozmowa trwała i trwała, a ja udawałem, że wczytuję się w składniki stojących niedaleko puszek krakersów. Nawet zacząłem się zastanawiać, czy nie wyczuwam w ich głosach czegoś nowego. Zaryzykowałem i rzuciłem magicznym okiem na ich aury. I rzeczywiście – ujrzałem blask podniecenia. Zaiskrzyło między nimi. No i fajnie.

Nagle nieznajoma zadała Mekerze jakieś pytanie, które sprawiło, że tyromantka przypomniała sobie, że nie przyszła tu sama. Rozejrzała się i machnęła na mnie. Lekko speszona przedstawiła mnie jako Connora Molloya. Jej nowa znajoma powiedziała, że na imię jej Fiyori.

- Bardzo mi miło – zapewniłem ją po francusku. – Nie przeszkadzajcie sobie. Nigdzie mi się nie

spiesz.

Wycofałem się i wróciłem do jeszcze głębszej analizy składników krakersów.

Po jakimś czasie Mekera sama do mnie przyszła. Promieniała.

– Fiyori dała mi swój numer telefonu! Wiesz, co to oznacza?

– Że cię polubiła.

– Nie! Znaczy tak, ale to przede wszystkim oznacza, że muszę sobie kupić telefon!

– Też prawda. To chodźmy to załatwić.

Zabraliśmy nasze zakupy do hotelu apartamentowego, gdzie wynajęliśmy jej na miesiąc pokój z kuchnią. Milcząca umowa była taka, że w zamian za tyromancję pomogę Mekerze zacząć tu – albo gdziekolwiek zechce – nowe życie. W ten sposób będzie miała czas, żeby przenieść tu swój majątek i zorganizować sobie coś bardziej na stałe.

Starałem się jak mogłem jej nie pospieszać, gdy zabrała się do robienia koziego sera. Była najlepszą na świecie tyromantką i umiała w szczegółach procesu ścinania się sera dojrzeć przyszłość o wiele dokładniej, niż ja bym potrafił jakkolwiek inną metodą wróżenia. Zapiisałem jedno pytanie, choć prawdę powiedziawszy, miało wiele części. Kiedy była już gotowa, przeczytała na głos: „Kiedy i gdzie pojawią się Loki, Hel i Jörmungandr, żeby rozpocząć Ragnarök?”. Skinęła mi tylko głową i westchnęła.

– Dobra, zaczynamy. – Wpatrywała się w pojemnik z nierdzewnej stali, w którym znajdowało się kozie mleko. Dodała podpuszczkę i rozpoczęła się koagulacja.

Przygotowałem sobie hotelowy notesik i długopis.

– Najpierw Jörmungandr. Przy małym półwyspie na południe od Skibbereen. Przy jednym z tych irlandzkich fortów.

– Kiedy?

– W czwartek rano, nic dokładniejszego nie potrafię powiedzieć.

W czwartek. Torsdag, Thursday, czyli dzień Thora. Oczywiście, że Loki będzie chciał wtedy właśnie zacząć. Zatem zostały już tylko trzy dni.

– A pozostali?

– Loki i Hel pojawią się razem tego samego dnia, ale po południu. Gdzieś w Szwecji. Na północnym skraju jakiegoś jeziora?

– Już wiem gdzie. To tam spleciony jest korzeń Yggdrasilu. Cholera. Muszę podzwonić po ludziach.

– A ja muszę mieć telefon – przypomniała mi Mekera. – Żeby też mogła do kogoś zadzwonić.

– Jasne. Załatwię ci telefon na kartę. Zaraz wracam.

Bez trudu znalazłem jakiś sklepik, w którym sprzedawano komórki. Kupiłem jedną, aktywowałem i dałem jej, jeszcze raz dziękując i życząc szczęścia.

– Ale pospiesz się z tym telefonem do Fiyori – dodałem jeszcze.

– Dlaczego?

– Dlatego, że wpadłaś jej w oko. A czwartek tuż-tuż. Zrobię, co w mojej mocy, Mekero, ale może mi się nie udać. Nie zaczynaj żadnych serów, które długo dojrzewają.

– To w ogóle nie jest śmieszne, Atticusie.

– Nie, nie jest. Ani trochę.

Rozdział 2



Jak tylko dasz światu okazję – albo i pół – zaraz zejdzie na psy. Wiedzieliśmy to już tysiące lat temu, ale Siodhachan upiera się, że teraz to nawet mają jakieś wypasione prawo, które tego właśnie dowodzi. To trochę jak z krakersami. Były od zawsze i niczego im nie brakowało. Ale nie, teraz nagle trzeba dodawać do nich jakąś syfiastą ikrę i nazywać to kawiozem, i też, proszę bardzo – wypas.

No więc to wypasione prawo to się podobno nazywa druga zasada termodynamiki i według niego, jak człowiek ma układ izolowany, to entropia nie maleje mu z czasem, tylko... a niechby to bogowie wzięli. Powiem tak: wszystko zawsze schodzi na psy, jasne? Możemy to odtąd nazywać Pierwszym Prawem Owena.

Tyle tylko, że zawsze da się potem posprzątać to, co się zepsuło, jeśli się ma serce i łeb na karku – nazwijmy to Drugim Prawem Owena. I dumny jestem z moich uczniów, że to właśnie robią.

Jesteśmy na Tasmanii, żeby ratować małe torbacze, co wyglądają jak psy, a nazywają się diabły. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku odkryto u nich jakiegoś dziwnego zakaźnego raka pyska, który zupełnie niszczył ich populację, ale teraz my mamy za zadanie zniszczyć raka. Musimy namierzyć każdego diabła po kolei, bo leczymy je pojedynczo. Moi uczniowie mają w sekretnikach, które im zrobiłem, kulki z tasmanitu i żywiołak Tasmanii kanalizuje przez nie energię, dzięki czemu te maluchy mogą uzdrawiać diabły, mimo że daleko im jeszcze do bycia pełnymi druidami.

Tasmania uznała po prostu, że nie możemy dłużej czekać, a mnie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Tak se w ogóle kombinuję, że ci nowi druidzi to będą przede wszystkim uzdrowiaczami Gai, bo trzeba by wreszcie zacząć coś robić z tym całym gównem, którego tu narobili ludzie. Bardzo jestem ciekaw, czy mają jakieś wypasione prawo czy inną zasadę, która mówi, że dla zysku ludzie są gotowi zniszczyć wszystko. Chyba że to się właśnie nazywa kapitalizm. Tak czy siak, teraz całe pokolenia druidów będą musiały to wszystko naprawiać.

Greta jest przy mnie i też większość rodziców dzieciaków i chyba wszyscy czujemy, że robimy coś dobrego. Jak tak patrzę na te maluchy leczące diabły tasmańskie, to w ogóle myślę, że wszystko da się uleczyć. Może nawet by się dało uleczyć ten syf między Fand a Brighid, żeby nie było już więcej wojen wśród faerii. Może dałoby się załagodzić sytuację między faeriami i Siodhachanem – choć na to są w sumie małe szanse, w końcu nadal jest tym pieprzonym Żelaznym Druidem. Zresztą mnie to już by nawet wystarczyło załatwienie tego rozłamu między nim a Gretą.

Siodhachan też tu jest z nami na Tasmanii z tą samą misją co my, ale w tej chwili akurat gdzie indziej. Tyle z tego dobrego, że tym razem Greta nie próbowała go od razu zabić, gdy się spotkaliśmy w przelocie. Między nimi to jest większy kwas niż w mojej nawożonej starą kawą ziemi, ale może za jeden czy trzy sezony Greta wreszcie wyluzuje niczym nauczyciel zażywający odpowiednich dawek burbona po szkole. Czas wszystko leczy.

Znaleźliśmy legowisko pięciu zarażonych rakiem diabłów, w tym jeden to już jest jedną łapą po tamtej stronie. Tym to ja się zajmę, resztę zlecam uczniom. Już prawie kończymy, a tu nagle Greta mówi, że ktoś się zbliża. Rozlega się jakiś szept w paprociach pod eukaliptusem. Znajdujemy się tak daleko od wszelkich ludzkich siedzib, że jestem pewien, że to jakiś turysta albo myśliwy, ale gdzie tam. To namierzyła mnie Brighid, Pierwsza wśród Faerii.

Nie wiedzieć czemu jest w zbroi, jej rude włosy rozsypały się na naramienniki. Spinam się odruchowo. Gdzie ta bitwa, na którą tak się ubrała? Mam tylko nadzieję, że to nie bitwa przeciwko mnie.

Przy niej idzie jakiś faeryczny chudzielec – z tych faerii, co to nagminnie widuje się teraz w reklamach bielizny – wysoki, smukły, zawsze jakby znudzony swoją przystojnością, ponętnością

i może tą skąpą odzieżą, kto go tam wie. Tyle że odzież tego to bynajmniej nie jest skąpa, bo to srebrnozielona, gęsto tkana liberia Dworu Faerii, a do tego jeszcze ma pudrowaną perukę z puklami. Nie muszę włączać prawdziwej wizji, żeby wiedzieć intuicyjnie, że szczelnie pokryty jest magicznymi zabezpieczeniami, chyba potężniejszymi nawet od tych, które ma Brighid.

– Witaj, Eoghane Ó Cinnéide – mówi bogini i kiwa mi głową uprzejmie.

– Witaj, Brighid.

Pierwsza wśród Faerii wskazuje na prawo.

– Oto Coriander, Herold Nadzwyczajny Dziewięciu Krain Faerycznych. – Pojęcia nie mam, czemu pakuje przymiotnik po rzeczowniku; może żeby tytuł tego fircyka wypadł na bardziej wypasiony niż wygląd.

Kiwam mu głową.

– Siema, Cory? Jestem Owen.

Goguś kłania mi się z nieznośnym manieryzmem i śpiewnym tonem rzecze:

– Jakże się cieszę, iż mogę poznać cię, panie. Wolę jednak, gdy ludzie mówią na mnie Coriander, jeśli nie masz, panie, nic przeciwko temu.

Skoro tak woli, to obawiam się, że mamy małe szanse, żeby się dogadać. Przedstawiam bogini Gretę oraz moich uczniów, po czym macham też w stronę rodziców jako całości. Bogini przygląda się maluchom i przypomina mi, że niedługo czas pomyśleć o *Baolach Cruatan*.

– Lecz przybyłam tu w pilniejszej sprawie – dodaje. – Czy mogę cię prosić na słówko?

– Oczywiście. – Proszę Tuyę, moją najmłodszą uczennicę, żeby dokończyła leczenie diabła, któremu pomagałam, i mówię im, że zaraz wrócę.

Wchodzimy z Brighid w zarośla, a herold nadzwyczajny unosi się jakieś trzy kroki za nami.

– Doszły mnie słuchy – zaczyna Brighid – że jeden z nordyckich bogów zamierza rozpocząć apokalipsę. W ichnim panteonie nazywa się to Ragnarök. Czy słyszałeś może coś o tym?

– Ano. Siodhachan już coś mi tam pieprzył o tym gównie.

– To stanowi dla nas poważne zagrożenie. Jeżeli dojdzie do większych zniszczeń w obrębie irlandzkiej populacji, poniesiemy straty w sile, a nici do Tír na nÓg i pozostałych krain mogą zostać zerwane.

– Czyli w sumie znów trza bronić ojczyzny, ta?

– Tak. Lecz sami możemy nie podołać temu zadaniu. Potrzebujemy wsparcia wszystkich faerii.

I wszystkich Tuatha Dé Danann.

– Znaczy potrzebujemy pomocy Fand i Manannána Mac Lira.

– Otóż to. Siodhachan twierdzi, że przebywa ona teraz na Moczarach Morrigan.

– Ano, też tak słyszałem.

– Jestem zdania, Owenie, że tylko ty potrafisz załagodzić konflikt między nami.

– A właśnie tak se myślałem, że ktoś to powinien zrobić, ale nie myślałem, że to bym miał być ja. Ja to jestem raczej od stwarzania konfliktów.

– Fand nie chce rozmawiać ani ze mną, ani z Siodhachanem. Zarówno w oczach jej, jak i jej faerycznych sojuszników jesteśmy skalani żelazem. Nie może nas posłuchać, bo straciłaby wówczas w oczach swoich popleczników. Ty jednak jesteś zwolennikiem Starych Dróg. W dodatku w przeszłości Fand i Manannán gościli cię już serdecznie. Ciebie przynajmniej wysłuchają.

– Wybacz, Brighid, ale bardzo wątpię. Wszystkie te faerie i cisowcy Morrigan to mnie zarzną, nim zdołam wyszczerzyć zęby do Fand.

– Dlatego właśnie posyłam z tobą Coriandra. Jemu nikt nie zrobi krzywdy i nikt nie waży się tknąć kogoś pozostającego pod jego opieką.

– *Jego* opieką? – Oglądam się na faerię w peruce i zastanawiam, czy ten lalusz to by umiał ochronić własne jaja przed kopniakiem.

Brighid przyłapuje mnie na tym spojrzeniu i uśmiecha się.

– Eoghane, nie krępuj się i jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, wystaw go na próbę.

– Co? Mam mu dać fangę w nos czy coś?

– Gdziekolwiek masz ochotę. – Brighid przystaje i wskazuje mi herolda. – Proszę bardzo.

– A mogę użyć kastetów? – pytam i tu się waha.

– Tego bym raczej nie polecała. Zacznij od ciosu nagą dłonią lub stopą.

Patrzę podejrzliwie na wypasionego herolda.

– Nie masz nic naprzeciwko, synek?

– Ależ skąd, panie. Mam jedynie nadzieję, że nie odniesiesz poważniejszego uszczerbku na zdrowiu.

Ich podejrzana pewność siebie pozbawia mnie mojej własnej i w końcu sprawdzam jednak, jak ten żółtodziób wygląda w magicznym spektrum. Aż lśni od rozlicznych czarodziejskich warstw; widzę także silne zabezpieczenie kinetyczne, a do tego jakieś zupełnie nieznanne mi sploty.

– A niech mnie się chuj skurczy, synek, kto ci walnął takie wyrąbane zabezpieczenia?

– Większość Tuatha Dé Danann pomogła w taki czy inny sposób. Uosabiam, że się tak wyrażę, wysiłek zbiorowy. Nikt nie może mi zrobić żadnej krzywdy, ale i ja nie mogę nikogo skrzywdzić, jedynie przekierować przemoc wymierzoną przeciwko mnie. Dlatego właśnie mogę podróżować po wszystkich dziewięciu krainach, że nie można mnie wykorzystać do żadnego podstępu.

– Rozumiem. Ale gdyby jakimś cisowcom strzeliło do tych ich zdrewniałych makówek, że można mnie wykończyć na boku, będziesz potrafił temu zapobiec?

– Tak, wystarczy tylko, że stanę między wami.

– Aha, czyli byle tylko nikt mnie nie zaszedł z flanki.

– Otóż to.

– No dobrze – zwracam się znów do Brighid. – Ale nawet jeśli tam pójde, to jak mam ją niby przekonać do współpracy?

– Przekaż jej ofertę, która moim zdaniem powinna przypaść jej do gustu, jeśli nie będzie akurat wściekła.

Opisuje mi jeszcze szczegóły, więc zaraz ją pytam, kiedy mam wyruszyć.

– Teraz, Eoghanie. Splotę ten eukaliptus z Tír na nÓg, a ty w tym czasie pożegnaj się ze wszystkimi.

– Ale diabły...

– ...nadal będą istniały, jeśli zwyciężymy. Lecz jeśli przegramy, nic nie zostanie.

– A. Dzięki za to podsumowanie. A gadałaś o tym z Siodhachanem? Bo on też gdzieś tu jest.

– Już go tu nie ma. Po rozmowie z Morrigan musiał się skupić na innych zadaniach. Przyszliśmy tu zresztą po drzewie, które sobie splótł, żeby się niezwłocznie przenieść w inną część świata. Zapewniam cię, że również Granuaile bierze udział w tym przedsięwzięciu.

– Aha. No to zaraz wracam. Przepraszam na chwilę.

Greta czeka na mnie ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i karkiem spiętym z niepokojem. Przygląda się mojej twarzy.

– A niech to lichy – klnie. – Zostawiasz nas tu, tak? Już się wszystkiego domyślałam.

– Muszę, miłości moja, choć wolałbym tego nie robić.

– Nie masz wyjścia?

– Nie, jeśli mam wyjść z tego z honorem.

– Do diabła z honorem! – warczy na mnie. – To tego typu myślenie prowadzi do śmierci. Gunnar nie żyje właśnie przez swoje poczucie honoru, a Hal przez cudze. Nie chcę, żebyś umarł z tego samego powodu. Chcę, żebyś wyszedł z tego z życiem, a nie z honorem.

– Z tego akurat chyba nie da się wyjść cało, jak się nie zachowa honoru. Muszę przekonać Fand, żeby nam pomogła walczyć z Lokim. Zbliża się Ragnarök, miłości moja. A to nie jest coś, co da się przesiedzieć z założonymi rękoma, licząc, że ktoś inny to załatwi.

Greta prychna z niedowierzaniem, po czym zupełnie zapiera jej dech w piersiach.

– Ty mówisz poważnie? Poważnie mówisz o końcu świata?

– Miejmy nadzieję, że on nie nastąpi, ale tak. Tego właśnie chce Loki.

– A ty dokąd teraz idziesz?

– Na Mokradła Morrigan. A potem nie wiem. Ale gdy tylko będę mógł, wrócę tu dokończyć tę robotę. Możecie tu zostać i pilnować dzieciaków... naprawdę świetnie już im idzie – albo możecie się

spakować i polecieć z powrotem do Stanów. W sumie nie wiem, która opcja jest bezpieczniejsza.

– Dobrze. Zaraz o tym zadecydujemy.

Żegnaj się z moimi uczniami i ich rodzicami – zachęcam, żeby dalej tak świetnie pracowali, i staram się poświęcić każdemu uczniowi choć chwilę.

Thandi się boi, że gdy tylko zniknę, zapomni, jak to się robi, bo ta dziewczynka po prostu zawsze się czymś martwi. Jej ojciec Sonkwe jest tak cierpliwy i łagodny, że wydaje mi się, iż te jej lęki muszą być czymś nowym, pewnie pojawiły się, gdy matka ich opuściła. Wierzę jednak, że już niedługo Thandi zrozumie, jaka jest silna.

Ozcar da radę, póki wszystko będzie w porządku z jego rodzicami. Od razu obraca się w ich stronę, żeby zobaczyć, jak reagują na to, że ich zostawiam, a gdy widzi, że się tym nie przejęli, po prostu życzy mi bezpiecznej podróży.

Tuya pyta, czy kiedy mnie nie będzie, może się nauczyć czegoś więcej o roślinach. Uzdrawianie diabłów jej się podoba, ale tak naprawdę fascynują ją kwiaty, drzewa i wszelka roślinność.

– Jasne – zapewniam ją. – Pamiętaj, że w każdej chwili możesz pogadać z Tasmanią. – Wskazuję jej sekretnik z kulką tasmanitu. – Spytaj żywiołaka o jego ulubione rośliny, a głowę daję, że dowiesz się fascynujących rzeczy. Wiesz, że rosną tu rośliny, które żywią się robakami?

– Serio?

– Tak, rosiczki. Zresztą może jest tu więcej takich roślin. Spytaj Tasmanię.

– Spytam!

Mehdi, poważny chłopiec z Maroka, zapewnia mnie, że pomodlą się z ojcem za mój bezpieczny powrót.

– Gdy cię nie będzie, będziemy pilnie pracować – dodaje.

Słyszy to Amita i przytakuje.

– Uzdrawimy tyle diabłów, ile tylko się da.

Już w tak młodym wieku pracuje bez wytchnienia, by osiągnąć swój cel. Wiem, że gdy dorosnie, będzie potężną strażniczką Gai.

Luiz, mój miłośnik zwierząt, zupełnie nie wzrusza się tym, że się z nimi żegnaj.

– Co? A. To na razie – mamrocze, odwracając nieprzytomnie głowę. – Czekaj, ale nie musimy przerywać uzdrawiania diabłów, prawda?

– Nie, synek. Pracuj dalej.

– To dobrze. Bo to jest wspaniałe. – Posyła mi szczerbaty uśmiech, po czym znów zupełnie pochłania go leczenie diabła, a o mnie już nie pamięta.

Gdy pożegnałem się już z wszystkimi uczniami, Greta chwyta mnie za gębę, dłonie kładzie mi na brodzie i przyciska czoło do mojego.

– Masz do mnie wrócić, Misiu.

– Taki właśnie mam plan, miłości moja. – Naprawdę nie mam ochoty zostawiać tu ani jej, ani moich uczniów. Cała ta afera za bardzo mi przypomina te bzdury, w które wciąż pakuje się Siodhachan. Ale może tak to już jest, jak się jest jednym z kilku ostatnich druidów zamiast jednym z wielu: przez byle pierdołę trzeba lecieć na złamanie karku, żeby ratować świat. Całuję jeszcze Gretę w taki sposób, żeby wiedziała, że zamierzam dokończyć tego buziaka potem, i jeszcze obiecuję jej, że jak tylko wrócę, to fundniemy se porządną przebieżkę po lesie.

Brighid właśnie kończy splatanie, gdy do nich wracam.

– Dobra, Andy – mówię do herolda. – Spadamy stąd.

– Na imię mi Coriander, panie.

Szczerzę do niego zęby.

– W czasie walki czterosylabowe imiona są do bani, synek. I w poezji zwykle też, jeśli ci zależy na tym, co tam gadają bardowie. Więc póki mi nie uratujesz tyłka przed faeriami, należą ci się tylko dwie sylaby. Wybieraj: Cory, Ian, Andy albo Dupek. Mnie wszystko jedno. To co ma być?

– Coriander, panie. – Posyła bogini błagalne spojrzenie, ale ona wygląda na ubawioną, więc tylko śmieję mu się w twarz.

– A może Kutas? Ano, to pasuje idealnie.

Nie ma przecież faerycznego zabezpieczenia przed obelgami. Wiem, że pieprzony cham ze mnie, ale nie znoszę takich pięknościów. A poza tym naprawdę trudno znaleźć w tej sytuacji jakiegokolwiek inne powody do śmiechu. Bo tak na serio zaczynam się obawiać, że tym razem wszystko potoczy się zgodnie z Pierwszym Prawem Owena.

Rozdział 3



W zeszłym tygodniu wybuchł mi w moim warszawskim barze jakiś wampir. Nie sam z siebie. Ściśle rzecz biorąc, rozplotłam jego martwe dupsko, ponieważ przyłazł mi tu wygrażać. W rezultacie chlupnęła dość spektakularnie. Ludzie wpadli w panikę, narobili wrzasku. Ale jeden z moich stałych klientów był zachwycony – tak jak tylko metalowiec potrafi. Dodaję mu teraz kieliszeczek żubrówki do piwa. Większość bebeczków wampira wylądowała na jego deserze oraz ze szczętem zniszczyła mu śliczną skórzaną kurtkę, ale facet tylko zaczął strzelać fotki, żeby wrzucić je na Instagrama.

Jako że Atticus i Owen są teraz na Tasmanii i pomagają tamtejszemu żywiołakowi, jestem zdana na siebie – przynajmniej w ciągu dnia. A muszę teraz zmusić wampiry do trzymania się postanowień naszego porozumienia. Szczególnie tej części, według której miały zupełnie zniknąć z Polski. Atticus obiecał to Siostrze Trzech Zórz. Tylko że okazało się, iż w Krakowie zagnieździł się wampir starszy nawet od Leifa Helgarsona. Nazywa się Kacper Głowa i dał nam jasno do zrozumienia, że nigdzie się nie wybiera, a wraz z nim także reszta wampirów zamierza nam i Leifowi zagrać na tych swoich bladych, bezglutowych nosach.

Bo już sama nie wiem – czy wampiry w ogóle mają gluty? Leif przyznał się w końcu, że tak jakby poniekąd robi kupę – a ściślej rzecz biorąc, wydała z siebie pewne odchody w najobrzydliwszy możliwy sposób, ale być może, jeśli chodzi o kwestię glutów, wyciągam zbyt pochopne wnioski.

Leif pomaga mi to załatwić i zlikwidowaliśmy już jedno gniazdo w Krakowie, wybijając dwanaście pijawek. Lecz Głowy wśród nich akurat nie było, mimo że to on był właścicielem tej nieruchomości. Zdaniem Leifa, gdy tylko wyeliminujemy Kacpra, reszta spokojnie i wyniesie się z kraju. Wystarczy więc, że go dorwiemy. To jednak nie jest takie proste, bo nie potrafię namierzać wróżbami kogoś, kto nie żyje, a Kacper jest w dodatku stary, bogaty i naprawdę dobry w ukrywaniu się.

Mimo że ledwie kilka dni temu zostałam postrzelona podczas obławy wampirzego gniazda, wracam do pracy w Browarze Szóstej Dzielnicy w Warszawie, bo liczymy na to, że Głowa będzie się próbował zemścić i stawi się tu sam albo przynajmniej wyśle jakiegoś swojego sługę, który nas do niego doprowadzi.

Ale kto składa mi wizytę zamiast Kacpra? Niepokojąco przygnębiona bogini Tuatha Dé Danann. W tym swoim skórzanym stroju myśliwskim i z łukiem na plecach nieco odstaje od zwykłych klientów Browaru. Siada przy barze tuż obok mojego metalowego Macieja. Dosłownie cała knajpa się na nią gapi, bo Flidais wygląda, jakby wybierała się na cosplay zorganizowany w ramach jakiegoś festiwalu renesansu. Poza tym jest ruda. I nie bez powodu słynie ze swojego erotycznego apetytu. Po prostu nie sposób się jej oprzeć, więc większość spojrzeń to takie pełne pożądania i uwielbienia.

Maciej jednak jest tak zaskoczony, że chyba nie wyszedł jeszcze poza etap czystego zdumienia.

– A, hej! – mówi po polsku, choć jestem prawie pewna, że Flidais nie zna tego języka. – Masz takie same tatuaże jak Granuaile. Znaczą jak kiedyś miała Granuaile.

Polskie słowo „tatuaże” i angielskie „tattoos” brzmią dość podobnie, a do tego Maciej wskazuje na jej druidzkie dziary, a potem na moje ramię, Flidais więc szybko orientuje się, o co mu chodzi.

– *Yes, hello, my tattoos are like hers* – potwierdza po angielsku, po czym wzrok skupia na mnie.

– Cześć, Granuaile. Czy mogłabyś... Chwila, a gdzie się podziały twoje tatuaże?

Nie odpowiadam po angielsku, bo lepiej, żeby Maciej nie rozumiał naszej rozmowy.

– Witaj, Flidais – mówię po staroirlandzku. – Wciąż je mam. Po prostu zarzuciłam na nie zgrabną magiczną osłonę, którą mi dały Siostry Trzech Zórz. Tatuaze za bardzo zwracały uwagę ludzi i męczyły mnie ciągle komentarze na ich temat.

– Wyglądacie jak siostry – zauważa Maciej, przechodząc na ten swój angielski z polskim akcentem. – Jesteście siostrami?

Widzę, że Flidais działa to na nerwy. Być może powinnam załagodzić sytuację, nim bogini zaczniesz stosować przemoc, do której ma przecież pewne skłonności.

– Wybacz na chwilę, Flidais – bąkam. – Wytłumaczę mu tylko, kim jesteś.

Chcę zamienić z Maciejem słowo po polsku, bo w ten sposób lepiej mnie zrozumie, a poza tym mogę mu szczerze powiedzieć wtedy, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Powinnam go przecież poinformować, że Flidais zdecydowanie nie jest moją siostrą i że najprawdopodobniej komuś zaraz porachuje kości, a lepiej by było dla niego, żeby tym ktosiem nie był on. Mam tylko nadzieję, że mój polski jest już na tyle dobry, żeby mu to wszystko wyjaśnić. Wiem, że zrobiłam duże postępy, lecz nie wiem, czy wystarczające.

– Wyglądamy podobnie, ale nie jest moją siostrą. Ma na imię Flidais i jest naprawdę niebezpieczna, mówię serio. Zobaczysz, potrafi naprawdę zepsuć człowiekowi dzień, kiedy ktoś ją wkurzy. Nie chcę tylko, żebyś to był ty, dobra?

– Dobra – przytakuje mi Maciej, ale jeszcze pyta: – Więc mam z nią w ogóle nie gadać?

Nadal po polsku zapewniam go, że to najlepsze wyjście z sytuacji:

– Ze względów bezpieczeństwa najlepiej będzie, jak nic nie powiesz. Pij dalej, ja stawiam, dobra? I trudno, niech ktoś inny popełni ten błąd. A teraz powiedz jej jeszcze, że jesteś zaszczycony, mogąc ją poznać, bo też jest to zaszczyt. I przeproś, że się wtrąciłeś. Zaufaj mi.

Maciej szybko kiwa głową, jego długie włosy powiewają, jakby tańczył do Trivium lub HammerFall. W każdym razie ma do mnie zaufanie i chciałabym wierzyć, że nie tylko dlatego, iż czasem pozwalam mu się napić za darmo. Obraca się w stronę irlandzkiej bogini łowów i powoli, jak najlepszą angielszczyzną mówi:

– *Is an honor to meet you, Flidais. Please pardon my interruption.*

Twarz bogini od razu łagodnieje, to znaczy przechodzi z wrogiej miny na wyrażającą lekką pogardę.

– Doceniam twoją uprzejmość, śmiertelniku.

– Śmiertelniku?

Rozpaczliwie kręcę głową, patrząc na niego znacząco, i Maciej widać mnie rozumie, bo nie draży tematu. Na szczęście Flidais puszcza jego pytanie mimo uszu i mówi dalej:

– Wybacz, ale muszę porozmawiać teraz z Granuaile.

– Oczywiście – bąka Maciej. – Mną się nie krępujcie.

W nagrodę za potulność Flidais zaszczyca go olśniewającym uśmiechem i ja też szczerzę do niego zęby. Maciej płoni się lekko i uprzejmie spuszcza wzrok. Oddycham z ulgą. To się naprawdę mogło bardzo źle skończyć.

– Co ci mogę podać do picia, Flidais? – pytam.

– Cokolwiek tam masz najbliższego temu, co warzy Goibhniu – mów.

Mało nie pytam odruchowo: „Małe czy duże?”, ale w porę gryzę się w język. Przecież to irlandzka bogini. Podać jej małą szklaneczkę to tak, jakby podpisać na sobie wyrok śmierci. Więc tylko kiwam głową i nalewam jej wielki kufel mojego ulubionego lokalnego piwa. To gęsty stout owsiany o czekoladowych nutach i przemyślnym miętowym akcencie.

– Proszę bardzo. – Stawiam kufel na podkładce. – Jak miło cię widzieć. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Mam ci do przekazania wiadomość od Brighid, ale to może poczekać. A to nie może. – Unosi półlitrowy kufel i wypija go jednym haustem. Oboje z Maciejem patrzymy na to z rozdziawionymi ustami. – Hmm – mruczy Flidais, odstawiając pusty kufel na bar. Na jej górnej wardze widać wąsiki z piany. – Zaskakująco smaczne. Jeszcze jedno. – Jej zielone oczy spotykają się z moimi i widzę w nich

znajomy błysk. Widuję go w lustrze, gdy jestem gotowa kogoś zamordować.

O kurwa. Coś się szykuje. Biorę jej kufel, odstawiam do zlewu i do nowego nalewam jej kolejne pół litra. Pochłania je błyskawicznie i żąda trzeciego. Maciej ma taką minę, jakby właśnie się zakochał.

Gdyby to był ktokolwiek inny, odmówiłabym. Miałabym właściwie obowiązek odmówić – litr piwa w dwie minuty już i tak może wystarczająco zaszkodzić zdrowiu, a przecież nie jest to żaden tam amerykański rozwadniany sikacz masowej produkcji. Ten stout ma porządne 11,2 procent alkoholu. Tylko że Flidais – tak jak ja – może w każdej chwili wyleczyć zatrucie alkoholowe. A zatem pije celowo i przyszła z tym do mnie nie bez powodu. Wiem dobrze, co mam robić. Problem w tym, że pijane bóstwa mają zwykle wiele wspólnego z poważnymi stratami w ludności cywilnej. Nie mam ochoty patrzeć, jak Flidais ubija Macieja – czy kogokolwiek innego – tylko dlatego, że z jakiegoś powodu cierpi. Szczególnie, że biorąc pod uwagę zamieszanie, jakie panuje ostatnio w faerycznych krainach, powodów do cierpienia jej pewnie nie brakuje.

Flidais opisałabym jako typ hardcorowego żołnierza – mówię to na podstawie tego, czego sama byłam świadkiem, ale też opowieści Atticusa. Flidais jest niezwykle lojalna wobec Brighid, stanęła nawet po jej stronie przeciwko własnej córce, Fand. Ma jednak dość zmienne usposobienie i nawet jeśli w danej chwili zdołam odczytać jej nastrój, to już za chwilę ta obserwacja może być nieaktualna. Atticus mówi, że problem z Flidais polega na tym, że nigdy się nie wie, czy będzie miała ochotę na walkę czy na seks, a bywa, że chce obu tych rzeczy naraz. Trzeba po prostu chodzić przy niej na paluszkach, zachowywać się jak najuprzejmiej i być gotowym na jedno z dwojga.

– A więc... – mówię, stawiając przed nią trzeci kufel i trzymając się staroirlandzkiego, żebyśmy mimo obecności Macieja mogły zachować prywatność. Zakładam, że w całej Polsce jesteśmy aktualnie jedynymi użytkowniczkami tego języka. – Powiedz mi w starym języku, jak druidka druidce... jeśli oczywiście masz ochotę z kimś o tym pogadać... co cię gryzie?

Flidais wpatruje się we mnie groźnie, a ja doliczam w tym czasie aż do dziewięciu sekund.

– Powiem ci, choć jesteś młoda i nic jeszcze nie wiesz o życiu. Mężczyźni. To. Dranie.

– Aha, aha – mówię, zdając się na fachowe barmańskie przytakiwanie. Nie jest ono do końca równoznaczne z potwierdzeniem jej słów, ale ludzie, którzy dużo wypili, zwykle nie wyłapują tego typu niuansów. – Już coś o tym słyszałam.

– No jasne. – Flidais wypija czwarte piwo i zupełnie trzeźwym głosem żąda następnego.

Maciej ma już jakby przerażoną minę. Widzę, że zastanawia się, czy się nie zmyć cichaczem, ale jednak z ciekawości nie rusza się z miejsca.

Czwarte piwo. Flidais otula kufel rękoma, nieznacznie się jakby nad nim garbi. Wygląda na to, że przy tym piwie powie mi, co się stało. Przedtem jednak w moim barze rozlega się takie przeponowe, długie i donośne beknięcia, jakiego nie powstydziliby się żaden zawodowy śpiewak. Maciej mało nie mdleje z wrażenia.

– Perun mnie rzucił – oświadcza Flidais po angielsku.

– Co?! – Naprawdę jestem w szoku. Przecież Perun był w nią wpatrzony jak w obraz. – Kiedy?

– Kilka dni temu w Szkocji. Jakaś faeria rąbnęła mu piorun, a ja z kolei zniszczyłam ją zimnym żelazem, wtedy on się wściekł, przemienił w orła i odfrunął. I po ptakach. A wszystko moja wina.

– E, na pewno nie – bąkam, choć w głowie kłębi mi się mnóstwo pytań. Widzę, że Maciej też chętnie by ją o to i owo spytał, ale póki co zadanie numer jeden to pocieszać, więc posyłam mu ostrzegawcze spojrzenie. Jeśli mój stały klient otworzy teraz usta, dobrze się to dla niego nie skończy.

– To na pewno nie twoja wina.

– Moja, moja. Bo... Wiesz... Zdradziłam go.

– Ty... Ach tak.

– Ano tak.

– Ale w jaki sposób?

– Wiesz, ta faeria, co mu rąbnęła piorun, to przecież wiedziałam, że to zrobi. I wiedziałam, że on go odzyska! Przecież jestem łowczynią. Potrafię polować, prawda? Na faerie też. To zupełnie bezpieczne. Ja ją zabijam... – Wali w bar z taką siłą, że wióry lecą i Maciej się wzdryga. – A on odzyskuje piorun. Taki był plan. I tak się mniej więcej stało. Wszystko poszło zgodnie z moim planem.

Prawie wszystko. – Unosi pięść i wymachuje mi palcem przed nosem. – Bo widzisz, nie wspomniałam mu o nim wcześniej.

– O.

– No. O. Nie spytałam go o zgodę. Po prostu go wykorzystałam. – Ogląda się na Macieja i patrząc na niego pożądliwie, przechodzi ze staroirlandzkiego na angielski. – Zwykle, jak wykorzystuję facetów, to nie mają nic przeciwko temu.

Maciej z trudem przetyka i popatruje na mnie, wyraźnie licząc na wsparcie. Daję mu dyskretny znak głową.

– Rozumiem... ich – udaje mu się wydusić po angielsku.

Flidais chichocze, posyłając mu spojrzenie pełne uznania, ale szybko interweniuje, żeby sprawy nie zaszły za daleko.

– Ale Perunowi się to nie spodobało, jak rozumiem? – pytam po staroirlandzku.

Bogini znów skupia się na mnie.

– Nie! Powiedział, że dobrze się ze mną bawił, ale było, minęło. – Unosi lewą rękę i macha palcami. – A potem odleciał z powrotem do Rosji czy jakiejś innej słowiańskiej krainy, nawet nie wiem. Wszystko nastąpiło tak szybko, że nie połąpałam się, co zrobiłam źle. Stałam tam, myśląc sobie, że przecież postąpiłam słusznie, bo ta faeria pogwałciła postanowienie traktatu ze Szkotami, i że liczy się tylko ostateczny rezultat... Ale jego już nie było. Nie miałam nawet czasu się nad tym zastanowić, wyjść ze swojej własnej głupiej przestrzeni myślowej, żeby spojrzeć na to z jego perspektywy. Nie miałam nawet czasu... go przeprosić.

Głos jej się łamie, a oczy napełniają łzami, gdy tymczasem mnie do głowy przychodzi kilka myśli naraz: Oto siedzi przede mną ta prastara istota, ale serce ma złamane i czuje się odrzucona zupełnie tak jak ktoś, kto urodził się, powiedzmy, dwadzieścia lat temu; oraz: „Och, kochanie, spieprzyłaś sprawę”; oraz: „Och, słońce, teraz przynajmniej wiesz już, że źle postąpiłaś, i odtąd będziesz lepszą osobą”; oraz: o kurwa, jeśli teraz coś chlapnę, zarżnie mnie na miejscu. Z pewnością nie powinnam jej na przykład mówić, że gdyby Atticus wykręcił mi taki numer, pewnie zachowałabym się jak Perun. Ale tak właściwie to bez względu na to, co powiem, Flidais i tak może się czuć zażenowana, że tak się przede mną otworzyła, bo wygląda mi na tego typu osobę. Żeby w ogóle trochę wyluzować i zwierzyć mi się ze swoich kłopotów, musiała wyżłopać dwa litry piwa, a gdy tylko wytrzeźwieje, może uznać, że najlepiej będzie zlikwidować wszelkich świadków tej jej chwili słabości. Muszę się więc bardzo postarać jakoś z tego wybrnąć.

Pochyłam się przez bar, żeby znaleźć się bardzo blisko niej, ale broń bogowie ją tknąć, i mówię:

– Jeśli jutro lub za sto lat wciąż będziesz czuła potrzebę przeproszenia go, z pewnością nadarzy się okazja, by to zrobić. Bo nigdzie się nie wybierasz. A może kiedy to powiesz, on ci wybaczy i wszystko będzie dobrze. A jeśli nawet nie wybaczy, i tak będzie dobrze, bo zawsze tak jest, gdy robi się to, co się powinno zrobić. Perun zasługuje na przeprosiny. Tymczasem jednak pamiętaj, że zostało ci jeszcze piwo, krew i pieśni bardów oraz wielki, wspaniały świat i wszystkie inne krainy.

Flidais kiwa głową. Gdy unosi kufel, po jej policzku spływa łza.

– Piwo – mówi, a ja aż się cofam przerażona.

Bogini wypija do dna czwarte i już się lekko buja na stołku. Popełniłam okropny błąd. Obracam się w stronę Macieja i szepczę do niego po polsku:

– Uciekaj stąd. Biegiem! Nie żartuję!

Bogom wszystkich panteonów dzięki, Maciej ma do mnie zaufanie. Zeskakuje cicho z barowego stołka i nie spuszczać wzroku z Flidais, wycofuje się tyłem w stronę drzwi. Gdy on salwuje się ucieczką, a bogini łowów odstawia niepewnym ruchem kufel na bar i szkło się przewraca – jej zdolności motoryczne zdecydowanie się już pogorszyły – jakiś dupek przysuwa się natychmiast i proponuje, że kupi jej drinka. A do tego jeszcze kładzie jej dłoń na ramieniu. Mówi wprawdzie po polsku, ale nie ma to znaczenia. Jego ton jest protekcyjny. To drapieżnik. A ponieważ mam słabość do poezji i lubię łączyć ze sobą słowa, czasami tylko dlatego, że tak ładnie do siebie pasują, nieopatrznie dałam Flidais naprawdę beznadziejną radę.

– Krew – mówi bogini i natychmiast rozlewa jego, waląc mu pięścią w nos z szybkiego, lekkiego

bekhendy. Wygląda to mniej więcej tak, jakby chciała lewą ręką zasygnalizować, że skręca w prawo na rowerze. Robi to tak od niechcienia, że nie zabija biedaka, ale facet łąduje na podłodze cały zakrwawiony, a świadków zajścia nie brakuje. Nie mam wątpliwości, że zostanę zwolniona, a i może pozwana za to, że zaserwowałam klientce za dużo alkoholu w zbyt krótkim czasie.

Flidais spogląda na rozwalonego na podłodze człowieka.

– Cóż za rozczarowanie – mówi. – Liczyłam na porządną burdę.

– Wybacz, że pozwolę sobie to powiedzieć, ale szkoda, że wcześniej nie przedyskutowałyśmy twoich celów. Bo ja na przykład liczyłam na to, że w ogóle nie dojdzie do żadnej burdy. Teraz będę musiała znów wyzerować mój licznik dni bez burdy.

Flidais chyba mnie słyszy, ale nic ją nie obchodzi, co mówię, bo właśnie wyskoczyli na nią kumple tego faceta i obrzucają ją epitetami. Nie rozumie oczywiście polskiego – prawdę powiedziawszy, ja też połowy nawet nie rozumiem – ale przecież bez trudu odczytuje ich agresywny ton. Uśmiecha się, rozsiada wygodniej i kiwa na nich palcem. Jest ich trzech, a żaden nie może się pochwalić specjalnie atletyczną sylwetką i wydaje mi się, że co najmniej jeden z nich zdaje sobie z tego sprawę. Ale dwóch dalej prze w jej stronę – po prostu nie potrafią zlekceważyć takiej zniewagi. Zupełnie ignorują moje błagalne wrzaski, żeby się wycofali. Flidais zatrzymuje ich szybkimi ciosami w twarz, a gdy odruchowo unoszą ręce, poprawia swój argument kopniakami między nogi. Miękną niczym liście kapusty we wrzasku i łądują na nieprzytomnym koledze. Trzeci całkiem rozsądnie postanawia jednak zachować swoje organy rozrodcze i chowa się w tłumie, który swoją drogą gapi się na nas z rozdziawionymi gębami.

– Flidais? Flidais. Porozmawiajmy o tym na zapleczu, dobrze? No, chodź.

Ale już za późno. Do Flidais podchodzi bramkarz, żeby ją wyprosić, a ona powala go mocniejszymi uderzeniami, bo facet umie walczyć i udaje mu się nawet zadać jej jeden cios (głównie pewnie dlatego, że jest pijana).

– Okej, teraz to już naprawdę musimy porozmawiać. I zniknąć stąd, zanim pojawi się policja.

– Współczesna policja? Ta z bronią palną?

– Tak. Twoje zachowanie z pewnością ich tu ściągnie.

– Niech będzie. I tak już skończyłam pić.

Zatacza się, ale daje radę wejść za bar, który dla niej otworzyłam, unosząc klapę blatu. Maciej stoi tuż za drzwiami i patrzy na nas szeroko otwartymi oczyma przez szybkę. Na migi dziękuje mi za uratowanie mu życia. Salutuję mu w ramach odpowiedzi i wchodzę z Flidais do kuchni. Prowadzę ją na zapleczu, gdzie pracownicy mają swoje szafki. Na ścianie wisi licznik, a na nim napisane jest po polsku: „173 dni bez wypadku przy pracy”. Ostentacyjnie wyzerowuję licznik.

– Przez pół roku udało nam się uniknąć jakiegokolwiek burdy, Flidais, i wszystko zniszczyłaś.

– Niepraaawda. – Flidais lekko się chwieje, ale i tak wskazuje mi kciukiem za siebie. – Ten facet wszystko zniszczył.

– Zaczynasz bełkotać. Czy mogłabyś już wyleczyć się z zatrucia alkoholowego? Żeby się stąd wydostać, powinnyśmy być trzeźwe.

Flidais parska głośno niczym zniecierpliwiony koń.

– Niiieech ci będzie.

W tej chwili do kuchni wpada szef tego pubu Piotr Skrobiszewski i wrzeszczy:

– Gdzie ona jest? Gdzie ona, kurwa, jest?

– Przepraszam na chwilę – mówię do Flidais.

Wyskakuję zza jej pleców, rzucam się w stronę szefa i podcinam mu nogi. Skrobiszewski nieźle mówi po angielsku, kiedy więc wskakuję na niego, przyciskając mu ręce do ziemi, krzyczę mu prosto w twarz w tym języku:

– Cześć! Rzucam pracę! Wychodzę stąd za dwie minuty. Kobieta, która powaliła tamtych trzech przy barze, zabije każdego, kto się do niej zbliży, ciebie też. Próbuję ją stąd właśnie wyprowadzić, nim ktokolwiek zginie. Więc daj nam spokojnie wyjść, żebyś mógł ujrzeć następny wschód słońca, dobra? – Policzkuję go przy tym kilka razy, żeby się skupił na moich słowach. – Dzięki, że pozwoliłeś mi tu pracować, Piotrze. Dobry z ciebie człowiek.

Zeskakuję z oszołomionego byłego pracodawcy i macham jeszcze na pożegnanie zdumionemu kucharzowi, po czym odwracam się w stronę bogini łówów.

– Lepiej się czujesz? – pytam, podbiegając do szafki i układając kod na kłódce.

– Tak. Chwileczkę – odpowiada, zamykając oczy.

Kłódka zaskakuje, otwieram więc drzwiczki i zrywam sploty trzymające mój kij na tylnej ścianie szafki.

– Chodźmy już, proszę. Naprawdę nie powinniśmy tu dłużej zostawać.

Bogom wszystkich panteonów dzięki, idzie za mną i wychodzimy razem na ciemny zaułek za barem. Już słyhać nadciągające syreny. Prowadzę Flidais na Pole Mokotowskie, duży park w centrum Warszawy, gdzie znajdziemy dość prywatności i splecione drzewo, jeśli będzie nam potrzebne. Flidais śmieje się radośnie, gdy docieramy na trawnik. Z ziemią pod stopami znów czuje się zupełnie bezpieczna.

– Nie była to uczciwa walka – przyznaje. – Ale i tak mi trochę poprawiła humor.

– Mam tylko nadzieję, że są jakieś poważne powody, żeby mnie odwiedzić. Bo przez ciebie wylali mnie właśnie z pracy.

– Wylali cię? Przecież to ty rzuciłaś tę robotę. Sama słyszałam.

– Musiałam ją rzucić. Przez to, co zrobiłaś.

– O. A dlaczego w ogóle tam pracowałaś?

– Powodów było wiele. Chciałam nauczyć się polskiego, zarobić trochę, zwabić tam wampiry, żeby móc je porozplatać...

– Wampiry?

– Tak, to właśnie powiedziałam. Zawarły z nami układ, w myśl którego miały już dawno zniknąć z Polski. Ale nie zniknęły przez jednego takiego. Nazywa się Kacper Głowa.

– Też jest wampirem?

– Tak.

– To powinnaś wytropić go i rozpleść.

– Owszem. Bardzo chętnie bym to zrobiła. Ale to wytropienie słabo mi na razie idzie. Dlatego właśnie pracowałam w pubie, licząc na to, że Głowa lub jakiś jego znajomek się skusi i sam do mnie przyjdzie. Już jeden taki przyszedł.

– Wytropię ci go. Gdzie go ostatnio widziano?

– Ja sama nigdy go jeszcze nie widziałam, ale mogę cię zabrać do jednego z jego gniazd. Pozwól tylko, że spytam, co cię w ogóle sprowadziło dziś do mojego baru? Jakaś wiadomość od Brighid?

Flidais macha na to rękę.

– Potem ci powiem. Zapolujmy sobie na wampira.

– Ale on może się znajdować wiele kilometrów stąd.

– Polowanie dobrze mi robi.

W parku rośnie spleciona topola czarna, dzięki której przenosimy się do lasu na wzgórzu tuż pod Krakowem. Gdy tak biegniemy z Flidais do jednej z kryjówek Kacpra Głowy, uśmiecham się od ucha do ucha. Druid nigdy się nie nudzi. Okres nauki jest długi i intensywny, ale zalety są ogromne. W poprzednim życiu serwowałam ludziom piwo, w tym – poluję z boginią na wampiry.

Kacper Głowa miał aż cztery domy, wszystkie w jednej dzielnicy. W każdym z nich sekretna klatka schodowa prowadziła do imponującego kompleksu podziemnego. Włamujemy się do opuszczonego budynku i po splamionych krwią stopniach schodzimy w ciemność. Na dole znajduję przycisk światła i z ulgą stwierdzam, że nadal działa.

– Było ich tu dwunastu? – dopytuje Flidais.

– Tak. Byli także thrallowie. Ale miejsca jest tu na o wiele więcej ludzi. Wszystko to należy do Głowy, tylko że nie było go, kiedy zrobiliśmy nalot.

– Dobrze. Musimy jakoś znaleźć jego trop. Zobaczmy, co tu mamy.

Idę za nią, gdy przechodzi z pomieszczenia do pomieszczenia. Niektóre ściany są podziurawione od kul albo brudne od krwi. Flidais coś tam stęka, ale nic nie mówi, tylko wszystko ogląda. W końcu zdejmuje łuk z pleców, wyciąga kołczan i ostrożnie odkłada go na podłogę.

– Zwykle mam do tego psy – mówi, zdejmując kamizelkę – ale tym razem będę musiała to sama zrobić.

Rozbiera się do naga i zmienia w drapieźnika. Na tatuażu ta jej postać wygląda bardzo podobnie do tej Atticusa, ale w rzeczywistości to rasa psa, która już nie istnieje. Psy bardzo się zmieniły od czasów, gdy Flidais została spleciona z Gają. Ten jest chyba bliższy wilkowi niż współczesnym psom. Gdybym koniecznie miała określić, co to za gatunek, powiedziałabym, że może coś w rodzaju wilka rudego.

Łowczyni znów obchodzi podziemia, tym razem na czterech łapach i z pyskiem tuż przy ziemi. Kicha kilka razy. Wyobrażam sobie, że kurz z komórek martwiaków musi być bardzo irytujący. Na pewno nie będę się przemieniać teraz w jaguara, żeby to sprawdzać.

Szczególnie długo zabawia w jednym z pomieszczeń, które ma tu pełnić rolę biblioteki. Pod ścianami stoją ciemne regały z drewna czereśniowego, przy czym część jest już pochłapana krwią. Przy lakierowanych stolikach stoją skórzane fotele. Na podłodze widać potraskane lampki witrażowe, barwne okruchy przeszłości. Nawet moim ludzkim, choć wzmacnianym węchem czuję zapach tego miejsca: tytoń fajek i stary papier.

Patrę po tytułach, które stoją na półkach, i po chwili szczeka mi opada. Mają pierwsze wydania najlepszych polskich książek. Zamieram na widok wszystkich czterech tomów *Chłopów* Władysława Reymonta. To za nie w 1924 roku otrzymał Nagrodę Nobla. Nie potrafię się oprzeć. Przewracam stronę tytułową pierwszego tomu i gdy widzę autograf, zaczyna mi się kręcić w głowie. Tak bardzo kusi mnie, żeby ukraść te książki. W głowie niemal słyszę tę starą piosenkę Jane's Addicton.

– Myślisz, że ktoś by zauważył, gdybym sobie to wzięła? – pytam, odwracając się w stronę Flidais.

Podnosi na chwilę wilczy łeb, kiwa powoli i znacząco, a potem wychodzi z pomieszczenia, ale cały czas na mnie patrząc. Odkładam więc książkę na półkę i idę za nią aż do miejsca, gdzie zostawiła ubrania. Przemienia się z powrotem w człowieka, kładzie palec na ustach i kręci głową, żeby podkreślić, że mam milczeć. Kiwam głową i staję w drzwiach, gdy ona się ubiera. Patrę czujnie na korytarz. Nie kazałaby mi milczeć, gdyby tu kogoś nie było. Ale jakoś nikt nie nadchodzi i nic też nie słyszę.

Flidais podnosi łuk i kołczan, a potem gestem pokazuje mi, że powinniśmy wejść z powrotem na górę. Każe mi iść przodem, a sama naciąga łuk i wycofuje się powoli, tyłem, wpatrując się cały czas w ciemność za nami. To mnie trochę niepokoi.

Wychodzimy z klatki schodowej i pytam:

– Co...?

Ale Flidais ruchem ręki w poprzek szyi pokazuje, że mam siedzieć cicho albo po mnie.

– Jeszcze nie – szepcze.

Wychodzę za nią na dwór. Ciągnie mnie aż do najbliższej ulicy. Dopiero za nią się zatrzymuje, przykłęka i szepcze po staroirlandzku:

– Dobrze przeszukaliście te podziemia?

– Wydawało nam się, że dość porządnie. Jestem pewna, że Leif też się przyłożył.

– Pomieszczenia za biblioteką też?

– Jakie pomieszczenia?

– Za regałami z książkami są korytarze. I to bardzo uczęszczane. Zapach wampirów, które tamtędy chodzą, nie pasuje do tych, które zlikwidowaliście. I są to dość świeże tropy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że tam na dole są teraz wampiry? I że być może nas słyszały?

– Tak. Zwłaszcza jeśli mają jakieś nowoczesne zabezpieczenia, a pewnie mają. Jeśli teraz wrócimy, być może uda nam się jeszcze je zobaczyć. Chyba że usłyszą, jak się zbliżamy, i znów zdołają się schować.

– Czyli pewnie gdzieś tam jest jakaś dźwignia à la Scooby-Doo, która otwiera tajne przejście.

– Co to jest Scooby-Doo?

– Bardzo długi serial telewizyjny, który miał wyjaśnić wszystkim, jak koszmarnym pomysłem jest noszenie fularu. Jego bohaterowie rozwiązywali różne tajemnice zwykle w starych domach, gdzie często znajdowały się sekretne przejścia za regałami na książki. Zawsze należało je otworzyć, wyciągając konkretną książkę albo inny wihajster lub pochodnię umocowaną na ścianie. Musi być jakiś sposób, żeby

się tam dostać.

– Zawsze możemy rozpleść celulozę w drewnie.

– Więc chcesz to zrobić? Zejść tam i wybić te martwiaki?

– A nie po to tu przybyliśmy?

– Dobra. Jestem za. Ale nim tam zejdziemy, naprawdę chciałabym się dowiedzieć, co to za wiadomość masz dla mnie od Brighid.

– A, racja! O mały włos bym zapomniała. Nadciąga Ragnarök.

– Co?! Jak można zapomnieć o czymś takim?

Bogini wzrusza ramionami.

– A bo nie mam brać udziału w głównej burdzie. Siodhachan i Eoghan będą walczyli w bitwie z Lokim, zresztą razem z wieloma innymi. Tymczasem doszły nas słuchy o narastającym problemie po drugiej stronie planety, na wyspie zwanej Tajwan. Słyszałaś może o niej?

– Tak.

– Ponoć tam będzie drugi ważny front. Więc my dwie mamy się rozprawić z tym, co się tam pojawi, ale to będzie taka mniejsza, drugorzędna awantura. Chodzi o to, żebym nie wpadła przypadkiem na Peruna, sama rozumiesz.

– Może i taki jest powód tego, że nas wysyłają akurat tam, ale to mi wcale nie wygląda na łatwe zadanie. Z tego się może zrobić całkiem poważna burda. Tylko ty i ja przeciwko nie wiadomo czemu?

– Oj tam, zaraz nie wiadomo czemu. Przecież ktoś wie. Coś niecoś w każdym razie. I właśnie z tym kimś musimy się spotkać w pierwszej kolejności. Dostałam wskazówki, jak tam dotrzeć, jakieś hasła i owoc z Wyspy Jabłoni Manannána Mac Lira.

– To z kim właściwie mamy się spotkać?

– Z jakimś typkiem, który się nazywa Sun Wukong.

– Jasna cholera. Flidais, ty sobie nie żartujesz, nie?

– Nie, to nie miał być żart. Właśnie z nim mamy się spotkać. Dlaczego pytasz? Znasz go może?

– Tylko ze słyszenia. Sun Wukong to przecież Małpi Król.

Rozdział 4



Wróciłem w spieczone w słońcu, czerwone i złote piaskowce Nawahów. Znalazłem sobie miejsce wysoko ponad wyżłobionymi przez powodzie błyskawiczne parowami. Rozpaliłem niewielkie ognisko z takich gałęzi, żeby dawały dużo dymu, usiadłem na ziemi i cieszyłem się obecnością Kolorado.

Czekałem tak prawie cały dzień, moja skóra piekła się powoli w słońcu i zacząłem się już nawet zastanawiać, czy to nie zwykła strata czasu. Udało mi się załatwić parę spraw, zanim tu w ogóle przyszedłem, ale niestety miałem jeszcze sporo do zrobienia. Nie mogłem sobie pozwolić na sterczenie tu aż do nocy, a poza tym musiałem kilka razy się leczyć z poparzenia słonecznego.

Pojawił się dopiero późnym popołudniem, w najgorętszej chwili dnia – zakurzone dżinsy, buciska szurające o skały, prosty czarny T-shirt wciśnięty w spodnie i kowbojski kapelusz na długich, czarnych włosach.

– Czołem, panie druid – rzucił, rozglądając się wokół, jakby czegoś szukał. – A gdzie pańska psina? Przyniosłem mu kiełbaski. – Uniósł zatłuszczoną torbę.

Aż jęknąłem z rozpaczy.

– Ależ będzie rozczarowany, gdy się dowie, że przegapił spotkanie z tobą. Jest w Oregonie.

– A niech to. Głównie to przyszedłem się z nim zobaczyć.

– No, dzięki.

– Nie strzelaj pan zaraz focha. To chyba jasne, że to pańska lepsza połowa.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

– Szlag by to trafił. Właściwie to tylko po to tu przyszedłem. To w takim razie nic tu po mnie.

– Kojocie, proszę – powiedziałem, gdy się odwrócił. – Mogę cię zatrzymać na kilka minut? Może z tego wyjść piękna kłótnia. I nawet możesz w niej wygrać.

Przystanął i obrócił się na pięcie, aż mu obcasy zazgrzytały na piaskowcu. Popatrzył na mnie z zaciśniętymi ustami. Zapadła cisza i nieznośnie długo mierzyliśmy się wzrokiem, aż w końcu powiedział:

– Pan to potrafisz mnie wkurzyć, panie druid, jak nikt. Okazja do kłótni z białym człowiekiem? Dobrze pan wiesz, że nie oprę się takiej pokusie.

– Podejrzewam, że w takim razie spodobałby ci się Twitter. Ale przecież wiesz, że nie niepokoiłbym cię, gdyby to nie było coś ważnego.

Kojot cisnął torbę na ziemię i siadł po drugiej stronie ogniska, wpatrując się w wijące się języki dymu.

– No dobra. Dawaj pan.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Nie. – Prychnął i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Krótka piłka.

– Nie chodzi tu tylko o mnie, Kojocie.

– Szczerze, panie druid, to mam gdzieś, kogo pan reprezentujesz. Dlaczego miałbym pomagać wam zamiast własnemu ludowi?

– Bo banda narcystycznych zbójów chce spalić cały świat, waszego kawałka nie wykluczając, tylko po to, żeby podbudować sobie ego i trochę na tym zarobić.

– A, to zupełnie jak amerykański prezydent.

Przez chwilę przyswajałem sobie to porównanie, aż w końcu zatrzasnąłem rozdziawioną gębę.

– No, coś w tym stylu.

– Widziałem już takich, panie druid. I przetrwałem ich, mój lud ich przetrwał i jestem pewien, że i tych przetrwamy. I nim cokolwiek tam znów zaczniesz gadać – dodał, wymierzając we mnie palec poprzez dym – pozwól, że ci przypomnę, że nigdy nie zrobiłeś nic, żeby pomóc nam walczyć z tymi wszystkimi prezydentami. Ani nam, ani żadnym innym plemionom. Hej, chrzanić prezydentów, ale niech mi jaja uschną, jeśli pomogłeś pan nam choć raz z tymi wszystkimi osadnikami i żołnierzami, którzy robili wszystko, żeby nas zmieść z powierzchni ziemi. I nie wciskaj mi tu teraz kitów, że jedziemy na tym samym wózku. Nie było szans, żebyśmy my pomogli druidom, kiedy przyszli chrześcijanie. Ale nam spokojnie mogłeś pan pomóc, tylko się panu nie chciało, panie druid.

– To nieprawda. Nie mogłem wam pomóc. Musiałem się ukrywać przed Aenghusem Ógiem i ograniczać użycie magii.

– Ta, się rozumie, panie druid, się rozumie. Więc z pewnością zrozumiesz pan, jak panu teraz powiem, że muszę ograniczyć umieranie dla dobra białego człowieka.

– Przecież ty nie umierasz.

– Owszem, umieram. Wydawało mi się, że już to sobie raz wyjaśniliśmy. To, że wracam, nie znaczy przecież, że nie umieram. I moi ludzie też umierają. Ale wciąż trwamy. A pakowanie się w to, w co mnie pan tu próbujesz zrobić, jakoś mi nie wygląda na najlepszy sposób na przetrwanie. Na moje to najlepiej będzie korzystać z tego, że prawie całkiem o nas zapomnieliście, dać wam powalczyć, a potem cieszyć się pokojem.

Zgarbiłem się pokonany.

– Dobra. Niech ci będzie. Obawiam się wprawdzie, że nikt was nie zostawi w spokoju ani nie będzie żadnego „potem”, jeśli nie powstrzymamy tej apokalipsy, ale przecież rozumiem, że i tak już się dość nawalczyłeś z idiotami, którym się wydaje, że świat należy do nich. Racja jest po twojej stronie.

– Och, dziękuję, panie druid, za fachowe uprawomocnienie moich uczuć. Naprawdę miałem nadzieję, że to właśnie zrobisz. Już czuję, że będę dziś wreszcie spał snem sprawiedliwego. Bo tak to normalnie łykam melatoninę jak cukierki, tak przeżywam, że biały człowiek mi ostatnio nie powiedział, że mam rację.

– Przepraszam. To jakoś źle zabrzmiało. Próbowałem się tylko z tobą zgodzić. Ale problem w tym, że ten facet pewnie zdoła przejąć świat. Bo mówię tu o Lokim z nordyckiego panteonu. Będzie miał po swojej stronie cały legion martwiaków, sporo olbrzymów ognia i mrozu i kto wie, kogo jeszcze. Być może przez jakiś czas będziecie w tej części świata bezpieczni, ale jeśli nie uda się go teraz powstrzymać, to w końcu tu dotrze i już nikt nie zdoła go pokonać. – Pokręciłem głową na myśl o skali tego, co niedługo nastąpi. Jeśli nie zatrzymamy Lokiego, zanim się rozpędzi w swojej manii niszczenia, tak się stanie, bo ja nie zdołam go zatrzymać. Bo on zatrzyma mnie. – Syf zacznie się pojutrze, prawdopodobnie gdzieś w Skandynawii. Jeśli będziesz chciał pomóc, to tam się udaj.

– A niby jak ja w ogóle miałbym pomóc, panie druid? Nie jestem żadnym potężnym wojownikiem, który stawi się tam z zastępami wojowników gotowych do boju czy coś.

– Wiem. Przecież nie oczekuję, że sprawisz, iż róg Helma Żelaznorękiego zabrzmi w Jarze, ani niczego w tym stylu. Chciałbym cię prosić o zrobienie czegoś, do czego świetnie byś się nadawał. Chciałbym, żebyś zamordował Hel.

– Co? Mówisz pan o tej półmartwej babie, co to nam tu raz przylazła zaciągnąć cię do swojego woja? Tej, przez którą Frank Chischilly przywołał Zabójcę Potworów?

– Właśnie o niej. To nordycka bogini zaświatów, córka Lokiego. Potrafi wskrzeszać umarłych. Toteż gdy już zaczną zabijać ludzi, będzie mogła ich dodawać do swojej armii, możesz więc sobie łatwo wyobrazić, że sytuacja szybko wymknie się wtedy spod kontroli. Usunięcie Hel to podstawa. Dzięki temu w ogóle będziemy mieć jakiejkolwiek szanse.

– Jak potrafi wskrzeszać umarłych, to pewnie da radę i siebie wskrzesić, jak już ją ukatrupię, nie?

– Nie, bo żeby tego dokonać, musi żyć, a przy założeniu, że uda ci się ją zabić, nie będzie już żyć. – Nadal będzie panią zaświatów i będzie mogła w nich egzystować, ale podobnie jak Morrigan

będzie już tylko cieniem dawnej siebie. Nie będzie miała dość siły, by pojawiać się w Midgardzie i mieć jakikolwiek wpływ na Ragnarök.

– Hm. A nadal paradytuje po świecie jako trzyipółmetrowy kobieton, który śmierdzi jak zepsuty kurczak?

– Może mieć taką postać, ale może pojawić się w przebraniu. Ale te potrafisz przecież przejrzeć, prawda?

Kojot tylko prychnął.

– No chyba. Znam się nieco na przebraniach, panie druid.

– Mam nadzieję, że się nad tym przynajmniej zastanowisz. Tym bardziej że ona już tu była i na pewno o tobie nie zapomni, kiedy już zdoła dotrzeć w te strony.

Przechera pociągnął nosem, charknął i splunął w ogień.

– Dobra. Zastanowić się mogę, co mi szkodzi.

– Dzięki.

– Nie masz pan jakichś innych miejsc do odwiedzenia, ludzi do zobaczenia?

– Mam.

– Ognisk do wygaszenia czy co tam.... Tym ogniskiem się pan nie zajmuj. Ja się nim zajmę.

Wstałem, otrzępiałem z siedzenia czerwony pył i skinąłem mu głową.

– Dzięki. Do zobaczenia.

– Może, panie druid. Ale pewnie raczej nie. Pozdrów pan ode mnie swojego psa.

Rozdział 5



Mokradła to nie do końca synonim bagna, choć jak sama nazwa wskazuje, też jest to oczywiście teren mokry, a poza tym jest też na nim sporo błota. Chemiczny skład jest jednak inny, więc rosną tu inne rzeczy. W większości trawy, czasami jakieś marne drzewko, roślinki cienkie i wątłe. W skrócie jest tak: patrzysz se na to i myślisz se, że to nawet ładniutka równina, a potem robisz krok i błoto chwyta ci girę niczym głodny pyton.

Mokradła Morrigan prezentują się pięknie, naprawdę pięknie. A potem puszcza splecione drzewo i dociera do nas, że musimy przejść przez to błoto, żeby dotrzeć do budowli, w której ani chybi ukrywają się Fand i Manannán Mac Lir. Sam nie wiem, jak to nazwać – ni to zamek, ni to dwór, ni to dom – może jakiś gotycki koszmarny architekt. Zupełnie jakby Morrigan dorwała jakiegoś odurzonego opium kamieniarza i powiedziała mu: „Wybuduj mi tu coś złowróbnego, złowieszczego, z odrobiną śliniącego się szaleństwa i nutką bełkoczącego obłądu”. Tu jakieś ciemne i wijące się kształty, tam ostre zakończenia, ówdzie czarne tafle pobłyskujące niczym stara kawa, którą za chwilę pokryje pleśń. Niskie, szare niebo nijak nie poprawia nastroju. Ani tym bardziej kraczące wrony.

Okazuje się, że tylko ja będę musiał brnąć przez błoto. Coriander jest ponad to. Unosi się tuż przede mną, żebym mógł cały czas widzieć, jak mu łatwo przychodzi wdzięcznie sunąć nad błotem. Klnę pod nosem z frustracji, a on wyraźnie jest tym zachwycony.

Gdzieś w połowie drogi – gdy nogi mam już całe lepkie i brudne – zauważam w oddali podejrzenie wyprostowanych chłopaczków z dzikimi czuprynami. Trochę się zbliżają i już widzę, że żadne z nich chłopaczki. Miecze i martwe oczy. Kora zamiast skóry. Ruchome korzenie zamiast stóp. Wyglądają, jakby szli na szczudłach. Cisowcy.

Nakładam załadowane energią kastety, które podarował mi Creidhne. Dzięki nim mogę rozbijać w pył kamienie, powinny więc działać też na drewno. Jeśli uda mi się podejść na tyle blisko, żeby im przyłożyć, zanim przerobią mnie na kotlety. Cisowców Morrigan na pewno nie zmyli żaden kamuflaż, a ja to za szybko się nie ruszam w tym błocku.

– Te, Kutas, weź ich wytnij w pień – mówię do tego pozałcie się bogowie herolda nadzwyczajnego.

– Mogę najwyżej pójść się z nimi przywitać, panie. Jestem niezdolny do wywoływania konfliktu.

– Uwierz w siebie, synek. Wystarczy, że z nimi zagadasz, a zaraz będą cię chcieli zabić.

Herold nadzwyczajny przewraca oczami i wzdycha jak puszczający zabójcze bąki duch, ale posłusznie sunie nad błotem w stronę cisowców. Dociera do nich i coś tam zaczyna gadać, oni jednak traktują go niczym martwą przeszkodę – to jest w ogóle go ignorują i tylko starannie wymijają. Coriander się wycofuje, stara się stanąć przed jednym czy drugim cisowcem, ale oni mają na niego prostą metodę. Po prostu cierpliwie go wymijają i prą w stronę celu. Czyli mnie.

– To nijak nie działa, do cholery! – ryczę na niego. – Wracaj, Kutas. Mam lepszy pomysł!

Przylatuje błyskawicznie, marszcząc niechętnie brwi. Cisowcy są coraz bliżej.

– Śmiem zwrócić ci, panie, uwagę, na twój nieco obraźliwy język...

– Wiem, wiem, cham ze mnie. Już ci przecież mówiłem, że jak mi uratujesz tyłek, to zadam sobie trud i będę wymawiał wszystkie cztery sylaby twojego imienia. A teraz masz mi tu lecieć tuż przede mną, słyszysz? O, tu, lekko na lewo, bo oni są chyba praworęczni. Niech wał w ciebie, a ja będę kontratakował. Teraz przyspieszamy i przesuujemy się na ich lewą stronę, tak żeby musieli przegrupować szeregi... Ano tak.

Przesuwam się na prawo, a cisowcy siłą rzeczy muszą na to zareagować. Mowy nie ma, żebym

im się pozwolił otoczyć. Nie obronię się przecież przed ostrzami z każdej strony. Jeśli teraz się przesunę, zaatakuję, a potem znów przesunę, powinienem to przeżyć, a potem, gdy już ich minę, raczej zdołam ich przegonić. Przemieniłbym się po prostu w kanię i przeleciał nad nimi, gdyby nie to, że trzech typków z tyłu ma łuki i tylko na to czekają. Będę musiał ustawić herolda tak, żeby mi osłaniał tyłek, kiedy już minę tę falangę.

Przez jakieś sześć sekund łudzę się, że uda mi się ich prześcignąć. A potem oni włączają wyższy bieg. No bo w sumie to zostali stworzeni do tego, by się poruszać po takich właśnie topieliskach. Zajmują o wiele lepszą pozycję. Teraz z łatwością mnie dorwą.

Przywódca robi zamach tą swoją długą ręką, która ląduje nisko nad ziemią tuż przede mną. To sprytny ruch – jeśli się potknę, to już pewnie nie wstanę z tego błota. Udaje mi się to jednak zauważyć i nieco zwolnić, przez co na gałąź wpada Coriander i jego kinetyczne zabezpieczenia pięknie na to reagują. Drewniana ręka odbija się od nich, a cisowca odrzuca w tył. Tylko że takie zmniejszenie prędkości z mojej strony ma swoją cenę.

Drugi cisowiec zamachuje się ręką za plecami Coriandra i choć robię unik, udaje mu się mnie drasnąć. Drewniana łapa chłoszcze mnie boleśnie po łopatkach, przeklinam więc faerię za jej niekompetencję.

– Czy ty masz pojęcie, jak Brighid się na ciebie wścieknie, jeśli zginę? – sapię, starając się biec szybciej.

– Trudno to precyzyjnie przewidzieć, panie. Z pewnością będzie dość niezadowolona z powodu takiej niedogodności. Ale życie jest długie, a jej złość, tak jak jej ogień, zawsze po jakimś czasie gaśnie.

Mrozi mnie na tę odpowiedź o dobre pięć stopni. Ten lalusz może naprawdę pozwolić mi tu zginąć, a potem tylko wzruszyć ramionami. Przecież cisowcy cieszą się reputacją niezawodnych morderców, faeria więc bez trudu może wszystkim wyjaśnić, że po prostu nie daliśmy rady w walce dwóch przeciw całemu oddziałowi.

Jeszcze gdy nawija, dwóch cisowców niechcący zahacza o niego, próbując mnie uderzyć. Obaj odlatują, jakby huragan wyrwał ich z korzeniami.

Ten, który już mi poharatał plecy, znów próbuje szczęścia, ale teraz już mam go na oku i tylko czekam. Niech Coriander likwiduje tych z przodu, którzy próbują mi podstawić rękę, a już ja sobie poradzę z tym, któremu się ubzdurało, że może mnie zająć od tyłu. Gruba ramienna gałąź z ostrymi patykami zamiast palców znów leci w moją stronę, ale zatrzymuję się raptownie, tak że przelatuje przede mną. Pazury drapią mnie w pierś i momentalnie w miejscu, gdzie bym był, gdybym dalej biegł, pojawiają się dwie strzały, w tym jedna odbija się od Coriandra. Prawą ręką chwytam drewniany nadgarstek cisowca i walę kastetami prosto w konar na lewo, aż wióry lecą. Cisowcy należą do milczących stworzeń, ale i tak wiem, że to poczuł. Zaprzestaje pościgu, a ja znów pędzę, nie puszczając jego ręki. Kolejnemu cisowcowi nie udaje się podstawić mi haka i odpada od Coriandra, co oznacza, że został nam już do pokonania tylko jeden plus ci łucznicy. Staram się, żeby cały czas Coriander znajdował się między nami.

Ostatni synek postanawia zaatakować mnie mieczem. Jego prawa ręka wydłuża się na moich oczach i już-już nas dogania. Ręka sunie za mną, jego plan widać jak na dłoni.

– Pilnuj tego gówniarza! – warczę. – Przecież on chce mnie zaatakować od tyłu.

– Jestem świadom jego taktyki, panie – rzecze na to herold spokojnie i unosi się dostojnie ponad bagnem, podczas gdy ja brnę w błocie noga za nogą.

Ten cisowiec bardzo sobie to sprytnie obmyślił. Żeby jakoś poradzić sobie z jego strategią, Coriander będzie się musiał zatrzymać, a to spowoduje dwie rzeczy: pozwoli tym, których już prześcignęliśmy, znów nas dogonić oraz odsłoni mnie pięknie łucznikom, jeśli czegoś z nimi nie zrobię. Oglądam się na nich i widzę, że przyglądają mi się czujnie, czekając, aż znów się odsłonię. Pieprzeni cisowcy.

Ręka tego cisowca nie jest twarda i drewniana jak poprzedniego, tylko elastyczna, giętka, nie złamie się tak łatwo, więc nawet gdy natrafi na zabezpieczenia Coriandra, pewnie będzie sunęła dalej w moją stronę.

Psiakrew.

Cisowiec wyciąga rękę, usiłując zamachnąć się z takiej odległości mieczem, i zadaje cios,

a Coriander zatrzymuje się, żeby go wziąć na siebie. Tym samym od razu odsłania mnie pięknie łucznikom. Nic to – rzucam się głową naprzód w błoto, spinając się na myśl o tym, że ta śmierdząca woda zaleje moje rany. Strzały przelatują mi nad głową, tak zresztą jak i miecz, ale na pewno szlag trafił moją prędkość, cały jestem upaprany i chyba zgmiotłem jakąś nieszczęsną żabę.

Cisowiec cofa wprawdzie rękę, ale widzę, że łucznicy już znów naciągają łuki. Oglądam się przez ramię. Tak jak myślałem, reszta już nas próbuje dogonić.

– Dawaj, Coriander, póki mam dupę w jednym kawałku – poganiam go. A niech ma te swoje cztery sylaby, skoro mu tak na nich zależy.

Wstaję rozpaczliwie z zasysającego mnie blocka i zrywam się naprzód, usiłując jakoś biec. Coriander zasłania mnie przed kolejną salwą strzał i wreszcie ich prześcigamy, biegnąc teraz już zbyt szybko, żeby zdołali nas dogonić. Ale nie poddają się. Musimy więc mknąć dalej przed siebie, licząc na to, że nikt tu nie zastawił na nas żadnej pułapki.

Z gotyckiego koszmarku budowlanego Morrigan zstępuje na nas nagle mgła i od razu widzę, że przecież nie jest to naturalne zjawisko ani żaden byle splot – to Płaszcz Mgły Manannána, co oznacza, że za chwilę zgubię się w tej chmurze, a potem zostanę przerobiony na potrawkę. Natychmiast krzyczę w parę wokół mnie.

– Przyszedłem pogadać, a nie walczyć, do cholery! Jestem tu z heroldem! Odsuń ten płaszcz, Manannanie! Jak ma się coś koniecznie polać, to lepiej, żeby to była whisky niż krew!

Mgła się zatrzymuje, a potem wycofuje, jakby spływała do odpływu. A gdy zupełnie znika, ukazuje mi się długobrody, niebieskooki mężczyzna w białej tunice.

Manannán wygląda na zmęczonego. I jakby starszego. Słowo daję, że ta broda nie wydawała mi się przedtem taka siwa. Pewnie te jego magiczne, przywracające młodość wieprze zostały w Tír na nÓg. Albo może bóg morza nie nadaje się na rebelianta. Albo po prostu to tylko moja wyobraźnia i ponura atmosfera tego miejsca sprawiają, że wydaje mi się tak wycieńczony i sfatygowany.

– Możemy pogadać, Manannanie? Przyszedłem tu z tym całym Coriandrem, którego niby wszyscy znają, bo przynoszę ofertę od Pierwszej wśród Faerii.

Na te wieści Manannán unosi jedną brew.

– Ofertę? Czy warunki poddania się?

– To z całą pewnością oferta. I nie ma tu mowy o żadnym poddawaniu się, ani twoim, ani Fand. Wzrok Manannána przesuwają się ponad moim ramieniem. Unosi rękę, by zatrzymać cisowców.

– Stop. Odwołuję mój ostatni rozkaz.

Odwracam się i widzę za sobą zbliżających się cisowców. Zatrzymują się w bezpiecznej odległości. Manannán ich odprawia.

– Obawiam się, że dysponujemy tu whisky znacznie posledniejszą niż ta, którą częstowaliśmy cię ostatnio – mówi. – Ale zapraszamy do stołu, Eoghane O Cinnéide, i ciebie również, Coriandrze. Wysłuchamy waszej oferty.

– To bardzo łaskawe z twojej strony, Manannanie.

Podchodzimy bliżej i widzę już z całą pewnością, że to nie moja wyobraźnia. Twarz boga morza wygląda tak, jakby ktoś ją najpierw zupełnie zgmiotł, a potem próbował rozprostować – pełno na niej zmarszczek. Kiedy Fand zbuntowała się przeciwko Brighid, władca morza podjął trudny wybór i pewnie gdyby stanął po stronie Pierwszej wśród Faerii, wcale nie byłoby mu łatwiej. Jest głęboko nieszczęśliwy i słowo daję, że czuję do niego sympatię. Albo może empatię? Jak ja nienawidzę tych nowożytnych językowych kruczków. Mniejsza o słowo, po prostu rozumiem, że chłop ma niezłą zagwozdkę. Sam czuję się rozdarty między Gretą a Siodhachanem i mam tylko nadzieję, że nigdy nie będę musiał między nimi wybierać. Na szczęście oni tylko się unikają, a nie próbują nawzajem pozabijać.

À propos niszczenia – powinienem być chyba miłszy dla tego całego herolda.

– Coriander, synek, pięknie mi ocaliłeś dupsko w tej brei. Dzięki za uratowanie życia. Wiem, że czasem mam niewyparzoną gębę i... tego... Chciałem tylko, żebyś wiedział, że nie zawsze taki jestem.

Herold unosi kącik ust.

– Doprawdy? I jak długo zamierzasz, panie, zaszczycać mnie taką... łagodnością i uprzejmością?

– Szczerze, to te pół minuty to chyba już starczy, nie? Więc ciesz się, póki masz czym. Greta...

to moja kobieta... mówi, że ze mnie idealny materiał na całe lata terapii.

– Pozwolę sobie zauważyć, że to może świadczyć o tym, iż jest ona mądrą i troskliwą towarzyszką życia.

– No chyba.

Manannán nic na to nie mówi. Głowę ma spuszczoną i nie wygląda na kogoś, kto chciałby się odzywać albo żeby się do niego odzywano. Drepczemy dalej w milczeniu w stronę koszarnej kryjówki czy siedziby, czy jak to tam sobie zwała Morrigan. W końcu jednak nie wytrzymuję i gdy ziemia pod naszymi stopami robi się nieco suchsza, mówię:

– Wybacz moją śmiałość, Manannanie, ale czy nic ci nie dolega? Widywałem cię w lepszej formie.

Zatrzymuje się, duma chwilę, po czym podnosi wzrok i odpowiada:

– Nic mi fizycznie nie jest. Ale przebywam od dłuższej chwili w tym miejscu, z dala od oceanu, i tęsknię za dawnym poczuciem harmonii. Było to dla mnie ważniejsze, niż sobie chyba z tego zdawałem sprawę.

– Rozumiem. Mam tylko nadzieję, że moja oferta pozwoli ci przywrócić tę harmonię.

– I ja chciałbym mieć taką nadzieję. Wchodźcie, proszę. Witamy w naszych progach.

W kręgach faerycznych takie zaproszenie jest właściwie gwarancją bezpieczeństwa. Przekraczam próg i ląduję w pomieszczeniu pełnym kości. Nie na podłodze, ale na wszystkich czterech ścianach i suficie. Cała kupa ludzkich szczątków, starannie wypolerowanych i ułożonych wokół, a wśród nich co jakiś czas upiornie uśmiechająca się z zaświatów czaszka.

– Hm – bąkam. – Odważny pomysł, to na pewno. Mocny przekaz. Raczej nie sugeruje gościnności, ale w każdym razie robi wrażenie.

– Wybaczcie wystrój – odpowiada na to Manannán. – Morrigan miała dość nietypowy gust, a my nie mieliśmy jeszcze czasu tego przeorganizować.

Prowadzi mnie do następnego pokoju, w którym znajduje się czysty, wąski basenik. Wpływa do niego woda z trzech wodospadów. Słychać chór jakichś upiornych głosików, które zawodzą w skali molowej, co na pewno nie daje relaksującego efektu. Właśnie mam spytać, co to za gówno, ale Manannán sam zaczyna wyjaśniać:

– Morrigan obmywała się tu z krwi po swoich eskapadach. Nie wiemy, skąd dochodzą te śpiewy, toteż jak dotąd nie udało nam się ich uciszyć.

– O. Bardzo praktyczne rozwiązanie – mówię. – Znaczy planowała zawsze w przód. Jak tak się nad tym zastanowić, to pojęcia nie mam, czemu ludziska se nie robią częściej w domach takich pomieszczeń.

Coriander prychnął cicho i nawet Manannán chrząka, po czym podejmuje mój ostrożny żart:

– Odświeżające kąpiele krwiste, przy akompaniamencie zawodzenia ludzi, których się zabiło. Nie zwykły westybul, ale elegancki wrzeszczyból. Tak. Myślę, że to zaskoczy i wkrótce wszystkie przedmieścia będą mogły się pochwalić takimi luksusami.

– Po prawdzie to sam bym się chętnie wykapał – przyznaję. – Cały jestem umorusany i mam na sobie chyba z pół mokradeł.

Manannán macha w stronę basenu.

– Nie krępuj się. Przyślę ci tu kogoś ze świeżymi szatami.

Rozbieram się więc i wchodzę do basenu. Woda jest chłodna, ale nie zimna. Byłoby to bardzo odświeżające doświadczenie, gdyby nie te nawiedzone wrzaski. Staram się jako tako opłukać rany i wykorzystuję energię z kastetów, żeby je uzdrowić. Ale raczej się streszczam, bo jest to jednak nieco upiorne, a poza tym szybko pojawia się faeria z ręcznikiem i czystymi ubraniami.

Kolejne pomieszczenie jest podłużne i w ogóle wygląda jak sala do picia miodu. Na ścianie wiszą hełmy od najstarszych do najnowszych. Ta kolekcja nadawałaby się nawet do jakiegoś muzeum, by pokazywać dzieciom, jak się zmieniała broń na przestrzeni wieków, gdyby nie to, że w hełmach nadal tkwią czaszki.

– Trofea – mówi Manannán. – To mężczyźni, którzy ją obrazili.

Hełmy z czasem ustępują czapkom, co pewnie świadczy o mniejszym natężeniu wojen

w Europie, ale widzę też jakiś kask motocyklowy i kilka bejsbolówek, a nawet fedory.

Przechodzimy do pierwszego pokoju, który naprawdę jest przyjemny. Stoją w nim dwa czerwone fotele, przed kamiennym paleniskiem leży wełniany dywanik, który ma chronić stopy przed zimnem, a na zupełnie bezkosztownych ścianach wiszą obrazy w pozłacanych ramach. Wprawdzie przedstawiają wrony, które rozdziobują oczy poległym w bitwie, ale jednak są to prawdziwe dzieła sztuki.

Za nim znajduje się jadalnia – spora, ale bynajmniej nie wielka, jako że Morrigan nie miała zwyczaju gościć tłumów – i w niej właśnie wita nas zbuntowana Królowa Faerii.

W przeciwieństwie do męża Fand wygląda wręcz oszałamiająco. Odziana w jakieś fatałaszkę, przystrojona świecidełkami i innymi cudёнkami emanuje zdrowiem i siłą. Może uprawia teraz jogę i je tylko superżywność. Greta twierdzi, że nauka co tydzień wymyśla jakieś genialne rozwiązania na powstrzymanie procesu starzenia – jest ich już tak wiele, że całe to swoje przedłużone życie możesz zmarnować na ich wypróbowywanie. Zawsze przy tym dodaje, że mimo wszystko jarmuż jest gorszy niż jaja starucha, choć co to jest jarmuż, pojęcia nie mam, ani tym bardziej dlaczego go tak nie znosi i od kiedy to jaja starucha są superżywnością. Cała ta rozmowa tak mnie zresztą skołowała, że puściłem to wszystko mimo uszu – tak zresztą jak robię z większością tych bzdur, którymi wciąż mnie atakuje nowoczesność. Lecz może Fand wcina jarmuż czy coś i dlatego tak wygląda. Najprawdopodobniej jednak po prostu skryła się pod magicznym przebraniem, ale jeśli choćby rzucę na nią okiem w prawdziwym spektrum, to od razu się połapie i uzna to za zniewagę. Dlatego najlepiej będzie podziwiać jej piękno i o nic nie pytać.

– Witaj, Coriandrze – mówi głosem ciepłym i słodkim niczym miód w lecie. Kiedy jednak zwraca się do mnie, jej ton jest tak lodowaty, że niemal widzę szron: – Dzień dobry, dozorca więzienny.

A. Czyli jednak nie zapomniała. Kiwam jej lekko głową na powitanie – pewnie za lekko – i zmuszam się do przyjaznego uśmiechu.

– Dziękuję, że zgodziłaś się z nami spotkać, Fand.

Nic na to nie odpowiada, tylko wskazuje nam ręką stół z kilkoma deskami serów i butelkami wina i whisky. W tym pomieszczeniu nie ma właściwie nic wypasionego. Tylko proste drewniane krzesła, słoneczne światło wpadające przez wysokie okna zamiast świeczek, żadnych gobelinów, rzeźb czy zdobień z muszli, które widziałem u nich w Tír na nÓg. Kamienne ściany i podłoga, żadnych dywanów. Zupełnie inna estetyka niż w zamku Manannána. To się chyba zwie minimalizm. Albo żalność. To chyba synonimy czy coś. Na tle tej nijakości tym bardziej uwidacznia się przepych strojów Fand i Coriandra.

Siadamy i Manannán nalewa mi whisky, która dojrzewała w piwnych beczkach. To wyborna mieszanina smaków i od razu czuję, jak mi od niej miękną kości. Manannán nalewa także sobie i mówi:

– *Sláinte*.

Ale Fand sięga po wino i Coriander robi to samo. Pojęcia nie mam, czy to coś znaczy – facet po prostu woli lżejszy alkohol czy też chce jej coś przez to powiedzieć. Czy to w dyplomacji sposób na pokazanie, po której stronie się stoi? Na tego typu niuansach to się akurat tyle znam, żeby wiedzieć, że pewnie coś przeoczyłem.

Szlag by trafił niuansie.

Fand pyta Coriandra, jak się miewają faerie w Tír na nÓg, i prosi, żeby przekazał im od niej najserdeczniejsze pozdrowienia. Herold przytakuje i zapada niezręczna cisza. W końcu Manannán pyta mnie o mój gaj i uczniów.

– Ach, są wspaniali. Szybko się uczą i mają czyste serca. Będą dobrze służyć Gai. – I wtedy przypominam sobie, że przecież mam coś, co powinno przełamać pierwsze lody między uczestnikami tego spotkania. – A skoro już mowa o uczniach, to czy opowiadałem wam kiedy prawdziwą historię o Siodhachanie, rzymskiej spódnicy i kozie?

Fand marszczy brwi, słysząc to imię, ale już chwilę później parska śmiechem w swój kieliszek, a ściany drżą od ich rechotu. Manannán wprost ryczy ze śmiechu i odrzuca głowę w tył z takim impetem, że sam ląduje z hukiem na posadzce. Facjata Coriandra nabiera odcienia pomidorowego, gdy chichocze tak histerycznie, że aż brak mu tchu. Ta historia to normalnie skuteczniej mi zjednuje ludzi niż najlepsza flaszka, choć z pewnością procenty też pomogły. W każdym razie wszyscy są w o wiele lepszych

nastrojach, gdy w końcu przedstawiam im ofertę Brighid.

– Przez całe to zamieszanie z Ragnarökiem Irlandii grozi wielkie niebezpieczeństwo. Apokalipsa ma się ponoć zacząć za kilka dni.

Fand kiwa głową. Nie wygląda na zaskoczoną.

– Nie należę do tych, co wszystkim ubierają w piękne słowa, więc powiem wprost, jak jest: Brighid chce, żebyście jej pomogli, a wtedy będziecie mile widziani w domu. Walczcie w Ragnaröku. Uratujcie życie paru ludziom, żeby zadośćuczynić za te, które odebraliście. Przywróćcie równowagę, zawalczcie o swój honor i zyskajcie chwałę, tak jak to przystoi Tuatha Dé Danann, czyli na polu bitwy, i wróćcie znów do Tír na nÓg.

– Pod panowaniem władczyni zasiadającej na Żelaznym Tronie?

– Ano.

– Wykluczone.

Przez ułamek sekundy Manannán ma jakby zawiedzioną minę. Głowę bym dał, że on by przystał na taką umowę. Czyli to Fand trzeba jakoś przekonać.

– Pozwól, że spytam o jedną rzecz: czy twoje obiekcje dotyczą władania Brighid czy tego, że włada ona z Żelaznego Tronu?

– Chodzi mi o tron oczywiście! – cedzi przez zęby Fand, ale moja zdumiona gęba skłania ją do tego, żeby już spokojniejszym tonem wyjaśnić: – To właśnie obnoszenie się codziennie z tym żelazem przed biednymi faeriami czyni ją nieznośną władczynią. To zarówno groźba, jak i zniewaga zarazem. Przecież wiemy, że potrafi władać żelazem, i raczej o tym nie zapomnimy. Naprawdę nie ma potrzeby cały czas terroryzować nim wszystkich faerii na dworze.

Obracam się w stronę Coriandra, herolda nadzwyczajnego Brighid, żeby zobaczyć, czy i on tak to odczuwa. Wzdryga się, zapowietrza i pojęcia nie mam, czy się z nią zgadza czy jak.

– Mów prosto z mostu, synek, a nie rób miny, co mi przypomina napuchły odbył!

Znów się wzdryga, ale odpowiada:

– Między nami mówiąc, skłaniam się do opinii Fand.

– No przecież nikomu nie powiem. Po prostu muszę wiedzieć, jak jest, bo trochę długo mnie tu nie było. Fand, pojęcia nie miałem – zwracam się do Fand – że to, na czym siedzi Brighid, to taki drażliwy temat. Czy próbowaliście jej kiedyś o tym powiedzieć?

– Tak, wielokrotnie. Ona jednak nie chce oddać go na złom.

– Kiedy ostatnio z nią o tym rozmawiałaś?

Fand spogląda na Coriandra, który posłusznie odpowiada:

– Śmiem twierdzić, że ostatni raz odbyło się to w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, że tak sobie tu pozwolę użyć ludzkiego kalendarza. Faerie zaniepokoiło wówczas powstanie zespołu śmiertelników o nazwie Iron Butterfly. Wtedy właśnie znów zaczęły błagać, by przynajmniej na naszym dworze zlikwidowano tę zmorę, jaką jest żelazo.

– Faerie wpadły w panikę z powodu nazwy jakiegoś zespołu?! Mniejsza z tym, oczywiście, że wpadły w panikę... Ważniejsze pytanie brzmi: skąd ten pomysł, że coś, co wydarzyło się dobre kilkadziesiąt lat temu, kwalifikuje się jako „ostatnio”? Od tego czasu wiele się zmieniło. Szczególnie teraz. Być może macie obecnie mocniejsze argumenty. A więc rozważmy taką możliwość, Fand: czy jeśli namówię Brighid, żeby zrezygnowała z Żelaznego Tronu, będziesz walczyć w Ragnaröku, a potem wrócisz do domu, żeby żyć tam w pokoju? Brighid nadal byłaby Pierwszą wśród Faerii, ale ty przecież wywalczyłabyś w ten sposób także coś dla nich, nie? I wszystko zostałoby wam wybaczone, a Manannán odzyskałby swój ocean. – Wskazuję smętnego boga morza, a Fand spogląda w jego stronę i przecież widzi, jaki jej mąż jest głęboko nieszczęśliwy. – Wydostałabyś się z tych mokradeł – cisnę. – Pożegnałabyś te kamienne mury pełne kości. To chyba najbliższe harmonii, co można w tej sytuacji osiągnąć.

– Hmm. Co ty na to, mężu? – pyta Fand.

– Moim zdaniem to jakiś sposób, żeby wrócić – odpowiada bóg. – I zarówno cena, jak i nagroda wydają się sprawiedliwe.

Fand pochyła się, wybiera odkrojoną kosteczkę irlandzkiego cheddara i wkłada ją sobie

z wdziękiem do ust. Żuje, dumając, a zarazem udowadniając światu, że nawet żreć ser można pięknie. Tak se w ogóle myślę, że Beautiful Cheese Eaters to o wiele lepsza nazwa na zespół niż Iron Butterfly, ale moje rozmyślenia przerywa Fand.

– Nie jestem przekonana do tej ceny. Czy to aby sprawiedliwe, że ona się pozbędzie byle mebla, a w zamian otrzyma całą armię? A jednak, tak jak mówisz, Manannánie, jest to przynajmniej jakiś sposób, żeby wrócić. Niech więc będzie, Eoghane. Mówię teraz w imieniu swoim i armii faerycznej: jeżeli Brighid zgodzi się usunąć Żelazny Tron z Dworu Faerii, będziemy walczyć za Irlandię w Ragnaröku, a następnie wrócimy do Tír na nÓg, gdzie nam wybaczą rebelię i zwrócą majątek. Uznamy Brighid za Pierwszą wśród Faerii i będziemy znów żyć w zgodzie.

– Dobrze. A ty, Manannánie? – pytam.

– Ano – mówi. – Ja też się na to zgadzam.

– Coriandrze, słyszałeś?

– Tak.

– Dobrze więc. Wybaczcie mi, ale znów muszę ruszać w drogę, żeby gdzie indziej pomieścić jęczorem. Mam nadzieję, że wkrótce wrócę z odpowiedzią.

I gdy opuszczam mokradła, naprawdę jestem pełen nadziei. I to do tego stopnia, że zaczynam se myśleć, iż może jednak mamy tu do czynienia z działaniem Drugiego Prawa Owena: Czasami da się posprzątać to, co się zepsuło.

Rozdział 6



Nim znów docieramy do domu Kacpra Głowy, jestem już tak napompowana adrenaliną, że ręce mi się trzęsą, gdy wchodzimy do budynku. Zdążyłam jeszcze przedtem skoczyć do Flagstaffu po specjalne kołki, które podarował nam Creidhne przed polowaniem w Rzymie. Gdy się ich używa, wystarczy drasnąć wampirzą skórę, by rozplótł się na miejscu. Daliśmy je wszystkie Owenowi na przechowanie i żeby miał dodatkowe zabezpieczenie, gdyby przy jego gaju pojawiły się jakieś wampiry. Owena akurat nie było w domu, wystarczyło więc wemknąć się, zabrać dwa kołki i wyskoczyć z powrotem. Teraz, gdy schodzę do bunkra wampirów, jeden kołek trzymam w lewej dłoni, drugi ma Flidais. W prawej ręce mam swój kij, Scáthmhaide'a, a Flidais niesie łuk. Tak jak się umówiliśmy, jeszcze przed wejściem do bunkra wrzucamy niewidzialność, po czym przystajemy i nasłuchujemy. Nic.

Zakradamy się w milczeniu do biblioteki – zastajemy ją bez zmian. Mam znaleźć tę dźwignię Scooby-Doo i nie zajmuje mi to wiele czasu, bo naprawdę jest to dość banalne – to polskie tłumaczenie *Draculi* Brama Stokera. Słychać kliknięcie i regał odsuwa się na bok z szelestem. Naszym oczom ukazuje się korytarz wykładany drewnianą boazerią i pluszowym dywanem w odcieniu czerwieni burgundzkiej. Żadna z nas się nie rusza. Czekamy.

– Halo? – rozlega się po chwili jakiś głos, a potem już lekko rozdrażniony powtarza: – Halo?
Nie ruszamy się z miejsca. Otworzenie drzwi było naszym ruchem, teraz czas na ich.

Do naszych uszu dociera zniecierpliwione westchnienie, kilka wymamrotanych przekleństw, po czym pojawia się jakiś strażnik czy może recepcjonista, żeby zbadać sprawę. To wążacz o posturze wojownika, ale bynajmniej nie jest przygotowany na niewidoczną zasadzkę. Flidais wbija mu kołek w gardło, a on krztusi się krwią i pada na kolana. Zacisnął palce na kołku, ale nie rozplywa się, umierając, czyli to ludzki thrall, a nie wampir. Tak myślałam, że będzie tu kilku takich, żeby strzec kryjówek wampirów. Trudno mi się zdobyć na współczucie, bo nie byłiby thrallami, gdyby nie chcieli żerować na innych ludziach.

Odczekujemy jeszcze chwilę, aż w końcu łowczyni syczy na mnie cicho, żebym szła za nią. Gdy wychodzę na korytarz, na lewo od niego zauważam biurko z monitorami. Tu pewnie siedział zabity przez nas thrall. Rzucam się w tę stronę i niechcący zderzam się z niewidzialną Flidais.

– Na tym to się zupełnie nie znam – szepcze do mnie bogini po staroirlandzku. – Co z tym robimy?

Omiotam spojrzeniem biurko, monitory, klawiatury i cały sprzęt. Wszystko jest podpisane po polsku.

– Daj mi chwilę – mówię, starając się w tym jakoś połapać. Na monitorach widzę różne pomieszczenia, a w każdym pełno mężczyzn i kobiet wylegujących się na fotelach i konwersujących przy stolikach, ale nie sposób się domyślić, kto tu jest wampirem, kto thralliem, a kto pożywieniem. W jednej z sal widzę stojące jedna na drugiej trumny niczym przedziwne wampirze łóżka piętrowe, ale w o wiele bezpieczniejszym miejscu niż te parę trumien, które znaleźliśmy w innej części tego wampirzego kompleksu. Widzę też dwa przyciski z czujnikami biometrycznymi – jeden opatrzony jest napisem „biblioteka”, a drugi – „azył”.

– Przydałoby mi się ciało tego thralla – mówię do Flidais i po chwili widzę, jak niewidoczna siła

targa strażnika z powrotem w stronę biurka.

Kilka przycisków i pokręteł oznaczonych jest dość enigmatycznie jako „alarm”, ale nie wiem, co właściwie robią, a boję się, że jeśli któregoś dotknę, to włączę alarm, zamiast go wyłączyć.

Poza tym nie ma tu wokół biurka nic – żadnego wyjścia – więc drzwi do azylu muszą się znajdować na drugim końcu korytarza.

– Co chcesz z nim zrobić? – szepcze Flidais.

– Daj go tutaj – mówię, a kiedy mi go przysuwa, chwytam jego rękę i przyciągam kciuk w stronę czytnika podpisanego „azyl”.

Wolną ręką wskazuję jej korytarz.

– Gdzieś tam powinny być jakieś drzwi. Otworzę je stąd i pobiegnę za tobą.

– Dobra – przystaje na moją propozycję Flidais. – Zaczekaj na mój znak.

Chwilę potem słyszę syk gdzieś z głębi korytarza. Uderzam w przycisk, przyciskam palec strażnika do czytnika i rozlega się satysfakcjonujący mechaniczny dzwonek. Na jednym z monitorów zaczyna się sporo dziać – podnoszę wzrok i widzę czarno-biały film o wybuchających wampirach. To niewidzialna Flidais dźga je kołkiem lub rozplata słownie. Puszczam zwłoki strażnika, chwytam broń i przeskakuję przez biurko, żeby popędzić do drzwi azylu. Gdy do nich dopadam, już się zamykają i ledwo się przeciskam na drugą stronę. Mam tylko nadzieję, że da się je potem jakoś od środka otworzyć. Ten pokój już ma ściany upstrzone dość gwałtownie pojawiającymi plamami czerwieni, a po ziemi walają się jakieś bebechy. Większość bulgocze i zmienia się w dym, bo wampiry z reguły rozpadają się dość szybko, gdy nie trzyma ich dłużej wampirza magia, która pozwalała im funkcjonować. Flidais już przeniosła się do następnego pomieszczenia, żeby maksymalnie wykorzystać element zaskoczenia, pędzę więc za nią.

Wrzasku wampira nie da się porównać z niczym – wyrwany z ludzkich ograniczeń, nagle będący już samym sobą, jest jak dźwięk przedestyłowanej wściekłości wlany w powietrze i wpływający do uszu niczym wyśmienity rocznik złej woli. Tyle z tego dobrego, że przynajmniej kiedy go słyszę, ogarnia mnie przemożna chęć, by go natychmiast uciszyć – raz na zawsze.

A wrzasku jest mnóstwo. Wampiry oczywiście nas słyszały i z pewnością wywęszyły, gdy pojawiłyśmy się w pokoju, ale nas nie widziały, nim więc się zorientowały, co się w ogóle dzieje, już udało nam się wiele z nich zadźgać kołkiem albo rozpluć słownie.

Staram się je liczyć, a przy tym dźgać w miejsca, gdzie rana u człowieka nie byłaby śmiertelna. Dwa razy, gdy wbijam kołek w ramię ofiary, słyszę krzyk, ale ciało się nie rozpląta. Tych nieszczęśników odkopuję na bok i każę im nie wchodzić mi w drogę.

Flidais nie ma takich skrupułów. Zabija kogo bądź i tak przemy naprzód, zostawiając za sobą krwawy ślad, aż docieramy do ostatnich drzwi; są zamknięte i uzbrojone. To pewnie jest prawdziwy azyl, czyli pomieszczenie pełne trumien i strzeżone jak żadne inne. Z boku widzę czytnik biometryczny i podejrzewam, że tego nie otworzyłby kciuk thralla. Słyszę stłumiony metalowy dźwięk ładowanej w środku broni. Po drugiej stronie drzwi czeka nas zupełnie inna walka.

Tym lepiej może, że musimy zwolnić. I tak zresztą już nam się nie wymkną, więc możemy się chwilę zastanowić nad strategią i rozeznac w sytuacji.

Doliczyłam się czterdziestu pięciu martwych wampirów. Poza tym zginęło chyba z siedmiu ludzkich thralli lub pożywienia, bo Flidais zabijała ludzi na równi z wampirami. I jest jeszcze tych dwoje ludzi, których sama zraniłam. Żałuję teraz, że nie udało mi się uratować więcej ludzi albo poprosić Flidais, żeby uważała. Nie przypuszczałam, że będzie ich aż tylu. Mam teraz przynajmniej chwilę, żeby zająć się tymi, którzy przeżyli. Zrzucam niewidzialność i splatam im nogawki spodni, żeby się nigdzie nie ruszyli, a potem lecę ich, jak mogę, przede wszystkim zatrzymując krwotok i splatając ciało w ranach.

Błada blondynka o lodowatym spojrzeniu jest mało towarzyska i milczy zawzięcie. Wysportowany mężczyzna o ciemnych włosach i brązowej cerze oddycha ciężko i patrzy na mnie z nieskrywanym strachem.

– Ty... ty ich zupełnie rozwaliałaś! – mówi po polsku. – Czym ty w ogóle jesteś?

– Jestem druidką. Przepraszam, że cię dźgnęłam. Chodziło mi tylko o wampiry. Nie ruszaj się,

staram się pomóc. Sprawię, że twoje rany się zasklepią.

– Ale ja cię w ogóle nie widziałem, dopiero teraz.

– Nie, oczywiście, że mnie nie widziałeś. A ty jesteś thrall'em czy kim?

Na jego szyi widzę ślady po ugryzieniach, ale to jeszcze nie rozstrzyga kwestii jego statusu.

– Nie, jestem dla nich tylko workiem z krwią. Podgryzali mnie tak już od tygodni, trzymając tu za pomocą tej jakiejś swojej hipnozy czy co to tam jest...

– To się nazywa „urok”.

– No, tego właśnie. Myślałem, że już nigdy się stąd nie wydostanę. Powiedziałeś, że jesteś druidką?

– No.

– Myślałem, że druidzi mieli tylko jakieś rytuały seksualne i palili ludzi w uplecionych z wikliny postaciach.

Mrugam mimowolnie.

– Można powiedzieć, że jesteśmy dość zróżnicowaną grupą społeczną – bąkam po namyśle.

– O kurwa. Przepraszam, sam nie wiem, co gadam. Szok i w ogóle. Chciałem powiedzieć, że dziękuję za uratowanie mi życia. Powinienem był od tego zacząć i najlepiej nic więcej już nie mówić.

– Nie ma za co. Jak się nazywasz?

– Andrzej Kasprowicz.

– Miło cię poznać, Andrzeju. Wiesz cokolwiek o tym ostatnim pomieszczeniu?

– Że tam śpią.

– Jak się tam dostać?

– A. No, ten straszny przyciska kciuk do małego czytnika obok drzwi.

– Opisz mi straszego – proszę, bo przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

– Jest niski, błydy i brzydki, ale ubiera się lepiej niż pozostali. Drogie buty. I taka staroświecka kamizelka ze złotą cebulą.

– I żaden inny wampir się tak nie nosi?

– Nie... To znaczy poza jego dziewczyną. Czy żoną... czy kimkolwiek ona tam jest. Inni też ubierają się dość szykownie, ale nie aż tak. Jego ciuchy to są chyba szyte na miarę. Są naprawdę z wyższej półki, rozumiesz?

– I mówiłeś, że jak długo tak tu siedzisz?

– Tak dokładnie to bym tego nie potrafił określić. – Rozchyła usta, gdy dociera do niego cały ten koszmar, i potrząsa głową, jakby chciał przestać o tym myśleć. – Wszystko się trochę zlewa, jak się nie widzi słońca.

– Rozumiem. Andrzeju, czy w tym czasie widziałeś, żeby któryś wampir dłubał w nosie?

– Że co? Nie. Dlaczego pytasz?

– Ciekawi mnie, czy wampiry mają glutę.

– Hm... Nie wydaje mi się.

– Założę się, że mają, tylko robią wszystko, żeby to ukryć.

– Czy to... to się naprawdę dzieje? Czy może ja śnię? Bo ta rozmowa jakoś nie ma sensu.

– No, to tylko szok. Przecież nikogo w życiu nie interesowałoby coś takiego, prawda? Odpręż się, skup na powrocie do zdrowia i zapomnij o glutach wampirów, a już my cię stąd bezpiecznie wydostaniemy, o to się nie martw.

Klepię go jeszcze kilka razy po ramieniu na pocieszenie, po czym wracam do Flidais i analizuję z nią mój plan. Zgadza się, że to powinno zadziałać, i od razu zaczyna zdzierać z podłogi dywan. Zostawiam ją z tym i wracam po naszych śladach przez obryzgane krwią mauzoleum aż do drzwi. Przy wyjściu od tej strony nie ma czytnika biometrycznego, tylko zwykły guzik. Idę z powrotem do biurka strażnika i spoglądam na monitor pokazujący ostatnie, zbrojone pomieszczenie. W środku widać osiem postaci; wszystkie są elegancko ubrane, ale tylko jedna ma łańcuszek od cebuli w kamizelce, tak jak opisał to Andrzej.

Włączam interkom i mówię do mikrofonu:

– Witam pana, panie Kacprze. Mam dla pana wiadomość.

Niski, dobrze ubrany mężczyzna odwraca się w stronę głościzka przy drzwiach.

– Kto mówi? – warczy.

– Napisał pan do mnie ostatnio liścik. Taki dość nieuprzejmy. I wysłał pan z nim do mnie do pubu tego biednego Bartosza na pewne rozplecenie.

– To ta suka druidka – mamrocze Kacper.

– Oho, właśnie o takiej nieuprzejmości mówię. Postępowałam w stosunku do pana zupełnie rozsądnie i wręcz wielkodusznie. Dałam panu cały miesiąc, żeby pan spokojnie opuścił Polskę i mógł żyć w pokoju, ale nie dość, że pan odrzucił moją ofertę, to jeszcze zaczął mi pan grozić. Przechwalał się pan, że żaden z pańskich wampirów nie zniknie z Polski. I tylko proszę spojrzeć: z wyjątkiem tych, które się chowają z panem w pokoju, zniknęły wszystkie. Właśnie je rozplotłam, a pan znalazł się w potrzasku. Pana rozplotę następnego.

– Tylko spróbuj! Chodź tu, chodź! – drze się. – Wejdz do pokoju i zobaczymy, co będzie!

– Wejde, wejde, panie Kacprze. Widział pan już swój ostatni wschód księżyca. Zanim pana rozplotę, chciałam tylko, żeby pan wiedział, że ni niebo, ni piekło nie zna furii takiej jak druidka rozwścieczona. Bo powinien pan wiedzieć, że jestem dosłownie siłą natury. Dlatego ma pan literalnie zero szans na przeżycie. Proszę więc pojednać się z bogami, których czcił pan, gdy jeszcze był pan żywy, albo wrzeszczeć do woli. Wszystko mi jedno. Pański koniec, a zarazem koniec wampirów, którzy panu teraz towarzyszą, nadejdzie dziś w nocy.

Nie wyłączam interkomu, przez co słyszę jeszcze jakieś chaotyczne wrzaski i parę przekleństw, gdy znów wykorzystuję kciuk strażnika, żeby otworzyć drzwi do azylu. Biegnę od biurka z monitorami z powrotem przez kolejne pomieszczenia aż do przedpokoju przed wampirzą sypialnią, machając po drodze do Andrzeja. Pod moją nieobecność Flidais zupełnie zerwała dywan i rozplótłszy cementowe fundamenty, dotarła do surowej ziemi.

– Jak ci to idzie?

– Zaraz tu będzie.

– Ma jakoś na imię?

– Nie, nigdy jej żadnego nie nadałam. Ale jakoś jej to nie przeszkadza.

– O. – Ciekawe, jak by to było mieć tak nikłe poczucie tożsamości, że nie czuje się nawet potrzeby posiadania imienia. A zresztą może ta żywiołaczka ma jakieś, tylko po prostu nie zdradziła go Flidais. Nie będę się przecież wtrącać. Mimo że pomysł jest mój, to znajoma jest Flidais.

Mija kilka chwil ciszy, a potem w dole, w którym stoi Flidais, zaczyna się pojawiać ciemna, bulgocząca masa, kłębowisko włochatych opiłków żelaza. Falując, zalewa natychmiast zbrojone drzwi, języki szarości liżą je z boków i na środku drzwi pojawia się jakby judasz, którego z pewnością tu przed chwilą nie było. Przez tę dziurkę żywiołaczka wlewa się do ostatniego pokoju. Bardzo wyraźnie słyszymy okrzyki zdumienia i przerażenia, parę rzuconych gniewnie pytań:

– Co to w ogóle jest?!

– Zabijcie to!

– Gdzie mam celować? Aaa!

Rozlegają się strzały, jeszcze więcej panicznych odgłosów, ale to już nie ma żadnego znaczenia. Żywiołaczka żelaza, którą wezwała Flidais, już realizuje misję pochłonięcia całego żelaza znajdującego się w broni i zostawia po swojej uciece tylko bezużyteczne szczątki węgla, miedzi i w ogóle wszystkiego, co nie było żelazem. Podczas gdy wampiry zajęte są walką z żywiołaczką – walką zupełnie bezskuteczną – my z Flidais zaglądamy przez wizjer. Sprawdzamy aury wszystkich postaci w środku i upewniamy się, że to same wampiry – wokół ich ciał widać szarość, a na wysokości serca i głowy mają blade, czerwone światełka. Rozplątamy je bezlitośnie, uśmiercając morderców, którzy przez setki lat zerowali na krakowiakach. Bunt Kacpra Głowy przeciwko sygnatariuszom Układu Rzymskiego kończy się obrzydliwą kałużą różnych cieczy, zniszczoną kamizelką i posiloną żywiołaczką żelaza. Robię parę zdjęć tego pobojuwiska, żeby podesłać je Leifowi Helgarsonowi. Już on się postara, żeby inne wampiry się dowiedziały, co czeka tych, którzy odważą się łamać postanowienia naszego porozumienia. Miejmy nadzieję, że to wybije im z głowy mrzonki o tym, że mogą je zignorować.

Flidais zostaje z tyłu, żeby jeszcze podziękować żywiołaczce i odesłać ją pod ziemię, a ja

chwytam milczącą blondynkę, która chyba miała ambicję zostać thrallką. Na dowód tego, że Kacpra naprawdę już nie ma, pokazuję jej rzeź w azylu. Dopiero wtedy okazuje jakiegokolwiek emocje. Zaczyna łkać.

– Co ja mam teraz począć? – pyta przez łzy.

– Zadowolisz się swoją ludzką egzystencją. Albo zostać thrallką w jakimś innym kraju, ponieważ w Polsce nie ma już żadnych wampirów. – Wyprowadzam ją i Andrzeja na górę i puszczam ich wolno.

– Idźcie teraz do lekarza, a tu już nie wracajcie – radzę im.

Potem dzwonię do Leifa.

– Tak, słucham? – Jego sztywny, przesadnie uprzejmy głos zawsze mnie niezmiernie bawi.

– Zgadnij, gdzie się ukrywał? Pod własnym domem! Sprawa załatwiona. Wyślę ci zdjęcia, żebyś miał co pokazywać, ale powinieneś tu pewnie wpaść, żeby zrobić remanent czy co tam.

– Powiniennem. Zjawię się niebawem – odpowiada. – Dziękuję ci, Granuaile.

Teraz to już nie chcę tu zostać ani chwili dłużej. Na pewno nie będę na niego czekać. Schodzę jeszcze tylko raz na dół, żeby zająć się zawłaszczeniem *Chłopów* z autografem, umawiam się na spotkanie z Flidais następnego dnia w Tajwanie, a potem pędzę do domu, żeby się umyć i zdrzemnąć. Wracam na wzgórze pod Krakowem, przenoszę się do Oregonu i odkrywam, że czeka na mnie o sześć psów więcej, niż się spodziewałam.

Od razu wiem, co się wydarzyło, bo psy właśnie paplają o tym mentalnie.

Orlaith! Już się urodziły?! – wołam przez nasze połączenie.

<Tak! I jesteś w domu! Szkoda, że cię tu nie było>.

Och, wiem! Tak okropnie żałuję, że to przegapiłam!

<To było niesamowite. Earnest powiedział, że wilczarze mają zwykle po dwa albo trzy szczeniaki, ale ja mam sześć! Czy wiesz, że to pięć plus jeden?>.

Sześć cudownych szczeniaków! O bogowie! Mogę się z wami przywitać? Obiecuję, że nie dotknę żadnego, póki mi nie pozwolisz.

<Tak, jesteśmy w salonie, w kącie. Oberon i Starbuck stoją na straży>.

Wszyscy pomagają. To wspaniale!

Kiedy wchodzę do domu, muszę poświęcić trochę uwagi wszystkim facetom. Oberon, Starbuck i Earnest opowiadają mi z przejęciem o tym, co już wiem, i są tak z tego dumni, jakby co najmniej sami urodzili te pieski.

Zapewniwszy ich, że świetnie się spisali, wreszcie mogę odwiedzić Orlaith i zobaczyć jej szczeniaki. Wtulone w jej brzuch piją właśnie mleko.

– O bogowie, są przeurocze! – zachwycam się. – Jakim cudem udało ci się urodzić aż sześć?

<Miałam dużo siły, bo Earnest nas wspaniale karmił. Ale teraz nic tylko się martwię, co z nimi będzie>.

Przechodzę na prywatne łącze.

Co? Dlaczego się martwisz? O nic nie musisz się martwić. Przecież będą miały opiekę.

<Ale nie zostaną tu z tobą i Atticusem, prawda? Bo nie potrzebujecie aż tylu psów. To co z nimi będzie?>.

Zastanawiałam się nad tym jeszcze, gdy była w ciąży, bo rzeczywiście sześć dodatkowych psów to dość sporo i moglibyśmy temu nie poddać.

A co byś powiedziała na to, żeby były psami innych druidów?

<Jakich innych druidów?>.

Owen ma sześcioro uczniów. To wszystko młodzi ludzie, więc twoje szczeniaki mogłyby rosnąć razem z nimi.

<A, rzeczywiście! Zapomniałam o nich!>.

Może chcieliby mieć psy. Zapytam ich przy okazji. Tak czy siak mamy jeszcze kilka miesięcy, żeby się nad tym spokojnie zastanowić. Póki co rób swoje i powiedz mi, czy coś mam ci przynieść, dobrze? Czegoś ci trzeba?

<Niczego. Właśnie jadłam i piłam, zanim się tu położyłam, a potem akurat wróciłam do domu>.

Okej.

<Może tylko zostań ze mną i opowiedz mi, co dziś robiłaś, bo wydaje mi się, że czuję zapach krwi. I podrap mnie za uchem, dobrze?>.

O niczym innym nie marzę.

Szczeniaki Orlaith wyglądają dosłownie jak ich rodzice, to znaczy trzy z nich to szare samce, a trzy to kremowe suczki. To umaszczenie fachowo należałoby pewnie określić jako pszeniczne. Popiskują cichutko, ssąc mleko, a mnie aż serce się ściska ze wzruszenia.

Wiesz co? Wezmę tylko poduszkę i koc i będę spała dziś przy was. Muszę wyjść z domu wcześniej rano, ale póki tu jestem, chcę być z wami.

<Jestem za!>.

Rano ogromnie trudno rozstać mi się z Orlaith i szczeniakami, ale nie mam wyjścia. Oberon to rozumie i mi współczuje, bo Atticus też musiał go zostawić.

<Czasami obowiązek wzywa> mówi. <My też mamy swoje obowiązki. Musimy na przykład gonić za wiewiórkami. Być może nie rozumiecie dlaczego, a my może nie do końca rozumiemy wasze działania, ale rozumiemy, co to obowiązek>.

Dziękuję, Oberonie.

Ściskam psy serdecznie, macham na pożegnanie Earnestowi i szczeniakom, a potem idę za dom, nad rzekę McKenzie, gdzie rośnie splecione drzewo.

Docelowe drzewo w Tajwanie okazuje się ambrowcem chińskim, który pochodzi właśnie z tej wyspy. Tylko że to akurat jest dość stare, co by sugerowało, że żadni druidzi ani żadne faerie nie przynosili się tu od dłuższego czasu i chyba dobrze byłoby spleść jak najszybciej jakieś młodsze drzewo. Flidais już tam na mnie czeka i zauważywszy moje zaniepokojone spojrzenie, mówi mniej więcej to samo, co ja myślę.

– Powinniśmy spleść mocniejsze drzewo.

I od tego właśnie zaczynamy. Znajdujemy w tej samej okolicy młodsze drzewo. Flidais informuje mnie przy tym, że wylądowałyśmy w Parku Narodowym Yangmingshan niedaleko Tajpeju. Pod koniec splatania burczy mi głośno w brzuchu (długi, niski ryk rozpaczy podobny do tych, które wydają nieszczęsne walenie na pustym morzu). Flidais odpowiada na to, jakbym przemówiła zupełnie zrozumiałym językiem.

– Też zgłodniałam. Znam jedno takie miejsce, gdzie dostaniemy pyszny makaron z wołowiną. To niedaleko, wystarczy dosłownie wybiec z parku. A potem skorzystamy z wynalazku zwanego metrem, dzięki któremu dostaniemy się do gęsto zabudowanego miasta, a unikniemy długiego biegu. Słyszałaś kiedyś o tej maszynie? Służy do transportowania wielu ludzi w tym samym czasie w takich metalowych, poruszających się po torach skrzyniach.

Powstrzymuję się od uśmiechu.

– Tak, słyszałam. Prowadź zatem. Ale powiedz mi, skąd tak dobrze znasz to miejsce.

– Mandaryński stanowi jedną z moich przestrzeni umysłowych – wyjaśnia bogini. – Uwielbiam odwiedzać Tajpej.

Wędrujemy więc na zachód od spleczonego drzewa, wychodzimy z parku Yangmingshan, mijamy gorące źródła i park Beitou i docieramy na drogę Daye. Tam jest bar z makaronem. Nigdy przedtem nie jadłam takiego makaronu i dopiero teraz rozumiem, co straciłam. To coś podobnego do phở, w tym sensie, że też dostaje się makaron w wołowym rosolu i z cienko pokrojoną wołowiną, ale na tym się kończą podobieństwa. Nie są to na pewno kluski ryżowe, a rosół smakuje zupełnie inaczej, tak zresztą jak i sosy ustawione obok. Pyszne i krzepiące. Muszę pamiętać, by zabrać tu Orlaith na mały urlop od opieki nad szczeniętami.

Kiedy pojawia się rachunek, przeżywam mały napad paniki – nie mam przecież przy sobie niczego, co mogłoby uchodzić za środek płatniczy. Flidais jednak jest przygotowana na wszystko. Rzuca na stół tajwańskie banknoty i wychodzimy, bekając cicho.

Bogini prowadzi mnie do stacji Beitou i jedziemy metrem na południe. Wsiadamy na stacji Zhongshan w środku miasta. Gapię się przez okno jak turystka, którą w sumie pewnie jestem, póki sobie mogę na to pozwolić. Połowa trasy czerwonej linii znajduje się na ziemi, a potem dopiero kolejka

wjeżdża pod ziemię i pełni funkcję metra.

Jak większość wielkich miast Tajpej wzbudza zachwyt, ale i zarazem niepokój o przyszłość naszej planety. Wieżowiec Taipei 101 to cud współczesnej myśli architektonicznej, a wszyscy przechodnie są nienagannie uprzejmi. Ale choć zanieczyszczenie nie sięga tu tych apokaliptycznych poziomów co w Chinach, to jednak ludzie często chodzą w maskach, a za każdym oddechem powietrze uderza w płuca spalinami i różnymi innymi toksynami. Pewnie jest to poniekąd powiązane z zaskakującą liczbą skuterów, których jest tu zdecydowanie więcej niż samochodów, a przecież nie słyną ze szczególnie wydajnych silników. Ludziom Zachodu wydaje się, że w Rzymie jest sporo skuterów – owszem, ale to się ma nijak do ich liczby w Tajpeju. Są dosłownie wszędzie, wypełniają ulice i parkują na każdym chodniku.

Poza tym wygląda na to, że furorę robią tu masaże stóp. Nie potrafię czytać po mandaryńsku, ale przecież wszędzie widzę neonowe znaczki stóp, domyślam się więc reszty. I pewnie nie jest to masaż relaksacyjny ani taki, o którym dyskutowali Jules i Vincent Vega, a przez który Marsellus Wallace doprowadził do defenestracji Tony’ego w *Pulp Fiction*, ale pewnie dość intensywne sesje uciskania odpowiednich punktów na stopach, co ma leczyć rozmaite problemy zdrowotne, przekierowując qi.

Po drodze widzę wiele miejsc, które miałabym ochotę zwiedzić: po lewej Grand Hotel na wzgórzu niczym piękny czerwono-złoty pałac; park i ogrody Taipei Expo przy starym stadionie. Są też butiki z ubraniami i stragany oferujące wszystko, od owoców po ładowarki, ale też wielkie galerie handlowe z produktami z Ameryki, Anglii i Australii. Na budynkach wiszą wielkie plakaty hollywoodzkich filmów z mandaryńskimi znaczkami i ogromnie mi się to podoba. Jak już się dobrze nauczę polskiego, to chyba zabiorę się do mandaryńskiego. Może kilku poetów z jakiejś dynastii nadałoby się na porządną przestrzeń umysłową.

Wysiadamy już pod ziemią, na stacji Zhongshan. Uśmiecham się do ludzi wokół. Widzę wielką księgarnię i mam ochotę pogrzebać w książkach, choć przecież nie potrafię czytać w tym języku.

– Rozumiem już, dlaczego tak lubisz to miejsce – mówię do Flidais. – Dokąd teraz?

– Czas spotkać się z Sun Wukongiem.

– Jest daleko stąd? Medytuje na szczycie góry czy coś?

– Nie, prowadzi w Twatutii sklep z *bubble tea*.

– Słucham?

– Twatutia to najstarsza część Tajpeju, znajduje się w dzielnicy Datong.

– Chodzi mi raczej o *bubble tea*. Co taki budda jak Małpi Król robi w jakiejś herbaciarni?

Flidais wzrusza ramionami.

– Pewnie dobrze się bawi – mówi, wchodząc po schodach stacji. – Nieśmiertelni parają się czasem podobnymi zajęciami. Pod koniec osiemnastego wieku prowadziłam na przykład z Goibhniu pub w Dublinie. Choć tylko przez dziewięć miesięcy, bo taki jeden śmiertelnik, który miał pilnować naszego porozumienia, wytknął nam, że Tuatha Dé Danann mieli w zasadzie nie wychodzić poza Tír na nÓg. Bardzo to było przyjemne zajęcie. Domyślam się, że Małpi Król przy okazji wspiera śmiertelników na ich drodze do oświecenia. Wierz mi, że wieczność strasznie się wlecze, gdy się nie ma nic do roboty.

Biegniemy chwilę ulicą Nankińską, z każdym krokiem wdychając piekące powietrze, ale szybko się orientujemy, że w żołądkach bulgocze nam jeszcze zbyt wiele rosołu z kluskami, zwalniamy więc i cieszymy się gwarem miasta. W pewnej chwili mało nie wpadam pod skuter. Dobrze, że mnie nie przejechał. Łatwo mi się z tego teraz śmiać, ale to byłaby jednak dość głupia śmierć.

Twatutia to udany mariaż starego z nowym, na ulicach widać architekturę z najróżniejszych epok, są tu i budynki supernowoczesne, i takie z dziewiętnastego wieku, pozostałości japońskiej okupacji i powojennego rozwoju miasta. Herbaciarnia Małpiego Króla znajduje się w starym budynku z wejściem od ulicy Dihua. Łatwo ją znaleźć, bo z drzwi wylewa się ogonek, który ciągnie się aż do głównej ulicy. Stajemy na końcu i cierpliwie, krok za krokiem, posuwamy się do przodu.

Gdy wchodzimy w cień między budynkami, temperatura znacznie spada. Mury są stare, zaczerwienione częściowo od węgla i sadzy, a w zaułku śmierdzi jak to zawsze w takich miejscach – zgnilizną i nieprzyjemnymi wydzielinami.

– I on tak tam siedzi i przyrządza tę herbatę?

– Nie, to robią jego pracownicy. On tylko prowadzi księgi i wita ludzi.

– A jego pracownicy są... ludzcy?

Flidais zaszczycza mnie uśmiechem.

– Radzę ci to samodzielnie sprawdzić w magicznym spektrum. Żeby się po prostu upewnić, że nikt nas nie podpuszcza. Ale ostrożnie z patrzeniem w ten sposób na Małpiego Króla. Może to być nieco intensywne.

Gdy wreszcie docieramy do środka, ostrożnie, ale z wielką ciekawością rozglądam się wokół – sklep okazuje się czymś w rodzaju szerszego korytarza. To czysta, dobrze oświetlona przestrzeń bez żadnych miejsc do siedzenia i zdecydowanie jednokierunkowa. Klienci wchodzą wejściem, a wychodzą wyjściem znajdującym się po drugiej stronie korytarza, bo nie ma tu miejsca, żeby zawrócić. Pojedyncza kolejka dociera do kasy i blatu z listą herbat o różnych smakach i skromnym wyborem ciast i ciasteczek. Pewnie był to schowek służący w tym budynku jakiejś większej firmie, a dopiero wtórnie został przekształcony na maleńką przechodnią herbaciarnię – ciesząc się, jak widać, wielkim powodzeniem.

Przy kasie stoi człowiek, z którym coś jest lekko nie tak. Z pogodnym uśmiechem przyjmuje zamówienia i pieniądze. Po obu stronach ust wyrastają mu długie ciemne wąsy, ale brodę i skórę nad górną wargą ma starannie wygolone. Z tego, co mówi Flidais, patrzę właśnie na Sun Wukonga, Małpiego Króla w przebraniu. Emanuje pokojem i zadowoleniem, i zaczynam się zastanawiać, czy nie to właśnie doceniają jego klienci, być może nawet bardziej niż samą herbatę.

Nie zawsze był tak pogodną osobą, jeśli wierzyć historiom o jego przygodach zawartym w *Wędrówce na Zachód*, a raczej bym im wierzyła. W młodości był to człowiek kłótlivy, pazerny i narcystyczny. Sprawiał wiele kłopotów na ziemi i w niebiosach. Lecz powoli zaczął służyć Buddzie, aż w końcu sam się nim stał.

Gdy podchodzimy do kasy, wita nas błogim uśmiechem i mówi do nas coś po mandaryńsku – pewnie pyta, co chcielibyśmy zamówić. Odpowiada mu Flidais, unosząc przy tym prawą rękę i pokazując mu uzdrawiający triskelion. Robię to co ona, a wtedy jego uśmiech natychmiast znika. Pyta o coś, Flidais odpowiada, a Małpi Król przyciska coś na kasie, po czym wyciąga dłoń. Flidais kładzie na niej pieniądze i jabłko z wyspy Manannána, Emhain Ablach, o którym już wcześniej mi wspomniała. Małpi Król lekko kiwa głową. Nasza kolejka rusza dalej, a ja odnoszę wrażenie, że nie zyskałyśmy na tym nic poza kubkami z kolorową herbatą.

– Co się właściwie stało? – pytam łowczynię.

– Zamówiłam herbatę o nazwie „Nieśmiertelna brzoskwinia”. Był to ustalony kod, a do tego miałam pokazać tatuaż. I dałam mu jabłko w darze.

– Nieśmiertelna... A! Bo zjadł je prawie wszystkie.

To dopiero była opowieść – właśnie zresztą z *Wędrówki na Zachód*. Była to chyba ostatnia kropla, która ściągnęła na Małpiego Króla gniew niebios.

– Otóż to. Spotka się z nami, gdy dostaniemy już herbatę na drugim końcu.

– Dostaniemy herbatę z brzoskwini nieśmiertelności?

– E, nie, zwykłą herbatę z mlekiem. W tym czasie on znajdzie jakiegoś pracownika, który go będzie mógł zastąpić, i przyjdzie porozmawiać z nami na osobności.

Potok słów płynący od strony kasy sprawia, że wszyscy pracownicy się oglądają, a jeden z nich rusza w tym kierunku. Ubrani są w brązowe uniformy ze złotymi głowami małp wyszytymi na lewej piersi. Ostrożnie, żeby przypadkiem nie spojrzeć na Sun Wukonga, przechodzę na magiczne spektrum.

Są to tak naprawdę małpy udające ludzi. Wcale nie stoją, jak to się wydaje ludziom, tylko siedzą na blatach. Kątem oka na prawo ode mnie, czyli tam, gdzie stoi Małpi Król, rejestruję oślepiające światło.

– Czy one mówią? – pytam szeptem Flidais, ale jeden z pracowników to jednak słyszy i prychnął urażony.

– Oczywiście, że mówimy – odpowiada po angielsku. – W kilku językach.

– Przepraszam – bąkam. – Przykro mi, że pana uraziłam.

– Nie czas teraz na żale – mówi na to małpa. – Lecz nadejdzie on dla ciebie już wkrótce.

– Słucham?

– Chodź – szepcze Flidais i odciąga mnie od kpiącej ze mnie małpy.

Błysk na krawędzi mojego wzroku wystarczy, bym wiedziała, że oto zbliża się Sun Wukong, pospiesznie rozplatom więc magiczne widzenie, spuszczaając znów zasłonę normalności, w której widzę tylko ludzi serwujących *bubble tea* i ciastka. Mrugam, żeby zniknęły mi mroczki przed oczami, a potem biorę moją herbatę z blatu, przy którym już czeka na nas Sun Wukong. Wskazuje nam drzwi i wychodzimy na zewnątrz. Dołącza do nas w zaułku i kieruje się w stronę drabiny ewakuacyjnej.

– Porozmawiajmy na dachu – proponuje doskonałym angielskim, a potem wspina się po niej tak szybko, że aż patrzymy za nim zdumione. Flidais wzrusza ramionami i wyrzuca herbatę do kosza, ale ja nie mam ochoty wylewać swojej, ruszam więc niezdarnie w górę z herbatą w jednej, a kijem w drugiej ręce, chwytając się szczebelków samymi opuszkami. Przecież ten napój zrobiła dla mnie gadająca małpa. Wstyd byłoby go chociaż nie skosztować.

Gdy docieramy na dach, okazuje się, że Sun Wukong zrzucił już swoje ludzkie przebranie. Promieniejący i spokojny stoi we wspinałym czerwono-żółtym stroju.

– Witajcie w Tajwanie, szczególnie druidki – mówi. – Jestem Sun Wukong. Dziękuję wam bardzo za wsparcie i szybkie przybycie. Przed nami niełatwe zadanie. Nordycki bóg Loki nie marnował czasu i szykują się kłopoty. Z tego, co nam wiadomo, większość królów Jamy zamierza dziś zmartwychwstać i zaatakować nas z zastępami swoich najgorszych potępionych z otchłani Diyu.

– Ilu dokładnie? – dopytuje Flidais.

– Ośmiu z dziesięciu. Król Yanluo i król Zhuanlun odmówili i to dzięki nim wiemy, co się święci.

– A nie mogliby przekonać reszty, żeby zarzuciła ten plan?

– Jak dotąd ich argumentacja nie przyniosła pożądanego rezultatu.

– Kiedy zmartwychwstaną ci królowie i gdzie? – pytam.

Rozlega się potężny huk i niebo na północny wschód od nas mrocznieje raptownie. Obracamy się w tę stronę i widzimy coś, co z tej odległości wygląda na chmarę czarnych owadów wybuchającą w górę niczym fontanna.

– Teraz i tam – odpowiada mi Sun Wukong. – Postanowili wybuchnąć z Góry Siedmiu Gwiazd w parku narodowym Yangmingshan.

To niedaleko drzewa, przez które przybyliśmy na tę wyspę.

– Czyli nie mam już nawet czasu wypić herbaty.

– Bzdura – mówi Małpi Król, biorąc jabłko od Flidais i wgryzając się w nie z apetytem. – Pij herbatę, nie ma się co spieszyć. – Wrywa sobie z piersi kępkę włosów i ciska ją na wiatr, a natychmiast pojawia się jego wierna kopia naturalnych rozmiarów, a potem więcej takich, aż po kilku sekundach są ich już setki. Gdy tylko się materializują, ruszają na północ na spotkanie z wpływającymi z Góry Siedmiu Gwiazd demonami. – To ich powinno na jakiś czas zająć.

Rozdział 7



Na Dworze Faerii tyle się dzieje w świecie mody, że zaczynam się zastanawiać, czy moja awersja do ciuchów nie jest przypadkiem zwykłą wadą charakteru. Jeśli tak, to będzie ją trza dodać do niekończącej się listy moich przywar.

Bo mnie to moda dosłownie przeraża. To mniej więcej to samo uczucie, którego doznaję, gdy ludzie gadają w jakimś obcym języku i nie rozumiem z tego ani słowa. Mam świadomość, że coś się dzieje – chociaż tyle – ale pojęcia nie mam co.

Jedna faeria ma wielgachny kołnierz, który pewnie coś oznacza. Inna spiczaste buty, co też pewnie nie jest przypadkowe. Błyszczące guziki, koronkowe rękawy, mieszki, biżuteria i nabijane ćwiekami pasy, a wszystko napakowane po brzegi znaczeniami, tak jak ta pojedyncza podręczna torba, z którą się w dzisiejszych czasach podróżuje, żeby uniknąć opłat za nadanie bagażu.

Brighid odziana jest w skórę niczym na łowy, co pewnie też coś oznacza, szczególnie że stanowi tak ostry kontrast z wymyślnymi fatałaszkami jej dworzan. Na pewno nie jest to coś, co by włożył przeciętny człowiek, bo te skóry są zdobione i czymś nabijane, ale mimo że to na pewno bardzo kosztowny strój, wydaje się dość praktyczny – w przeciwieństwie do tego, co ma zwyczaj nosić większość władców. Pierwsza wśród Faerii siedzi na Żelaznym Tronie i na widok unoszącego się obok mnie Coriandra natychmiast odprawia rozmówcę. Każe nam się zbliżyć i złożyć sprawozdanie z misji. Słodzenie nie należy do moich specjalności, więc mówię jej bez ogródek:

– Fand przyjmie twoją ofertę, jeśli zgodzisz się zniszczyć Żelazny Tron.

Brighid reaguje na te wieści zadziwiająco spokojnie, jedynie unosząc rudą brew. Ale jej dworzanie bynajmniej nie mogą się pochwalić równie stoickim podejściem do sprawy. Zaraz zaczynają szeptać, kłócić się i wymądrzać, co to może oznaczać i co Brighid robi, aż mam ochotę wrzasnąć na nich wszystkich, żeby stulili pyski, ale zaciskam zęby i w milczeniu płynę na fali mojego unoszącego się ciśnienia.

– Dziękuję, Eoghane – mówi Brighid. – Coriandrze.

– Tak, pani? – odpowiada herold nadzwyczajny.

– Powtórz podsumowanie waszego spotkania, również słowa Fand dotyczące porozumienia między nami, tak żeby wszyscy cię słyszeli.

Coriander kłania jej się, odwraca nieco w stronę faerii, ale tak, żeby przypadkiem nie stanąć tyłem do bogini, i relacjonuje warunki, na jakich Fand gotowa jest przystać na propozycję Brighid. Gdy kończy, faerie dosłownie nosi z ekscytacji, bo wszystko to stanowi dla nich zupełną nowość. Zaczynają się z przejęciem zakładać, jak będzie brzmiała odpowiedź Brighid. Pierwsza wśród Faerii słucha tego, uśmiechając się kpiąco, i pozwala, by gwar trwał tak chyba dobrą minutę. W końcu wstaje z Żelaznego Tronu i przemawia swoim potrójnym głosem, którego naprawdę rzadko używa. Gdy się nim posługuje, nie może kłamać, a cokolwiek wtedy powie, staje się prawem.

– Drodzy dworzanie! – rozpoczyna przemówienie Brighid i wszyscy natychmiast milkną.

– Niniejszym przyjmuję i ratyfikuję ten układ pod dwoma warunkami. Po pierwsze: gdy Żelazny Tron zostanie zniszczony, faerie zbudują mi nowy, zgodnie z ich najlepszymi zdolnościami i taki, który będą mogły bez problemu szanować. Po drugie: gdy już zwyciężymy w Ragnaröku, Fand i faerie bezzwłocznie znów ślubują mi wierność jako Pierwszej wśród Faerii, bez względu na to, czy tron będzie już wtedy zbudowany czy nie, i razem będziemy odtąd żyć w nowej epoce harmonii. Fand może zaakceptować moje warunki poprzez stawienie się na polu bitwy przeciw siłom Lokiego i Hel. Jednakże! – dodaje, unosząc dłoń, żeby powstrzymać aplauz. – Nie muszę bynajmniej czekać na zgodę Fand, by

wykazać się dobrą wolą i postąpić honorowo. By to właśnie zademonstrować, zniszczę teraz Żelazny Tron. Cieszymy się razem tą wspólną chwilą!

Pieprzone faerie mało mi bębneków potem nie niszczą. Rozlega się jeden wielki ryk zachwytu. Zakrywam uszy dłońmi, żeby jakoś się przed tym zabezpieczyć. Brighid uśmiecha się i wyciąga nie wiem skąd wielki, dwuręczny młot.

– Patrzcie! – woła i wali nim w tron z głośnym szczękiem.

Na tronie pojawia się wyraźne wgniecenie, a ryk faerii osiąga jeszcze więcej decybeli. Bogini uderza kilka razy, po czym obraca się, żeby spojrzeć na rozszalały z radości dwór, bo też dźwięki wokół jakoś się dziwnie zmieniły.

Szybko dociera do mnie dlaczego. Jest to dla faerii tak doniosła chwila, że uznały, iż nie ma lepszego sposobu, by to uczcić, jak seks. Zrzucają swoje wypasione szmatki i posuwają się nawzajem z radości, że Brighid posunęła się do tego, że wali młotem w tron. Całe pokolenie faerycznych bachorów będzie potem słuchać opowieści, jak zostały poczęte podczas destrukcji Żelaznego Tronu. I tak będą za to wdzięczne Fand. Ale wierne będą Brighid.

Teraz dopiero zaczynam rozumieć, skąd u Brighid ten praktyczny skórzany strój. Z góry przygotowała się na tę robotę. Owszem, zgodziła się na ustępstwa, o których nigdy przedtem nawet nie chciała słyszeć, ale to, że ewidentnie była na nie przygotowana, sugeruje, że na nie czekała, chciała ich i w sumie to nie było dla niej żadne ustępstwo.

Mijają całe trzy sekundy, nim czuję się cholernie nie na miejscu. Co ja mam niby teraz zrobić? Stać tu beczynn timer i patrzeć, jak faerie się bzykają, a Brighid pracuje? Uznaję, że najlepiej będzie jednak stąd po prostu zniknąć, bo w tej chwili to naprawdę nie chciałbym nikomu w niczym przeszkodzić. Zakładam, że Coriander zajmie się przekazaniem słów i czynów Pierwszej wśród Faerii komu trzeba i że moja rola zakończona. Przenoszę się z powrotem do drzewa, które Brighid splotła w Tasmanii, bo liczę na to, że Greta i uczniowie jeszcze tam są, ale żywiołak informuje mnie, że pod moją nieobecność postanowili jednak wrócić do Stanów.

W takim razie większość dnia spędzą w samolocie, a ja bez nich właściwie nie wiem, co mam ze sobą począć. Pewnie mógłbym nadrobić zaległości w spaniu, ale w końcu zamiast tego proszę żywiołaka Tasmanii, żeby skontaktował się z Siodhachanem i dał mu znać, że chciałbym z nim pogadać. Odpowiedź dostaję zaraz potem – mój stary uczeń chce, żebym przeniósł się do jego chatki w Oregonie, tam się spotkamy. Kiedy mu przypominam, że jeszcze w życiu tam nie byłem, proponuje, żeby spotkać się na Dworze Faerii i stamtąd zaprowadzi mnie do odpowiedniego splecionego drzewa. Aż chichoczę na tę perspektywę. Bardzo jestem ciekaw, jaką będzie miał minę, gdy zobaczy, co się tam teraz wyprawia.

Bezcenny widok – ta rozdziawiona z przerażenia gęba i oczy ogarniające spojrzeniem drżące ciało (z których część postanowiła się przelecieć w powietrzu).

– Jak myślisz, jak to potem będą zwać? – pytam go. – Wielka Żelazna Orgia? Festiwal Seksu Potronowego? Cieleśny Róg Obfitości?

– Spadajmy stąd – mówi tylko i pokazuje mi, która nić prowadzi do jego chatki.

Przechodzę po niej za nim i łądujemy w błogiej ciszy, której towarzyszy jedynie delikatny szum rzeki i szelest wiatru wśród iglastych drzew. Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale panuje tu noc.

– Witaj – mówi mój uczeń i w słabym oświetleniu, jakie oferuje jego weranda, widzę nagle, że unosi brwi. – O!

– Co się stało?

– Wygląda na to, że Orlaith urodziła już szczenięta. I rozminęliśmy się z Granuaile.

– Skąd ty to...

Ale nim mam czas dokończyć, z domu wypada ten wielki kundel Siodhachana, a za nim mniejszy psiak i już wiem, że to oni pewnie mu wszystko powiedzieli. Teraz na pewno będą paplać jak opętani, zanim się wreszcie uspokoją, mówię więc sobie, że cierpliwość przede wszystkim, i drepczę za nimi do domu. Tam musimy zaraz podziwiać cały miot szczeniąt. Zdrowe i urocze – co to, to prawda. Siodhachan gada z nimi chwilę, drapie je czule, a potem odwraca się w moją stronę.

– Orlaith chce cię o coś zapytać – mówi. – Spleć się z nią mentalnie.

W magicznym spektrum splatam więc jej świadomość z moją.

Halo?

<Witaj, archdruidzie!>.

Mów mi Owen. Cześć, Orlaith.

<Cześć! Mam pytanie, ale możesz się zastanowić, zanim odpowiesz. Tak tylko pomyślałam... Ja mam sześć szczeniąt, a ty sześcioro uczniów. Czy myślisz, że twoi uczniowie chcieliby mieć wilczarzy za towarzyszy, jak to jest w zwyczaju wszystkich najlepszych druidów?>.

Wszystkich najlepszych druidów, powiadasz?

<No, wszystkich współczesnych, sam rozumiesz. Wilczarz irlandzki to doskonały towarzysz druida. Wspiera na przykład rozwój dodatkowych przestrzeni myślowych>.

Nie wiem tylko, czy byłyby z nami bezpieczne. Wiesz, mieszkamy jednak z wilkołakami. Moi uczniowie wszyscy mają rodziców wilkołaków.

<Przecież druidzi z łatwością mogą wytresować każdego wilczarza i wyjaśnić mu, na czym polega zagrożenie! W towarzystwie twoich uczniów szczeniakom na pewno nic by nie groziło>.

Dobra, niech się nad tym zastanowię... Nie mogę sam se zdecydować o czymś takim. Trza by najpierw zobaczyć, co na to powie reszta.

<Rozumiem! Dziękuję, Owenie! Ale uważam, że ty sam też powinieneś się zastanowić nad wilczarzem dla siebie. Taki towarzysz by ci pasował>.

Myślisz? Przecież dość często zmieniam się w wielgachnego niedźwiedzia.

<Tak, wiem! Ale ostatnio jednak spojrzeliśmy na niedźwiedzie inaczej. Bo wiesz, jesteś ty, a do tego poznaliśmy jeszcze jedną niedźwiedzicę, która się nazywa Suluk Black. Była bardzo miła i powiedziała, że jesteście wspaniałymi pieskami>.

– Co ty nie powiesz? – Odwracam się w stronę Siodhachana. – Co to znowu za niedźwiedzica Suluk Black, o której ona gada?

– A, to córka Kodiaka Blacka. To dopiero historia. Opowiedzieć ci?

– Jasne. Mam akurat trochę czasu.

– Ja nie mam go za wiele, ale mogę ci o niej opowiedzieć, jak będę szykował nam coś do jedzenia.

W salonie siedzi ten Anglik, Earnest Goggins-Smythe, który pilnuje tu psów – jest swego rodzaju niańkiem do czworonogów. Przedstawiamy się sobie, a potem on znów siada do komputera. Ma ze sobą dwa psy – pudła i jeszcze jakiegoś. Nie wiem, co to za rasa. Leżą pod jego krzesłem i patrzą, jak je mijam, ale ani drgną. Siodhachan robi nam kotlety i bekon, opowiadając przy tym o Suluk Black i wiewiórce z pociągu do Portlandu, przez którą jego psy się ponoć strasznie podekscytowały i wpakowały w rozwiązywanie zagadki jakiegoś morderstwa. Kiedy potem pijemy jeszcze piwo i moczymy sobie stopy w rzece za chatą, Siodhachan zaczyna wreszcie mówić o tym, co ma nastąpić.

– Słuchaj, na mnie już czas. Tu jest dwudziesta trzecia, ale w Irlandii osiem godzin później. Spadam walczyć z Jörmungandrem. Umówiłem się z nordyckimi bogami, że zrobię to w ramach odpokutowania za moje winy.

– Racja, coś tam pamiętam, jak o tym gadałeś. A Granuaile?

– Jest w Tajwanie, walczy na innym froncie. Pewnie już trwa tam bitwa.

– To co ja mam niby robić, do diaska? – nie wytrzymuję. – Nie zapisywałem się na tę burdę, ale tak se myślę, że lepiej, jak się dorzucę teraz, niż jak mnie potem i tak dopadną.

– Najlepiej by było, gdybyś spytał żywiołaki, gdzie przydałaby im się twoja pomoc. Jestem pewien, że już wkrótce stanie się coś takiego, co będzie wymagało uwagi druida. Trzymaj się z dala od Skandynawii i Tajwanu, a zajmij się resztą.

– Aha, czyli ty, twoja dziewczyna i cała armia faerii będziecie walczyć ku chwale, a mnie to se wysyłacie po kawę, tak?

Siodhachan marszczy brwi.

– Nie wiem, o czym mówisz. Twoje zadanie nie będzie ani trochę mniej ważne. O cokolwiek poprosi Gaja, będzie to jej bardzo potrzebne, tego możesz być pewien. Przecież wiesz, że żywiołaki nie proszą nas nigdy o byle co, bo sam mnie tego nauczyłeś. I bądź przygotowany na ogień.

– Czemu?

– Bo pojawił się w ostatniej przepowiedni, którą dały Odysuszowi syreny. Najwyraźniej właśnie się sprawdza. W przepowiedni nie było wprawdzie nic na temat wielkiego gniewu Węża Świata ani o strasliwym ataku nordyckiego boga, ale na pewno była zapowiedź spalenia świata. Nie wiem, jak to się do końca stanie ani jak poważna będzie sytuacja, ale świat to okropnie rozległe miejsce, a prawie wszyscy druidzi siłą rzeczy utkną w Skandynawii, jeśli liczyć Tuatha Dé Danann. Jeszcze garstka nas będzie na Dalekim Wschodzie. To ci zostawia dość pokaźny obszar do obrony.

– Hm. No w sumie chyba tak. Znaczący wiesz, gapiłem się już na te różne wasze globusy i mapy, i inne takie, to już wiem, że Irlandia jest tycia w porównaniu do reszty. Byłem już w kilku odległych krainach, ale za wiele to ja nie widziałem, szczególnie w porównaniu z tobą. Skąd będę wiedział, w którą stronę biec? Wiesz, jeśli cały świat stanie w ogniu, to którą część gasić?

Siodhachan wzrusza ramionami.

– Nie chciałbym czynić pochopnych założeń, ale na twoim miejscu spytałbym żywiołaki, gdzie kombinują coś jacyś bogowie albo potwory, i tam bym zajrzał.

– Ano lepszy taki plan niż żaden – burczę.

Słychać pohukiwanie sowy – upiorne jak pięć piekieł i słoik kremowego masła orzechowego (to gównem jest jakieś sprzeczne z naturą). Takie hukanie to zwykle dość poważne ostrzeżenie, ale trudno. Lepsze to niż Wrona Bitewna. Tak czy siak na mój rozum to właśnie taka chwila, kiedy trza ostrożnie dobierać słowa.

– Ty się weź, synek, postaraj trzymać dupsko w bezpiecznej odległości od wszelkich zębów, słyszysz? Mamy jeszcze furę diabłów do wyleczenia w Tasmanii i nie myśl sobie, że sam odwalę za ciebie tę robotę.

– Ani mi się śni – mówi. – Zamierzam wyleczyć więcej diabłów tasmańskich niż ty i twoi wszyscy uczniowie razem wzięci.

– Aha! Chcesz się założyć?

– Może. Zależy o co.

– Jeśli ja wygram, to chcę iść z tobą na transmitowany w telewizji mecz baseballowy.

– Dobra, świetny pomysł.

– Gęba w kubel, nie skończyłem. Jak już tam będziemy, na końcu siódmej zmiany, masz się rozebrać do rosołu i biegać po boisku przez cały kwadrans, używając energii ziemi, żeby cię gliny nie dorwały.

– Czy to nie jest nadużywanie energii ziemi do głupich celów?

– Celem jest dobro ludzkości.

– Przecież w końcu użyją tasera.

– A to co za licho? Nie znam tego słowa.

– Użyją elektrycznej broni, żeby mnie sparaliżowało, tak że pewnie stracę przytomność.

– Co ty gadasz? – Aż chichoczę na samą myśl. – Tobym ci wtedy nawet odpuścił i nie musiałby być pełen kwadrans.

– No jasne. Dobra, zgodzę się na to, jeśli ty się zgodzisz na moje warunki.

– Co żeś znowu wymyślił?

– Jeśli ja wygram, to przysięgniesz nigdy już więcej nie opowiadać tej nieszczęsnej historii o mnie i kozie, a jeśli wyciągnie to ktoś, komu już to zdążyłeś opowiedzieć, zaprzeczysz wszystkiemu.

– Psiakrew, synek, nie wiem, czy jestem gotów na takie poświęcenie. Ludzie to się pokładają ze śmiechu za każdym razem, jak ją opowiadam. Wysoko stawiasz poprzeczkę.

– Przecież ty zasugerowałeś kwadrans pełnej nagości w miejscu publicznym, za co niechybnie czeka mnie taser albo i więzienie! I to niby ja stawiam wysoko poprzeczkę?

– Ha! Niech więc będzie.

Wyciąga do mnie rękę.

– Przyjmujesz zakład? – pyta.

Ściskam jego dłoń.

– Ano, synek. Tak czy siak zyska na tym Tasmania.

– Otóż to. – Po czym zupełnie mnie zaskakuje, przyciągając mnie do siebie i ściskając serdecznie.

– Dziękuję ci, że te kilka wieków temu wzięłeś mnie na naukę. Widziałem rzeczy straszne i rzeczy piękne, ale w każdym razie żyłem pełnią życia.

– A tam, synek, to ja dziękuję, żeś utrzymał to całe druidostwo przy życiu przez tyle lat. Dumny jestem z ciebie i tyle.

Klepie mnie kilka razy po plecach, więc robię to samo, a potem się rozstajemy. Jeszcze mam kilka godzin, zanim się wszystko zacznie, zostaję więc nad rzeką, a on idzie się pożegnać z psami. Robi się z tego jakiś zaśliniony dramat i sporo z tego słyszę, aż w końcu zrywam połączenie, żeby mieli jednak odrobinę prywatności. Ale dosłyszałem jeszcze, że Oberon chciał iść z Siodhachanem, ale mój uczeń mu powiedział twardo, że tę drakę jednak musi przesiedzieć w domu. Z czego trza by wnioskować, że ma tyle nadziei na wygraną co żaba na wilgoć na pustyni, bo głowę bym se dał uciąć, że nieraz już zabierał tego kundla w różne niebezpieczne sytuacje.

I tak se w ogóle myślę, czy on mnie nie wmanewrował w siedzenie na ławce rezerwowych właśnie po to, żebym nie zostawiał Greta i moich uczniów. Na mój rozum to właśnie zagrywka w stylu tego drania, bo pewno nadal go gryzie sumienie, że zginął Gunnar i Hal, bez względu na to, czy w rzeczywistości on był temu winien czy nie. Pewnie ubzdurał sobie, że to on wszystko spieprzył i teraz to jego odpowiedzialność, więc mam nawet nie próbować pomagać. Tyle że ja chcę pomagać – w końcu tu chodzi o naszą planetę. Nie wiem nawet, czy on w ogóle wie, że mimo całego mojego pieprzenia od rzeczy tak naprawdę jestem po jego stronie i zawsze byłem.

Gorzej, nie wiem, czy w ogóle go jeszcze kiedyś zobaczę i czy nie powinienem był powiedzieć czegoś sentymentalnego, żebyśmy obaj zaczęli wyć i smarkać sobie nawzajem w ramiona. Ale potem myślę sobie, że to by mu teraz pewnie wcale nie pomogło. Teraz to on potrzebuje mojej wiary w niego i jaj wielkości piłek do kosza, że se tu pozwolę na taką metaforę. I przez to wszystko mam już kompletny mętlik w głowie, kiedy w końcu wychodzi z chaty i macha do mnie, a potem przynosi się licho wie dokąd.

Mam tylko nadzieję, że jeszcze kiedyś pójdziemy na ten mecz.

Rozdział 8



Minęło już bardzo wiele lat, odkąd czułem się w Irlandii jak u siebie. Wpadłem tu w tym czasie kilka razy – ale zawsze szybko, nerwowo, w strachu, że faerie mnie namierzają. Właściwie odkąd tylko uciekłem stąd z Fragarachem, moja ojczyzna stała się dla mnie ziemią zakazaną. A to było niemal dwa tysiące lat temu. Teraz, gdy nie ma Aenghusa Óga, jest niby trochę lepiej, ale nadal czuję się tu niepewnie. I nie wiem, czy kiedykolwiek się to zmieni. Być może, jeśli uda mi się przeżyć ten bałagan, który wywołałem, znajdę jakąś ścieżkę do ogrodu i jeśli będę o niego dbał, urośnie w nim wybaczenie.

Taaa. A Owen z czystej uprzejmości przestanie opowiadać tę historię o kozie.

Bo przecież nie ma szans, żebym sam wyleczył więcej diabłów niż on i jego uczniowie razem wzięci, więc wygląda na to, że w niedalekiej przyszłości będę się musiał publicznie zbłaźnić – jeśli w ogóle mam jeszcze jakąś przyszłość przed sobą.

Ale w każdym razie chciałbym spędzić więcej czasu w Irlandii. Stęskniłem się za Szmaragdową Wyspą. Drugiej takiej nie ma na całym północnym Atlantyku. Tu wszystko jest inne – zapachy, dźwięki, rytm życia. Tu czuję się jak w domu. I czuję to nawet wtedy, gdy nie jestem dokładnie w tej okolicy, w której się urodziłem.

Dzięki wróżbie Mekery wiedziałem, że powinienem obserwować wybrzeże na południe od Skibbereen, gdzie na wzgórzu ponad pastwiskami znajdują się stare fortyfikacje. Ulżyło mi, gdy zobaczyłem, że owiec nie pilnuje żaden pasterz, a najbliższe domy znajdują się dość daleko od brzegu. Przy odrobinie szczęścia nie powinno być żadnych świadków.

Moja genialna tajna broń mająca pomóc mi uporać się z Jörmungandrem nadjechała wynajętym samochodem zaledwie kilka minut po mnie i wyłoniła się zza kierownicy z promiennym uśmiechem. Udało mi się z nią skontaktować, zanim jeszcze spotkałem się z Kojotem.

W czerwono-żółtym sari i ze znajomym złotym, zdobionym olśniewającym rubinem naszyjnikiem na szyi prezentowała się wspaniale.

– Cześć, Atticusie.

– Witaj, Laksho. Dziękuję, że przyjechałaś.

– To ja dziękuję za zaproszenie.

– Mam nadzieję, że wszystko u ciebie dobrze? Albo u twojej gospodyni? Albo u was obu? Przepraszam, trochę nie umiem dopasować twojej sytuacji do adekwatnych uprzejmościowych wyrażen.

Podeszła bliżej i uściskała mnie szybko, co u niej należało chyba uznać za objaw szczególnej serdeczności, po czym skinęła mi głową w ramach odpowiedzi.

– Mhathini ma się bardzo dobrze. Już niedługo będzie mogła zacząć samodzielne życie. Ciężko na to pracowałyśmy.

– To wspaniale! – ucieszyłem się szczerze.

W wyniku wypadku samochodowego Mhathini doznała poważnych uszkodzeń mózgu i kilka miesięcy temu Laksha zamieszkała w jej głowie, obiecując, że naprawi zniszczenia w zamian za możliwość podjechania kawałek życia w czaszce Mhathini. Zdaniem Granuaile sytuacja rodzinna Mhathini w Indiach nie była, delikatnie mówiąc, najlepsza, ale nie wątpiłem, że Laksha zaradzi coś i na to.

– Obiecujesz jej potem pomóc? – upewniła się Laksha.
– Oczywiście. Zrobię, co w mojej mocy.
– Dobrze. A więc on pojawi się tutaj?
– Tak. – Wskazałem jej nabrzeże widoczne z naszego punktu obserwacyjnego. Lekka bryza rozwiewała nam włosy. – Tuż przy brzegu.
– Jak będzie wyglądać?
– Tak naprawdę to nie wiem. Wszystkie znane portrety Węża Świata są przecież tylko wizjami artystów. Ale domyślałam się, że gdy tylko go zobaczymy, nie będziemy mieli wątpliwości, że to on.
Laksha prychnęła, a jeden z kącików jej ust uniósł się lekko.
– Też prawda. – Zmrużyła oczy, wpatrując się w morze. – Dziwne miejsce na rozpoczęcie końca świata, prawda? Takie spokojne i zaciszne. I właściwie nic tu nie ma.
– Zgodnie z logiką Lokiego właśnie takie miejsce jest idealne. Irlandia ma niewiele zabezpieczeń, a Jörmungandr będzie musiał szybko rosnąć. Czyli coś jeść. Irlandzkie owce i bydło oraz tak, również ludzie, będą stanowili idealną przekąskę dla Jörmungandra, gdy będzie się stawał potworem, którego nikt już nie zdoła potem powstrzymać. A przy okazji automatycznie osłabi wszystkich Tuatha Dé Danann, zwyczajnie zżerając większość tych, którzy w nich wierzą.
– Gdzie są teraz Tuatha Dé Danann?
– W Szwecji, tam gdzie chciał ich mieć Loki. To główne wydarzenie, na którym wszyscy mają się skupić. A tutaj to ma być zdradziecki nóż w plecy. Miejmy nadzieję, że go przechytryłem. Nie umiem mnie wywróżyć, raczej nie wie więc nawet, że tu jestem.
Mięśnie wokół jej ust i oczu drgnęły z niepokoju.
– I o mnie też nie wie, prawda?
– Nie, nie wie nawet, że w ogóle powinien się tobą przejmować.
Jej twarz się rozluźniła.
– A bo taka cicha wiedźma ze mnie, nawet jeśli nieco zabójcza, prawda?
– Prawda.
Westchnęła radośnie.
– A teraz będę mogła po raz ostatni zrobić coś cichego i zabójczego. Ale tym razem dla dobra wszystkich, nie tylko dla siebie. Wspaniale. Mam nadzieję, że to zrównoważy karmę. Ilu ludzi uratuję w samej Irlandii?
Wzruszyłem ramionami.
– Cztery i pół, może pięć milionów.
– Ach! A zatem o wiele więcej, niż kiedykolwiek udało mi się zabić. Podobają mi się te liczby.
– Myślisz, że o następnym życiu decydują tylko same liczby?
– Nie, oczywiście, że nie.
– To się cieszę. Bo mój rejestr nie wygląda najlepiej.
Zasępiliśmy się na dłuższą milczącą chwilę nad rachunkami naszego długiego życia. Nie wiem, czy któreś z nas mogło z czystym sumieniem powiedzieć, że uczyniło w życiu więcej dobra niż krzywdy, choć ja naprawdę się starałem. W końcu Laksha oderwała wzrok od morza i spojrzała na mnie.
– Czego ty chcesz, Atticusie?
– Hmm? Wygrać oczywiście. Żeby przetrwać.
– Mam na myśli w dłuższej perspektywie, jeśli w ogóle taką mamy.
– A, racja. Wiesz, nie pogardziłbym normalnym życiem. Takim, w którym mógłbym założyć rodzinę i nie musiał jej porzucać, gdy tylko namierzy mnie Aenghus Óg. W którym mógłbym ich nauczyć, jak być druidami, i nie martwić się, że ktoś będzie na nas polował. Marzy mi się przyszłość, w której nie musiałbym już dłużej być *Żelaznym* Druidem, tylko mógłbym być po prostu Druidem, tak jak mówią na mnie żywiolaki.
– Rozumiem. A więc szukasz pokoju. Może inaczej go definiujesz, ale jednak chodzi ci o pokój.
– Tak.
– Życzę ci, żebyś go odnalazł.
– Nawzajem, Laksho.

Znów zapadło milczenie i być może Laksha tak jak ja się zastanawiała, jak to jest żyć w pokoju. Moje marzenie o stabilizacji i życiu bez poczucia, że ktoś na mnie poluje, było prawdziwe, ale nie wiem, w jakiej mierze realne. Wiedziałem, że nie mam na razie szans na założenie rodziny, ponieważ Granuaile szła teraz zupełnie inną ścieżką – ścieżką niezwykle ważną, którą musiała teraz iść, budując kolejne przestrzenie myślowe i mocując się ze swoją siłą, ale dla mnie oznaczało to, że albo będę musiał poczekać, albo pójść dalej inną ścieżką. Myślałem sobie, że warto na nią poczekać i że mogę przecież uzbroić się w cierpliwość, a zresztą ten czas na pewno nie będzie nudny. No, jeśli w ogóle będzie jeszcze jakiś czas po dzisiaj.

Z zamyślenia wyrwał nas odległy bek owczego przerażenia. Spojrzeliśmy na brzeg, gdzie z oceanu wynurzyło się coś podłużnego i lśniącego i natychmiast rzuciło się na wełnianą przekąskę.

Jörmungandr, Wąż Świata, potomek Lokiego i pewnej olbrzymki. Wyszedł z ukrycia, a teraz rósł na naszych oczach. Po ojcu odziedziczył bowiem zmiennokształtność. Tylko że te zmiany miały pewne ograniczenia – żeby ich dokonywać, i tak potrzebował jakiegoś paliwa. Z nim jednak będzie mógł puchnąć do prawdziwie gigantycznych rozmiarów, które przypisywały mu staronordyckie mity. A pożywienie znalazł błyskawicznie – połknął od razu dwie owce, odrzucając łeb do tyłu, a potem znów schylił się, by nabrać ich więcej do pyska. Był przerażający, ale i piękny zarazem – fioletowe, niebieskie i zielone łuski lśniły w porannym słońcu. Przypomniała mi się opowieść Väinämöinena, który spotkał kiedyś u wybrzeży Islandii mniejszą wersję Jörmungandra, zupełnie niewinnego węża o docieklwym umyśle. Thor zabił go jednak w ramach jakiejś upiornej rozgrzewki przed Ragnarökiem, choć tamten wąż nie zrobił ludziom żadnej krzywdy i nie miał złych intencji. Być może Thor uważał, że jest to morderstwo w pełni uzasadnione, dlatego że on sam miał zginąć w walce z Jörmungandrem. A jednak zginął od ostrza Moralltacha, którym wymachiwał pewien starożytnie zawzięty wampir. Wydaje mi się, że Odyn uznał, iż sprawiedliwie będzie, jeśli w takim razie to mnie spotka ten los zamiast Thora, ale byłem innego zdania. Tak zresztą jak i Laksha.

– A zatem to koniec – powiedziała Laksha, chwytając moją dłoń i ściskając ją. – Po tylu latach zerowania na ludzkości odczuwam nadzieję i wdzięczność, i pewność, że wreszcie uda mi się zrobić coś dobrego. Nie wiem, jakie cierpienie mnie czeka, ale przyjmuję je w pokorze i jestem na nie gotowa.

– Żegnaj, Laksho. Oby twoje następne życie było dobre.

– Żegnaj.

Ciało Mhathini Palanichamy osunęło się nagle, ale złapałem ją, nim uderzyła głową o ziemię. Gdy tylko położyłem ją bezpiecznie, obróciłem głowę w stronę Jörmungandra, który przez te kilka sekund urósł większy niż jakikolwiek dinozaur czy stworzenie z bajek. Właśnie zjadał dokładkę owiec i namierzał się chyba na trzecią porcję, ale musiał się widać zorientować, że trzeba będzie jednak wyleźć na ląd, bo spłoszone stado gnało już co sił w kopytach jak najdalej od morza. Podjąwszy tę decyzję, Jörmungandr po raz ostatni załopotał masywnymi skrzelami, a następnie je zamknął i zmienił się w istotę oddychającą powietrzem. Pochylił się do przodu, po czym raptownie drgnął, jakby uderzony pięścią tytana. Z jego pyska wyrwał się zduszony pisk, wąż zadrżał cały, a następnie zamarł i runął do tyłu niczym dziwny, lśniący kawał drewna. Owce, którym udało się przeżyć, zabczały coś w stylu: „Czyś ty widziała, co tu się, kurczę, stało? Już nigdy w życiu nie beeę-dę się pasła przy brzegu, choćby nie wiem jak zielona trawa tam rosła”, a woda zabulgotała i zasyczała, gdy Wąż Świata ginał w jej toniach.

– Hurra! – ucieszyłem się, bo było z czego.

Lakshy udało się wyskoczyć z umysłu Mhathini, przelecieć przez eter i dokonać wrogiego przejścia mózgu Jörmungandra. Pewnie po prostu całkiem wykopała jego ducha z domu, tak jak robiła to dawniej, przejmując kolejne ciała. Żeby jednak zapobiec powrotowi Jörmungandra do jego umysłu, będzie musiała okupować ten mózg aż do końca. A gdy już wąż umrze w wodzie, wiedźma umrze razem z nim. Stworzenia eteru nie radzą sobie przecież najlepiej w wodzie.

Mimo to jednak Laksha gotowa była się poświęcić, by uratować Irlandię (minus te kilka poległych owiec), i poszła na śmierć ze spokojnym sercem i lekką duszą, o które nigdy przedtem nawet jej nie podejrzewałem. Był to piekielnie dobry uczynek i krzyżował plany Lokiego w sposób, którego na pewno nie mógł on przewidzieć. Poza tym uratowała mi w ten sposób tyłek, który zresztą znów będę musiał zaraz narazić na szwank. Podobnie jak Jörmungandr i ja spodziewałem się jakiejś

niespodziewanej śmierci i wiedziałem dobrze, że potem ludzie znajdą moje ciało tak jak wiele innych wpatrzonych z zaskoczeniem w wieczność. Czułem się gotowy prawie na wszystko, o czym pomyślałem, ale po nocach mój mózg głowił się nad tym, czego jeszcze nie przewidziałem. Bo choć właśnie udało mi się zbić z planszy ten ważny pionek Lokiego, bóg oszustwa i kłamstwa niewątpliwie już szykował kolejne niespodzianki. Loki na pewno się nie spodziewał, że do gry dołączy ktoś taki jak Laksha, ale ja też nie wiedziałem przecież, czego się spodziewać w Szwecji.

A jednak muszę przyznać, że aż mi się w głowie zakręciło z radości, że udało mi się zlikwidować Jörmungandra, i to w taki sposób, że wszyscy na tym zyskali. Nie oparłem się przez to pokusie, by zacytować sobie Szekspira.

Przykucnąłem przy Mhathini i troszkę pyszałkowatym głosem wymamrotałem pod nosem słowa, które wypowiedział w *Juliuszu Cezarze* Ligariusz: „Każ, a rozpocznę dzieło niemożliwe, Dokonam nawet. Mów, co trzeba zrobić”.

Choć w sumie za wiele to on nie dokonał, co?

– Hę? – Mhathini drgnęła i odezwała się nie po angielsku, ale w języku hindi, który na szczęście znałem, choć w ostatnich latach rzadko się nim posługiwałem. – Gdzie ja jestem? W Irlandii?

– Tak. Witaj.

– Kim jesteś? – Zmarszczyła brwi, a całe jej ciało się spięło.

– Możesz mi mówić Atticus albo Connor, co wolisz.

Odetchnęła z ulgą i uspokoiła się.

– Aha. Laksha mówiła, że mi pomożesz.

– Bo tak zrobię.

Mhathini usiadła. Jej głos, który przecież używał tych samych strun, z których przed chwilą korzystała Laksha, był nieco inny. Jakby bardziej miękki. Choć może to wynikało z tego, że mówiła w innym języku, nie jestem pewien.

– Laksha powiedziała, że będzie próbowała zapobiec końcowi świata, ale mimo jej wkładu i tak może on nastąpić. Czy to prawda?

– Tak. Oba fakty się zgdzają. Laksha wykonała właśnie swoje zadanie, ale koniec i tak może nastąpić.

– Rozumiem. – Kobieta spojrzała na swój naszyjnik z rubinem i dotknęła go smukłymi palcami, zastanawiając się nad czymś, a może modląc. Dałem jej tyle czasu, ile było jej potrzeba. Po paru minutach jej palce puściły rubin i znów na mnie spojrzała. – Dziękuję, że tu jesteś. Nie myślałam, że jeszcze ujrzę światło słoneczne. I nawet jeśli będę je widzieć tylko przez chwilę, cieszę się, że mam jeszcze tę odrobinę czasu. Dobrze mieć jakąś przyjazną duszę na koniec świata.

Rozdział 9



Oglądałam się niespokojnie na erupcję roju demonów z Góry Siedmiu Gwiazd, po czym znów patrzę na moją *bubble tea*, którą według Małpiego Króla powinnam się teraz raczyć.

– Sama nie wiem, Wukongu. Może jednak demony to pilniejsza sprawa? Herbaty mogę się zawsze napić.

– Nonsens. Żyj chwilą, Granuaile. W tej chwili moje kopie walczą z pierwszą falą demonów, a twoja *bubble tea* teraz właśnie jest najsmaczniejsza.

Małpi Król posłał do walki imponującą liczbę swoich klonów i nie wygląda na zaniepokojonego. Mnie natomiast intryguje, że tak bardzo nalega, żebym wypila tę tajemniczą herbatę.

– Czy w tej herbacie coś jest?

– Tak! – Posyła mi triumfalny uśmiech, jakby się nadzwyczaj ucieszył, że wreszcie zrozumiałam jakąś fundamentalną prawdę. – Małe kuleczki tapioki!

– Nie do końca rozumiem, dlaczego tak bardzo ci zależy, żebym ją wypila.

– Po prostu jestem dumny z mojej pracy. A poza tym jest to w tej chwili właściwa rzecz do zrobienia.

Wcale nie jestem pewna, czy mamy te same priorytety. Z drugiej strony, kiedy znów obserwuję, jak w oddali czerwono-złote klony Małpiego Króla spotykają się z kłębowiskiem demonów i natychmiast odnoszą spory sukces – widać to nawet z tej odległości – dochodzę do wniosku, że mój udział w tej walce niewiele by chyba zmienił.

– Po co tu jestem?

Wukong chichocze tak radośnie, że aż odrzuca głowę w tył.

– Cóż za filozoficzne pytanie! Ale odpowiedź jest zawsze prosta: by się uczyć i rosnąć.

– No, no... tylko mam na myśli, po co tu jestem w tej chwili.

Budda przekrzywia głowę i wzrusza ramionami.

– Odpowiedź jest ta sama i nie zmieni się przez wiele dni, miesięcy i lat.

Flidais spogląda na mnie i mówi nagle:

– Ucz się pilnie, Granuaile. Na mnie już czas.

– Co? Przecież powiedziałaś, że musisz tu być...

– Musiałam cię tu przyprowadzić i to właśnie zrobiłam. Teraz muszę już udać się do Japonii.

Żegnaj.

– O. Okej...

Flidais nie czeka nawet, aż się z nią pożegnaj, tylko szybko schodzi po drabinie przeciwpożarowej. Zostaję więc sam na sam z Sun Wukongiem, który macha krzaczastymi brwiami znacząco i z uśmiechem wskazuje mi głową moją herbatę.

– Dobra, dobra, no przecież już piję, tak? Patrz, piję!

Upijam łyk przez absurdalnie szeroką pomarańczową słomkę. Napój ma lekko słodki smak, taki kwiatowy, mleczny. Jest delikatna, pyszna i... ja nie mogę! Jedna z perełek tapioki ląduje w moich ustach; jest lekko ciągliwa, idealnie pasuje do herbaty.

– I jak? – dopytuje Małpi Król, przyglądając mi się z uśmiechem. Tak ewidentnie doprasza się

pochwał, że aż się uśmiecham.

– Dobra, Wukongu.

– Tak. Jest dobra. I można ją pić na wiele sposobów. Tobie zaserwowałem podstawową wersję. Tyle ich jeszcze musisz spróbować.

– Skoro tak mówisz...

– Dobrze. – Sun Wukong sięga palcem do ucha i jakby je pociąga. Z małżowiny wyłania się coś, co przypomina małą wykałaczkę, która wiruje w jego dłoni i szybko urasta do wielkości długiego złotego kija. Małpi Król przykuca, trzymając kij w obu dłoniach. – A teraz walczymy.

– Co? – bąkam, bo naprawdę nie przyszło mi do głowy, że herbata może prowadzić do walki.

W odpowiedzi rzuca się w moją stronę, unosząc wysoko kij, żeby uderzyć mnie z góry. Oblewam go herbatą, przez co musi się obrócić w powietrzu, a ja mam czas podnieść kij i zablokować cios. Siła uderzenia jest tak duża, że drżą mi ramiona w stawach i cofam się parę kroków. Małpi Król ląduje i robiąc unik przed moim ciosem, próbuje mi podciąć nogi. Przeskakuję nad jego kijem i usiłuję go kopnąć, na co on robi salto. Napieram dalej, bo główna zasada w walce z kimś tak potężnym brzmi, że jeśli on zaczął, ty musisz to szybko skończyć, ponieważ im dłużej trwa walka, tym masz mniejsze szanse na wygraną.

Sun Wukong rechocze, padając na ziemię. Udaje mu się blokować każdy mój cios. Gdy dach się za nim kończy i dłużej już nie może się wycofywać rakiem, odbija się i przeskakuje mi nad głową, skutecznie blokując przy tym moją próbę uderzenia go w brzuch. Ląduje za mną. Natychmiast obracam się w jego stronę.

– Moja kolej – mówi i teraz to on mnie zaczyna atakować.

Udaje mi się odeprzeć pierwsze pięć uderzeń, ale potem przebija się co chwilę przez moje blokady i za każdym razem delikatnie mnie uderza, nie robiąc mi krzywdy. Widać, że z łatwością panuje nad sytuacją.

W końcu zostawia mnie taką zziąjaną i staje przy swoim kiju, który opiera o dach.

– Herbata jest dobra. Ale jak już wspomniałem, jest dużo więcej smaków niż tylko podstawowy. Chcesz je poznać?

– Tak. Zawsze jestem gotowa się uczyć.

– Dobrze. To właściwe podejście umysłu. Bardzo dobrze. Znasz techniki, które mają parę tysięcy lat, a do tego opanowałaś kilka nowszych ruchów. – Kiwam głową, bo ma rację. Atticus przybył do Chin w jedenastym wieku i trenował tu wschodnie sztuki walki, więc mnie ich nauczył. – Właściwie to jesteś mistrzynią walki według wszelkich ludzkich norm. Bynajmniej nie zamierzam pomniejszać twoich zdolności. Mam nadzieję, że to jasne.

– Tak.

Kiwa mi głową na znak, że się rozumiemy.

– Istnieją jednak jeszcze starsze techniki. Oraz kilka nowszych. A do tego kilka wymyśliłem sam. – Wskazuje palcem północ. – To, co widzisz tam, nad parkiem Yangmingshan, to dzieło zaledwie pierwszego i najsłabszego króla Jamy. Niemal nie wymaga mojej uwagi. Nadciąga jednak jeszcze siedmiu następnych, a każdy z nich gorszy od poprzedniego, toteż musisz być na to przygotowana, jeśli masz to przeżyć i wypełnić swoje zadanie.

W mojej głowie kłębi się tyle pytań – poczynając od tego, na czym według niego polega w ogóle moje zadanie, ale też inne: z jakimi potworami przyjdzie nam walczyć i czy będę walczyć z prawdziwymi królami Jamy czy też z setkami ich wojowników – lecz żadne z nich nie wydaje się ważne w porównaniu z fundamentalną prawdą jego słów, zostawiam je więc na później.

– Zgadzam się z tobą – mówię.

– A zatem jeśli taka jest twoja wola, zacznijmy zaawansowany trening. Odtąd nazywaj mnie sifu Sun.

– Taka jest moja wola, sifu Sun – mówię i kłaniam mu się.

Rozdział 10



Gdy tylko Siodhachan sobie idzie, wyłażę z rzeki i suszę stopy, bo ta woda jest tak lodowata jak powitanie ochroniarza w klubie nocnym w piątkowy wieczór – à propos, muszę pamiętać, żeby dać łupnia temu synkowi z Kilkenny, który mnie wyrzucił wtedy z pubu.

Siadam na krawędzi werandy, stopy kładę na trawę i daję żywiołakowi znać, że jestem do dyspozycji, jeśli tylko gdzieś trzeba pomocy. Z domu wychodzi terierek Starbuck i siada przy mnie z otwartym pyskiem i wywalonym jęzorem. Splatam swój umysł z jego, żeby usłyszeć, jeśli mi odpowie.

– Dobry z ciebie piesek, prawda? – zagajam.

<Tak! Jedzenie!> odpowiada.

– Aha. Czyli wciąż uczysz się języka, co?

<Tak! Jedzenie! Bawić?>.

– Może. Nauczyłem się już, że to słowo może oznaczać różne rzeczy. Co rozumiesz przez bawienie się?

<Zostań> mówi i wchodzi do domu przez klapkę, którą Siodhachan zainstalował tu dla psów. Po chwili wypada przez nią z kawałkiem liny, na której jest parę węzłków. Upuszcza ją przy mnie i patrzy, znów wywalając jęzor. <Rzuć, proszę. Tak! Jedzenie!>.

– Mam to rzucić, powiadasz? – To nieco dziwna prośba, ale co mi szkodzi rzucić mu to. Takie psy jak Starbuck nie istniały w ogóle w moich czasach, jest to więc dla mnie zupełnie nowe stworzenie i ciekaw jestem, co teraz robi. Podnoszę linę i rzucam ją w stronę rzeki, ale tak, żeby przypadkiem tam nie wpadła. Psiak wystrzela spod werandy o wiele szybciej, niż się spodziewałem.

<Nie! Wiewiórka!> dosłownie wrzeszczy mi w głowie i zaczynam się obawiać, czy mu nie odbiło, ale gdy tylko dociera do liny, podnosi ją, otrząsa, po czym pędzi z powrotem do mnie z liną w pysku i wtedy już rozumiem. Ćwiczy w ten sposób polowanie na wiewiórki. To właśnie rozumie przez zabawę.

<Dobry człowiek> mówi, gdy upuszcza przede mną linę. <Rzuć, proszę>.

Parskam śmiechem.

– Ty to umiesz tresować sobie ludzi, co?

<Tak! Jedzenie! Rzuć, proszę>.

Spełniam jego prośbę, a gdy znów pędzi po linę, myślę se, że może to i niegłupi pomysł, żeby mieć jakiegoś zwierzęcego towarzysza. Jeśli tylko wilkołaki na to przystaną.

Nim Starbuck ma czas wrócić, czuję drżenie pod nogami. To żywiołak przemawia przez moje połączenie z ziemią.

//Mściwy Druid potrzebny / Alpy Bawarskie / Pilne//

Za moich czasów żywiołaki nigdy tak nie gadały do druidów. Ale też z ziemią nigdy nie było dotąd aż tak źle. W każdym razie dopiero, gdy przeniosłem się w czasie, dowiedziałem się, jak żywiołaki mnie przezywają. I w ogóle mnie się to nie podoba. Ten przydomek nawiązuje do pewnej sytuacji, jaka zaistniała dawno temu między mną a pewnym szachrajem z bagien, o którym wolałbym w ogóle zapomnieć.

//Harmonia// odpowiadam, ale po chwili dodaję //Nie przepadam za tym przezwiskiem / Możesz mnie przecież nazywać Starożytnym Druidem//

//Nie / Ty jesteś Mściwy Druid / Szybko / Alpy Bawarskie//

A niech to.

//Już idę// zapewniam żywiołaka, zrywając się na równe nogi.

Muszę jeszcze wejść do chatki i spytać tego Brytyjczyka, gdzie na litość boską są te całe bawarskie Alpy. Pokazuje mi na mapie na komputerze, to teraz przynajmniej wiem, gdzie mam się przenieść, żeby się dowiedzieć, co za piwo nam ktoś nawarzył.

Przepraszam, ale już się nie mogę dłużej bawić – mówię do terierka przez nasze umysły. – *Gaja mnie wzywa. Pobawimy się później?*

<Tak! Jedzenie! Dobry człowiek>.

Pędzę do splecionego drzewa, przenoszę się do Tír na nÓg, a potem tracę trochę czasu, próbując zrozumieć, które nici prowadzą do Alp Bawarskich. W końcu doliczam się dziesięciu takich i gdy już właśnie decyduję się na jedną z nich, zrywa się nagle i znika. Zaraz po niej następna robi to samo. Musi się tam dziać coś strasznego, coś, co niszczy nici. Wybieram więc taką, która znajduje się najdalej od tych zniszczonych, i przeciągam się po niej z duszą na ramieniu, bo co będzie, jeśli się zerwie, gdy będę jeszcze na niej? Nie mam pojęcia, co by się stało, i wcale nie mam ochoty się dowiedzieć. Udaje mi się jednak dotrzeć na miejsce i natychmiast widzę, co wywołało to całe zamieszanie – ziemia pod moimi nogami trzęsie się, i to dość poważnie. Te drgania za chwilę rozniosą się także na zaludnione obszary, a wtedy wywołają o wiele więcej strat niż kilka zerwanych nici.

Za to drzewa wokół i góry – bogowie niejedyni, co za widoki. Szkoda, że tu nie zajrzałem, zanim się zaczęło to cholerne trzęsienie ziemi, bo okolica jest olśniewająco piękna. Gdyby nie to, że dobrze przecież wiem, jak jest, powiedziałbym, że krajobraz próbuje uprawiać z moimi oczami czuły, namiętny seks – tak jest nęcący.

Wiem, że moi uczniowie byliby zachwyceni takim pejzażem. Szczególnie Tuya, która kocha drzewa ponad wszystko. Na pewno splakałaby się z radości na taki widok. Czas postarać się, żeby mogła to w ogóle kiedykolwiek zobaczyć.

//Druid melduje się do pomocy// mówię żywiołakowi Bawarii, który odpowiada mi na to dość nieuprzejmie:

//Ty nie jesteś Druid / On jest gdzie indziej / Ty jesteś Mściwy Druid//

Mrugam zdezorientowany. Żywiołak nękany właśnie tajemniczymi trzęsieniami ziemi, które zagrażają wszystkim jego żywym istotom, kłóci się ze mną o głupi przydomek?

//Pytanie: Pilna sprawa?//

//Stworzenia szkodzą ziemi / Stworzę ścieżkę / Zabij je//

Czyli wszystko jasne.

//Pytanie: Co to za stworzenia?//

//Idź ścieżką i zabijaj// brzmi lakoniczna odpowiedź, a przede mną otwiera się szczelina, która nie jest przypadkowym rezultatem trzęsienia ziemi, tylko celowo zbudowaną ścieżką z solidną podłogą, ścianami i sufitem. Bez względu na to, jak gwałtowne jest trzęsienie ziemi, Bawaria nie pozwoli, by korytarz zapadł się nade mną, gdy idę nim wypełnić jej polecenie. Tunel szybko się pogłębia, muszę więc włączyć noktowizję. Wkładam też kastety, lecz nie wolno mi zapomnieć, że choć mam misję do wykonania, nie mogę wykorzystywać splotów w celu bezpośredniego odebrania życia. To prawo samej Gai – nigdy nie skazuje na śmierć, póki nie nadużyje się jej mocy, by doprowadzić do śmierci. Druidzi wykonują za nią brudną robotę od tysiącleci – a raczej Siodhachan ją wykonywał. W większości polegało to na usuwaniu demonów z takiego czy innego piekła, czasami jakichś nieznośnych faerii czy czegoś wredniejszego.

Po chwili nic już zupełnie nie widzę i żadna noktowizja tu nie pomoże. Nawet do niej potrzeba choć odrobiny światła, a pod ziemią jest ciemniej niż w atramentowym odbycie śpiącej ośmiornicy. Mówię o tym Bawarii.

//Kontynuuj// odpowiada. //Wkrótce będzie światło//

Prę naprzód, sunąc ręką po ścianie, żeby jakoś dać radę, i kilka razy potykam się zaskoczony unoszącym się pod stopami gruntem. Ale nie poddam się, cokolwiek mam zrobić.

Rzeczywiście zaraz potem pojawia się światło. Słaby pomarańczowy blask, a wraz z nim ciepło. Smród siarki uderza w płuca. Źródłem światła jest lava. Trochę bardziej niebezpieczny sposób oświetlenia niż te wypasione żarówki, które ludzie mają teraz po domach. I naprawdę nie powinna się znajdować tak blisko powierzchni. Alpy to nie pasmo uspiomych wulkanów. Te góry powstały w wyniku

zderzenia płyt tektonicznych. A to oznacza, że ktoś celowo podciąga tu tę lawę.

Słyszę to, zanim jeszcze widzę. Okrutny śmiech zmieszany z gardłowym zawodzeniem w języku, którego nie znam. I zaraz się okazuje, że nim ja zauważyłem to coś, już ono zauważyło mnie, bo muszę zrobić unik, żeby nie uderzyła mnie w głowę rozgrzana do czerwoności skała. Odbija się od mojego lewego ramienia i wypala mi niezłą szramę, fajcząc przy tym włosy i podpiekając ucho. Oglądam się w kierunku, z którego przyleciał kamień, i widzę, że w strumieniu lawy stoi jakiś maleńki cień. Zupełnie jakby był wycięty z węgla albo wulkanicznego bazaltu – same ostre krawędzie, mimo że niby w ludzkiej formie. Dlatego w tych ciemnościach wygląda zupełnie jak cień. Właśnie się porusza, żeby cisnąć we mnie kolejną bombą z lawy.

Gębę to ma taką, jakby ktoś wziął wściekle gówno i przykleił na szyi. Ale może to tylko ja projektuję na tę istotę własną złość. Wiem już, co to, bo przypomina mi się, jak opisywał mi to Siodhachan – to cholerny kobold, ale taki z tych zabójczo niebezpiecznych, a nie jedno z tych chucher z gier wideo, w które tak lubią grać Sam i Ty, przywódcy watahy Grety. W tej ich grze koboldy to słabe istotki z maciupenkimi nożykami i łatwo się je ubija. Ale to nie takie istoty budziły niegdyś postrach wśród niemieckich górników. Jeśli się jest odważnym chłopem przedzierającym się przez wnętrza góry z kilofem w rękę, to się człek naprawdę nie boi byle czego uzbrojonego jedynie w nóż. Nie, ci górnicy mieli poważniejsze powody do strachu, bo koboldy mogą przenosić ziemię, zasypywać tunele i ciskać kulami magmy, celując na przykład we łby druidom.

Zarzucam więc kamuflaż i aż się wzdrygam na widok kobolda, który znów próbuje we mnie wycelować. Podkręcam prędkość, patrząc dobrze pod nogi, żeby nie wdepnąć w strumień lawy, i strzelam mu kastetami w zęby. Liczyłem w sumie na to, że mu rozwalę czerep, ale nic z tego – koboldy są takie twarde jak góry, pod którymi mieszkają. Odłupało mu się parę zębów i stracił przytomność, ale zabić to go nijak nie zabiło. W sumie pewnie nie wytrzymałby w tym żarze i ciśnieniu pod skorupą ziemską, gdyby nie był twardym draniem.

Przynajmniej upuszcza jednak tę stopioną skałę i pada na plecy po drugiej stronie strumienia lawy. To dopiero początek roboty – Bawaria chce, żebym wybił wszystkie te istoty, a na pewno jest ich więcej, bo ziemia dalej się trzęsie, muszę więc wyglówkować, jak przebijać się przez coś, co w naturalny sposób jest tak gruboskórne jak skała. Ani to praktyczne, ani efektywne. Przeskakuję przez strumień lawy i staję przy głowie kobolda, a potem przyklekam, żeby mu się przyjrzeć. Zauważam, że oczy ma nieochronione. Są głęboko osadzone i malutkie, ale jednak to zwykłe oczy, czyli krew i galaretowata gałka w oczodole z dziurą z tyłu. Zdejmuję ciuchy i przemieniam się w kanię rudą, żeby położyć mu szpony na twarzy i ściskając mocno, wbić się pazurem w prawe oko, a przez nie do mózgu. Drga parę razy, po czym zamiera. Szybko przemieniam się z powrotem w człowieka, bo w piórach w tym ciepłe to jest ciężko. Trza by wykombinować jakiś lepszy sposób.

Melduję Bawarii, że jednego mamy z głowy, ale potrzebuję pomocy, żeby to szybciej szło. Wyobrażam se we łbie, czego mi trza, i natychmiast wyłania się z ziemi u moich stóp długi na stopę szpikulec z gładkiego, polerowanego kamienia.

//Prowadź do następnego// proszę Bawarię, podnosząc broń.

Ciuchy zostawiam, bo i tak zaraz będę musiał znów się przemieniać. Tunel dość się uspokoił po tym, jak zlikwidowałem pierwszego kobolda. Ale gdy ruszam dalej i zbliżam się do następnego celu, znów czuję drżenia i tunel zaczyna wariować, aż dwa razy się przewracam, choć może to dlatego, że światła mam tu jak na lekarstwo. Jednocześnie zaczynam pobierać moc, żeby leczyć sobie jakoś poparzenie na ramieniu, bo ból jest jak wrzask dziesięciu mew walczących o jedną rybę.

Tunel zbudowany przez Bawarię przechodzi w jaskinię i znów buchają mi w gębę opary siarki niczym duchy moich głupich pomysłów. Zanoszę się kaszlem i aż się potykam, a potem turlam się, zamiast wejść normalnie, bo i tu przecież może ktoś celować w mój łeb. I dobrze wyszło, bo od razu parę kamyczków, które w sumie można by uznać za skały, leci nade mną i rozbija się gdzieś w tunelu. Kobold, który je cisnął, stoi se pod ścianą lawy. Mordę to już mam tak opaloną i suchą jak te cholernie żałosne orzeszki, co to serwują w samolotach z ociupinką wody, ale i tak zamierzam się na niego rzucić, a potem zrobić coś z tą lawą. W przeciwieństwie do poprzedniego ten nie ciska we mnie rękoma – to ani chybi jakaś koboldowa gruba ryba, bo przenosi te kamyki samą magią. Podziemny huncwot jeden, psiakość.

I na pewno wie, że coś tu jest, nawet jeśli mnie nie widzi, bo w innym razie skąd by się wzięła ta piękna symetryczna dziura w ścianie? A jeśli wyczuwa obecność albo energię pozostałych koboldów, to doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jednemu z nich ktoś właśnie pomógł wyciągnąć kopyta. Nie będzie więc ryzykował. Póki nie usłyszy przedśmiertnego wrzasku i nie zobaczy krwi, będzie rzucał tego więcej. Widzę, jak zaciska palce, a ściana lawy za nim bulgocze i jakby puchnie. Nie wygląda to dobrze. Pakuję sobie szpikulec między zęby i przemieniam się w barana, a kastety – w moje rogi, które teraz są po prostu niezniszczalne. Spuszczam łeb i pędzę prosto na kobolda, który właśnie posyła w moim kierunku całą falę kamieni i lawy. Nie mam już jak tego uniknąć – to coś jakby siatka z ognia wzmocniana kamieniami.

Moje rogi przebijają się pierwsze przez tę ogniową zasłonę, dzięki czemu przynajmniej nie naleci mi tego świństwa do oczu, ale to wcale nie znaczy, że wychodzę z tego bez poparzeń. Owszem, poparzyło mnie jak cholera, szczególnie plecy tuż nad ogonem. Łeb bym dał, że wełna właśnie stoi w ogniu i płonę żywcem, ale muszę przynajmniej dotrzeć do celu.

Kobold widzi, gdzie się przebiłem przez jego ogień, bo w tym miejscu powstała jakaś dziura, dalej jednak niewiele mu to o mnie mówi poza tym, że zbliżam się w jego kierunku. Usiłuje zejść mi po prostu z drogi, ale cały czas go bacznie obserwuję i jestem szybszy niż on, więc tylko poprawiam kurs. Wbijam mu się w zębra i wpycham go prosto w tę ścianę lawy. Ani mój cios, ani lawa go nie zabijają, ale przynajmniej stracił przewagę – nie może już sobie tak tam stać i beztrudnie mnie kamienować.

Odskakuję na bok, unikając lawy, i przemieniam się z powrotem w człowieka, żeby móc się potoczyć po ziemi i ugasić ogień na tyłku. Ciągnę potężnie energię Bawarii, żeby trochę podleczyć poparzenia, a szpikulec upuszczam sobie w dłoń i czekam.

Nie mijają nawet minuty, nim lawa wybucha. Gdybym został przy niej, byłbym nią pokryty od stóp do głów i o żadnym leczeniu się mowy by już być nie mogło. Z ognia wyłania się kobold. Ryczy wściekle, a gdy nic się na niego nie rzuca, zaczyna triumfalnie rechotać. Założył se, że już nie żyję. No to się mylisz, ty dupku. Jestem ranny i w każdej chwili mogę spłonąć, ale jeszcze będę walczyć.

Problem w tym, że podłoga w całej jaskini zalana jest teraz lawą. Znów proszę Bawarię o pomoc, bo żywiołak może zaradzić coś na to o wiele szybciej, niż ja bym tego dokonał splataniem. Bawaria daje mi kamienne podeszwy, które splatam bezpośrednio ze skórą stóp. To powinno mi umożliwić przejście po lawie i dotarcie do tego zbira. Znów rzucam okiem na pozycję kobolda. Stoję na lewo od niego, nieco za jego ramieniem. Robi kilka kroków do przodu, wyraźnie szukając mojego ciała. Trzęsienie ziemi i towarzyszący mu huk idealnie maskują sploty, które szepczę, celując w głaz po drugiej stronie jaskini. Stawiam pierwszy krok po lawie – wokół żar, ale kamienne podeszwy spełniają swoje zadanie. Bylebym się tylko teraz nie potknął i nie runął w tę rozżarzoną maź.

Kolejny krok robię już pewniej i kończę przy okazji splot, który przesuwam głaz z prawej części jaskini w kierunku lawy. Kamulec sunie po podłodze, a kobold rzecz jasna odwraca się w jego stronę, stając tyłem do mnie. Chodziło mi tylko o to, żeby odwrócić jego uwagę. Myślałem o tym, żeby go teraz po prostu poklepać po ramieniu, żeby na mnie spojrzął, ale nagle dociera do mnie, że oczodoły nie są jedynymi ścieżkami dostępu do mózgu. Kobold ma małe uszy; lewe w zupełności mi wystarczy – wbijam szpikulec, przebijam bębenek i docieram pięknie do mózgu. Przewraca się, a ja odskakuję ostrożnie, starając się nie runąć jak długi i nie zginąć przy tym zwycięstwie. Drganie jaskini ustaje, a gdy tylko docieram do bezpiecznej ziemi, zdejmuję kamienne podeszwy i daję Bawarii znać, że sprawa załatwiona.

//Nie / Jeszcze trzy//

– Jasna cholera – mamrocze i chyba coś z tego musiało dotrzeć do Bawarii, bo mówi:

//Ale mniejsze / Wygrasz//

Nie byłbym tego taki pewien. Jestem już nieźle poparzony, płuca mam całe zanieczyszczone. Po prawdzie to już nie mam właściwie jak oddychać.

//Tu nie ma czystego powietrza// tłumaczę żywiołakowi i natychmiast otrzymuję odpowiedź:

//Chodź//

Ziemia za mną porusza się i pojawia się nowy tunel. Gdy tylko do niego docieram, Bawaria zamyka za mną jaskinię, izolując mnie od siarki. Tunel prowadzi w górę i wreszcie jesteśmy tak blisko

powierzchni, że do dziury dociera nieco promieni słonecznych i świeżego powietrza.

//Odpoczywaj i lecz się// mówi Bawaria, a ja dziękuję jej pięknie, nabierając wielkie hausty powietrza. Ból w piersiach ustaje nieco. Żywiołak naprawdę pakuje we mnie dużo energii, co musi oznaczać, że może stracić o wiele więcej, jeśli ktoś nie powstrzyma tych koboldów. Bo na razie niestety dobrze im idzie – wprawdzie ziemia pod moimi stopami jest spokojna, ale drży gdzieś całkiem niedaleko. A im dłużej będę odpoczywał, tym gorzej będzie się tu działo, szczególnie jeśli lawa wypłynie na powierzchnię.

Robię jeszcze jeden głęboki wdech i mówię Bawarii, że jestem gotów.

//Harmonia// pada odpowiedź i ziemia pode mną unosi się, wypychając mnie na powierzchnię. Przede mną stoi jeleń i przebiega mi przez myśl, że to Siodhachan, ale Bawaria natychmiast pozbawia mnie tych złudzeń. //Podążaj za tym zwierzęciem do następnego tunelu//

Jeleń odwraca się i pędzi przez las na południe. Nie dogonię go w ludzkiej postaci, a ramię mam nadal na tyle obolałe, że nie dałbym rady polecieć jako kania, przemieniam się więc w barana i ze szpikulcem w zębach staram się nadążyć za jeleniem, znosząc jakoś ból.

W sumie to ma sens, że żywiołak kazał mi biec po powierzchni, jeśli to cholernie daleko i okazuje się, że owszem, mam wiele mil do przebiegnięcia, więc budowanie tunelu w tej sytuacji rzeczywiście byłoby stratą energii. Przez cały czas ziemia drży mi pod kopytami. Mam tylko nadzieję, że Bawaria zdoła jakoś potem dojść do siebie po takim ataku. I że nikt jeszcze nie zginął, bo przecież gdzieś tu z pewnością mieszkają ludzie. Chyba nie ma tu żadnych dużych miast, ale jakieś wioski, domy czy gospodarstwa na pewno, a budynków w tej okolicy z pewnością nie konstruowano z myślą o tym, żeby były bezpieczne podczas trzęsienia ziemi.

Biegniemy na tyle długo, że moje poparzenia uspokajają się niczym dymiące już tylko węgliki, a płuca znów są czyste i swobodnie oddychają. Ale drżenia ziemi są coraz mocniejsze, a przecież trzęsienia nie powinny trwać aż tak długo. W postaci barana jestem stabilniejszy, niż gdybym biegł na dwóch nogach, ale nawet czworonożna istota ledwo daje radę się utrzymać.

//Szybciej// ponagla Bawaria. //Już prawie jesteś na miejscu//

To prawda. Ledwie sto metrów przede mną zaczyna się tunel i gdy tylko do niego docieram, przemieniam się w człowieka i zarzucam na siebie kamuflaż, czujnie rozglądając się, czy nie ma jakiejś zasadzki. Ale ten kobold nie ma takiej paranoi jak poprzednie, a może po prostu za bardzo się skupił na manipulowaniu ziemią, bo łatwo go zlikwidować. Zaraz potem trzęsienie ziemi znacznie się uspokaja, ale za dwoma kolejnymi łobuzami to wręcz muszę gonić, bo uciekają na mój widok. Ani chybi dotarło już do nich, że ich bracia źle skończyli. Ja to bym może nawet uznał, że dostały nauczkę i mogę je puścić wolno, ale Bawaria upiera się, że mam je wszystkie wybić, więc nie mam jak odmówić. Żywiołak chce, żeby koboldy wiedziały, że za coś takiego grozi bezlitosna kara. I dlatego muszę biec za nimi aż do ich kryjówek pod górami.

Kilka godzin później, gdy już sprawa załatwiona, a ja wyłaniam się po moich podziemnych przygodach na stoku jakiejś góry, naprawdę nie mam już ochoty bawić się w grotolaza. Nawet do metra bym teraz nie wsiadł. O wiele bardziej wolałbym popatrzeć w niebo. Padam na ziemię i przeciągam się w słonecznym świetle. Pode mną widać lasy i łąki, cud-miód po prostu.

//Jesteś piękna// mówię Bawarii.

//Wdzięczność / Zostań, proszę / Naciesz się moimi ziemiami//

//Harmonia// mówię i myślę sobie, że dla takich widoków warto by było i co dzień tak tyrać. Gdy patrzy się na tak nieskazitelne piękno, odnajduje się prawdziwy pokój.

Choć pojęcia nie mam, jak długo jeszcze będą one takie piękne. Obawiam się, że oto nadciąga najpotężniejszy na świecie dowód potwierdzający Pierwsze Prawo Owena, i niepokoję się o Gretę i moich uczniów, mimo że już właściwie powinni być bezpiecznie w domu. Po raz pierwszy w życiu zaczynam żałować, że nie mam jednak telefonu komórkowego, bo wtedy bym mógł sprawdzić, co u nich.

A jak następnym razem zobaczę, że Sam i Ty znów walczą na ekranach komputerów z tymi koboldami, to im powiem, że te pokraki z ich gier są gówno warte.

Rozdział 11



Mhathini okazała się przeuroczą osobą gotową zrobić wszystko, byle tylko nie musieć wracać do ojca i brata. Miała paszport i Laksha zostawiła jej wszelkie potrzebne informacje dotyczące jej finansów, dając jej także dostęp do majątku, który wiedźma zgromadziła przez te wszystkie lata swojego długiego życia. Mhathini była więc teraz niesamowicie zamożna, choć jej rodzina nie miała oczywiście o tym pojęcia. Tylko że dziewczyna nie wiedziała, jak miałyby zostać legalnie w Irlandii dłużej niż na kilka miesięcy ani w ogóle, czy właściwie chciałby tu zostać.

Wskoczyliśmy do wynajętego przez Lakshę samochodu i zawiozłem ją do Cork.

– Myślę, że wkrótce zrozumiesz, iż pieniądze dają wolność – powiedziałem. – A ich brak jest swoistym więzieniem.

– Tak, rozumiem, co masz na myśli. Całe życie byłam na utrzymaniu rodziny, a moi krewni byli... trochę nieprzyjemni. Czułam się w potrzasku. – Chmurzy się na to wspomnienie, ale zaraz dodaje: – Ale teraz chyba jestem już wolna.

– Jesteś. Możesz lecieć, gdzie chcesz, wynając gdzieś jakieś mieszkanie na kilka miesięcy, a potem przenieść się gdzie indziej. Żyłam tak przez całe wieki. Twoja rodzina w życiu cię nie namierzy, jeśli nie będziesz tego chciała. Staraj się jak najmniej pojawiać w Internecie i do wszystkiego twórz sobie nowe tożsamości. Gdy tylko ogarnie cię niepokój, leć gdzieś indziej. A gdy już znajdziesz jakieś miejsce, gdzie będziesz miała ochotę zatrzymać się na dłużej, będziesz mogła załatwić sobie jakąś wizę albo pozwolenie na stały pobyt.

Zabrałem ją do banku, żeby przelała sobie pieniądze i zapewniła dostęp do nich na jakiś czas, a potem dałem jej namiary na siebie, pożegnałem się i wróciłem do wynajętego samochodu. Gdy go oddawałem, w biurze firmy wynajmującej auta, w telewizji pokazywali wiadomości o tajemniczych wybuchach na Tajwanie, w Japonii, Alpach Bawarskich i innych miejscach. Żadnych konkretnych informacji na temat rannych i ofiar; tylko zupełnie nieoczekiwana aktywność sejsmiczna. Sejsmolodzy i geolodzy rozkładali ręce. Pojawiały się już pogłoski o innych dziwnych wydarzeniach w różnych zakątkach świata, ale też bez konkretów.

Zacząłem się zastanawiać, czy agencje prasowe wyślą swoich reporterów na miejsce wydarzeń, żeby mieć relację na żywo, ale właściwie, gdy tylko w mojej głowie pojawiło się to pytanie, znałem już odpowiedź. Tak. Ludzie w domach, pubach, na lotniskach, a nawet w wypożyczalniach samochodów będą za chwilę oglądać jakichś przerażonych dziennikarzy postawionych przed tym wyjąłym koszmarem i mówiących coś w stylu: „Jak państwo widzą, za moimi plecami ma właśnie miejsce totalna zadyma i sytuacja jest dość poważna. W głowie mi się nie mieści, że szefostwo wysłało mnie na taki syf. Mam dość. Rzucam tę robotę”.

Cóż, jeśli zdawało im się, że to dość nietypowe, zobaczymy, co powiedzą, jak zobaczą, co się zaraz będzie działo w Skandynawii. Czekają nas fabuła cięższa i mroczniejsza od najstraszniejszych szwedzkich kryminałów.

Kiedy po raz pierwszy przeniosłem się na własne nieszczęście do nordyckich krain, dowiedziałem się, że główna nić prowadząca do Drzewa Świata, czyli Yggdrasilu, znajduje się w Szwecji, „na wschód” od Norwegii, jak to ujęto w *Eddach*, ale w sumie nie aż tak bardzo na wschód.

W każdym razie ta nić – a raczej pewnie powinienem powiedzieć: korzeń Drzewa Świata – prowadzi prosto do źródła Hvergelmiru i to właśnie w tym miejscu według wróżby Mekery miała się pojawić armia Hel i zacząć Ragnarök.

Nigdy jeszcze nie zawiodłem się na wróżbach Mekery. Miałem tylko nadzieję, że zadzwoniła do Fiyori.

Splecione drzewo rosło na brzegu niewielkiego stawu pod położonym na północnym brzegu jeziora Vänern szwedzkim miasteczkiem Skoghall. Przeniósłszy się tam, natychmiast rozejrzałem się wokół w magicznym spektrum i namierzyłem nieco na południe wielką, lśniąca kulę magicznej mocy. W tym kierunku więc się udałem i szybko zrozumiałem, że to faeryczne wojsko przeprowadza musztrę na luksusowym polu z charakterystycznymi osiemnastoma dołkami. Pole na pewno było tu i wtedy, kiedy wypłynęliśmy z Granuaile i Freją na powierzchnię stawu, który okazał się portalem prowadzącym do Niflheimu, ale jakoś tak nad nim przelecieliśmy po ciemku, że nie zwróciłem na nie uwagi. Staw nie stanowił jednej z przeszkód dla golfistów, bo znajdował się nieco na uboczu, na północ od samego pola, i pewnie łączył go z jeziorem Vänern jakiś strumyczek.

Faerie nie dotarły tu przez to samo splecione drzewo co ja – na polu golfowym musiała znajdować się inna nić, bo tłum faerii pojawiał się w jednym konkretnym miejscu, a gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że nadciąga ich coraz więcej i natychmiast ustawiają się w bojowe szeregi. Nie miałem pojęcia, czy wysłała je tu Brighid czy Fand. Jeśli stała za tym Fand, oznaczałoby to, że misja Owena zakończyła się przynajmniej częściowym sukcesem, choć póki Fand nie będzie walczyć po stronie Brighid i na jej prośbę, nic nie będzie pewne.

Gdy byłem bliżej armii, zszedłem na bok. Wciąż byłem przecież Żelaznym Druidem i faerie bynajmniej za mną nie przepadały. Moja aura niszczyła je natychmiast, wystarczyło, że jej dotknęły. Zamachałem jednak do najbliższej faerii, żeby do mnie podeszła, zapewniając ją przy tym naznaczonymi w powietrzu splotami, że obiecuję jej pełne bezpieczeństwo.

Latająca faeria zbliżała się do mnie ostrożnie, a gdy uznałem, że już mnie usłyszy, uniosłem dłoń, żeby ją zatrzymać, bo wystarczyło, że mnie wysłucha, nie musiała już podchodzić bliżej.

– Przekaż, proszę, armii, że przybyłem tu, żeby walczyć przy boku faerii za Irlandię, Tír na nÓg i wszystkie faeryczne krainy!

Pokiwała głową i odfrunęła. To wystarczy. Wieść się szybko rozniesie i miejmy nadzieję, że nie będę musiał zaraz główkować, jak przeżyć salwę strzał.

Usiadłem, żeby poczekać. Prawda była niestety taka, że w tym momencie mogliśmy tylko zareagować na to, co wymyśli Loki, nie mieliśmy więc nawet jak planować. Ponieważ zarówno on, jak i Hel byli nie do wywrócenia, pozostawało nam czekać na ich pojawienie się. A to z kolei oznaczało, że Loki i Hel mogą się w ogóle tu nie pofatygować. Jedyne, czego można było być pewnym, to że stawi się tu olbrzymia armia Hel, czyli całe mrowie draugarów. Poza tym przebieg Ragnaröku był jedną wielką niewiadomą. Sam do tego doprowadziłem, zabijając Norny. I wilka Fenrisa, i Jörmungandra.

Na razie wiedziałem tyle, że rozmach przedsięwzięcia Lokiego już przerósł wszelkie tradycyjne nordyckie wizje końca świata. Siedząc na greenie, konsultowałem się z żywiołakiem, który właśnie to potwierdził. W afrykańskich krajach ludu Joruba armia oriszów walczyła pod przywództwem Szango z ajogunami. W Indiach musiał pojawić się Ganeśa wraz z całym hinduskim panteonem, żeby zaradzić jakoś atakom rakszasów i innych demonów. W Japonii Flidais zmagająca się przy boku bóstw szinto z napływającymi oni. Granuaile i Sun Wukong na Tajwanie mieli na głowie królów Jamy. I takich konfliktów było o wiele więcej. Część zaaranżował Loki, ale duża część wybuchła spontanicznie – po prostu wszystkie istoty lubujące się w chaosie rzuciły się na okazję.

Medytację przerwała mi mała, ale niezwykła delegacja faeryczna. Do mojego greenu zbliżyli się Fand, Manannán Mac Lir i pięć wielkich, pokrytych białym futrem stworzeń. Byłem prawie pewien, że wiem, kim są te włochate istoty, ale zupełnie mnie zaskoczyło to, że Fand najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu, żeby występować z nimi publicznie.

– Witaj, Siodhachanie – powiedział Manannán.

Wstałem i uśmiechnąłem się do nich.

– Manannanie, jak miło znów cię zobaczyć. I ciebie również, Fand.

Królowa Faerii skinęła mi tylko powściągliwie głową i milczała. Nie patrzyła mi nawet w oczy, wzrok utkwivszy w wiszącym na mojej szyi amulecie z zimnego żelaza. Ale pewnie taką umiarkowaną uprzejmość należało w jej wypadku uznać za wielkie ustępstwo.

– Pozwól, że ci przedstawię moje dzieci, yeti – powiedział bóg morza. Było raczej jasne, że nie są to dzieci Fand, ale bogini tego nie skomentowała. – Bardzo chciały cię poznać.

– Naprawdę? To dla mnie zaszczyt.

Manannán i Fand odsunęli się, a bóg przedstawił mi najwyższego yeti ze wspaniałymi warkoczami i srebrnymi niciami wplecionymi w zarost.

– Oto najstarszy z nich, Erlendr.

Yeti uśmiechnął się do mnie szeroko i wyciągnął wielką, włochatą łapę. Uścisnąłem ją i poczułem się trochę, jakbym wziął do ręki kostkę lodu zawiniętą w filc.

– Ach, mistrzu Siodhachanie, jakże miło cię poznać! Przyjaźnimy się z twoją uczennicą Granuaile i chcieliśmy podziękować ci za to, że ją do nas wysłałeś!

– Ona również mówi o was w samych superlatywach.

Erlendr przedstawił mi resztę i naprawdę dawno już nie czułem aż takiej radości ze spotkania z kimkolwiek. Granuaile opowiadała mi nieraz, jakie wspaniałe są yeti, ale teraz, gdy je poznałem osobiście, zrozumiałem, że są to takie osoby, których po prostu nie da się opisać. Były naprawdę wyjątkowe. Ich magia stanowiła połączenie czarodziejskich umiejętności olbrzymów mrozu z druidzkimi zdolnościami do splatania.

– Czy Granuaile opowiadała ci o lodowisku do hokeja, jakie dla nas zrobiła? – spytała mnie Hildir, która była trochę młodsza od Erlendra.

– Tak.

Wszystkie twarze yeti od razu się rozpromieniły. Nie ulegało wątpliwości, że to ich ulubiony temat.

– Jest fantastyczne! Marzy nam się, że pewnego dnia rozegramy prawdziwy mecz z ludźmi. Może z zawodowcami z NHL! Czy grasz w hokeja, mistrzu druidzie?

– Niestety nie. Ale lubię oglądać mecze na żywo i nabijać się z Toronto Maple Leafs, którym zawsze udaje się przegrać mimo tego ich wielkiego budżetu. Ale bardzo proszę, mówcie mi po prostu Atticus.

Każde z nich rzuciło parę ciepłych, puszystych i szczerych słów o Granuaile, aż w końcu usta mnie rozbolewały od nadmiernego uśmiechania się. Skúfr poprosił jeszcze, żebym przekazał Granuaile, iż lodowa rzeźba Jona Snowa z napisem „Nic nie wiesz, Jonie Snow” nadal stoi w Himalajach i że chyba Jon wciąż nic nie wie. Ísólfr wyraził nadzieję, że już wkrótce będzie mógł znów porozmawiać z Granuaile o swojej poezji. A Oddrún – najmłodsza i najmniejsza z nich, ale o wiele wyższa ode mnie – spytała o wirujące ostrze, które zrobili kiedyś dla Granuaile.

– Czy się spisało? Wszyscy nad nim pracowaliśmy.

– A! Cóż, tak... Niestety Loki je skradł.

– Loki? Ten sam, który rozpętał to tutaj, co mamy powstrzymać?

– Ten sam. Być może nawet ma je przy sobie.

Yeti zrobiły coś futrem, być może była to odruchowa reakcja: napuszyły się, a potem sierść im przyklapała. Wyrażnie się zasępiły.

– To bardzo niepokojące wieści – stwierdził Erlendr.

– Też tak sędzę.

Ziemia pod stopami zatrzęsła mi się. Spojrzeliśmy na północ – staw bulgotał i wygotowywał się. Zaraz potem nastąpiła eksplozja. Z rozszerzających się szybko kłębow par wystrzelił żółtopomarańczowy płomień, który rósł i rósł niczym góra w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była sadzawka. Wielkie odłamki granitu i bazaltu wypadały z niej jak z wulkanu, który powstawał na naszych oczach. Brakowało jednak standardowego przy tego typu wybuchach ładunku popiołu, po prostu czysta skała i płomień, erupcja w stylu tej, którą zagrał niegdyś Eddie Van Halen. Niebo było czyste jak łąza. Piękny dzień na apokalipsę w Skandynawii.

Ze szczytu wznoszącego się wciąż stożka z ognia wyłoniła się jakaś postać – potworny humanoid

wzrostem dorównujący drapaczom chmur. Gdy tylko stęzał jako tako – głowa, ramiona z topniejącej skały i serce przepełnione gniewem – nastąpił kolejny wybuch. Fontanna płomieni wystrzeliła w niebo i zalała wszystko wokół.

Więziony dotąd w Muspellheimie olbrzym ognia Surt w końcu przybył do Midgardu. Przybył, by go spalić. Zraniony, kipiący furią i małostkowością wyrażał właśnie swoją jakże długo tłamszoną nienawiść do świata, nie przejmując się zupełnie, czyją radość spali i jakie zniszczenie będzie siać wśród niewinnych ludzi tymi ogniowymi pociskami.

Bijący od niego żar palił mnie w twarz nawet z takiej odległości i wiedziałem dobrze, że mój żelazny amulet nie będzie mnie chronił przed tym płomieniem, jeśli go we mnie wyceluje. Na razie jednak pluł ogniem daleko, a my staliśmy pod rozciągającym się nad nami parasolem z płynnej skały.

Czyli tak się ziściła przepowiednia syren. Gigantycznych rozmiarów napad hysterii Surta spali świat i nie będzie na to żadnego naukowego wyjaśnienia z wyjątkiem może takiego, że nagle wybuchł wulkan w miejscu, gdzie nigdy przedtem nie odnotowano sejsmicznej aktywności. Satelity wskażą epicentrum ognia, ale tylko z naszego poziomu dało się przecież zobaczyć, że w tych płomieniach stoi jakaś postać.

Na ten pokaz mocy Surta yeti aż westchnęły chórem – ni to z podziwu, ni to z rozpaczy.

– To na nas już czas – powiedziała Oddrún, a jej starsze rodzeństwo mruknęło coś na potwierdzenie jej słów. Najmłodsze yeti odwróciło się jeszcze w stronę Manannána Mac Lira. – Kochamy cię, ojczu.

– Ja was też. Kocham was wszystkich. – Przytulił każde z nich po kolei, powiedział im, jaki jest z nich dumny; że ma nadzieję, iż będą bezpieczne; i że nie ma żadnych wątpliwości, iż potrafią uratować świat przed pochłaniającym wszystko ogniem.

Yeti odsunęły się od niego, znów się napuszyły i na ich futrze pojawiły się kryształki szronu, a ziemia pod ich stopami zamarzła. Ruszyły po wstęgach lodu i jak na łyżwach pędziły prosto w kierunku ognia.

Aż do ostatniej sekundy znajdowały się dosłownie poniżej obszaru zainteresowania Surta, po czym pojedynczy tor przeszedł nagle w pięć i każde z yeti podażyło własną świeżo skryształizowaną ślizgawką, atakując Surta z innej strony.

Erlendr uniósł się najwyżej na kolumnie z szybko topniejącego lodu i gdy wylądował na wysokości jego obojczyka, wystrzelił potężną salwą sopli, celując prosto w oczy olbrzymia. To wywołało gwałtowną reakcję Surta. Ogień przestał strzelać w górę i skierował się na zewnątrz tuż nad naszymi głowami, w jezioro Vänern i dalej, a niebo zmieniło się w płonąca otchłań pomarańcza i czerni. W rezultacie Erlendr po prostu zniknął za ścianą żaru, a Hildir i Skúfra pochłonęła magma. Ísólfur, który dotąd pędził po lodzie w stronę kolana, teraz pchnięty siłą wybuchu wypadł ze swojego lodowego toru, ale zdołał jeszcze zmrozić sobie rampę, po której zjechał jak po stoku.

Oddrún natomiast, która sunęła po lodzie tuż nad poziomem ziemi, dotarła do Surta zupełnie niezauważona. Olbrzym ognia skupiał się na opędzaniu się od jej rodzeństwa, dzięki czemu Oddrún zdążyła wbić wirujące ostrze w jeden z jego wielkich, złożonych z płynnej lawy palców, osiągając przy tym efekt natychmiastowy i katastrofalny, choć było już za późno, by uratować pozostałe yeti. Olbrzymia postać Surta zawyla przeraźliwie, bo jego dusza właśnie została oderwana od ciała i wciągnięta do zbiorniczka na energię. Kończyny mu zadrżały, a całe ciało zaczęło się rozpadać niczym pomarańczowa galareta osuwająca się na górę ognia. Ísólfur i Oddrún pomknęli, by uciec spod tego niebezpiecznego parasola, a ślad lodu za nimi topniał natychmiast, gdy z niego zjeżdżali. Udało im się wyjechać poza płonąca ruinę, ale ich futro było już mocno zwęglone, miejscami zupełnie wypalone. Świat stał w ogniu, tak jak przewidziały to syreny, ale dzięki yeti Surt nie zdołał go całego spalić.

Armia faerii odważyła się zakrzyknąć triumfalnie, choć ostrożnie. Okrzyk ten nie trwał zresztą długo. Portal do nordyckiej krainy znów się otworzył i tym razem nastąpiła innego rodzaju erupcja – z Helu wypłynęły draugary, martwiacze widma, uzbrojone, nieustraszone, gotowe wyciąć w pień wszystko, co im stanie na drodze.

Rozdział 12



Sifu Sun chwytą swój kij tak, że jest on skierowany w moją stronę, po czym mistrz opiera go sobie na lewym biodrze. Jest to pozycja, którą zaprezentował mi kiedyś Atticus tylko w ramach pokazania, czego nie będziemy się uczyli. Powiedział, że to technika używana w stylu walki wykorzystującym bardzo długi i ciężki kij, a ponieważ taka broń jest niepraktyczna, pominiemy tę metodę i skupimy się na tych, w których wykorzystuje się krótsze kije. Jednak Małpi Król najwyraźniej uważa, że mam walczyć w ten sposób moim kijem, pytam go więc, czy jego zdaniem Scáthmhaide się do tego w ogóle nadaje. Kręci głową.

– Złe pytanie. Odrzuć założenia co do nadciągającej bitwy. Nie będziesz walczyła z ludźmi. Twoi przeciwnicy są o wiele silniejsi i będziesz musiała wykorzystać swój środek ciężkości i siłę bioder. Te stworzenia zupełnie inaczej się też poruszają. Znane ci dotąd sposoby obrony będą przy nich tylko częściowo skuteczne.

– Tak właściwie to o jakiego typu stworzeniach mówimy?

– Długie ręce, raczej więcej niż dwie. Ostre skrzydła. Niektóre mają języki jak żaby, ale nie takie lepkie, tylko sztywne i zaostrome na końcu. Używają ich, żeby przebijać ciała.

– Bosko. Czy to buddyjskie demony?

– Niektóre. Ale tylko niektóre. Piekła dziesięciu królów Jamy to zmiksowana kraina.

Patrzę na niego tępo, bo mam wizję jakiegoś upiornego koktajlu z kawałkami demonów w środku.

– Jak to zmiksowana?

Przechyla głowę i drapie się po brodzie.

– Brakuje mi czasem słów. Spróbuję to wyjaśnić na własnym przykładzie. Nauczyłem się wielu sztuczek i umiejętności od mistrzów taoistycznych. Stopniowo zbliżałem się do buddyzmu, aż w końcu zupełnie mnie on przekonał, choć wcale nie odrzuciłem mojej taoistycznej wiedzy. Wielu ludzi na Tajwanie, w Hongkongu i w Chinach wierzy także w nauki Konfucjusza. Wszystkie te trzy systemy żyją w tym samym domu w harmonii. Można to zresztą zobaczyć w wielu świątyniach. Jest na to takie angielskie słowo, mam je na końcu języka... Jak się nazywa takie miksowanie wiar bez konfliktu?

– Czy sifu Sun ma może na myśli synkretyzm religijny?

– Ma! Znaczący mam. Wam na Zachodzie może się to wydawać dziwne, bo życie w przekonaniu, że trzeba wierzyć w tylko jedną rzecz, ale tu, na Wschodzie, nie mamy z tym problemu.

– Ja też nie mam z tym problemu, sifu. Studiuję różne religie i filozofie.

– Doskonale. Zatem tak jak to jest w świątyniach i niebiosach, tak też jest w piekłach.

– Tak w piekle, jak i na ziemi?

– Otóż to. Zobaczysz potwory taoistyczne oraz demony buddyjskie. Spotkasz się z hybrydami tych dwóch. I nie będą one walczyć tak jak coś, co dotąd widziałas. Musisz więc walczyć tak jak one, mieszając style, nie przywiązując się do takiej czy innej formy, skupiając się za to na czystej ekspresji bitwy, której będą wymagali twoi zmieniający się przeciwnicy. Zaczniemy więc od tej pozycji, ale będziemy przechodzić z niej w inne formy i wracać.

– Teraz już rozumiem, sifu.

– Zaczynaj. Zaatakuj, a ja pokażę ci zalety tej pozycji.

Atakuję go więc z różnych stron, a on pokazuje mi, jak działa ten sposób obrony, i kontratakuje; potem zamieniamy się rolami, żebym nauczyła się wszystkich ruchów i wykonywała je płynnie. Ćwiczymy tak, a tymczasem nad parkiem Yangmingshan trwa walka. Sifu przerywa, gdy góra wybucha kolejną, zupełnie tym razem inną hordą. Te demony wyglądają... solidniej. Może są po prostu większe. Ale też widzę jakieś mniejsze ciała, jakby ludzkie.

– Drugi król Jamy – wyjaśnia mój nauczyciel i wrywa sobie znów trochę futra, tworząc w ten sposób jeszcze więcej swoich klonów, które natychmiast pędzą w powietrzu na północ, by dołączyć do walki.

Z ulic poniżej dobiegają nas okrzyki i uniesione głosy. Ludzie w mieście zorientowali się już, że coś jest nie tak.

– Paniki ludzkiej boję się niemal tak jak demonów – mówię do Małpiego Króla. – Za chwilę będzie pełno wypadków samochodowych, stratowań i kto wie, czego jeszcze. I to wszystko, zanim w ogóle demony dotrą do miasta.

– Tak. Tak właśnie postępują ludzie, którzy nie odnaleźli pokoju. Lecz postaramy się trzymać demony w obrębie Yangmingshan i zminimalizować straty w ludziach.

– A jeśli nam się to nie uda?

– To wielu ludzi przesunie się na kołowrocie samsary.

– Mam pytanie, sifu. Dzięki splotom na moim kiju mogę stać się niewidzialna. Czy to nie sprawia, że ta moja obrona będzie nieco bez sensu? Bo wiesz, przeciwnicy i tak jej nie zobaczą.

– Zobaczą cię jak słońce na niebie. Twoje sploty nie mają dla nich znaczenia. Przecież nie będą na ciebie patrzeć ludzkimi oczyma. Te stwory z piekieł potrafią przejrzeć wszelką zasłonę.

– Aha.

– A teraz skup się. Powtarzamy sekwencję. Pokaż mi, czego się już nauczyłaś.

Rzuca się na mnie, atakując mnie ostro, a ja muszę się bronić przed ciosami nadciągającymi dosłownie ze wszystkich stron.

I tak ciągniemy, aż pojawia się trzeci król Jamy. Wtedy Małpi Król wysyła kolejną porcję klonów. Jestem już wykończona, a palce mam całe w odciskach od kija i obłazi mi skóra. Od wielu godzin nie miałam kontaktu z ziemią, powoli kończy mi się więc energia. Obawiam się, że jeśli się teraz nie podleczę i nie podładuję, do niczego się nie nadam.

– To tyle – mówi sifu Sun, wysławszy trzecią porcję klonów w wir walki. – Nie mogę już się więcej mnożyć, a ty jesteś zmęczona. Poza tym czas nam się kończy. Wróćmy do sklepu.

– Dziękuję za naukę, sifu.

– Proszę bardzo. Ale nie jestem już twoim nauczycielem, możesz mi więc znów mówić Wukong.

Kiedy schodzimy na dół, w sklepie nie ma żadnych klientów. Zostało tylko kilku pracowników, którzy kłócą się o coś głośno po mandaryńsku. Głos Wukonga ucina sprzeczkę. Małpi Król odprawia ich i wychodzą – wciąż w ludzkich postaciach. Licho wie, dokąd poszli na czas nadciągającej apokalipsy. Wukong zamyka za nimi drzwi na klucz i wiesza tabliczkę, która pewnie po mandaryńsku oznacza, że sklep zamknięty. Zaciąga też rolety, żeby nikt nie zajrzał przez okno. Potem odwraca się w moją stronę i uśmiecha się do mnie.

– Masz ochotę na *bubble tea*?

– Poważnie?

– Tym razem proponuję inny smak. To coś wyjątkowego.

– No dobra. A potem co?

– Potem pójdziemy walczyć i przeżyjemy lub nie.

– A ty możesz w ogóle umrzeć?

Małpi Król śmieje się, krzątając się przy swoim herbacianym barku.

– Przyznaję, że szanse na to są małe. Ale chyba jest to możliwe. Jeśli to jednak nastąpi, podejrzewam, że moje życie pośmiertne nie będzie takie złe. A ty?

– Pytasz o to, czego się spodziewam po śmierci? Ile mam punktów karmicznych czy coś?

– Tak. Mówię o karmie.

– Wiesz, kiedy lecę tanimi liniami, nigdy nie odchylam fotela do pozycji leżącej, żeby nie naruszać przestrzeni osoby za mną.

– Nie wiem, co to są tanie linie, ale cieszę się, że nie naruszasz przestrzeni innych osób.

– Właśnie! Dawno już doszłam do wniosku, że odchylanie fotela w tanich liniach to pewny znak moralnego dna! No, chyba że w grę wchodzi jakieś problemy z kręgosłupem czy czymś takim. Yyy...? Co robisz?

Sun Wukong stuka kilka razy knykciami w ścianę w takim rytmie, że nie może być mowy o przypadkowości, a gdy kończy, odsuwa się jeden panel i moim oczom ukazuje się sejf. Małpi Król manipuluje chwilę przy pokrętłach i uśmiecha się do mnie przez ramię.

– Wyciągam specjalne składniki do twojej herbaty.

– Trzymasz jedzenie w sejfie? Czy to... hm... bezpieczne?

– Tak. Możesz się teraz zrelaksować i zaufać moim metodom przechowywania żywności.

– Tak, oczywiście.

Następuje kliknięcie, Małpi Król przekręca klamkę i sejf się otwiera, a w środku widzę szklany pojemnik z przykrywką. Nie papiery wartościowe. Nie bloki narkotyków. Tylko zamknięty pojemnik z owocami, które Wukong wyciąga ostrożnie z sejfu.

– Ach. Czyż nie wyglądają wspaniale?

Nie bardzo wiem, co to właściwie jest. Jakies kawałki jasnożółtego owocu.

– Czy to mango? A może papaja?

– Nie. To brzoskwinie nieśmiertelności.

Mrugam i podnoszę wzrok na Małpiego Króla, potem znów moje spojrzenie wraca na owoce.

– Brzoskwinie nieśmiertelności? Te, które ukradłeś tysiące lat temu, żeby przedłużyć sobie życie, czym tak ogromnie wkurzyłeś niebiosa?

– Takie właśnie. Te jednak akurat dostałem za zgodą właściciela.

– I zamierzasz z nich zrobić *bubble tea*?

– Tak!

– Dla mnie?

– Właśnie!

Odstawia misę na bar i zdejmuje przykrywkę, a pokój natychmiast wypełnia cudowny zapach brzoskwiń. Przymykam oczy i się nim rozkoszuję. Boski.

Potem następuje miksowanie, przelewanie i wreszcie słycać, jak plastikowa pokrywka zamyka się na moim kubku.

– Proszę bardzo – mówi w końcu Wukong. Otwieram oczy i widzę żółtopomarańczowy napój.

– Zgodnie z zamówieniem: *bubble tea* „Nieśmiertelna Brzoskwinia”.

– Och jejku. Dziękuję.

Biorę ją ostrożnie i kłaniam mu się, na co odpowiada skinieniem głowy. Podaje mi słomkę, którą wtykam przez małą dziurkę w przykrywce. Piję. To najwyborniejszy smak, jaki kiedykolwiek czułam na języku. Odtąd już zawsze, jedząc brzoskwinie, będę szukała tego smaku, choć z pewnością nigdy nic nie będzie się z nim równać.

Zresztą nie chodzi tylko o smak tej herbaty. Jej efekt jest ewidentny i natychmiastowy. Zmęczenie znika, a moje mięśnie znów są silne i gotowe.

– Żałuję, że brak mi słów, którymi mogłabym wyrazić, jaka jest przepyszna – mówię. – Na cześć tej herbaty powinno się pisać wiersze.

– Lubisz poezję?

– O tak! Właśnie uczę się na pamięć polskiej poezji, żeby stała się moją drugą przestrzenią myślową. Myślę, że potem zacznę czytać poezję mandaryńską.

– Tak, w tym języku pisało wielu wspaniałych poetów, szczególnie za czasów dynastii Tang. Czy słyszałaś może o Wang Weiu?

– Nie.

– Często pisał o przyrodzie, myślę więc, że spodobałby ci się. Niech pomyślę... Może mógłbym przetłumaczyć dla ciebie kilka wersów?

Jego głos staje się niższy i dudni mi o bębni niczym grzmot zapowiadający letnią burzę, gdy recytuje:

Nie mam planów na przyszłość.

Wiem tylko, że wrócę do starego lasu.

Lakoniczność tego wiersza mnie zaskakuje, ale te kilka słów natychmiast wywołuje wspomnienia; jest to rzeczywiście taki plan, jaki zawsze będę mieć bez względu na wiek. Ogarnia mnie nagle tęsknota za Orlaith i jej szczeniętami, za Atticusem i Oberonem. Zadziwiające, jaką moc może mieć kilka słów.

– To piękne.

– Tak – zgadza się ze mną Wukong. – Pozostaje nam mieć nadzieję, że będziemy mieli jakąś przyszłość i jakiś las.

Rozdział 13



Na mój rozum całe to zamieszanie z koboldami dostarczyło mi już dość ryzykownych rozrywek na dziś. Ale gdzie tam! Ledwie zdołam to w ogóle pomyśleć i stwierdzić, że najlepiej by teraz było znaleźć moich uczniów, dostając wezwanie, żeby zaradzić coś na jakiś bałagan w Ameryce Północnej.

Jestem goły jak święty turecki, ale zdarza nam się to z Gretą na tyle często, że zorganizowała nam skrytkę na ubrania w lesie przy naszym domu niedaleko mojego splecionego drzewa. Postawiła tam jakąś starą komodę, którą kupiła gdzieś za półdarmo. Znajduje się ona na tyle daleko od domu, że nie zobaczy mnie żaden z uczniów, choć teraz to raczej nie problem, bo przecież pewnie jeszcze lecą. Przenoszę się tam w każdym razie, żeby włożyć czyste dżinsy i koszulę, a zaraz potem znów leżę po nici, tym razem na północ Stanów, bo wzywa mnie tamtejsza żywiołaczka.

Łąduję w Górach Skalistych; konkretnie jest to pasmo Lewisa, które ciągnie się z północy na południe, przekraczając granicę między amerykańskim stanem Montana a kanadyjską prowincją Alberta. Ktoś tu otworzył portal, bo temperatura w okolicy spadła poniżej wszystkiego, co mogłoby tu uchodzić za normę. W Montanie to pasmo jest częścią Parku Narodowego Glacier, o którym już słyszałem. To znaczy głównie to słyszałem, że kiedyś były tu lodowce, ale w zeszłym stuleciu stopiły się jak wsadzone do piekarnika lody.

Przeniósłszy się na miejsce, pytam żywiołaczkę, w czym problem.

//Nie wiem / Jakies źródło zimna na północy / Znajdź i wytłumacz//

Dobra, rekonesans mogę zrobić. Ale już czuję porządny mroźnik – moimi sutkami to by można teraz ciąć diamenty. W tej części świata jeszcze jest ciemno, włączam więc noktowizję. Nawet na tej wysokości i o tej porze dnia nie powinno tu być aż tak lodowato. Z rezygnacją rozbieram się i przeplatam w czerwoną kanię, żeby unieść się w to zimne powietrze. Co ciekawe, gdy tylko wznoszę się na kilkaset metrów powyżej szczytów gór, robi się cieplej. Nie jakoś przyjemnie – bo wciąż jest ziąb jak cholera – ale jednak temperatura jest wyższa, a nie tak powinno przecież być. Normalnie im wyżej się jest, tym się robi zimniej, nie cieplej.

Kieruję się na północ i zupełnie mnie zatyka na ten widok – te Góry Skaliste to są piękne, nawet w takich granatowych, nocnych odcieniach. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Alpy Bawarskie były piękne, to prawda, ale nie miałem okazji ich podziwiać z lotu ptaka. W Irlandii takich gór to nie mamy. Nie widziałem też nic podobnego podczas tych kilku wycieczek do Europy, jakie sobie za dawnych lat zrobiłem. Naoglądałem się w życiu pięknych klifów i widziałem parę fantastycznych wzgórz, ale nie takie górzyśka. W takiej krainie to się druid naprawdę może zakochać.

Im dalej lecę na północ, tym powietrze się robi cieplejsze i w końcu widzę dlaczego. W górach siedzi cała banda olbrzymów mrozu, które wysysają zimno z powietrza, zostawiając tylko ciepło, co tworzy jakby komin termiczny. Z całego tego zimna i wilgoci budują sobie jakieś schronienia z lodu. Wokół nich wała się mnóstwo toreb, pakunków i paczek, a jeden z nich kopie łopatą dół na ognisko – choć może tylko ja tak to sobie wyobrażam, bo teraz to już po prostu marzę o ognisku.

Widzę, jak pod ich wyciągniętymi dłońmi krystalizuje się lód i śnieg, z którego powstają lodowe ściany, i po tym ich poznaję. Bo inaczej można by ich było wziąć za grupkę wysokich chłopaczków z niebieskawą skórą, może za jakieś faerie. Ale co tu robią olbrzymy mrozu z nordyckich opowieści? Tyle dobrego, że chociaż portal, przez który przeszli, już jest chyba zamknięty, tylko kto go im w ogóle otworzył?

Krażę nad nimi, licząc, że ukryje mnie ciemność nocy w połączeniu z tendencją ludzi do niespoglądania w niebo, i próbuję przypomnieć sobie wszystko, co o nich wiem.

Według najstarszych opowieści o Ragnaröku zacznie się on latami zimna, żeby zmiękczyć krainę ludzi – po ichniemu Midgard – i żeby łatwiej ją było potem podbijać. Może nadal taki jest ich plan, tylko postanowili zacząć od innego kontynentu. Może Loki wykombinował, że jak podporządkuje sobie jedną półkulę, to druga padnie bez trudu, jeśli ją tylko dobrze zmrozić na samym początku wiosny. Ameryka Północna przegapi cały okres wegetacyjny i nagle ta kraina dostatku zacznie się borykać z problemem głodu. Słabi ludzie słabo walczą.

Może o to chodzi. Tylko że te olbrzymy nie wyglądają mi jakoś na siły wojskowe. Mają ze sobą małe. Takie olbrzymie dzieciaki. Tak, to całe rodziny.

Moją uwagę przykuwa jaskrawy ruch na niebie. W ciemności widać pasma pomarańcza, coś jakby deszcz meteorów, ale lecących tak blisko, że chce się wrzeszczeć w panice, i choć wiele z nich mija nas dość wysoko i leci gdzieś dalej na zachód, na moje oko część spadnie dość blisko.

I rzeczywiście jeden wali w ziemię w naszej okolicy, może z kilometr na wschód stąd, i ląduje na porośniętym drzewami zboczu. Las natychmiast staje w płomieniach, co daje efekt wprost przeciwny do przytulnego ogniska. To wcale nie meteory, to kule ognia. A jak coś takiego wyląduje na zalesionym terenie, nie da się tego tak łatwo ugasić. Pożar będzie się rozprzestrzeniał przez wiele dni, chyba że olbrzymy mrozu postanowią coś z tym jednak zrobić.

I robią. Najpierw trochę gniewnie postępują, wskazując niebo, ale potem cztery olbrzymy zostawiają resztę i sadzą wielkimi krokami w stronę płonącego lasu. Tak se myślę, że to pewnie olbrzym ognia Surt wylazł z Muspellheimu. Czyli będzie tych pożarów więcej, i to na całym świecie, pewnie także w okolicach Flagstaffu. A tam mamy od groma suchych sosen. Właściwie to wszędzie jest pełno drzew. Pożary spustoszą naszą planetę.

Odsuwam się od tych olbrzymów, które budują sobie schronienie, i lecę za tymi, które poszły w stronę ognia. Teren jest trudny do przejścia, ale na ich wielkich nogach całkiem sprawnie to idzie. Na miejsce docierają jakieś dwadzieścia minut później, a tymczasem pożar już nieźle się rozprzestrzenił. Łączą swoje talenty i zaczynają obrzucać płomienie śniegiem, podnoszą go z ziemi i otulają nim pnie i gałęzie.

Trochę im to zajmie, ale strzelam, że za godzinę pożar będzie ugaszony. A takie zachowanie sugeruje, że oni nie grają w drużynie Lokiego. Bo gdyby byli po tej samej stronie, powinni właśnie zanosić się śmiechem i zacierać ręce, jak to mają w zwyczaju wszelakie zbiry, które liczą, że już wkrótce świat będzie należał do nich. Schronienie, które sobie budują, i tak znajduje się ponad linią drzew, właściwie więc pożar nie zagrażałby im bezpośrednio, chyba że chcą zachować środowisko naturalne okolicznej zwierzyny. A to myślenie długoterminowe. To coś, co se robisz, jak se planujesz gdzieś zostać na dobre. To coś, co se robisz, jak chcesz chronić okolicę, w której chcesz zamieszkać.

Krążę teraz znów nad tą częścią grupy, która nadal buduje schronienie, i przyglądam im się. To nie bunkier ani koszary. To dom. Dwa olbrzymy – kobieta i mężczyzna – dekorują właśnie kolumnienki z przodu, rzeźbiąc w lodzie jakieś zawijasy i kwiatki. Uśmiechają się do siebie i mówią: „Grrr”, cokolwiek to ma znaczyć. Szkoda, że nie mogę z nimi pogadać. Mówią po staronordycku, a tego języka nie znam.

Ale jak tak na to patrzę – ten typ budowli, rodzaj grupy, bagaże – na moje oko to są uchodźcy. Te rodziny nie są ani częścią Ragnaröku, ani jakichkolwiek innych knowań Lokiego. Szukają tylko bezpiecznego schronienia dla dzieciaków, a w tym zakątku Gór Skalistych naprawdę pałęta się mało ludzi. Siodhachan opowiadał mi trochę o parkach narodowych. Mówi, że niewiele w nich dróg, a te nieliczne, które już są, są zamykane na zimę i część wiosny. Jedyni ludzie, którzy mogą tu łążęgować, to właściwie alpiniści, a i to tylko latem, ale jeśli olbrzymy utrzymają szczyty gór pod śniegiem i lodem – co na tych wysokościach nie powinno sprawić im trudności – nawet to im nie grozi.

Głowy oczywiście nie dam. Może w którejś z tych ich toreb kryje się jakiś podły plan, ale w każdym razie nie wyglądają na takich, co zamierzaliby się brać do niszczenia świata. Moim zdaniem te olbrzymy chcą się raczej schować w tym zakątku i nikomu nie przeszkadzać. Prawda jest taka, że nie robią w tej chwili nic, co by wymagało ode mnie założenia kastetów. Otworzyły portal, co wywołało niepokój żywiołaczki, ale już się za nimi zamknął, a na razie nie zrobiły właściwie nic takiego, jeśli nie liczyć lekkiego schłodzenia klimatu, zbudowania domu z lodu i wygaszenia pożaru. Należy uznać, że to

niekryzys.

Łąduję na północ od nich, żeby złożyć żywiołaczce raport.

//Dwanaścioro olbrzymów mrozu / Budują schronienie / Zamiary nieznane// mówię, a potem dodaję, że portal został już zamknięty, choć pewnie żywiołaczka i tak już o tym wie.

//Dobrze / Poczekaj i obserwuj// odpowiada, uznaję więc, że najlepiej będzie przemienić się w niedźwiedzia, bo co mi to da, że tu zmarznę na kość. W końcu niedźwiedzie trochę lepiej znoszą zimno.

Brnę w śniegu i znajduję takie miejsce, z którego mogę spokojnie obserwować olbrzymy z oddali. Rozpaliły już to przytulne ognisko, które mi się marzyło, i zaczęły budować drugi dom. Para, która dekorowała pierwszy dom, staje kawałek dalej, żeby objąć go spojrzeniem. Podziwia swoje dzieło z uśmiechem. Mężczyzna rozkłada ramiona, przymyka oczy i robi głęboki wdech, obracając się w miejscu. Mamrocze coś i kiwa głową, a kobieta mówi:

– Grrr – i też kiwa głową w odpowiedzi.

Podoba im się tu, bo i jakżeby się miało nie podobać? Jest tu cholernie pięknie i gdybym tylko lubił taki ziąb, też bym chciał tu zostać.

Dalej nie wiem, jak się tu dostały i kto im otworzył ten portal, a potem go zamknął, ale nie jest to chyba pilna sprawa, która by natychmiast wymagała mojej uwagi. Te stworzenia pokazały swoimi czynami, że przybyły tu, żeby budować i chronić, a nie burzyć i niszczyć. A tymczasem wiem na pewno, że jest wiele innych miejsc, w których właśnie dochodzi do zniszczeń. Te kule ognia z pewnością palą wszystko, w co trafią – może z wyjątkiem oceanów – ale zdaniem żywiołaków te pożary mogą tak płonąć albo może ktoś inny je gasi. Po prawdzie zwykle rośliny wracają jakoś do życia po pożarze. O wiele trudniej im się odrodzić, gdy otwarcie portalu wysysie energię z całej okolicy.

Gdy tak patrzę, jak olbrzymy mrozu budują swoją wioseczkę, zaczynam się zastanawiać, czy nie dałoby się z nimi współpracować. Mógłbym na przykład wpleść całe tony węgla w ten lód, gdyby tylko zgodziły się odbudować lodowce. To by mogło być z pożytkiem dla regionu i całego świata. Siodhachan powinien z nimi o tym pogadać. Mam tylko nadzieję, że jakoś se radzi.

Te olbrzymy mrozu, które poszły gasić pożar, w końcu wracają i pomagają budować domy. Chwilę po zmroku uznają, że starczy na dziś, a potem znikają w środku, żeby odpocząć. Z ulgą melduję żywiołaczce, że olbrzymy nie wydają mi się szkodliwe.

Żywiołaczka daje mi pozwolenie na odmeldowanie się i odpoczynek, ale zaraz zmienia zdanie, przekazując mi niepokój żywiołaka z okolic równika. Coś straszego dzieje się w Peru.

Rozdział 14



Po ogniu siłą rzeczy spodziewałem się lodu. Przecież zawsze się mówiło, że olbrzymy mrozu staną po stronie Lokiego i zmrożą świat. Ale z jakiegoś powodu z nordyckiej krainy wylało ich tylko kilka, ochłodziły nieco okolicę i wyrównały drogę dla hord bogini śmierci, to wszystko. Następnie z wulkanicznego stożka wylały się na świat zastępy draugarów, czyli wyposażonych w ducha martwiaków z Helu. To właśnie ten duch w nich zupełnie wiązał mi ręce. Gdyby go nie miały, mógłbym je rozplatać jak wampiry, a tak to nie wiadomo było właściwie, jak je zabijać. Wydawało się, że jedynym rozwiązaniem jest dekapitacja, ewentualnie wydłubanie im jakoś mózgu. Tylko to je skutecznie zabijało. A na dodatek dysponowały kilkoma sztuczkami, które jeszcze dodatkowo utrudniały nam zadanie: mogły z łatwością puchnąć lub się kurczyć i były półcielesne, czyli jeśli chciały, mogły przechodzić przez ciała stałe lub pozwalać ciałom stałym przechodzić przez nie. Trochę jak te upiorne bliźniaki w drugim *Matriksie*, tylko że draugary były odrobinę wolniejsze i nie miały takiego poczucia humoru ani szalonych dredów.

Właściwie pod względem mody nie były to postacie szczególnie ciekawe. Miały wprawdzie miecze, tarcze i hełmy, ale reszta im zwisała. I nie mówię tu tylko o tych częściach niecenzuralnych, ale o wszystkich bebechach. W ogóle wyglądem przypominały nieco Hel, tylko że ich ciało było w większości szare i pozbawione już krwi. Były to tylko wozy z martwego mięsa dla bardzo smutnych duchów – i to mówimy tu o dość nieapetycznym mięsie, tak z dziewięć stopni poniżej wołowiny z fast foodów.

Za nami, kilka greenów dalej, zagrzmiało na mrocznym niebie i pojawiła się łącząca niebiosa z ziemią tęcza. Był to kolejny portal do jednej z nordyckich krain, tym razem do Asgardu. Po moście Bifrost maszerowało dziesiątkami wojsko uzbrojone o wiele lepiej niż zmarli Hel, choć ściśle rzecz biorąc, byli właściwie tym samym – duchami podwożonymi przez cielesne manifestacje. To einherjarowie, waleczni wyróżnieni po śmierci przez walkirie, by żyć w Walhalli i ucztować z Odynem. Już od stuleci przygotowywali się na tę właśnie bitwę. Widać strasznie się wczuwali w te przygotowania, a szczególnie w zabijanie, bo męźnych zmarłych było znacznie mniej niż innych zmarłych. Prezentowali się, owszem, bardzo przystojnie, gdy tak maszerowali w wypolerowanych na błysk hełmach żebrowych i z pomalowanymi jasno tarczami z drewna. Tylko że było ich przerażająco mało.

Żeby wyrównać szanse, siły nordyckie miały po swojej stronie paru bogów. Za einherjarami jechał na wspaniałym, choć dość zwyczajnym koniu Odyn. To przeze mnie nie jechał na Sleipnirze. Zresztą wszystko to właściwie działo się przeze mnie.

Nad Odynem krążyły na białych skrzydlatych koniach walkirie. U jego boku jechała Frigg, a za nią na rydwaniu zaprzężonym w latające koty – Freja. Dalej ciągnęło jeszcze więcej Azów, a także Wanowie, krasnoludy z Nidavelliru oraz elfy z Álfheimu, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wszystko to mało i że nie mają szans bez jakichś posiłków z zewnątrz.

Wkrótce jednak pojawiły się posiłki. Nim jeszcze armia nordycka zeszła z tęczowego mostu, na lewo ode mnie otworzył się kolejny portal i przez chwilę myślałem, że to następny olbrzym ognia wylania się z Muspellheimu, ale szybko zrozumiałem, że się mylę. Była to przyodziana stosownie do bitwy Brighid, która unosiła się na kolumnie z ognia. Za nią zaś nadciągała nie tylko jej armia faeryczna,

ale i armia sprzymierzeńców, których udało nam się przeciągnąć na naszą stronę – mroczne elfy ze Svartálfheimu. No, teraz być może mamy nawet jakieś szanse w tej walce.

Brighid spojrzała na zajęte musztrą bojową draugary i ruszyła w moją stronę. Omiotła wzrokiem wielką armię faerii i Fand z Manannánem, którzy czekali na jej przybycie, ale jeszcze się z nimi nie przywitała. Wylądowała na ziemi w wypalonym przez ogień kręgu, wygasła swoje płomienie i zdjęła hełm.

– Siodhachanie, dlaczego tak tu sam stoisz?

– Większość z tych, przy których będę dziś walczył, nie przepada za mną.

– No tak, Olimpijczycy cię jakoś nie kochają.

– Olimpijczycy?! Są tu? Gdzie?

Brighid wskazała coś za moim ramieniem. I rzeczywiście za mną, trochę na lewo, ujrzałem bogów grecko-rzymskich. Zeus, Jowisz, Hermes i Merkury unosili się w powietrzu ponad innymi. Tak jak wcześniej, gdy spotkaliśmy się w Anglii, Zeus miał widoczną erekcję pod himationem – najwyraźniej podniecała go wizja rychłej przemocy. Byli obaj Apollinowie, a także Ares, Mars, Atena i Minerwa. Tej ostatniej czwórki nigdy jeszcze nie widziałem na żywo i naprawdę wołałbym nie wdać się w bójkę z żadnym z nich. Bogowie wojny stali w swobodnych pozach, mimo że ilość stali, w jaką się zakuli, była zbliżona do tej, z jakiej się robi ciężarówkę, a w dodatku dzierżyli wielkie tarcze i broń. Boginie mądrości uzbrojone były nieco rozsądniej, ale nie zmniejszyła to zabójczego wrażenia, jaki na mnie zrobiły. Sowa Ateny przysiadła na jej ramieniu, a sowa Minerwy zataczała leniwe koła ponad Olimpijczykami. Z ulgą stwierdziłem, że nie ma Bachusa i Diany, bo każde z nich natychmiast rzuciłoby się mnie ćwiartować, by móc mną nakarmić swoje ogary.

Pomachaliśmy do nich, a Olimpijczycy odpowiedzieli uprzejmym skinieniem głowy. Szata Zeusa drgnęła.

– Czy Hel lub Loki już się zjawili? – spytała Brighid, oglądając się na zbocza wulkanu, z którego wciąż wylewało się coraz więcej draugarów.

– Nie widziałem ich. Ale może już tu są w przebraniu i nas obserwują.

– Hmm. – Brighid się zadumała, po czym pokręciła głową. – Może Hel by tak zrobiła. Ma szerniałe serce, ale za to nie cierpi na takie rozdęte ego jak jej ojciec. Loki natomiast z pewnością się ujawni. To kwestia jego charakteru. Musi błyszczeć i okazywać swoją moc. Może chwilowo schował się w tej hordzie, ale w końcu się ujawni i stanie naszym celem.

– Pewnie tak. A gdy się już ujawni, macie jakiś plan, jak go zlikwidować? Biorąc pod uwagę, że jest odporny zarówno na ogień, jak i na błyskawice.

– Na błyskawice? – spytała Brighid z niezadowoleniem. – Czy nie tym właśnie karał go Thor?

– Być może kiedyś. Ale ostatnio Perun cisnął w niego kilkoma piorunami i na Lokim nie robiło to żadnego wrażenia.

– Cóż, w każdym razie nie jest odporny na stal. A tego nam nie brakuje. – Brighid rozejrzała się dyskretnie, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje, po czym zniżyła głos. – Prawdę powiedziawszy, przyjmujemy zakłady, kto go dorwie. Ja postawiłam na Aresa. Wchodzisz?

– Jasne. A kto jest jeszcze wolny? Na kogo można postawić?

– Na ciebie na przykład.

– Na mnie? To nikt nie uważa, że go dorwę?

– Dotąd jakoś nie. Bogowie wojny i piorunów już są zaklepani, tak zresztą jak Apollinowie i wszyscy bogowie nordyccy. I ja, poza tym jeszcze Fand i Manannán.

– A jeśli jednak to ja go dopadnę, a nikt na mnie nie postawi?

– Wtedy wygrasz całość. Bo ten, co go dorwie, dostaje połowę, a ten, kto postawił na daną osobę, drugą połowę.

– I nikt jeszcze nie postawił na boginie mądrości?

– Jeszcze nie.

– To stawiam dwie dychy na Atenę.

Brighid popatrzyła na mnie gniewnie.

– Przecież nie posługujemy się w naszych zakładach współczesnymi środkami płatniczymi

– zachnęła się.

– To czym? Mam tylko nadzieję, że nie jakimiś przysługami, które zostaną doprecyzowane dopiero potem.

– Nie... – Urwała, westchnęła i przewróciła oczami. – To nie był mój pomysł, jasne? Zresztą Odyn mówi, że to twoja wina.

– Oczywiście. Wszystko to moja wina.

– Zakładamy się o Girl Scout Cookies. Tysiąc pudełek. Zwycięzca decyduje, którego rodzaju ciasteczek sobie życzy.

– Kpisz sobie ze mnie, tak?

– Nie. Odyn ma na ich punkcie jakąś obsesję. A wszystko to podobno przez to, że mu kiedyś podarowałaś samoasy.

– Dobra, to stawiam tysiąc pudełek Girl Scout Cookies na Atenę.

– Okej.

– Tak z ciekawości, kogo wybrał Odyn?

– Freję. A teraz pozwolisz, że cię na chwilę przeproszę. Muszę się przywitać z Manannánem i Fand.

I znów nagle byłem sam, a do tego aż nadto świadom, że po naszej stronie mam chyba mniej więcej tyle samo wrogów co w armii Hel. Olimpijczycy bynajmniej nie podeszli się ze mną przywitać. Tak zresztą jak i faerie. I mroczne elfy. Będę musiał mieć oczy dookoła głowy, choć z wyjątkiem mrocznych elfów i niektórych faerii większość wojowników po naszej stronie nie ma chyba w zwyczaju wbijać ludziom noża w plecy. W każdym razie przynajmniej bogowie.

Właściwie był taki jeden i liczyłem, że tu go dziś spotkam właśnie ze względu na jego imponujące zdolności do wbijania noża w plecy, ale nigdzie go nie widziałem. Kojot jednak się nie pojawił, choć musiałem sam przed sobą przyznać, że nie robił mi przecież wielkich nadziei, że się stawi.

Miałem dziwną pewność, że już wkrótce wtrąca się w to także normalni ludzie, „zwykli śmiertelnicy”, jak mawiali o nich Olimpijczycy. Wszelka naukowa aparatura zwrócona w tę stronę świata pewnie nieźle im już świruje. Jak dotąd otworzyły się tu aż trzy portale, a do tego nastąpił zupełnie niewyjaśnialny naukowo wybuch wulkanu. Jeśli doliczyć wyładowania atmosferyczne, które z pewnością spowodowali Zeus i Jowisz samym swoim pojawieniem się tutaj, należało się spodziewać wszelkiego rodzaju dochodzeń ze strony szwedzkiego rządu, ale pewnie innych też, przynajmniej przez satelitę. Foliarze będą mieli się czym ekscytować przez całe dziesięciolecia.

Żałowałem bardzo, że nie możemy się z tego pośmiać z Oberonem. Jego żarty na pewno by mnie uspokoiły. Ale jednocześnie cieszyłem się, że go tu nie ma. Jego szanse na przetrwanie takiej bitwy były zbyt małe. Zresztą nawet moje wyglądały dość słabo.

Draugary wylewały się nadal z góry i ustawiały w szeregi na zboczach i u podnóża wulkanu, zajmując stanowiska naprzeciwko naszych sił. Gdy ich potok w końcu się zatrzymał, góra znów zadrżała, ale tym razem nie wypłynęła lawy. Zerwałem się na równe nogi i aż jęknąłem.

Z wulkanu wyłonił się szary pies, o wiele większy od Oberona. Na imię miał Garm i był to pies Hel. A wraz z nim pojawiła się jego właścicielka.

Mało jest tak nudnych motywów, jak opętany manią władzy szaleniec, który chce przejąć kontrolę nad całym światem. Bywa, że jeszcze ma jakieś potomstwo, które okazuje się równie beznadziejne, albo i jeszcze gorsze, takie potworki, które urastają do rozmiarów pełnowymiarowych potworów pozbawionych wszelkiej empatii bądź duszy, jeśli nie liczyć jakiejś skarlłowaciałej jej resztki. Loki i jego dzieci byli właśnie tego typu postaciami.

Hel wyłoniła się z kaldery i rosla dalej, w połowie jej ciało było pokryte szarą skórą, a w połowie kości, mięso i pulsujące organy miała zupełnie na wierzchu. Za nią zajaśniały nam płomienne włosy Lokiego. Bóg niezgody uśmiechał się dziko, puchnąc do gargantuicznych rozmiarów. Ponieważ oboje byli zmiennokształtnymi, mogli teraz swobodnie osiągnąć wzrost jakichś sześćdziesięciu metrów albo i więcej, przez co każde z nich wyglądało niczym olbrzymie mecha rodem z apokaliptycznego anime.

Loki dzierżył przy tym płonący miecz, który od razu rozpoznałem, choć teraz był o wiele większy. Machnął nim w naszym kierunku, a jego głos poniósł się po polu niczym huk grzmotu.

– Zabijcie ich wszystkich! – rozkazał. – Zmiećcie ich z powierzchni Midgardu!

Olbrzymia armia draugarów ruszyła do boju. Było ich ze cztery, może pięć razy więcej niż nas.

Ktoś po naszej stronie zadął w róg – dźwięk rozległ się za mną, na prawo, w okolicach Bifrostu. Obejrzałem się, kto właściwie dał znak do walki, pewien, że to Odyn, ale myliłem się. Po moście mknął właśnie pewien spóźnialski – na rydwanie ciągnionym przez dwa kozły stał rudy mięśniak.

– No nie wierzę – wymsknęło mi się, ale on tylko odsunął od brodatej twarzy róg i uniósł wysoko młot.

Natychmiast zaiskrzyło wokół piorunami, a bóg skierował je w stronę nadciągającej hordy, co było zupełnie pustym gestem, jako że elektryczność nie ma żadnego wpływu na draugary i błyskawice po prostu przelatywały przez ich ciała, nie czyniąc im żadnej krzywdy. Żeby je zlikwidować, będzie musiał raczej użyć młota, bo przecież Loki i Hel w życiu nie dopuściliby do tego, żeby coś tak podstawowego jak piorun pokrzyżowało im teraz plany. Ale sama jego obecność była dowodem na to, że myliłem się i że ten bóg wcale nie umarł.

– Wywiedli mnie w pole – syknąłem. – Przecież to cholerny Thor.

Rozdział 15



Góra Siedmiu Gwiazd znów wybucha. To dzika, wygłodniała siła, na którą jestem zupełnie nieprzygotowana. To bitwa, w której powinni walczyć bogowie, a nie jakaś laska z Kansas łamane przez Arizonę.

– Wukongu – mówię. – Nadal nie wiem, dlaczego tu jestem.

– A odpowiedź wciąż jest ta sama: by uczyć się i rosnać. – Ale uśmiech, który mi posyła, jest nieco złośliwy. Co za ma małpa. Dobrze wie, że ta odpowiedź działa mi na nerwy.

– Tylko czego mam się uczyć? I w jakim sensie rosnać? Chętnie zrobię jedno i drugie oraz będę dążyć do celu, który mi wyznaczysz, ale to, co dotąd mi powiedziałeś, jest tak niejasne, że naprawdę nic z tego nie rozumiem.

– Czy wydaje ci się, że jesteś tu, żeby walczyć z hordami królów Jamy? A może z samymi królami Jamy?

– Nie. Wcale mi się tak nie wydaje. Dlatego właśnie nic już z tego nie rozumiem. Przecież nie możesz oczekiwać, że będę z nimi walczyć.

– Ależ owszem, oczekuję tego. Lecz nie ta walka jest dla ciebie najważniejsza. Zabiją cię, jeśli nie dasz z siebie wszystkiego, tyle że pokonanie ich nie jest twoim prawdziwym celem. Musisz pokonać coś innego.

– Co takiego? Moje skryte pragnienie, by żywić się jedynie słodkimi bułeczkami? Moje narastające uzależnienie od anime?

– Twoje bezpieczne założenia. Nawyki myślowe. To nie tylko koleiny wryte w drodze, które trzymają cię na tej jednej, utartej ścieżce. To opaska na oczach, która uniemożliwia ci dojrzenie tego, że w ogóle istnieją inne ścieżki.

– Przecież wiem, że są.

Małpi Król tylko prycha.

– Dobrze się z tym czujesz, prawda? – kpi. – Lubisz tak sobie mówić?

Gryzę się w język, żeby mu czegoś nie odburknąć. Bo choć wiem dobrze, że są inne ścieżki, Wukong ma z pewnością na myśli jakąś konkretną, której nie widzę. I nie sugeruje mi tu żadnego rozwiązania w stylu Yody, że mam się oduczyć tego, czego się nauczyłam czy coś. Przyznaje, że osiągnęłam już wyżyny sztuki walki, ale jakimś cudem powinnam według niego wspiąć się jeszcze wyżej.

Chyba że mówi o jakiejś zupełnie innej ścieżce, czymś zupełnie niezwiązanym ze sztuką walki. Bo równie dobrze może przecież chcieć, żebym oglądała lepsze anime niż te, które teraz lubię. Naprawdę doceniam wieloznaczność i jej rolę w niektórych sytuacjach, ale jest cholernie wkurzająca, jeśli staje się strażnikiem u wrót głębszej znajomości samego siebie.

I owszem, wiem, jaki ma cel – wieloznaczność zmusza ucznia do odrzucenia starych wzorców myślenia. Jego nieświadomość zaczyna wtedy wgrzyzać się w problem niczym w twardego wczorajszego bajgla, i to nawet gdy świadomy umysł jest zajęty czym innym. Ale mimo że znam te cele, niewiele mi to pomaga – nadal stoję przed mentalnym torem przeszkód zasnutym gęstą mgłą.

Tak czy siak skończył się nam już czas na pogadanki i naukę. Małpi Król chwytą kij w lewą dłoń,

a prawą owłosioną łapę wyciąga do mnie.

– Chodź, Granuaile. Nadeszła chwila, gdy musimy stanąć w obronie ludzkości, zwyciężyć lub umrzeć. Jeśli uda im się opuścić park Yangmingshan, straty będą ogromne.

Nie wiem, co zamierza zrobić, trzymam więc tylko mocno Scáthmhaide’a i podaję mu lewą rękę. Sun Wukong szczerzy do mnie zęby w uśmiechu.

– Ludziom zdarzają się czasem wypadki, gdy szybuję z nimi przez chmury. Mogłabyś spróbować tego nie zrobić?

– Czego?

Chichocze tylko, kręci głową, przykuca, a potem nagle szarpie mnie mocno w górę, wykonując ze mną potężny skok w stronę kotłującej się, apokaliptycznej masy w parku Yangmingshan. Z *Wędrówki na Zachód* pamiętam, że podczas jednego skoku Małpi Król może pokonać aż sto osiem tysięcy mil chińskich, co właściwie nie różni się niczym od latania, toteż ten króciutki skok ze Starego Tajpeju do Yangmingshan to dla niego nic, ale dla mnie jest to przeżycie zapierające dech w piersiach i potencjalnie zasrywające gacie. Gdyby nie to, że fruвам czasem jako sokół wędrowny, pewnie skończyłoby się to dla mnie takim czy innym wypadkiem, bo dla człowieka znaleźć się w powietrzu bez żadnej widocznej podpory to naprawdę przerażające uczucie.

A jeszcze bardziej przerażające jest to, w kierunku czego lecimy. Małpi Król ląduje u podnóża góry, ale już po drodze musimy odpychać w powietrzu rozdziawione gęby usiłujące wgrzyźć się w nasze ciała. Gdy lądujemy na ziemi, kilka postaci odsuwa się odruchowo na nasz widok, przynajmniej więc mamy jak stanąć.

Sama nie wiem, co myśleć o tym, co tu zastaję. Częściowo są to demony o bardzo nietypowej fizjonomii, ale jednak demony – nigdy nie były niczym innym jak okropnymi stworzeniami, które rozkoszują się cierpieniem innych. Widzę też jednak oszalałych ludzi, kobiety i mężczyzn, podpieczonych, z najrozmaitszymi bliznami i zdezorientowanych. Ich dusze jeszcze przed chwilą siedziały w piekle, płacąc za złą karmę i czekając na kolejną reinkarnację, a teraz są równie przerażone jak ja. Bo co się stanie, jeśli je po prostu zabiję? Czy od razu przejdą reinkarnację, czy też wrócą do swojego czyścica na kolejne stulecia? W tych żalonych istotach, które zmarły kto wie jak dawno temu, jest coś niezwykle fatalistycznego. Wiedzą przecież, że na pewno nie mogą wejść sobie teraz do Tajpeju i zacząć normalnie żyć, bo są ledwie cieniami siebie samych. Muszą starać się zadowolić tego z królów Jamy, który rządzi ich piekłem, a w tej chwili tenże król chce, żeby zabijali, cokolwiek stanie im na drodze. Widzę na ich twarzach jakby iskierkę ciekawości, skąd się tu nagle wzięła ruda biała kobieta, ale zaraz tylko wzruszają ramionami świadomi, że dla nich nie ma to pewnie znaczenia, po czym rzucają się na mnie z tymi zaostrzonymi pazurami, zwierzęcymi zębiskami i rozdziawionymi gębami. Wystarczy uderzenie kijem między oczy, w skroń lub tył głowy, by je szybko wykończyć. Nie mają ani broni, ani umiejętności, więc nie stanowią dla mnie poważnego zagrożenia, ale smuci mnie, że muszę ich krzywdzić, żeby się bronić. Właściwie to pewnie przy okazji bronię mnóstwo innych ludzi w Tajpeju, ale jakoś tak tego nie odczuwam. Wręcz przeciwnie – sama czuję się jak wykorzystujący ich słabość potwór.

A potem w moim kierunku rusza prawdziwy demon – o niebieskiej skórze i kolorowych skrzydłach podobnych trochę do piór pawia. Błyskają czerwone oczy, szczerzą się czarne zęby. Facet wymachuje mi przed nosem maczugą dyndającą na łańcuchu (wiem, że to facet, bo nie ma na sobie żadnych ubrań).

– Yyy... Wukongu? – Oglądam się w jego stronę i widzę, że już jest zajęty, z czego wnoszę, że tym muszę się zająć sama. Może to jakiś pan piekiel, którego wkurzyło, że wyrzynam mu w pień jego wojsko.

– Zabijaj bez litości! – woła do mnie Wukong. – I bez wahania.

Biorąc sobie jego radę do serca, wyciągam zza pasa nóż i ciskam nim demonowi w interes. Wrzeszczy jak opętany i łapie odruchowo za rękę, i gdy oplakuje swoje jaja, walę go kijem po łbie. Potępieńcy odsuwają się ode mnie, mam więc chwilę na złapanie oddechu.

– Nie przerywaj, Granuaile! – beszta mnie Wukong. – Musimy ich odesłać, skąd przyszli. Te dusze muszą kontynuować swoją karę, aż znów się narodzą. Nie czynisz im żadnej krzywdy. Chronisz

za to żywych, a tym duchom pomagasz tylko wrócić w ich podróż.

To przesuwam sprawę do innego paradygmatu. Nie zabijam niewinnych ani nic z tych rzeczy. Przeprowadzam tylko akcję oczyszczającą. To wręcz kwestia higieny. Takie ujęcie sprawy tym bardziej mnie przekonuje, że gdy tylko te istoty „umierają”, rozplývają się niczym chrześcijańskie demony, tylko na szczęście tak strasznie nie śmierdzą.

– Pomyśl – ciągnie Małpi Król – wystarczy tylko kolejne tysiąc lat czy ile tam im się nazbierało tego długu, a ci ludzie odrodzą się i też będą mogli się napić *bubble tea*.

Przedziwnie jest pomyśleć coś takiego w środku walki, gdy roztrzaskuje się właśnie kolejne czaszki. Co ja mam im niby mówić przed śmiercią? „Pamiętaj spróbować smaku arbużowo-kiwi, gdy tylko będziesz mieć okazję”? Czy takie słowa w ogóle miałyby dla nich jakiegokolwiek znaczenie? Czy ta myśl podtrzymywałaby ich na duchu podczas całego tego cierpienia zadawanego w czyścícu, a potem podczas ponownych narodzin? Czy w ogóle by zrozumieli choć słowo z mojego języka czy też raczej komunikowałabym im tylko mój osobisty żal i nadzieję? Jedno jest pewne: mam nadzieję, iż spotkają ich w życiu lepsze rzeczy niż *bubble tea*. Na ich twarzach widzę desperację, by przetrwać to, mnie, piekło, wszystko i wreszcie dotrzeć do czegoś lepszego.

– Czy ja im pomagam się uczyć i rosnać? – pytam, gdy z góry spływa na nas jeszcze więcej potępionych, a nasze kije walą po głowach, uderzając to w czyjąś skroń, to w ciemię.

– Raczej okazujesz im litość – odpowiada Wukong. – Zadajemy im z pewnością szybszą śmierć niż ta, którą zginęliby z rąk królów Jamy.

Nie wiem, czy to litość posyłać ludzi z powrotem na tortury, które mają trwać... czy Małpi Król nie powiedział przypadkiem „tysiąc lat”? Jakim cudem ktoś miałby w ciągu jednego życia wyrządzić tyle zła, żeby zasłużyć sobie na tak długą karę? Może jakiś dyktator albo seryjny zabójca zdołałby sobie tak nazbierać, ale przecież wszyscy ci ludzie nie mogą nimi być. To pewnie młynarze, którzy oszukiwali chłopów, albo chłopci, którzy nie dbali o konie, albo małostkowi urzędnicy z jakichś zapadłych dziur, albo podłe babcie, ale nie duchy, które w ciągu siedemdziesięciu lat dały radę zasłużyć sobie na tysiąc lat kary, prawda?

Staram się odgonić te myśli, bo próby osądzania systemów sążenia zawsze się kończą tym, że się ma paskudny mętlik w głowie. Wystarczy wziąć pierwszy lepszy system prawny – czy to państwowy, czy kościelny – i jak tylko się go głębiej przeanalizuje, dochodzi się zawsze do tego samego pytania: jak to w ogóle możliwe, że ktokolwiek kiedykolwiek i gdziekolwiek uznawał, że coś takiego jest sprawiedliwe? A potem następuje to olśnienie, że ten system wcale nie miał być sprawiedliwy, bo chodziło tylko o to, żeby chronić interesy ludzi u władzy. I później to już się brnie po kolana przez bagno cynizmu i cały dzień jest na straty.

To jedna z wielu przyczyn, dla których tak lubię być druidką i służyć Gai, bo Gaja praktycznie nikogo nie osądza – z wyjątkiem tych, którzy kradną jej życiową siłę, by zabijać inną część jej. Dlatego zabrania nam używać mocy ziemi, żeby bezpośrednio ranić innych. Ale poza tym sążenie zostawia ludziom.

Dlaczego Gaja miałaby się przejmować tym, jak zachowywali się kiedyś biedacy w Tajwanie, albo emocjonować się życiem duchowym jętki w Connecticut, albo dewiacjami dachowca w Katmandu? Gaja przetrwa, póki życie na niej będzie się mnożyć. Gwałtowne fale stworzeń, które jedzą, srają i pieprzą się – oto, co ją trzyma przy życiu. Kwestie moralności zupełnie jej nie interesują.

I dlatego właśnie staram się mieć bardzo proste zasady moralne: jeśli robisz coś, co na dużą skalę niszczy ekosystem Gai, postaram się zrobić coś, żeby cię powstrzymać i sprawić, żebyś tego pożałował. Kara będzie szybka i krótkoterminowa. Będziesz potem miał szansę uczynić dla ziemi coś dobrego (albo tego nie uczynić), a gdy umrzesz, zostaniesz oceniony zgodnie z jakimś innym systemem (albo i nie). Możesz nawet zginać w walce o to, który z tych systemów sążenia jest lepszy, ale tego się oczywiście nigdy nie wie, nawet w chwili śmierci, bo ostatecznie ocenić to można tylko według jednego z nich, jeśli w ogóle jest to możliwe. Do tego jednak czasu ja już dawno będę daleko stąd, a pierwiastki składające się na twoje ciało wrócą już do Gai i być może pewnego dnia przydadzą się innemu duchowi, który będzie chodził po ziemi w jakiejś odległej przyszłości.

Trzy linie ognia – trzy głębokie zadrapania na moim boku. Jakaś sycząca kreatura zdołała dotrzeć

do mnie z pazurami. W odpowiedzi rozwalam jej łeb, jakby był to arbuz leżący na pieńku, a potem pobieram energię, żeby się uleczyć. Wukong ma rację: jeśli tylko im na to pozwolę, zabiją mnie. Muszę dbać o rozdzielność przestrzeni myślowych, jeśli zamierzam podczas bitwy dumać nad istotą sprawiedliwości. Choć w sumie to nie wiem, po co miałabym to robić – przecież jeszcze przed chwilą próbowałam właśnie o tym nie myśleć.

Przesuwam więc walkę do łacińskiej przestrzeni myślowej – *pugna cum diabolis!* – a w angielskiej chowam się, żeby przemyśleć nowe pytanie: być może to właśnie moje bezpieczne założenie na temat osądzania jest czymś, z czym powinnam się zmierzyć? Małpi Król i te potępione dusze z całą pewnością sprawiają, że zaczynam o tym rozmyślać, i nie jestem aż tak zaślepiona, żeby nie widzieć, że nie rozważyłam jednak moich założeń wystarczająco porządnie. Widzę, że mogłabym wynieść stąd pewną naukę. Nawet jeśli to nie jest akurat ta nauka, którą ma na myśli Wukong.

Wydaje mi się, że instynktownie unikam osądzania, bo znam zbyt wielu ludzi, którzy wprawdzie twierdzą, że to ich wybrany bóg będzie nas oceniał, ale potem i tak mnie oceniają sami, zamiast poczekać, co też powie ten ich bóg, któremu niby tak ufają. Moim zdaniem nie jest to nic innego jak wykorzystywanie religii jako pałki, którą można zmuszać ludzi do konformizmu, i działa mi to na nerwy.

Tylko że całkiem niedawno Laksha zwróciła mi uwagę, że i ja osądzam jej decyzje w podobny sposób – może nie patrzę przez pryzmat religii, ale poprzez moje kulturowe albo nawet osobiste poglądy na temat patriarchy. Wstydzę się, że ją osądziłam, ale nie wstydzę się moich poglądów. Co – z kolei – jest pewnie bardzo bliskie temu, co wielu ludzi uważa właśnie na temat swojej wiary albo innych przekonań. Przynajmniej dzięki temu już rozumiem, jak łatwo narzucić na siebie szaty słuszności i bez wahania osądzać innych, nawet jeśli się nie rozumie ich punktu wyjścia albo się z nim nie zgadza.

Prawdę powiedziawszy, to chciałabym w ogóle zrozumieć tę naszą głęboko zakorzenioną potrzebę skupiania się na różnicach raczej niż na podobieństwach. Niby wiem, że nasze mózgi muszą z zasady sortować i kategoryzować, ponieważ od tego zależy nasze przetrwanie: ten grzybek można zjeść, ten cię zabije, a po tym będziesz widzieć dziwne rzeczy, jak na przykład owoce mango i papai skarżące się ananasom, że mileniałsi mordują przemysł soków owocowych. Ale przecież nawet mimo tego podstawowego mechanizmu musi istnieć jakiś sposób myślenia, który pozwoliłby nam dostrzegać te niezabójcze różnice i cieszyć się nimi, zamiast wytykać je palcami i oceniać jako zło. Z jakiegoś powodu zawsze pędzimy w stronę dystopii, a nie w przeciwną.

Polska poetka, której dzieła przyswajam sobie teraz w ramach budowania kolejnej przestrzeni myślowej, Wisława Szymborska, pisała o samotności w utopii i o tym, jak brakuje w niej prawdziwych ludzi:

Jak gdyby tylko odchodzono stąd

i bezpowrotnie zanurzano się w topieli.

W życiu nie do pojęcia¹.

To dobra metafora. Często właśnie tak się czuję, jakbym płynęła w wielkim oceanie – samotna makrela, która zgubiła swoją ławicę i usiłuje teraz znaleźć drogę z powrotem albo przynajmniej jakąś inną grupkę ryb, które by jej pozwoliły płynąć obok. Tymczasem utopia znajduje się gdzieś ponad powierzchnią, a ja nie mam o niej w ogóle pojęcia. Czy to o tym mówi Małpi Król? O ścieżce do pokoju, której nie potrafię zobaczyć? Skąd mam to wiedzieć...? Chwila.

– Wukongu? – mówię, rozglądając się pospiesznie, żeby się upewnić, czy w ogóle jest jeszcze na tyle blisko, żeby mnie usłyszeć. Nie jest wcale tak daleko, ale na wszelki wypadek powtarzam jego imię głośniej, żeby mnie usłyszał mimo zgiełku. – Wukongu!

– Tak?

– Skąd mam wiedzieć, czy mój osąd sytuacji jest słuszny?

Rechocze na to jak to małpa.

– A smakowała ci *bubble tea*?

To wydaje mi się szczegółem bez znaczenia, ale może nie powinnam już ufać swojej zdolności do osądzania sytuacji nawet w takich drobiazgach.

Akurat tu nie ma dylematu, bo herbata była przepyszna.

– Tak – mówię.

– A co myślisz o tym typku, co biegnie na nas z góry, tym wysokim, w zbroi, co to wymachuje mieczem dłuższym niż całe twoje ciało? – Wskazuje mi brodą zbocze góry.

Oglądam się w tę stronę, ale ostrożnie, żeby nikt nie wykorzystał chwili mojej nieuwagi. Tej postaci rzeczywiście nie da się nie zauważyć – zbroję ma złotą, lśniącą, a pod nią czerwone skóry. Gdy biegnie, jego potęga i wściekłość wprawiają powietrze wokół w niespokojny ruch niczym ciepło odbijające się latem od asfaltu.

– Myślę, że wygląda niebezpiecznie.

– W takim razie nie masz problemu z osądem sytuacji. To król Wuguan, władca czwartego dworu Yinjian.

– I podejrzewam, że nie biegnie się do nas przytulić, co?

Wuguan wydaje deathmetalowy dźwięk, od którego kości mi się trzęsą, po czym unosi miecz, a szalony wzrok wbija nie w Wukonga, tylko we mnie. Napina mięśnie i wiem już, że zaraz zaatakuje – albo w każdym razie zrobi coś agresywnego.

– Wukongu, żadne moje założenia na temat tego typka nie kojarzą mi się nijak z bezpieczeństwem. Czy to cię satysfakcjonuje?

– Pogadamy o tym potem, jeśli uda ci się go pokonać – odpowiada Małpi Król, a Wuguan ryczy i wyskakuje w powietrze z wysoko uniesionym mieczem.

Wisława Szymborska, *Utopia* ze zbioru *Wielka liczba*, Warszawa 1976. [\[wróć\]](#)

Rozdział 16



Niby coś tam słyszałem o tej całej Amazonce, ale i tak nie jest to coś, co mi się mieści we łbie – tak wielka rzeka, że ciągnie się przez cały kontynent, który przecież ma szerokość dziewięciu cholernych Irlandii czy coś koło tego. Na naszej Szmaragdowej Wyspie to mamy mnóstwo ładnych rzek, ale przecie nie tak szerokich i długich. I nie ma w nich aligatorów, piranii i innych takich. A już na pewno nie ma wielgachnych węzów, co to dla niektórych stały się eufemizmem na wacka. Jedno wam powiem, synki: jeśli kiedy zobaczę jakiegoś wacka, co to będzie potrafił się owinać wokół dorosłego chłopca i zadusić go na śmierć, całkiem zrezygnuję z seksu i tyle.

Drzewo, przez które przechodzę, rośnie tuż nad rzeką, przy peruwiańskim mieście Iquitos. Nie mam o tym oczywiście pojęcia, kiedy docieram na miejsce, ale później dowiaduję się, że nie da się tam w ogóle dojechać samochodem. Można tylko albo dolecieć, albo dopłynąć rzeką. Albo tak jak ja – przenieść się przez splecione drzewo. W samym mieście mają lokalny transport – ulice i takie tam – ale przez dżunglę nie przedziera się żadna droga. A mimo to nie jest to wcale jakaś mała miejscina. Pół miliona ludzi i po smrodzie należałoby się domyślać, że już tu są od jakiegoś czasu.

Siodhachan mówi, że większość tego kontynentu została skolonizowana przez Hiszpanów i Portugalczyków. Mówi, że było kilka takich wielkich potęg, między innymi Brytyjczycy, Francuzi i Holendrzy, i że za pomocą prochu i chorób zmienili cały świat w jedno wielkie europejskie bagno. Twierdzi, że ofiarą tej całej kolonizacji jedni z pierwszych padli Irlandczycy. Taką mi strzelił krótką lekcję historii.

Co tu dużo gadać, ucieszyło mnie to jak wykałaczką wbita w tyłek bokiem. Trudno się dziwić, że tyle osób nie znosi tych kolonialnych mocarstw i ich dzieła zniszczenia. Kolonialiści wyrznęli mnóstwo ludzi i furę wzięli też do niewoli. A w dodatku z punktu widzenia Gai straty w ludności to nie wszystko. Bo samą Gaję też wiele kosztowała ta arogancja kolonialistów.

Weźmy dla przykładu właśnie Peru – za czasów Inków było tu czterysta różnych gatunków ziemniaków, ale przyszli Hiszpanie i zniszczyli prawie wszystkie. Przywieźli se do Europy kilka gatunków – przez co potem tak się porobiło, że irlandzka kuchnia nagle nie może się obyć bez kartofli, i to dlatego Siodhachan w ogóle zaczął mi o tym gadać – ale naturalną różnorodność diabli wzięli. Mieli też całą kupę bananów i gówno im z tego zostało, że tak se pozwolę na ponury żarcik. Ledwie jakieś smętne resztki tej różnorodności. Siodhachan se teraz pluje w brodę, że nie zorganizował jakiegoś banku nasion. Oczywiście zanim połapał się, co jest grane, było już za późno. Bo też ziemniaki i banany nie wrzeszczą, gdy umierają. Śmierć zagrożonych gatunków jest smutna i samotna, często cicha i zawsze tragiczna. I wciąż trwa.

A w okolicy Iquitos ktoś ma tego wyraźnie po dziurki w nosie. Ktoś uznał, że problem stanowią tu ludzie, i tak jak żywiołak Bawarii poprosił mnie, żebym zlikwidował problematyczne koboldy, tu, w tym otoczonym dżunglą mieście, ktoś postanowił zlikwidować inne problematyczne istoty – ludzi.

Tylko że to nie jest jeden pojedynczy ktoś. I w tym problem.

Cały rój os opada nagle autoriksze – to taka hałaśliwa maszyna na trzech kółkach – i żądli wszystkich pasażerów, którzy drą się chwilę, aż w końcu umierają. Chmary komarów obsiadają przechodniów i wysysają z nich całą krew. Z drzew pozeskakiwały małpy i siedząc na dachach, ciskają kamieniami i czym popadnie w ludzkie głowy. Najrozmaitsze ptaki pikują, by wydziobywać oczy, przy czym najskuteczniejsze w tej zabójczej robocie są harpie wielkie. Jakiś jaguar goni Peruwiańczyków po ulicach i rozszarpuje im gardła. Najlepiej byłoby, gdyby ci wszyscy ludzie natychmiast pochowali się po domach, choć w sumie nie zdziwiłbym się, gdyby ich własne psy i koty też były teraz przeciwko nim.

Witam się z żywiołakiem Amazonii. Mam tylko nadzieję, że pomoże mi się połapać w sytuacji.

//Pytanie: Źródło ataku?//

//Bogini przyrody//

Tego się w sumie należało spodziewać – takiego chaosu nie zdołałby wywołać nikt inny – a jednak ten fakt szarpie strunę „coś tu nie tak” na mojej osobistej harfie rozsądku. Bo też dlaczego jakiegokolwiek bóstwo przyrody miałoby dołączyć do Lokiego? I to przy założeniu, że w ogóle nordycki bóg zdołałby się z jakimś porozumieć. Przecież gdyby tylko Loki wyłożył swój plan: „Po pierwsze spalić wszystko”, każde bóstwo przyrody powinno go kopnąć w tyłek za to, że w ogóle otworzył gębę. Być może więc to tylko reakcja na ogólny chaos. Przyroda ma teraz przez Lokiego jeszcze bardziej pod górkę niż zwykle, więc jakieś lokalne bóstwo postanowiło zareagować, automatycznie uznawszy, że to ludzie są wszystkiemu winni.

//Pytanie: Gdzie ją znajdę?//

//Nie wiem//

Psiakrew.

//Pytanie: Jak ma na imię?//

//Nie wiem//

Psiakrew i psiegówno. I to śmierzące jak zepsuty serek wiejski. Przecież muszę wiedzieć coś więcej, jeśli mam cokolwiek na to zaradzić.

Przeskakuje nade mną jakaś ruda małpa i pospiesznie splatam swoją świadomość z jej, prosząc, by wyjaśniła, kto ją tu wysłał. Odpowiada mi mentalnych piskiem, wzruszeniem ramion, a potem już całkiem niementalnym kamieniem ciśniętym w moją głowę.

Chowam się szybko do czegoś, co wygląda mi na restaurację. Chwalą się na szyldzie, że serwują tu *tacacho*, cokolwiek to jest.

– Mówi tu ktoś po angielsku? – pytam skulonych w niej ludzi. Podnosi się kilka rąk, w tym też jedna należąca do synka, który stoi za kasą. Podchodzę do niego, dziękuję mu i pytam: – Macie tu jakąś bogini przyrody, do której się modlicie? Jak się nazywa?

Widać więcej ludzi usłyszało moje pytanie, bo odpowiadają zgodnie:

– Pachamama.

Ci, którzy wypowiedzieli to imię, patrzą po sobie nawzajem, uśmiechają się, widząc, że jest wśród nich więcej wyznawców tej samej bogini.

– Dobra, to jak ona wygląda?

To pytanie prowadzi jednak do nieporozumienia.

– Chodzi ci o obrazy? – pyta chłopaczek stojący za barem. Jest bardzo młody, na moje oko za młody, żeby w ogóle pić.

– Nie, nie. Nie chodzi mi o żadne obrazy. Nie jestem turystą. Chcę wiedzieć, jak waszym zdaniem ona wygląda.

Bo jeśli gdzieś tu pojawiła się ich bogini, to wygląda tak, jak wyobrażają ją sobie jej wyznawcy.

– Jest duża. – Chłopaczek za ladą rozkłada ręce, jakby pokazywał mi, jaką rybę wczoraj złowił.

– A skąd! – wtrąca się jeden z klientów. Usta ma pełne *tacacho*, cokolwiek to jest, aż się nim trochę zapluł z przejęcia. – Długie włosy. Kolorowa. Jest taka akurat, ani za duża, ani za mała. Złożona z roślin i zwierząt.

– Co? Nie! Wygląda jak człowiek i ma normalną, brązową skórę! – upiera się ktoś inny.

– To matka wszystkiego – mówi ten z pełnymi ustami. – Nie tylko ludzi. Więc nie może się ograniczać do ludzkiej formy.

Teraz rozumiem już, dlaczego Amazonia nie potrafi jej namierzyć. Z tych opisów należałoby wnioskować, że ta bogini może się ucieleśnić jako niemal cokolwiek.

– Jaka ona jest? Czy może porywca?

– Nie, nie! Jest łagodna i kochająca – zapewnia mnie kasjer, a inni przytakują.

To nijak nie pasuje do tego, co się dzieje na zewnątrz, ale też ci ludzie w knajpie chyba jeszcze nie zarejestrowali chaosu na dworze. To się zresztą szybko zmienia, gdy przez wielką szybę wpada z hukiem autoriksza, a za nią wlatuje chmara rozwścieczonych owadów. Nigdy jeszcze nie widziałem,

żeby ludziom aż tak szybko puszczały zwieracze.

Dociera do mnie, skąd ta panika, gdy tylko czuję pierwsze użądlenie – boli jak cholera. Jestem celem ataku jak każdy człowiek w okolicy, ale temu łatwo zaradzić – wystarczy, że przestanę być człowiekiem. Przemieniam się w kanię rudą i wyłaniam przez dekolt koszuli, by wylecieć przez okno, przedzierając się pod prąd pędzącego tłumu owadów, które chcą żądlić tylko ludzi. Wzbijam się wysoko w powietrze i krążę wokół miasta, rozglądając się za czymś, co by się kwalifikowało jako bogini przyrody, która postanowiła tupnąć nogą. Na wschodzie, w pobliżu dzielnicy, która jak się potem okazuje, nazywa się Belén, dzieje się coś, co przykuwa moją uwagę. Drzewa nie zachowują się tak, jak powinny – poruszają się w innym kierunku niż potężny wiatr.

Unosząc się na prądzie powietrznym, szybuję bliżej i widzę rzekę. To Itaya, jeden z dopływów Amazonki. Na drugim brzegu widzę bardzo skromne domy na palach, które mają je zabezpieczyć przed powodzią. Ludzie mieszkają tu w ciasnocie i okropnych warunkach. Co gorsza, być może już nie żyją, bo zza drzew widzę coś w rodzaju ucieleśnionego gniewu, i to właśnie stąd miasto zalewają stada wściekłych stworzeń.

Nie zamierzam lecieć pod prąd i zмагаć się z tymi chmarami, skręcam więc i ląduję na południowym brzegu rzeki, a potem zmieniam się w niedźwiedzia. Jeśli rzuci się teraz na mnie jakiś jaguar, przynajmniej nie pokona mnie tak łatwo, a myślę, że w tej dżungli nie ma większych drapieżników, nie licząc olbrzymich rojów szerszeni i mrówek.

Potem już nie ma czasu na jakąkolwiek ostrożność. Tu giną ludzie i muszę jak najszybciej to powstrzymać. Prę wschodnim brzegiem Itai na północ, aż docieram do czegoś, co musi być ucieleśnieniem Pachamamy. I teraz, gdy już to widzę, rozumiem, dlaczego żywiołak Amazonii nie potrafił tego pojąć. Bogini nie jest jedną rzeczą. Jest zbiorowiskiem – nie, chwila, jest takie wypasione słowo na taki bałagan... Racja! Jest to amalgamacja zwierząt i roślin, które razem składają się na kształt sześciometrowej kobiety. Bogini jest pnączami, małpami, drzewkami, woskiem pszczelim i w ogóle chyba wszystkim, co można znaleźć w dżungli. Jest piękna i przerażająca zarazem. Sam nawet nie wiem, na co w ogóle teraz patrzę, bo przecież nie jestem stąd, to nie znam tych wszystkich gatunków. Ale mam dwóch uczniów, co to są właśnie z dwóch różnych końców Amazonki. Ozcar jest z Peru, a Luiz z Brazylii, zresztą ten chłopaczek to jest największym miłośnikiem zwierząt w całym moim gaju. Pewnie któryś z nich potrafiłby mi szczegółowo powiedzieć, co teraz właściwie widzę. Jedno jest pewne – to kłębiąca się masa ssaków, ptaków i owadów obrastająca szkielet z drewna i pnączy. To istota potężna, gniewna, zatrwajająca i imponująca. Wpatruje się w znajdujące się za rzeką miasto pałającymi furją oczami złożonymi z czerwonych mrówek i całą swoją wolę skupia na tym, by niszczyć każdego człowieka, jakiego spotka. Gdyby Gaja kiedykolwiek chciała się ucieleśnić, być może właśnie tak by wyglądała, tylko oczywiście na o wiele większą skalę.

Pytanie teraz, jak z nią w ogóle gadać. To przecież wcielenie okolicznych wierzeń; tu mówią po hiszpańsku, co oznacza, że i ona też pewnie mówi w tym języku, a ja znam ledwie parę marnych słów.

To zresztą pikus – jeszcze trudniej będzie wykombinować, gdzie ona w ogóle ma świadomość. Wokół jej czaszki widzę tyle zwierząt, że nie sposób się zorientować, gdzie są jej myśli. W magicznym spektrum wcale nie jest się łatwiej połapać. Nawet spoglądam na jej pierś, licząc na to, że chowa jaźń tam, gdzie powinno być serce, ale widzę tylko ogólny blask jej ciała pokrytego różnymi futrami i kolorowymi piórami najróżniejszych zwierząt i złożonego ze ścięgien-pnaczy.

Stękam z frustracji, co jest niedźwiedzim odpowiednikiem okrzyku „Psiakrew!”, i nagle dociera do mnie, co oznacza ten ogólny blask. Pachamama jest ucieleśnieniem natury, więc jej tożsamość nie jest czymś odrębnym od tych zwierząt, lecz jest rozdzielona pomiędzy nie wszystkie. Jest sumą wszystkich tych części. To dlatego Amazonia miała takie problemy z jej namierzeniem. To świadomość rozproszona. A może raczej dyfuzja tożsamości? Jak ja nie cierpię współczesnego języka.

Ale wiem już w każdym razie, co jest grane. I być może wystarczy, że splotę się z dowolnym zwierakiem, który jest jej częścią. Wybieram jakieś takie beztroskie stworzenie, które wisi na pniu będącym kostką bogini. To ssak z wielkim uśmiechem, długimi łapami i wielgachnymi pazurami – ma po trzy na każdej łapie. Później się dowiem, że nazywa się toto leniwiec trójpalczasty, ale i bez nazwy wiem, że Luiz byłby zachwycony.

Dzięki tym kundlom Siodhachana mam już niezłą wprawę w splataniu se umysłu ze zwierzętami, więc sprawnie mi to idzie. Nie wiem, jak temu zwierzęciu pójdzie z językiem, ale z drugiej strony, jak już się splecie świadomość, to zawsze można się jakoś porozumieć za pomocą obrazów, emocji i intencji zamiast słów. Faktem jest, że przekucie tego potem na zdania jest trochę jak trafianie lotką w zewnętrzny pierścień, zamiast w sam środek tarczy, ale jakoś się przecież dogadamy.

<Czołem> mówię. <Jestem druidem Gai. Czy mogę mówić z Pachamamą?>.

Włochata istota rozgląda się powoli po zwierzętach składających się na stopę i kostkę olbrzymiej bogini. Jej mentalny głos jest sympatyczny i łagodny.

<Ktoś mi coś właśnie powiedział we łbie? Czy ja się może znowu nażarłam jakichś liści z tymi odjechanymi grzybkami?>.

<To ja. Tu, na lewo. To duże, czarne i włochate. Wyglądam jak niedźwiedź>.

<Ooo. Ale dziwny jesteś! Takiego czegoś to nigdy tu u nas nie widziałam>.

<Bo nie jestem stąd. Czy mogę rozmawiać z Pachamamą?>.

<Ale jesteś duży. Normalnie szok. Pewnie cały dzień nic tylko żresz. Hej! Nie zjesz mnie przypadkiem, co?>.

<Nie, nie zjem. Mogę prosić z Pachamamą?>.

<A, ta, racja. To mam powiedzieć, że kto mówi?>.

<Owen Kennedy, druid Gai>. Jest to coś, co raczej trudno przekazać przez obrazy i emocje. To tylko imię wyrażone językiem, więc włochata istota ma z tym sporą trudność.

<Oaken z Drutami się Goi?>.

<Owen Kennedy, druid Gai. Ta ostatnia część jest dość ważna. Jestem przedstawicielem Gai, całej ziemi i jej żywiołaków, w tym Amazonii>.

<Ja cię kręcę. I to tak serio się dzieje? Bo ja miewam czasem takie odjechane sny>.

<Słowo daję, że to wszystko dzieje się na jawie. Czy mogłabyś wspomnieć o mnie Pachamamie?>.

<A, dobra. Spróbuję, Oakenie, druidzie Gai>.

Jakoś zupełnie nie przeszkadza mi, że tak przekręca moje imię. Właściwie całkiem mi się to podoba. Może udałoby mi się przekonać żywiołaki, żeby tak się do mnie zwracały. O wiele bardziej wolałbym być druidem Oakenem niż tym całym Mściwym Druidem.

Mija cała minuta, nim dostają jakąkolwiek odpowiedź, ale gdy już się pojawia, to, psiakrew, mało mi nie topi mózgu.

<KIM JESTEŚ?> rozlega się głos, który byłby przyjemnym altem, gdyby nie dudnił mi w głowie jak młot pneumatyczny. Wiem, że leniwka też go słyszy, bo zamyka oczy i skomle cicho, przy czym mało nie spada ze swojej gałęzi. Jak tak dalej pójdzie, to biedaczka będzie miała słaby dzień.

<Jestem Owen Kennedy, druid Gai. Wysła mnie do ciebie żywiołak Amazonii. Dziękuję, że zechciałaś ze mną porozmawiać, Pachamamo. Czy mogłabyś ewentualnie skrócić trochę głośność? Bo to boli>.

Kłębowisko zwierząt przenosi uwagę z miasta za rzeką na mnie – wszystkie oczy złożone oraz stereoskopowe wbijają nagle we mnie wzrok. No, przynajmniej mam pewność, że Pachamama się mną zainteresowała. Tym razem, gdy znów przemawia, jej głos jest już normalny, znaczy głośny, ale w normie.

<Druid Gai? Pojawia się tu czasem taki jeden. Człowiek z rudymi włosami. Nie jesteś nim>.

<Nie, to mój uczeń>.

<Czego chcesz? Jestem zajęta>.

<Właśnie chciałem porozmawiać o twoim dzisiejszym zajęciu. Przecież jesteś duchem opiekuńczym. Co cię tak rozniewało?>.

<Zalali moje drzewa deszczem ognia! Nie po to, żeby uprawiać tam jedzenie, ale żeby niszczyć!>.

<Masz na myśli ludzi? To akurat nie oni>.

<Nie ma tu wulkanów, a to nie był naturalny ogień, co oznacza, że stoją za tym ludzie. Nie zniosę tego dłużej>.

<Był to swego rodzaju wulkan, ale znajdujący się daleko stąd. Po drugiej stronie świata wyłonił się z innej krainy olbrzym ognia i wybuchł. Deszcz płomieni spadł niestety na całą planetę, nie tylko tu. Ludzie nie są temu winni>.

<NIC MNIE TO NIE OBCHODZI!> ryczy, a gdy oboje z leniwką aż się kulimy, ścisza głos, ale złość jej bynajmniej nie mija. <Czy nie czujesz trucizny w powietrzu? Wdychasz ją z każdym oddechem! Czy nie wiesz, że ścinają drzewa? Że przez nich wymierają całe gatunki moich zwierząt?>.

<Tak, wiem, ale to drapieżnicy, już taka ich natura>.

<To nie jest natura drapieżnika. To chciwość. To wyzysk>.

Nie mam właściwie co jej na to powiedzieć. Odkąd tylko Siodhachan przeniósł mnie w czasie, co chwilę tak mi opada gęba na widok zniszczeń na tym świecie, że już kompletnie mam ją obitą. Przez te podnoszące się wciąż temperatury nie tylko morza zaleją nam wybrzeża, ale i zginie mnóstwo zwierząt, zresztą już masę wymarło. Tak jak podczas wszelkiej zagłady w minionych epokach – może poza jedną – znów przyczyną jest globalne ocieplenie, a tempo wymierania gatunków będzie coraz szybsze, jeśli nie zrobimy czegoś z emisją węgla. Jeśli w ogóle przetrwamy ten koniec świata, to i tak będzie trzeba zaraz rzucić się do pracy, żeby zapobiec kolejnemu. Jeśli o mnie chodzi, to zamierzam jak najlepiej przygotować druidów na tę robotę.

<Jak mój uczeń... ten rudy był tu ostatnio, to pomógł jakoś Amazonii? Poprawił coś może?>.

<Tak. To był wyjątkowy człowiek>.

<I nadal taki jest! Jest tak jak ja druidem i walczy właśnie z olbrzymem, który spowodował ten ogień. Walczy, żeby obronić ciebie i wszystkich innych. Tak jak ty chce chronić ziemię. A ja uczę kolejnych druidów. Jeden z nich nawet się tu niedaleko urodził. Na imię mu Ozcar. A inny mój uczeń pochodzi z miejsca nad drugim końcem Amazonki i ma na imię Luiz. Gdy tylko skończy się ich nauka, na pewno będą chcieli wrócić tu i pomagać stworzeniom z tej dżungli>.

<Te stworzenia wcale nie potrzebowałyby waszej pomocy, gdyby nie ludzie. Wystarczy, że ich wybije, a wszystko wróci do równowagi>.

<Nie, to nie pomoże. To by było katastrofalne w skutkach>.

<Dlaczego? To oni stanowią problem. Usunę problem i wszystko będzie dobrze>.

<Zdążyli zbudować systemy, które zniszczą twoje rzeki i lasy, jeśli nie będzie ich nikt obsługiwał>. Pojęcia nie mam, czy tak jest, ale brzmi dobrze.

<Jakie znowu systemy? Co może wyrządzić większą szkodę niż ta, którą i tak już wyrządzili?>.

Psiakrew. Nagimnastykowałem się już przecież i tak, jakbym był jednym z tych amazońskich węży, nie? Siodhachan przewyższa mnie o niebo, jeśli chodzi o wciskanie ludziom kitu, ale przecież to ja mu dawałem pierwsze lekcje mydlenia oczu. Choć trza przyznać, że od początku miał do tego wyjątkową smykałkę i łapał w lot moje genialne instrukcje.

<Ich kanalizacja i elektrownie wypuszczają do rzeki ogromne zanieczyszczenia>.

<Już i tak to robią>.

<Ale może być o wiele gorzej> bąkam, choć sam czuję, że to akurat nie zabrzmiało przekonująco. I to tyle, jeśli chodzi o mój geniusz w zakresie mataczenia.

Sę w tym, że spieram się tu z siłą natury, a z jej punktu widzenia ludzie naprawdę nie mają wielu sympatycznych cech. Pachamamy na pewno nie przekona wskazywanie jej niesamowitych ludzkich osiągnięć z zakresu sztuki, muzyki czy teatru, bo nie jest przecież miłośniczką takich rzeczy. Ale może odwołam się do jej własnej natury.

<W imieniu żywiołaka Amazonii, bez którego nic by tu nie istniało, błagam cię, opamiętaj się. Zaprześć rzezi i pozwól mi i innym druidom chronić tę ziemię i opiekować się nią. Opanuj się i znów bądź matką żywicielką, którą przecież jesteś>.

Wielki łeb z oczodołami pełnymi mrówek zamiast oczu odrywa wzrok ode mnie i spogląda za rzekę. Bogini garbi się, a potem znów na mnie patrzy. Opiera dłonie na biodrach. Pochyla się nade mną wielka masa roślin i piszczących, szczebioczących zwierząt.

<Będziesz mnie chronić? Będziesz chronić tę ziemię?>.

<Będę. I tak jak już mówiłem, mam dwóch uczniów, którzy z pewnością będą chcieli spędzać tu wiele czasu, gdy tylko staną się pełnymi druidami>.

<Zatem pomóż mi, druidzie. Dotrzymaj słowa. Pożar szaleje na północ stąd, w samym sercu mnie>.

<I przestaniesz zabijać ludzi w mieście?>.

<Tak. Już przestałam. Wracam do siebie>. Jej olbrzymia postać kurczy się nagle, a potem wybucha ptakami na wszystkie strony, mały zeskakuje po drzewnym kręgosłupie na ziemię albo od razu na okoliczne drzewa. Owady pełzną pospiesznie po gałęziach albo odlatują. Leniwka, z której świadomości spłotłem swoją jaźń, złazi powoli z kostki bogini, zostając daleko w tyle za pozostałymi zwierzętami. Teraz, gdy składowe bogini rozlażą się na wszystkie strony, dopiero widzę lepiej poszczególne stworzenia i zupełnie zdumiewa mnie to bogactwo. Widzę kapibarę, mrówkojada, jakieś cholernie wielgachne pająki (takimi szczękoczułkami toby mi mogły zęby wyrwać) i całą chmurę modliszek od razu szukających jakiegoś zakątka, w którym by można było spokojnie kopolować, a potem wrzucić jakąś główkę kochanka na ząb. W ogóle tak teraz widzę, że całkiem sporo zwierząt naszło właśnie na rozmnażanie. W sumie to już stoję w środku jakiejś orgii. Widać Pachamama postanowiła potwierdzić, że jest boginią życia. A może gryzie ją po prostu sumienie po tym, co zrobiła.

Myślę, że nigdy nawet jej się nie śniło, iż mogłaby dopuścić się takiej przemocy. Po prostu znalazła się pod ścianą i była przekonana, że nie ma innego wyjścia, a gdy tylko wytłumaczyłem jej, że owszem, ma, z ulgą wróciła do swojej pokojowej natury. Jest piękna i mówię jej szczerze.

Ale odpowiada mi leniwka.

<O ja, dzięki, stary. Mówią mi czasem, że jestem słodka albo że jestem wolniejsza niż ślimak łapiący żółwia na autostopa, ale nikt mi jeszcze nie powiedział, że jestem piękna>.

<Mówiłem do Pachamamy>.

<A! To sorki, ale jej już tu nie ma>.

I rzeczywiście nawet kręgosłup z drzew rozplata się i wrasta z powrotem w dżunglę.

<To nie szkodzi. Ty też jesteś piękna. Bardzo ci dziękuję za pomoc>.

<Nie ma sprawy> odpowiada leniwka, po czym dodaje mentalne westchnienie. <Pytanie tylko, jak ja teraz wrócę na jakieś smaczne drzewo. Zejdzie mi na to cały dzień albo i dłużej>.

<To tak daleko?>.

<Nie, tylko ja jestem taka powolna>.

<Dlaczego? Wydaje mi się, że potrafiłabyś się poruszać szybciej, gdybyś tylko chciała>.

<No jasne, że potrafić, to bym potrafiła. Żebyś ty widział, jaka byłam szybka, jak walnęła koło mnie ta kula ognia. Ale muszę przecież oszczędzać energię. Weinam takie gumowate liście i strasznie się żują. Nie zrozum mnie źle, są pyszne, ale wiesz, trawią się całe wieki i naprawdę nie zostaje mi dużo energii na małym figle>.

<Czyli wiesz, gdzie jest pożar?>.

<No ba>.

<Muszę się tam dostać. Możesz wskoczyć mi na plecy, to cię podwiozę, a ty wskażesz mi drogę>.

<Jesteś pewien? Bo wiesz, mam tu w futrze sporo robaków i takich tam>.

<Nie ma problemu, nie będą mi przeszkadzać. Tak w ogóle to jak masz na imię?>.

<Słomonobrodzie>.

<A ja Owen>.

<Myślałam, że Oaken druid Gai, nie?>.

<A, tak, to też. Ale jak chcesz, to możesz mi po prostu mówić Oaken>.

<Odlot! Dzięki, Oaken!>.

<Nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym mówił na ciebie Słomo?>.

<Jasne, że nie!>.

Podchodzę do niej, a ona unosi się na tylnych łapach z prędkością nadciągającego lodowca. Zaczynam się obawiać, że nim gdziekolwiek dotrzemy w tym tempie, będę znów musiał se golnąć tej herbatki „Młodości Czar”.

<Słuchaj, Słomo. Dodam ci trochę energii. Nie będziesz jej musiała oszczędzać i będziesz się mogła szybciej poruszać>.

<Jak...?>.

<Po druidowemu>.

<A, nie... Chciałam tylko spytać „jak szybko?”. Tak jak mały? Bo to by wymagało całego mnóstwa energii>.

<Co nam szkodzi spróbować?>.

Decyduję się na połączenie splotów siły i szybkości, bo ciekaw jestem, co dla takiego zwierzaka oznacza prędkość. Muszę przyznać, że z bliska jest naprawdę cholernie słodka. Mordkę ma włochatą, białą, z czarnymi paskami na oczach, a głowę i resztę ciała pokrytą dłuższym, twardszym włosiem. Sierść wokół jej czarnego nosa i ust jest też czarna i układa się w coś na kształt stałego, łagodnego uśmiechu. I jej mentalny głos jest właśnie taki – łagodnie i lekko ubawiony. Ale bogowie niejedyni, jakie ona ma pazury!

Kiedy splot się włącza, Slomo otwiera szeroko oczy, a ten czarny uśmiech przechodzi w szczery wyszczerz.

<Wow, Oaken! Co to jest za niesamowity dopalacz! Uwaga, wskakuję!>.

Muszę przyznać, że gdy rozkłada te długie łapy z pazurami i skacze w moim kierunku, ogromnie trudno się opanować i nie uciec, ale stoję w miejscu, uznawszy, że jeśli jednak zrobi mi krzywdę, przecież łatwo się wyleczę. Nie ma jednak takiej potrzeby. Stękam tylko pod jej ciężarem, lecz poza tym jest bardzo ostrożna i przytula się do mnie tymi swoimi długimi łapami, bynajmniej nie wbijając we mnie pazurów.

<Ojej, Oaken! Co za szalone uczucie. Myślę sobie, że teraz tobym mogła osiągnąć prawdziwie małą prędkość i pomknąć między drzewami tak, jak mi się to zawsze marzyło!>.

<Ty naprawdę masz hopla na punkcie mały, co?>.

<No wiesz, są takie szybkie! To pewnie przez to, że potrafią jeść paliwo z żółtych tubek>.

<Masz na myśli banany?>.

<Co? Co za beznadziejna nazwa. W ogóle nie ma sensu. „Paliwo z żółtych tubek” o wiele staranniej opisuje rzeczywistość. Idź teraz trochę w tę stronę>. Wyciąga lewą łapę przed moją głowę i wskazuje mi kierunek, a ja poprawiam kurs. <Dobrze. To jak to jest z tymi druidami? Wszystkie są takie wielkie i włochate jak ty?>.

<E, nie. Nawet ja nie jestem wielki i włochaty>.

<Na moje oko to jednak jesteś>.

<Tylko dlatego, że akurat splotłem się z postacią niedźwiedzia. Czasami jestem kanią. A czasami baranem albo morską. Ale normalnie to jestem człowiekiem. Takim dość starym, tylko wyglądam jak facet w średnim wieku>.

<Te obrazy w mojej głowie to co to? Prawdziwe zwierzęta? Nigdy takich nie widziałam! Poza ludźmi. Tych to widziałam, ale zwykle mają ciemniejszą skórę niż ty>.

<A ja z kolei nigdy nie widziałem takiego zwierzęcia jak ty. Świat jest wielki. O wiele większy niż twoja dżungla, wiesz?>.

<Coś ty? I co tam jeszcze jest?>.

<Są oceany pełne ryb. Pustynie ze skorpionami i kaktusami. Góry porośnięte drzewami, które mają igły zamiast liści. Wielkie równiny zamieszkałe przez bizony i antylopy. I wiele, wiele więcej. Sam dopiero poznaję ten wielki świat. Normalnie każdego dnia widzę coś nowego i niesamowitego>.

<Ale fajnie! Tutaj to mamy tylko mały, liście i ptasie mózdzki. Ojej, czujesz? Śmierdzi dymem, czyli już jesteśmy blisko>.

<Czuję>.

<Mnie się zdaje, że już bliżej nie musimy iść. Nie przepadam za ogniem, Oaken>.

<Ja też nie. Ale muszę go ugasić. Ze względu na bezpieczeństwo Pachamamy i wszystkich zwierząt, które mieszkają w tej okolicy>.

<Moje drzewo pewnie już się całkiem spaliło. Jak spadł ten ogień z nieba, to mało mnie nie trafił>.

<Ale będziesz mogła znaleźć sobie nowe drzewo, prawda?>.

<No jasne. Tylko chciałam przez jakiś czas być z tym. Nazwałam je Lopoyamalachamanowe i powiedziało, że podoba mu się to imię>.

<Drzewa do ciebie gadają?>.

<Oczywiście. Drzewa zawsze gadają. Tylko że większość zwierząt porusza się za szybko, żeby to usłyszeć. Drzewa próbują się przywitać ze wszystkim, co przebiega po ich gałęziach, bo to takie przyjazne istoty i cieszą się ogromnie, jak ktoś do nich wpadnie, ale zwykle nim skończą mówić „cześć”, zwierzęta już są daleko. Trzeba zostać chwilę dłużej, żeby je usłyszeć. To właśnie moja specjalność>.

<Nieustannie mnie zaskakujesz, Slomo. Mam uczennicę o imieniu Tuya, która na pewno strasznie się ucieszy, jak się o tym dowie. Podejrzewam, że będzie chciała się nauczyć rozmawiać z drzewami. Dobra, teraz muszę się przemienić w człowieka i ugasić pożar. Może zawiśnij sobie na jednym z tych drzew, a pogadamy potem, jeśli będziesz miała na to ochotę?>.

<Dobra, Oaken! Świetny pomysł! To mogę sobie zająć to drzewo tutaj?>.

Skręcam w prawo, bo tam jest wskazane przez nią drzewo, i zatrzymuję się przy pniu. Pojęcia nawet nie mam, jaki to gatunek, ale już się zastanawiam, jak ona je nazwie.

<Dobra, masz teraz kupę energii, więc wskakuj na to drzewo jak prawdziwa małpa. Możesz udawać, że właśnie zjadłaś paliwo z żółtej tubki>.

Slomo drapie mnie trochę, gdy się ode mnie odbija, ale takie drobne poświęcenie warte jest tego widoku. Wspina się na drzewo tak szybko, jak zawsze o tym marzyła, i cudownie jest widzieć u kogoś taką radość życia, szczególnie w chwili, gdy jakiś pomylenieć próbuje puścić wszystko z dymem.

<Ła hu hu ho ho ho ho!> wrzeszczy leniwka w mojej głowie, a jej struny głosowe wydają podobne dźwięki. Być może po leniwemu są to jakieś konkretne słowa, tego nie wiem. Za to wiem na pewno, że jest szczęśliwa. Świetnie się bawi, wyczyniając prawdziwe małpie figle.

Przemieniam się w człowieka i ostrzegam ją, że ta dodatkowa energia szybko się skończy, więc lepiej, żeby już znalazła se odpowiednie miejsce. Wspina się jeszcze wyżej i zawisa na gałęzi wśród mnóstwa łatwo dostępnych liści.

<Okej, gotowa, by znów się polenić> melduje, a wtedy rozplatom jej dopalanie.

Tak dobrze?

<Aaa. Co za różnica! Ale przez chwilę prześcigałam same małpy w małpowaniu. Mam tylko nadzieję, że to było naprawdę. A jeśli to tylko jakaś taka jazda po dziwnym liściu?>.

To się dzieje naprawdę. Często masz jazdy po liściach?

<Wiesz, ta jazda i tak jest fajna. Hej, ale ty już nie jesteś wielki i włochaty. Znaczący włochatość została ci już jedynie w kilku miejscach>.

Tak wyglądam, gdy jestem człowiekiem.

<Większość ludzi, których widziałam, zakrywa to na środku. Czemu tak robią? Czy to dlatego, że masz tam taką małą kępkę futra i maciupieńkiego wężyka?>.

To wcale nie jest żaden maciupieńki wężyk!

<No duży to on na pewno nie jest>.

To w ogóle nie jest wąż! Słuchaj, to naprawdę nie ma teraz znaczenia. Cieszę się, że jesteś bezpieczna. Pójdę zająć się pożarem, a potem tu do ciebie wrócę.

Gaszenie ognia nie jest ani trochę przyjemne. Jest gorąco, wszędzie pełno dymu i w płomieniach zginęło już cholernie dużo zwierząt i roślin. A mimo to z jakiegoś powodu uśmiecham się przez cały ten czas, gdy tworzę sploty gaszące ogień ziemią.

Tym powodem jest Slomo. Rozśmiesza mnie. Spogląda na świat w sposób, który jest dla moich starych oczu zupełnie nowy. Może dlatego, że widziała go jeszcze mniej niż ja.

Ale też pewnie dlatego, że patrzy na wszystko z bezbrzeżnym zachwytem, trochę jak moi uczniowie. To mi dobrze robi, odświeża mój własny podziw dla świata. Na starość czasem ulegamy złudzeniu, że już nie ma nic nowego, co mogłoby nas zachwycić. Może dlatego, że zwalnimy, nie widzimy wiele poza wciąż tymi samymi rzeczami i przez to myślimy sobie: „A w cholerę, równie dobrze mogę się położyć cyckami do góry i wyzionąć ducha. Znudziło mi się już jedzenie tego miękkiego żarcia, oglądanie teleturniejów i noszenie ubrań, bo te szmaty zawsze są takie gówniane i drapią”.

Co tu dużo mówić, odzyskanie młodości oznaczało dla mnie zarazem odrodzenie się mojej miłości do świata. A że tyle się go ostatnio naoglądałem, z jeszcze większym zapałem chcę o niego walczyć – nie żebym przedtem nie był gotów walczyć dla Gai. A jednak czuję teraz, że robię to z jeszcze

większym przekonaniem. Może też trochę udziela mi się nastawienie Granuaile. A może gdy człek wie, jak kiedyś wyglądał świat, a potem widzi, co ludzie z nim porobili, to siłą rzeczy walczy jak szalony.

Kiedy w końcu pożar gaśnie, czuję, jak las oddycha z ulgą. Dotrzymałem słowa i Pachamama może znów się nim opiekować.

Cieszę się, że mnie wysłuchała i zaprzestała tej rzezi bez walki. Może dlatego, że rozumiała, iż jestem po jej stronie. Może wie, że prawdziwa walka jeszcze trochę potrwa i że będę walczył w jej imieniu.

Daję Amazonii znać, że sprawa załatwiona i że posiedzę sobie teraz na drzewie, po czym przemieniam się w kanię rudą i lecę tam, gdzie żując liście, zwisa sobie Slomonobrodzie.

<Jak się miewa moja ulubiona leniwka?> pytam.

<Hej. Oaken, to ty?>.

<Tak>.

<Słyszę cię w głowie, ale nie wiem, gdzie jesteś>.

<Jestem tym ptakiem, który przysiadł na gałęzi nad tobą. Kanią rudą, ściślej rzecz biorąc>.

<Ojej! I masz skrzydła! Możesz latać! Założę się, że to cię ogromnie cieszy!>.

<Tak>.

<Jesteś naprawdę magiczny, Oaken>.

<E, nie, to nie ja, to magia ziemi>.

<Myślę sobie, że to raczej ty>.

<Opowiedz mi coś więcej o sobie, Slomo. Jak ci się tu żyje? Chętnie posłuchałbym o twoich przygodach>.

<A nie będzie ci przeszkadzało, że większość tych przygód zaczyna się od tego, że dyndam sobie do góry nogami na gałęzi tak jak teraz?>.

<Jasne, że nie! Bez dyndania to przecie w ogóle nie może być mowy o przygodzie>.

<Ojej, serio? To w takim razie całe moje życie to przygoda! A wiesz, że o tym nie wiedziałam?>.

<Nie szkodzi, kochana. Mało kto o tym wie>.

Rozdział 17



Thor, którego spotkałem w przeszłości – i którego śmierci od Moralltacha byłem niby świadkiem – był blondynem, co nie zgadzało się właściwie z opisami z *Edd*, bo tam miał mieć jasnorude, wręcz pomarańczowe włosy, ale taki szczegół jakoś zupełnie mi wtedy umknął. Ludzie zmieniają kolor włosów jak rękawiczki, więc chyba uznałem, że bogowie tym bardziej. Poza tym wszystko przecież się zgadzało: przyleciał wtedy na rydwanie zaprzężonym w latające kozły, wymachiwał Mjöllnirem, a do tego ciapał wokół piorunami niczym malarz pokrywający płótno gwaszem. A więc czy Thor zdołał się znów ucieleśnić dzięki temu, że wyznawało go wystarczająco dużo pogan na całym świecie, czy też to zawsze był prawdziwy Thor, a Leif zabił tylko jakiegoś innego, choć przekonująco podobnego? Tak czy siak, wyprowadzili mnie w pole, a gdy zerknąłem na Odyna, zobaczyłem, że patrzy wprost na mnie z wielkim uśmiechem na twarzy. Na widok mojej miny roześmiał się w głos. Gdy usłyszała to Freja, też spojrzała w moją stronę, a jej uśmiech bynajmniej nie był serdeczny.

Nieczęsto miewam ten zimny, przerażający ścisk paniki w żołądku, ale gdy już go mam, to głównie wtedy, gdy dociera do mnie, że ze wszystkich stron otaczają mnie wrogowie i najprawdopodobniej nie przeżyję tego dnia. Albo spotka mnie coś gorszego niż śmierć. Rozmaite bóstwa były znane z wyznaczania tego typu kar, a Jezus ostrzegał mnie przecież, że jeśli najadę Asgard, czeka mnie ból gorszy niż jakikolwiek dotąd mi znany. Nie ukrywał, że mam dług, który pewnego dnia będę musiał spłacić, a teraz czułem, że najlepiej byłoby natychmiast zniknąć z tego pola walki, bo ten dzień chyba właśnie nadszedł. Azowie mieli w walce z Lokim i Hel wsparcie faerii, mrocznych elfów i bóstw grecko-rzymskich, właściwie więc moja obecność tu nie była konieczna. Zlikwidowałem już zresztą Jörmungandra – a raczej zrobiła to Laksha – choć to akurat w wyniku umowy między mną a Odysem, który uważał, że powinienem zapłacić krwią (Jörmungandra) za śmierć (domniemaną) Thora. Dotrzymałem swojej strony umowy, w którą zostałem zresztą chyba wrobiony na podstawie kłamstwa. Należało więc uznać, że nie ciąży już na mnie żadne zobowiązania.

Z wyjątkiem tych wobec Gai. Jeśli siły Lokiego przedrą się przez te armie, zniszczenia będą niewyobrażalne i nieodwracalne. I tak jak wierzyłem Jezusowi, gdy powiedział, że czeka mnie wiele bólu, wierzyłem mu również, gdy powiedział, że jako jeden z niewielu będę miał możliwość zminimalizowania konsekwencji tego bałaganu. Eliminując z gry Jörmungandra, Laksha z pewnością uratowała życie wielu ludziom, że już o owcach nie wspomnę. Yeti ocalały miliony, powstrzymując Surta, nim w ogóle porządnie wybuchł z ziemi. Jeśli i ja mogę kogoś uratować, powinienem tu zostać i walczyć.

Ku zaskoczeniu wszystkich znak do boju dała Fand i to ona poprowadziła faerie do walki. Przy jej boku zobaczyłem Manannána Mac Lira. Skrzydlate pixie i chochliki leciały ponad mieszaniną boggartów, barghestów, spriggan i innych stworzeń. Zaraz za nią ciągnęła Brighid ze swoją armią, która niewiele się różniła od tej, której przewodziła Fand, chyba jedynie proporcjami tych czy innych faerii. Szedłem zaraz za nimi, uznawszy, że to bezpieczniejsze rozwiązanie, niż pchać się za blisko Azów. Na ich spotkanie ruszyła część draugarów schodzących ze zbocza wulkanu i po kilku sekundach dotarło do mnie, że siły są dość zrównoważone. Tylko że ta część draugarów stanowiła ledwie ułamek ich całego wojska, podczas gdy nasza armia faerii była właściwie większą częścią naszych sił. Skala tego, z czym

mieliśmy się zaraz zmierzyć, docierała do mnie powoli, a zimny niepokój w żołądku, który dotąd odczuwałem, zdrzął i skrzął w kawał lodu.

A propos lodu to jedyne dwa yeti, które przeżyły, maszerowały właśnie z Manannánem, z gotowymi wirującymi ostrzami, bo ich magia mrozu niewiele mogła przeciw zdziałać w starciu z draugarami. Bynajmniej nie podobało mi się to, że szły tak na przedzie. I tak już dokonały olbrzymiego poświęcenia, a nie chciałem, żeby w ten sposób yeti w ogóle zniknęły z powierzchni ziemi. Ujrzałem też mały lasek cisowców – sprowadzenie ich tu wydało mi się dobrym pomysłem, bo w końcu byli to wojownicy praktycznie nie do zabicia.

Żeby w ogóle nadażyć, musiałem teraz przejść do truchtu. Nie była to jeszcze szarża pełnym pędem i nie słychać było szczęku broni, ale zaraz się zacznie.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że Odyn kiwa na Olimpijczyków. Zeus wydał im rozkaz, żeby ruszyli za nami. On sam prowadził, unosząc się obscenicznie nad polem ze swoim bitewnym wzwodem i lubieżnym uśmiechem. Zebrały się już nad nami chmury burzowe – z Zeusem, Jowiszem i Thorem to raczej należało się spodziewać obfitych błyskawic i grzmotów. Zacząłem się nawet rozglądać za Perunem, bo jego przyjazna, włochata postać podniosłaby mnie bardzo na duchu, ale pewnie był zajęty ratowaniem sytuacji w słowiańskich krainach. Zresztą pewnie Siostry Trzech Zórz też mają teraz co robić w Polsce.

Dystans między nami się zmniejszał; co jakiś czas się rozglądałem, żeby zobaczyć, jakie jest rozmieszczenie naszych armii. Najwyraźniej wszyscy stosowali się do jakichś rozkazów Odyna, ale nie wiedzieć czemu nie dostałem przed bitwą żadnej mapki i żadnej rozpiski, kto i co ma robić podczas bitwy, najlepiej zakreślonej odblaskowymi mazakami i z komentarzami czerwonym długopisem.

Czy szarża Fand była od początku w planie, czy też może Odyn improwizował zależnie od rozwoju sytuacji na polu? Tyle z tego miałem przynajmniej, że przestał się już do mnie złośliwie szczerzyć. Z moim szczęściem pewnie nie stanąłem tam, gdzie chciał, choć z drugiej strony, znając Odyna, przewidział już wszystkie możliwe scenariusze tej bitwy.

Svartálfarowie nie zajęli pozycji za nami, tylko przesunęli się na lewe skrzydło, na co draugary będą musiały przeciw jakoś zareagować. Álfarowie natomiast znaleźli się na prawym skrzydle – i słusznie, bo pewnie lepiej było ich trzymać z dala od Svartálfarów. Krasnoludy ze wzmacnianą runami bronią szły w środkowej części, za nimi Wanowie, a na końcu ciasno upakowane szeregi einherjarów z gotowymi do boju tarczami i toporami.

Podpompowałem sobie siłę i szybkość, a potem jeszcze wrzuciłem kamuflaż, choć pobierał dużo energii. Jeśli kiedykolwiek należało przestać oszczędzać energię, to właśnie teraz. Potrzebowałem wszystkiego, co może dać mi Gaja, by ją obronić.

Armia faerii przyspieszyła, a jej ryk narastał wraz z wściekłością i stresem, jakby wszystkie te żywe istoty zadawały sobie pytanie, dlaczego biegną właśnie na spotkanie ze śmiercią, i jakoś nijak nie przychodziła im do głowy żadna sensowna odpowiedź. Bo sam rozkaz to średni powód, zwłaszcza jeśli się ma czas, żeby się nad tym zastanowić, a w szczególności jeśli dojdzie do ciebie, że pewnie cię zaraz ukatrupią albo na polu walki, albo za dezercję. Jedyne wyjście to biec naprzód i to stąd biorą się te wojenne okrzyki – z otchłani desperacji i czystej, bezbrzeżnej wściekłości, że coś stoi ci na drodze do twojego własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa twoich bliskich.

Nie widziałem pierwszego zderzenia armii, ponieważ znajdowałem się nieco w tyle, ale usłyszałem szczęk metalu i przedśmiertne okrzyki. Czuć już było zapach krwi, a pierwsze szeregi naszej armii zwinęły się niczym akordeon. Pixie podlatywały w parach z rozciągniętymi między nimi ostrymi kablami, elegancko obcinając draugarom głowy, które spadały na ziemię niczym arbuzy. Wymagało to jednak od tych małych stworzeń wielkiego wysiłku, a po każdym takim działaniu musiały szybko unieść się w powietrze, by znów nabrać rozpędu. Te, którym nie udało się unieść na czas, ginęły od razu. Niektóre draugary zdołały zauważyć wcześniej atak i stawały się bezcielesne, przez co kabel przelatował luzem, nie czyniąc nikomu krzywdy. Wówczas pixie mogły lecieć dalej i atakować następnego martwiaka albo cofnąć się i spróbować jeszcze raz z tym samym, tylko że jeśli akurat się nie dogadały i każde ciągnęło w swoją stronę, szlag trafiał cały ich przemyślny atak, ginęło jedno lub oba pixie, a kabel spadał smętnie na ziemię. Co nie znaczy, że nie miały wpływu na przebieg bitwy. Otóż miały. Udało im

się ściąć co najmniej jedną trzecią tych draugarów, które zaatakowały, co naprawdę znacznie nam ułatwiło atak i wyrównało siły.

My wiedzieliśmy, jakie są słabe strony draugarów, i one też to wiedziały – były przygotowane na to, żeby odparowywać ciosy na głowę, a następnie uderzać nas gdziekolwiek, bo w przeciwieństwie do nich mieliśmy właściwie same słabe strony. Byli to wojownicy brutalni, silni i wydajni, ale mało kreatywni. Nie przejmowali się żadnymi urazami cielesnymi i tylko parli naprzód – maszerujące kołatki śmierci, rozkoszujące się zabijaniem bez żadnych konsekwencji, bo przecież nie mógł ich już czekać gorszy los od tego, jaki mieli w Helu, a powrót tam będzie teraz dla nich niczym powrót do domu.

Dla większości faerii hełmy draugarów stanowiły duży problem. Zasłaniały swoich nosicieli na tyle skutecznie, że wytrzymywali pierwszy cios, a o drugi to już zwykle nie musieli się martwić. W rezultacie ginęło mnóstwo faerii. Czułem się bezradny. Nie mogłem tak po prostu przedrzeć się przez pierwsze szeregi faerii w stronę wroga, bo zimne żelazo w mojej aurze ukatrupiłoby mnóstwo wojów po naszej stronie, przemknąłem się więc na prawe skrzydło, tam gdzie maszerowali Álfarowie. Teraz faerie znajdowały się między mną a mrocznymi elfami na lewym skrzydle. Mogłem wreszcie sam dołączyć do walki i raz jeszcze być wdzięczny losowi za Fragaracha, którego ostrze przebijało się przez każdą zbroję. Hełmy nie dawały draugarom żadnej ochrony przed moim mieczem, który pięknie przerzynał się przez ich szyje i wbijał w ich czaszki. Udawało mi się przynajmniej stać w miejscu, choć napór tych niekończących się szeregów martwiaków uniemożliwiał mi jakikolwiek ruch do przodu.

Faerie nie miały jednak tak łatwo jak ja. Padały jak muchy. Wydaje mi się, że ginęły w proporcjach jedna faeria do jednego wroga, co naprawdę było niepokojące, jeśli wziąć pod uwagę, jak niewielkie mieliśmy siły w porównaniu do zastępów Lokiego. Mogliśmy niby liczyć na posiłki – nordyccy i olimpijscy bogowie wciąż jeszcze nie dołączyli do naszej bijatyki – ale i tak musielibyśmy być o wiele skuteczniejsi, jeśli byśmy to chcieli wygrać.

Álfarowie i Svartálfarowie robili swoje na skraju naszej armii i choć oba rodzaje elfów były dość sprawne, to jednak mroczne elfy okazały się efektywniejsze. Ich zdolności do przechodzenia w stan bezcielesny skutecznie równoważyły podobne zdolności draugarów. Elfy przechodziły w stan dymny, który nazywały *Sigr af Reykr*, a następnie materializowały się już za linią obrony swoich przeciwników. Wtedy wbijały im czarne noże pod brody, prosto w mózgi. W rezultacie lewa strona pola zaczęła wyraźnie ustępować pod naporem elfów, a tymczasem faeryczna część naszej armii kruszyła się pod atakiem draugarów. Álfarowie natomiast niespecjalnie się przykładali do redukcji liczby martwiaków. Mieli te swoje tarcze i wspaniałe zbroje, które chroniły ich przed ciosami draugarów, ale nie zabijali ich zbyt skutecznie. Pewnie należało im się jakieś ciasteczko za to, że stracili paru swoich i jednak stawiali jakiś opór, ale w sumie ani nie wygrywali tej bitwy, ani jej nie przegrywali.

A potem nagle do gry dołączyła Hel – niewidoczna, gdzieś z tyłu, bo tak jak Loki skurczyła się do małych, ludzkich rozmiarów. Niestety jej wpływ na sytuację na polu bitwy bynajmniej nie był jednak tak mały – przejmowała władzę nad poległymi faeriami (tymi, które miały jeszcze głowy), kazała im zmartwychwstawać i posyłała je do walki z byłymi kolegami z wojska. Pixie i dyniogłowi, sprigganie i chochliki wstawali z pola walki i obracali się przeciwko przyjacielom, wbijając im w ciała brązowe miecze i włócznie, a ich znajomi ginęli ze zdumieniem wymalowanym na twarzach.

Jako że Fand i Manannán znajdowali się na samym przedzie, ich zaatakowano jako jednych z pierwszych, ale Manannána w ogóle to nie obeszło. Wymachiwał wokół Moralltatem, czyli mieczem, który powodował martwicę ciała od razu po pierwszym draśnięciu. To właśnie tą bronią Leif zamordował Thora – czy kto to tam tak naprawdę wtedy był. Co ciekawe, Moralltach działał zadziwiająco skutecznie w walce z draugarami. Niby i tak już były martwe, ale widać jednak ich ciała musiało jakoś reagować na impulsy nerwowe, a infekcja wywołana Moralltatem to uniemożliwiała i draugary padały jak muchy, podwójnie martwe muchy, i to mimo że nie odcięto im głów. Zmartwychwstałe faerie niszczyło natomiast żelazo tego miecza i w ten sposób Manannán je również zabijał na dobre.

Lecz Fand nie potrafiła bronić się przed ukochanymi faeriami. A może by i potrafiła, gdyby tylko dano jej dość czasu na oswojenie się z tą myślą. Zamarła tylko na widok reanimowanego spriggana, którego pewnie znała z imienia i który poległ przed chwilą na jej oczach, a on bez wahania wykorzystał jej chwilę wahania. Jego drewniane palce wydłużyły się i zaostrzyły niczym pazury, po czym niepomny

na własne bezpieczeństwo rzucił się na zdumioną Fand, która otworzyła szeroko oczy i usta, gdy zabójcza łapa spriggana wbiła jej się przez jakąś szczelinę w zbroi i dotarła do ważnego organu. Bogini chyba krzyknęła, choć jej nie słyszałem, i nagle w jej oczach zgasł płomień życia. Była martwa, nim padła na ziemię.

Dzięki kamuflażowi miałem odrobinę więcej czasu, by wybierać moich przeciwników, bo draugary przede mną nie mogły się połapać, co zabija ich kumpli. Nadciągały powoli, ale bez przerwy, a ja zabiłem jeszcze kilka w narastającej panice, bo ogarnęło mnie okropne przeczucie co do tego, co się zaraz stanie. Nie dogadywaliśmy się może z Fand, ale faerie kochały ją nad wszystko. I tak samo kochał ją Manannán Mac Lir, którego podziwiałem i szanowałem i z którym przyjaźniłem się od wieków. Współczułem mu bardzo i od razu oczy zaszyły mi łzami. Musiałem zlikwidować jeszcze dwie draugary, nim mogłem znów spojrzeć w tę stronę, i wtedy właśnie bóg morza zrozumiał, że jego żona poległa, bo spriggan, który ją zabił, teraz jego zaatakował. Cios z prawej strony boga nie przebił się przez jego zbroję, a jedno uderzenie Moralltachem wystarczyło, by powalić spriggana, ale bóg szybko zorientował się, że nic by go nie zaatakowało z tego kierunku, gdyby Fand nadal tam walczyła. Spojrzał w dół, ujrzał ją nieruchomą i nie do uratowania, po czym padł na kolana obok niej. Miecz cisnął na ziemię, żeby móc ją podnieść, i ryknął za nią rozpaczliwie, jakby próbował przywołać ją z powrotem na tę stronę zasłony. Tego właśnie się obawiałem. Faeryczne martwiaki i draugary nie przystanęły przecież, żeby pozwolić mu opłakać śmierć żony. Atakowały dalej, tak jego, jak i mnie. Odrąbałem łeb kolejnej zmorze, obejrzałem się na lewo i zobaczyłem, że kilka z nich rzuciło się na zrozpaczonego Manannána Mac Lira, jednego z najstarszych i najszlachetniejszych spośród Tuatha Dé Danann, boga, który zachowywał się o wiele bardziej jak na boga miłości przystało, niż robił to Aenghus Óg, człowieka potrafiącego kochać i dawać, którego nigdy w życiu nie spotkałby taki los, gdyby nie ja. Wpadłem z tego wszystkiego w lekki szal, waliłem na oślep w te zdezorientowane duchy, które przecież nie miały właściwie żadnej motywacji do walki poza tym, żeby choć na chwilę uciec Hel.

– Tak mi przykro, Manannanie – powiedziałem, choć nie byłem pewien, czy te słowa dotrą do jego uszu gdzieś tam w Tír na nÓg po drugiej stronie zasłony.

Kiedy znów udało mi się spojrzeć w tę stronę, faerie salwowały się już ucieczką, zupełnie straciwszy morale po śmierci przywódców. Pewnie nie pomogła też świadomość, że jeśli polegną, ich ciała powstaną, żeby walczyć z tymi, którzy przeżyją. Z okolic wulkanu dobiegł mnie szaleńczy, nagłośniony rechot. Najwyraźniej Loki świetnie się bawił.

Część faerii zebrała się przy Brighid – która znów unosiła się w powietrzu na kolumnie z ognia, wyglądając na niezniszczalną w tej swojej własnoręcznie wykutej zbroi – ale większość armii Fand była już w rozsypce, a niedobitki pędziły do najbliższego wyjścia z tej krainy.

Widziałem jeszcze jeden samotny, jasny punkcik – Oddrún i Ísólfr nie poddawali się tak łatwo i wirującymi ostrzami siali zniszczenie wśród draugarów. Spowalniali i dezorientowali przeciwników, ciskając im szronem w twarze, a potem dźgali ich nożami, które wysysały z nich dusze – dzięki czemu nie trzeba już im było odrąbywać głów. Kiedy zobaczyli, że Manannán poległ, przesunęli się bliżej niego i nadal odpierali faeryczne martwiaki, mimo że żyjące faerie uciekały już gdzie pieprz rośnie. Potem przez chwilę Ísólfr sam blokował ataki, podczas gdy Oddrún zamykała ich ojca oraz Fand w bloku lodu, żeby Hel nie miała jak ich ożywić. Stworzyła wąski tor lodu i pchnęła po nim bloki w stronę armii Brighid, a Ísólfr i cisowcy osłaniali ich przejście. Miałem nadzieję, że yeti pójdą potem po prostu dalej na południe, opuszczając tym samym pole bitwy, bo ich zwycięstwa i straty przewyższały już i tak wszystko, co inni przeżyli podczas tej walki.

Nie miałem żadnych złudzeń. Wiedziałem, że faerie, które dołączyły do sił Brighid, by walczyć w drugiej fali, stanowią jedynie kilka indywidualnych triumfów woli. W pierwszym starciu z wojskami Lokiego zostaliśmy właściwie rozgromieni, po naszej stronie padli bogowie, a siły Lokiego i Hel tylko się wzmocniły naszymi ożywionymi za pomocą nekromancji poległymi. Mroczne elfy już się zmęczyły, Álfarowie niewiele zdziałali poza utrzymaniem szeregów na prawym skrzydle, ale teraz groziło im, że za chwilę otoczy ich reszta armii Hel.

Najwyższy czas coś wymyślić, bo inaczej jutrzejszego wschodu słońca nie dożyje ani jeden Szwed. A może w ogóle nikt w całej Europie.

Rozdział 18



Król Wuguan wygląda mi na ten typ wojownika, który w walce zdaje się na brutalną siłę. Chętnie przyjmie parę kuksańców, jeśli to mu pozwoli zadać lepszy cios, bo jest przekonany, że jemu, by pokonać przeciwnika, wystarczy jeden. I może ma rację. Nawet jeśli mnie nie wykończy jak ten bohater anime, które ostatnio oglądam – One-Punch Man – to pewnie wyrządzi mi tyle krzywdy, że potem już bez żadnego wysiłku zada mi śmiertelny cios. Najlepiej więc pewnie będzie, jak mu zejdem z drogi, zanim wyląduje po skoku. Przecież nie mogę z nim walczyć, kiedy jego miecz jest tak wysoko nad moją głową.

Czuję, że to jakiś rodzaj próby. Wukong wyraźnie chce zobaczyć, czy potrafię pokonać Wuguana, nim nauczy mnie czegokolwiek, i pewnie to ma sens. Jeśli mamy walczyć z ośmioma coraz trudniejszymi do pokonania królami piekieł, to powinnam przecież potrafić poradzić sobie z facetem nasłanym na nas w połowie tej drogi – skoro chcę wytrzymać do jej końca.

A może jest to też rodzaj próby dla Wuguana? Czy usiłuje przesunąć się o szczebelek wyżej w piekielnej hierarchii, a może w ogóle stamtąd zwiać i załatwić sobie w ten sposób jakąś wygodną posadkę w niebiosach? Przecież nic o nim nie wiem i nie znam jego z pewnością bardzo długiej historii.

Dociera do mnie nagle, gdy tak skaczę na prawo – czyli na lewo od Wuguana – że oto walczę w bitwie stworzeń o wiele starszych niż Atticus, a jest to myśl dość przerażająca, gdy się ma tylko trzydzieści parę lat. Szczególnie że po wszystkich tych opowieściach Atticusa powoli nabieram już poczucia skali. Przykładowo on sam przeżył mniej więcej dziewiętnaście wieków bez przyzwoitej hydrauliki – wzdrygam się na samą tę myśl. Te kilka razy, gdy musiałam przetrwać jakoś bez toalety, były dla mnie ciężkimi i bardzo krępującymi chwilami i cały czas myślałam o tym, co mnie może pokąsać. Pewnie z jego punktu widzenia wszyscy jesteśmy rozpieszczonymi hedonistami.

Zupełnie nie wiem, czego mam się spodziewać po skokach Wuguana na przykład, bo jeśli potrafi on ślizgać się po powietrzu tak jak Małpi Król, to trudno tu stosować normalne prawa fizyki. Automatycznie robię blok, choć raptowny atak następuje dopiero chwilę później. Jego siła mało nie wrywa mi Scáthmhaide'a z dłoni. Wuguan ma niesamowite zdolności, jest naprawdę silny, jak się tego obawiałam, i o wiele szybszy, niżby to wskazywał jego rozmiar.

Wokół nas wciąż trwa walka, ale jakoś wszyscy dali nam trochę miejsca na ten pojedynek – potępiency dostali pewnie jakiś znak, żeby się odsunąć. Może zresztą właśnie zakładają się o to, kto wygra. Małpi Król i jego klony wciąż walczą z pozostałymi demonami i grzesznikami, chroniąc ludzi z Tajpeju, nie mają więc czasu oglądać naszego pojedynku, tylko czasem rzucają jakieś ukradkowe spojrzenia w naszą stronę. Nie rozumiem zupełnie, dlaczego to ja mam wątpliwy zaszczyt walczyć z tym królem piekieł, ale podejrzewam, że Wuguan nie przerwie walki, żeby mi to łaskawie wyjaśnić. I obawiam się, że nie zostało mi wiele czasu, jeśli chcę mieć szansę na wygraną. Bo jeśli jest to wojownik z klasy Wukonga, to zdecydowanie nie jest to moja liga.

Wukong wspominał jeszcze na dachu swojej herbaciarni, że moje zachowania podczas walki są łatwe do przewidzenia i zneutralizowania. To z pewnością dlatego, że są to chińskie metody walki, których nauczył mnie Atticus – tak stare, że niemal nowe, ale Wuguan zna je przecież tak dobrze jak Wukong. Pokazuję mu więc coś, co rozpozna i na co bez wahania odpowie, a potem dodaję coś, czego nie zna. Kij wiruje w mojej prawej ręce, a Wuguan pewien, że przerzucę go do lewej, uderza go, żeby

odsłonić mnie na cios – i rzeczywiście jestem odsłonięta. Tylko że w tej chwili ciskam weń nożem, w prawe oko, gdy odsuwa na chwilę rękę z mieczem. Jest to z mojej strony ryzykowne posunięcie, opłaca się jednak, bo ostrze wchodzi głęboko. Władcy piekieł nie udaje się powstrzymać odruchowego drgnięcia ciała, co niszczy jego cios, ale jeszcze daje radę mnie zaskoczyć mocnym kopniakiem w brzuch, nim mam czas się zasłonić. On jest poirytowany, że czuje ból, zamiast go zadawać, a ja cała zasapana wylądowałam na ziemi na tyłku, z obitą przeponą i kilkoma złamanymi żebrami. Wyrzywa sobie mój nóż z oka i ciska go w moją stronę. Udaje mi się przetoczyć na tyle szybko, żeby ostrze wbiło mi się w lewe ramię zamiast w oko. Wyciągam nóż z rany i podkręcam uzdrawianie.

Obojgu nam chwilę zajmuje powrót do walki. On staje do mnie lewą stroną, unosi miecz, żeby się nim zasłonić, a zarazem móc mnie obserwować tym okiem, które mu zostało. Przetaczam się i wstaję, zachodząc w głowę, jak mam go teraz niby zaskoczyć, skoro już jest czujny. Problem w tym, że na jego korzyść nadal działa olbrzymia siła i niewyobrażalna długość ramion. Na plus mogę sobie policzyć chyba tylko to, że już raczej nie będzie próbował robić tych swoich wielkich skoków, bo będzie się bał, że dopadnę go wtedy od jego ślepej strony. Na minus zaś to, że w zbroi nie ma żadnego innego miejsca, w które zdołałabym wbić nóż, a tej jedynej odsłoniętej części będzie teraz strzegł za wszelką cenę.

Co... może działać na moją korzyść? Sprawdzam, czy aby na pewno zostały mi jeszcze dwa noże. Chwytam jeden prawą ręką i obracam go. Tak, tak, wielgusie. Popatrz, jaki błyszczący nożyk.

Lewą ręką kręcę kilka razy kijem, nie przestając w prawej bawić się nożem. Patrzę, jak jego wzrok podąża za moimi ruchami. Zerka kontrolnie na kij, ale zaraz wraca do noża i obserwuje moje biodra, licząc, że zdradzą ruch. Dobrze. Nie patrzy już wcale na moją lewą rękę i nadgarstek, przekonany, że wie, do czego tam zmierzam. I tu go właśnie muszę zaskoczyć. Rzucam się do przodu z konwencjonalnym atakiem i ciskam nożem, żeby zobaczyć, co robi. Blokuję kij i robi unik przed nożem, a potem zamachuje się cholernie szybko mieczem. Gdybym tylko miała brodę, toby mi ją teraz przysrzygł. To już wiem.

Wyciągam ostatni nóż i robię ruch, jakbym nim chciała cisnąć. Kupuje tę ściemę, a ja lewą ręką uderzam dwa razy Scáthmhaide'em: raz w płaską część jego ostrza, żeby go odepchnąć, a potem w przestrzeń, gdzie powinien się znaleźć jego policzek w uniku przed nożem, którym wcale nie rzuciłam. Kij uderza mocno. Król wyje i zatacza się do tyłu, odruchowo zamykając lewe oko, więc przez chwilę w ogóle nic nie widzi. Wtedy już naprawdę ciskam nożem, a ostrze wbija mu się w szyję. Teraz krwawi i ma problemy nie tylko ze wzrokiem, ale i z oddychaniem, więc nie stawia już takiego oporu, kiedy podchodzę go wykończyć. Walę go kijem w twarz i pada na ziemię z hełmem pełnym potrzaskanej głowy. Żegnaj, Wuguanie.

Jego śmierć – czy też może raczej stopienie się – ma dziwny wpływ na sługi. W pierwszej chwili po zakończonym pojedynku gromadzą się wokół mnie, ale zaraz potem, nim mam czas zacząć z nimi poważnie walczyć, wybuchają jakąś mazią. Góra jest czysta i właściwie spodziewam się, że Małpi Król mnie jakoś pochwali, ale on tylko opiera się na kiju i marszczy brwi.

– Mogłaś to nieco przeciągnąć – stwierdza.

To jak dla mnie kompletnie nie ma sensu i mu to mówię wprost.

– Co?! Po co miałabym narażać się na jeszcze większe ryzyko?

– Pokonałaś go tak szybko, że stracił twarz i wezwał z powrotem wszystkie swoje dusze.

– Ale to dobrze, prawda? Wygraliśmy! Ludzie są bezpieczni.

Wukong tylko kręci głową i macha na to ręką.

– Zostało nam jeszcze czterech królów Jamy. A teraz, skoro poniżyłaś jednego z nich, będą chcieli cię zniszczyć. Nie Tajpej. Nie wyspę. Tylko ciebie.

– A, to pięknie. Mogłeś mnie wcześniej ostrzec, że poza walką na śmierć i życie powinnam się jeszcze przejmować ich kruchym ego.

– Nie wiedziałem, że muszę to wyjaśniać. Korzenie konfliktu prawie zawsze wyrastają z kruchego ego. Na przykład nie mam żadnych wątpliwości, że to ego motywowało mnie do działania w młodości. Wyobrazasz sobie, że kiedyś zażądałem, żeby mnie nazywano Wielkim Mędrcom Równym Niebiosom?

Staram się zdusić śmiech i wychodzi mi z tego coś w rodzaju kaszlu.

– Coś tam chyba o tym czytałam.

Ale jego nie da się nabrać.

– Śmieję się, śmieję. Zasłużyłem sobie na drwiny. Lecz teraz już zmieniłem sposób myślenia oraz imię.

– Tak, słyszałam. Buddo Zwycięski w Konflikcie, czy mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście.

– Dlaczego zajmujesz się serwowaniem *bubble tea*? Przecież jesteś buddą.

Wzrusza ramionami.

– To prosta przyjemność, która uszczęśliwia ludzi. A gdy ludzie widzą, że może ich uszczęśliwić coś tak prostego, wszystkie ich wielkie pragnienia wydają się w porównaniu z tym głupie, bo takie właśnie są. Buddysta próbuje tylko pokazać, że to pragnienia właśnie uniemożliwiają ludziom osiągnięcie szczęścia, że materializm jest przyczyną niezgody. Prosta przyjemność picia *bubble tea* sprawia, że ludzie są gotowi usłyszeć tę prawdę. Albo przypomina ją tym, którzy już ją kiedyś usłyszeli.

Nagle nie mogę już ukrywać dłużej uśmiechu, bo dociera do mnie, co właśnie robię – rozmawiam z Małpim Królem w Tajwanie o buddyzmie. Odkąd zostałam druidką, moje życie stało się o wiele bardziej niebezpieczne, ale przynajmniej mam okazję rozmawiać z żyjącymi legendami.

I wtedy właśnie Góra Siedmiu Gwiazd znów wybucha.

Rozdział 19



Slomo opowiada mi o ptakach, które lubi i których nie lubi. O owadach, które gryzą, i takich, które zostawiają ją w spokoju. O małpach, które piszczą i skaczą wokół niej, pałaszując paliwo z żółtych tubek. O kolorowych motylach i ćmach pożeranych przez rechoczące żaby. O przerażającej ciszy, jaka zapada w dżungli, gdy idą przez nią jaguary. O tym, jak z rzadka marzy jej się znalezienie jakiegoś samca, choć nawet marzenia pochłaniają jej zdaniem zbyt wiele energii.

<Najważniejsze to mieć odpowiednią perspektywę. Czy cokolwiek, pomijając jakieś zębiska lecące prosto na mnie, jest warte spalenia więcej niż podstawowe ilości energii, której potrzebuję, żeby jeść i nie spaść z drzewa? Odpowiedź brzmi: nie. Poza tamtymi małpimi figlami. To było zdecydowanie warte wszystkich tych kalorii. Zwłaszcza że nie musiałam ich zdobyć. Były za darmo. Jak słońce>.

<A rzeczy, które są ci potrzebne do szczęścia? Czy one nie wymagają spalania paru kalorii?>.

<No niby tak, ale nieruszanie się za wiele też jest mi potrzebne do szczęścia>.

<Jak możesz w ogóle tak mówić? Przecież dopiero co powiedziałaś, że byłaś bardzo szczęśliwa, wyczyniając te wszystkie małpie figle>.

<To skomplikowane. Chodzi o niuansy, których ty nie dostrzegasz>.

<Jestem świetny w niuansach. Dawaj niuansy>.

<Okej, sam się o to prosisz>. Zalewa mój umysł obrazami i emocjami, a wszystkie dotyczą skomplikowanej skali satysfakcji z pozostawania w stanie nieruchomym w zmieniającym się pod wieloma względami środowisku. Obserwowanie szalonej aktywności wokół przy jednoczesnym niemal zupełnym bezruchu stanowi dla Slomo źródło wielkiej przyjemności, ale też leniwka potrafi sobie wspaniale wizualizować i wyobrażać wiele rzeczy. Kiedy ją o to pytam, odpowiada: <Wiesz, kiedy nie potrafisz się zbyt szybko poruszać, musisz umieć sobie dużo wyobrażać>.

<Chciałabyś zobaczyć więcej świata i częściej poruszać się tak szybko jak przed chwilą?> pytam.

<Jasne. Ale o tym mogę sobie tylko pomarzyć>.

<Wcale nie. Możesz wędrować ze mną po świecie. Mogę ci pokazać wiele rzeczy>.

<A to miejsce, gdzie się pasą te całe bizony?>.

<Jeśli zechcesz. I pustynie. Oceany. Góry>.

<Ale to chyba daleko, nie?>.

<Tak, ale potrafię się bardzo szybko przemieszczać>.

<A nie będzie tam niepokojąco brakowało liści?>.

<Możemy wziąć ich trochę ze sobą na zapas. Albo wrócić tu, zanim zgłodniejesz>.

Slomonobrodzie powoli trawi ten temat razem z liśćmi, które żuje tak wolno, że słyszę chrupanie i zgrzytanie jej zębów. Chyba że to zgrzytają trybiki w jej głowie. W końcu wzrok znów skupia na mnie i kiwa głową w górę i w dół.

<Dobra, Oaken. Chciałabym zobaczyć te rzeczy>.

<Świetnie! Muszę ci najpierw zadać parę pytań. Ile masz lat?>.

Odpowiada mi, a ja pytam i pytam, przyswajając sobie różne podstawowe fakty na jej temat i łącząc je z płynnym rozumieniem jej osobowości, żeby móc ją bezpiecznie przenieść po niciach. Mogę to robić spokojnie, bo przecież póki żywiołaki znów mnie nie wezwą, nie mam się na razie gdzie spieszyć. Przez kilka godzin leniwka opowiada mi obrazami i emocjami o swoim życiu, a ja czuję, że coraz bardziej się do niej przywiązuję. Nie lubi tukanów, bo mówi, że mają oczy jak paciorki śmierci i wielkie dzioby.

<Te wielkie, kolorowe dzioby są tylko po to, żeby odwrócić twoją uwagę od oczu> wyjaśnia.

<Bo jeśli tylko spojrzysz tukanowi w oczy, od razu zrozumiesz, że wszystkie one są złe do szpiku kości, a co gorsza, że chcą cię zjeść>.

<Co? To one są mięsożerne?>.

<Chyba nie. Ale łba bym nie dała! Tylko spójrz w te ich ślepie, wsłuchaj się w to, co mówią ich oczy! Ich wzrok nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że choć normalnie nie jedzą mięsa, robią ten wyjątek tylko dla ciebie. Że są gotowe odrywać mięso od twoich kości, kłapiąc przy tym okropnymi dziobami>.

<Wiesz, naprawdę mam nadzieję, że żadnego nie spotkam. To brzmi gorzej, niż jakby ci kto przyozdobił szklankę z koktajlem kawałkiem gówna zamiast ładnym plasterkiem limonki>.

<A co to koktajl?>.

<Będę cię musiał jakimś poczęstować> obiecuję jej. I wtedy właśnie wzywa mnie żywiołak. Mówi, że jestem potrzebny gdzieś w Europie, bo jakiś stuknięty ośli kutas miesza tam z mocami, których nie powinien w ogóle tykać. <Czas na nas> zwracam się do Slomo. <Gotowa na zwiedzanie świata?>.

<Jasne, Oaken! Już się zbieram, więc powinniśmy dać radę ruszyć gdzieś przed świtem>.

Problem w tym, że słońce nawet jeszcze nie zaszło. Podpompowuję ją więc pospiesznie energią, a ona aż wytrzeszcza oczy z wrażenia.

<Chrzanić to. Musimy natychmiast tam pędzić. Zejdź z drzewa i wskakuj mi na plecy. Przemienię się teraz w człowieka>.

<Nigdy jeszcze nigdzie nie pędziłam! Ale fajnie!>.

Sfruwam na ściółkę i przemieniam się w człowieka, a kilka sekund później Slomo już chce wskakiwać mi na plecy.

Tylko ostrożnie z tymi pazurami. Zarzuć mi ręce na szyję, a ja cię złapię.

Skacze na mnie i stęka przy lądowaniu. Też stękam. Jest trochę kłująca – wcale nie taka mięciutka, jak by się wydawało na oko, bo jej futro jest skołtunione i brudne. Łaskocze mnie skóra. Rzeczywiście nie żartowała, kiedy mówiła o tych robakach, co na niej mieszkają. Biedne owady teraz pewnie właśnie główkują, co to za dziwna rzecz, która nie jest drzewem. Kontaktuję się więc z ich małymi mózdkami – ledwie kilka nerwów – żeby im powiedzieć, że mają siedzieć w futrze Slomo i z niego nie wylazić. Nie wiem nawet, czy przetrwają przechodzenie do innej krainy, ale to wcale niewykłuczone, skoro Slomo uważa, że są jej częścią.

Muszę teraz biec przez dżunglę i przyzwyczaić się do tego dodatkowego ciężaru. Podskakujemy przy tym oboje.

<Czy to jest pędzenie?>.

Tak jakby. Niektórzy nazywają to jazdą na barana, ale pojęcia nie mam dlaczego. W życiu nie widziałem, żeby jakikolwiek baran tak robił. Ludzkie języki są dziwne.

<Chciałabym się nauczyć twojego języka. Mogę cię nauczyć paru słów po leniwemu, jeśli chcesz>.

Jasne. Dobra. Jesteśmy na miejscu. To specjalne drzewo. Możemy przez nie przejść do Tír na nÓg, a stamtąd właściwie w każde inne miejsce na całej planecie. Ale najpierw musisz położyć łapę na pniu.

<O, a co to Tír na nÓg? Zapodałeś mi mnóstwo obrazów na ten temat>.

Bo to wiele rzeczy naraz. Głównie magia i różne takie bzdury. Choć nie wszystkie bzdury są magiczne, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

<Nie, chyba nie bardzo>.

Po prostu trzymaj się teraz mocno.

Przechodzimy po nici, a ja staram się utrzymać w drugiej mojej przestrzeni myślowej ten wspaniały cud natury, jakim jest Slomonobrodolie. Mam tylko nadzieję, że tego nie spieprzę, bo byłaby to prawdziwa tragedia, gdyby przeze mnie stała jej się jakaś krzywda. Po drugiej stronie przystaję, żeby sprawdzić, jak zniosła przejście po nici.

Jak tam?

<O ja! Znaczący wiesz, Oaken, to było... Sama nie wiem. Moje wszystkie żołądki robią właśnie jakieś małe figle. Niewykłuczone, że...>.

Coś gorącego wylewa mi się na ramię i spływa na pierś.

<...zwymiotuję. No. Taak. Stało się. Przepraszam. A to były takie dobre liście. Wiesz, chyba nawet jeden z nich rozpoznałem! Pewnie nie przeżyłam go dość porządnie, bo za bardzo się podekscytowałam tym, jak pysznie wyglądał>.

A jak twoje robaki?

<Moje robaki? Chyba spoko. Wciąż je czuję i w ogóle>.

To świetnie. Oto Tír na nÓg. Pełno tu drzew, ale nie takich, jakie zwykle zjadasz. Musimy teraz znów przejść po nici, więc uważaj na swoje żołądki.

Przenoszę się tam, gdzie każe mi Gaja, choć nie do końca rozumiem, gdzie to jest. Jakoś na północny wschód od miejsca, gdzie byłem poprzednio. To nadal Europa, ale na północ od tych gór i na wschód od Niemiec. Może to Polska, nie wiem nawet, gdzie ona teraz ma granice. Wiem za to, że jest tu na tyle cicho, że znów słyszę, jak Slomo rzyga cicho na moje ramię.

<Ojoj, przepraszam, Oaken>.

Nic nie szkodzi – zapewniam ją. – Może z czasem się przyzwyczaisz. A może teraz już nie będziemy się tyle przemieszczać po niciach.

<Skłaniam się do tej drugiej opcji. To gdzie jesteśmy?>.

Po przeciwnej stronie świata od twojej dżungli. Za oceanem albo i dwoma.

<Sucho tu. Wiesz, czuję, że powietrze jest suche>.

Poczekaj, aż zobaczysz, jak jest na pustyni. Dobra. Muszę teraz dowiedzieć się od żywiołka, co mamy tu zrobić, a potem się pewnie zacznie dziać.

<Jeszcze więcej? Dziś to już i tak podziało się w moim życiu więcej niż kiedykolwiek!>.

To może być tego typu dzianie się, przy którym będziesz się musiała trochę bronić. Broniłaś się już kiedyś przed czymś?

<Raz czy dwa. Ale ile to wymaga energii, to strach nawet pomyśleć!>.

O energię się nie martw. Dostarczę ci jej. Tylko upewnij się, że jeśli coś cię zaatakuje, to coś padnie, a nie ty. Te twoje pazury mogą wyrządzić niezłą krzywdę, jeśli tylko użyjesz dość mięśni. Reaguj szybko i nie pozwól, by cokolwiek zrobiło ci krzywdę.

<A z czym będziemy walczyć?>.

Zaraz się dowiemy.

Żywiołek mówi mi, gdzie mam iść. Czeka nas konkretna kilkukilometrowa przebieżka, bo w okolicy nie ma żadnych splecionych drzew bliżej miejsca, w które żywiołek nas wysyła, ale po chwili Slomo wpada na pomysł, że sama może pędzić – po drzewach. Biegniemy przez las na tyle gęsty, że rzeczywiście chyba zdoła przeskakiwać z gałęzi na gałąź jak małpa. Tak może być łatwiej i dla niej, i dla mnie. Przystaję na ten plan i ciężar na moich plecach znika. Już po chwili leniwka aż wyje z radości, przeskakując z gałęzi na gałąź i chwytając się ich długimi łapami.

Baw się do woli, ale cicho – upominam ją. – Lepiej, żebyśmy nie uprzedzili ich, że się zbliżamy.

Sę w tym, że żywiołek nakazał mi zamknięcie portalu do chrześcijańskiego piekła, który ktoś zdołał otworzyć. Z tego, co zrozumiałem, piekło miało się nie mieszać do tej walki, ale jakiś kretyn chyba przeoczył ten drobny fakt. A to oznacza, że muszę się uporać nie tylko z tym, co wylazło przez portal, ale i pewnie z jakimś czarnoksiężnikiem, który miał fantazję go otworzyć.

Chyba że będę miał szczęście i okaże się, że tenże czarnoksiężnik został zżarty przez coś, co wylazło z piekła. Z tego, co opowiada Siodhachan, to się całkiem często zdarza.

<Przed nami jakieś światła i stękanie, jakby ktoś walczył, Oaken> informuje mnie Slomo.

O, serio? – Dopiero po chwili też to widzę i słyszę. – Zostań na górze i nie schodź bez powodu.

Trochę się zaczynam martwić, że ją tu ze sobą wziąłem, bo przypominają mi się wszystkie opowieści Siodhachana o piekle, a nie należą one do lekkich i pogodnych. Sam nigdy nie musiałem się zmagać z chrześcijańskim królestwem szatana, bo ta religia pojawiła się przecież i rozprzestrzeniła w świecie podczas mojego przydługiego pobytu na Wyspie Czasu. Kiedy Siodhachan opowiedział mi o tym, jak chrześcijanie wyrzucili druidów z Irlandii, a kilka wieków później Irlandczycy zaczęli się nawzajem mordować o jakieś tam rozbieżności w różnych wersjach chrześcijaństwa, to mi cholernie zepsuło dzień, słowo daję. Tylko pomyśleć, ile wysiłku i czasu poświęcają niektóre religie na

wyobrażanie sobie wiecznej kary po śmierci. Siodhachan twierdzi, że wiele religii ma wypasione piekła, ale wygląda na to, że chrześcijanie powinni dostać dokładkę deseru za wybujałą wyobraźnię w tym zakresie. I mają całe mnóstwo demonów i diabłów, które aż się palą do torturowania dusz. Nieraz ponoć zdarza im się wydebić od jakiegoś czarnoksiężnika jego duszę, a to oznacza tylko jeszcze więcej śmierci i jeszcze więcej szerniałych dusz. A jeśli pozwoli im się latać luzem po tej krainie, będą zabijać bez wahania, bo to daje im nadzieję na zwiększenie władzy, szczególnie że tym samym wzmacniają poczucie, że są z piekła rodem i należy się ich bać. I tak powstaje błędne koło w wierze, na której tak naprawdę żerują jak pasożyty. I tak se myślę, że to jednak nie jest miejsce do leniwego dyndania na drzewie.

Docieram do małej łączki w środku lasu, która zmieniła się w pole bitwy, i to zadziwiająco dobrze oświetlone. Źródło światła stanowią oczywiście gwiazdy i księżyc, ale też pomarańczowa luna nad otwartymi wrotami piekła, które dramatycznie odsysają energię z ziemi – to dlatego żywiołak wezwał mnie na pomoc. Są tu też inne światła – jakieś fioletowe stożki otaczające trzynaście kobiet, które walczą z koszmarami wyłaniającymi się z piekła, oraz białe światła ich batów, którymi chłostają te diabelskie stworzenia.

Muszę się zatrzymać, żeby to w ogóle ogarnąć, bo całość jest tak intensywna i niepokojąca jak *naga jolokia* czy inne chili posiekane i przykładane do genitaliów w formie kataplazmu – celowo i złośliwie.

To, co widzę, pasuje mi jednak do tego, co słyszałem od Siodhachana. To muszą być te polskie wiedźmy, o których mi opowiadał, Siostry Trzech Zórz, których moce pochodzą od słowiańskich bogiń Zórz. Otaczające je fioletowe stożki to magiczne zabezpieczenia, a te baty, którymi wymachują, to bicz na demony.

<Oaken, coś tu okropnie śmierdzi. Nawet gorzej niż baki jaguarów> stwierdza Slomo. <A na całym świecie nie ma gorszych baków niż te puszczone przez jaguary, gdybyś nie wiedział>.

Muszę pamiętać powiedzieć o tym Granuaile.

To demony. Trzymaj się od nich z daleka, dobrze? Jeśli jakkolwiek się do ciebie zbliży, uciekaj, a jeśli nie będzie się dało uciec, oderwij mu leb.

<A które to demony?>.

Te, które śmierdzą i próbują cię zabić.

<Kumam>.

Czarnoksiężnika widzę po drugiej stronie portalu. To jakiś żalony gnojek, któremu się ubzdurało, że świat jest mu coś winien, a teraz on to sobie odbierze. Zakładam kastety i wołam po imieniu przywódczynię sabatu, o której nieraz opowiadał mi Siodhachan. Miejmy tylko nadzieję, że się nie mylę.

– Malino! Mogę pomóc?

Większość wiem w ogóle na to nie reaguje, ale jedna z nich spogląda w moim kierunku, wykończywszy właśnie jakiegoś upiornego potwora, który wygląda jak mobilny glutek.

– Kim jesteś?! – krzyczy kobieta, cofając się i na wszelki wypadek wymachując biczem przed sobą.

Ma proste, jasne włosy, które opadają jej na ramiona. To z pewnością najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałem. Tak jak reszta jej sabatu ubrana jest w coś czarnego, co pewnie jest teraz bardzo modne. Nie wiem, jak to się tam fachowo nazywa, ale wiem jedno – gdybym był teraz młodą panienczką, to jakbym spojrzał na Malinę, od razu bym chciał być taki jak ona, jak dorosnę. Właściwie to nawet gdy patrzę na nią jako dorosły mężczyzna, trochę mi smutno, że nigdy, przenigdy nie będę wyglądał tak zabójczo przy niszczeniu zła. Dobrze chociaż, że nie ma tu moich uczennic, bo obawiam się, że z miejsca by im się odechciało być druidkami i zamarzyłyby o karierze wiedźmy.

– Jestem Owen Kennedy, druid Gai. To ja byłem nauczycielem tego synka O’Sullivana!

Przygląda mi się chwilę spod zmrużonych powiek, pewnie żeby dojrzeć moje tatuaże, które potwierdzają w jej oczach, że jestem spleciony z ziemią. Potem kiwa głową.

– Gdyby mógł pan zlikwidować tego czarnoksiężnika, byłoby nam to bardzo na rękę.

Na rękę, też coś! To by raczej skończyło całą tę cholerną drakę, taka prawda, ale przecież nie

będę się teraz z babą kłócił o takie drobiazgi jak dobór słów. Jestem tu, żeby zamknąć portal, a reszta jest nieważna. Tylko nie chciałem, żeby mnie wzięły za wroga i wychłostały tymi swoimi biczami, dlatego do nich zagadałem.

Obiegam tę rzeź zgodnie z ruchem wskazówek zegara, jak to mówią, a potem wbijam pięść w twarz czegoś, co jest pomarańczowe, zębate i próbuje mnie powstrzymać. Wybucho toto wprawdzie w kontakcie z moimi kastetami i pada na ziemię, tryskając ichorem, ale z kolei przykuwa uwagę czterech innych koszmarków. Uzmysławiam sobie jednak, że żaden z nich nie lata, być może więc uda mi się uniknąć komplikacji, jeśli się przemienię w kanię. Zdejmuję koszulę i przemieniam się w ptaka, a potem lecę nad demonami i zaczynam krążyć nad czarnoksiężnikiem. Te sprytne sploty, które zapakował Creidhne na moje kastety, teraz przelały się w pazury i tak se myślę, że po prostu podlecę do czarnoksiężnika z tyłu i wbiję mu się pazurami w kark, potem je zacisnę i w ten sposób rozszarpię mu gardło. Prościzna, a do tego zaszpanuję przed tymi kobitkami z sabatu.

Tylko że jakoś to tak nie wychodzi.

Ani trochę.

Zamiast tego rąbię w niewidzialną ścianę jak jakiś zidiociały wróbel, który nie zauważył szklanych drzwi, i zmieniam się w bałagan z piór, w łebku mi huczy i walę w ziemię tuż za kręgiem z soli.

Aha, krąg ochronny. To na to wpadłem. Kiedy przemieniam się w zwierzę, jestem właśnie tego typu istotą, przed którą czarnoksiężnik chce się chronić. Krąg wyczuwa magiczną aurę mojej zwierzęcej postaci i nie pozwala mi przekroczyć granicy. Dobrze, synek, całkiem to sprytne z twojej strony. Ale przecież mogę się przemienić z powrotem w człowieka i guzik mi wtedy zrobi ta twoja cholerna sól, co nie?

Przemieniam się więc i aż stękam z wysiłku, a on to słyszy. Obraca się w moją stronę i widzę szaleństwo w jego błękitnych oczach. Testosteronowa paranoja, którą ktoś wypuścił z obory. Temu gnojkwowi albo nigdy nikt nie spuścił lania, więc nie rozumie jeszcze, że czyny mają swoje konsekwencje, albo bito go za często i za mocno, przez co ma już gdzieś, co z nim teraz będzie. Jest w sytuacji tak beznadziejnej jak dziecko otulone trującym bluszczem i naturalnie wścieka się o to. Krzyczy do mnie coś – chyba po polsku – i słowa z tego nie rozumiem, ale za to świetnie działa jakieś zaklęcie, które właśnie na mnie rzucił. Macha w moją stronę ręką, zaciska palce i nagle czuję, że wszystkie moje mięśnie się zwierają, z wyjątkiem mojego dupska, które, owszem, zupełnie się rozluźnia akurat wtedy, kiedy nie powinno. Boli to jak cholera i naprawdę nie potrafię teraz myśleć o niczym innym jak o tym, żeby się jakoś uzdrowić, zanim ten świr mnie zabije. Sram po lesie i tak se myślę, że naprawdę nie tak chciałem umrzeć. I że Siodhachan może jednak miał rację z tym zimnym żelazem. Po czym nagle leci mi nad głową jakieś zupełnie dzikie stworzenie. Zasłaniam się ręką, ale okazuje się, że to wcale nie żaden diabelski pomiot, który chce wrzucić na ząb moją śledzionę. Zresztą to coś w ogóle nie atakuje mnie, tylko tego żalosego świra, który męczy Gaję tą piekielnie gnijącą dziurą.

To Slomonobrodolie, która zeskoczyła z wysokiej gałęzi prosto na tego łotra. Jedną swoją długą łapą chwyciła go za kark, po czym wbiła mu pazury prawej łapy prosto w gardło. Rozerwała je, wrzeszcząc mu prosto w twarz, a on zdołał tylko zabełkotać coś w panice i wybałuszyć zdumione oczy, po czym runął do tyłu, psując sobie całkowicie krąg z soli i niszcząc kto wie ile jeszcze misternie utkanych zaklęć. Wnioskuje z tego, że splot, którym podkręciłem Slomo energię, nie miał aż tyle magii, żeby włączyć zabezpieczenia kręgu. W każdym razie cieszę się ogromnie, że znów odzyskałem kontrolę nad własnym dupskiem; reszta moich mięśni natychmiast się rozluźnia. Okazuje się też, że ten drań trzymał portal otwarty tylko siłą własnej woli, bo gdy tylko wykitował, portal sam się zamyka.

Choć nie znaczy to jeszcze, że już jest pozamiatane. Szwenda się tu wokół pełno diabelskiego pomiotu, a zapach przelanej krwi ściągnął to całe tałatajstwo w naszą stronę, bo krew wiedźm nie została przelana, więc nie jest dla nich tak atrakcyjna. Malina i jej koleżanki ukatrupiły już parę demonów, ale i tak co najmniej trzy takie paskudztwa rzucają się teraz w stronę ciała czarnoksiężnika, a moja ulubiona zabójcza leniwka przecież jeszcze na nim siedzi.

Slomo! Wracaj na drzewo, i to szybko! Włóż jak najwyżej!

Mało się znowu nie sfajdałem, tym razem ze strachu, że naraziłem ją na śmiertelne

niebezpieczeństwo. Jeszcze nie dotarło do mnie w pełni, że mi właśnie uratowała stary tyłek, a tu już sama jest w opałach, i to przeze mnie. Jeden z nacierających na nią demonów wygląda jak same zęby i żołądek na czterech nogach, które bardzo mi wyglądają na owadzie, bo zginają się w wielu miejscach i są zakończone pazurami. Drugi przypomina jakąś czerwoną maź i sunie w jej stronę o wiele za szybko, szukając jęzorem świeżego mięsa, które by mógł wessać w ciemną, mokrą paszczę. A ostatni to jakieś wściekłe awokado, które poprzysięgło zemstę za wszystkie guacamole tego świata. I to właśnie ono porusza się najszybciej. Zrywam się z ziemi, żeby zasłonić przed tym wszystkim moją leniwkę, a ona skacze w kierunku najbliższego drzewa. Porusza się naprawdę dość prędko, ale mimo to potępione awokado już ją prawie dogania. W ostatniej chwili dociera do niego, że nie ścigam się z nim do drzewa, tylko mam mordercze zamiary. Zaczyna syczeć i warczeć, żeby mnie odstraszyć, ale nie należę do ludzi, którzy dobrze reagują na takie zagrania.

Kiedy mu wbijam pięść między oczy, okazuje się, że jednak nie jest to wcale awokado. Przypomina raczej torbę czegoś żrącego, co przylepia się do mojej skóry i piecze jak lichy. Choć po chwili demon rozpada się i topi w maź, na ręce zostaje mi coś, co dalej piekielnie wżera się w skórę. Boli jak diabli, o czym daję znać odgłosem paszczowo-gębowym, a tu już jęzor innego koszmara oplata mnie w talii i ciągnie ku jadaczce. Daję mu najpierw na spróbowanie tę pokrytą żącym świństwem rękę, a gdy wszystko zalewa nagle żar, mokrość i ciemność, przemieniam się w niedźwiedzia i macham pazurami na oślep. Nie udaje mu się mnie na czas wyrzygać, więc po chwili muszę wyłazić z czegoś martwego i topniejącego. Te demony naprawdę trzyma do kupy tylko odrobina jakiejś diabelskiej siły, więc gdy się je zniszczy, znikają natychmiast. To pewnie dlatego te bicze wiedźm są takie skuteczne. Malina zresztą właśnie prezentuje ich skuteczność na przykładzie tego zębatego, który z apetytem pożera zwłoki czarnoksiężnika. Wiedźma strzela batem prosto w żołądek demona, a on wrzeszczy i natychmiast rozplywa się w jakiś syf jeszcze na ciele czarnoksiężnika. Oglądam się szybko w stronę Slomo, żeby się upewnić, że jest bezpieczna, nim zabiorę się do szacowania innych zagrożeń wokół.

<Dobrze się spisałaś, mała. Nic ci nie jest?>.

<Nic a nic, Oaken! Tylko trochę jestem w szoku, że aż tak się wściekłam, jak zobaczyłam, że ten typ próbuje ci zrobić krzywdę. Ale poza tym wszystko okej. A tobie nic nie jest?>.

<Nic takiego, co by się w końcu nie zagoiło> zapewniam ją i prawdę powiedziawszy, już się goi, a ja tylko rutynowo sprawdzam, jakie szkody muszę naprawić. Cokolwiek tak bardzo paliło mi skórę, nie zniszczyło, bogom dzięki, tatuaży. <Gdzieś ty się nauczyła tak zabijać> pytam jeszcze Slomo.

<A, wiesz, patrząc na jaguary. Kiedy polują, to albo skaczą na coś i przegryzają się wprost do mózgu, bo mają naprawdę silne szczęki, albo gryzą w szyję. To najskuteczniejsze>.

Oglądam się, żeby zobaczyć, czy jeszcze czymś się muszę zająć, ale w okolicy nie ma już nawet jednego wściekłego komara. Portal się zamknął, przywróciliśmy więc harmonię. Wiedźmy zlikwidowały resztę diabelskiego pomiotu, choć teraz patrzą na mnie jakoś podejrzliwie i nie puszczają broni, jakby się bały, że się na nie rzucę. To może mieć jakiś związek z tym, że jestem akurat niedźwiedziem. To mi się często zdarza.

Przemieniam się więc z powrotem w człowieka i macham do nich zdrową ręką, żeby im pokazać, że nie mam złych zamiarów. I na pewno nie chowam żadnej broni w rękawie, bo nie mam na sobie żadnych ciuchów. Jakoś ich to nie rusza. Wydaje mi się, że zastanawia je raczej łatwość, z jaką się przemieniłem, niż to, w co konkretnie. I widzę, że nadal nie chowają broni.

– Nazywam się Owen Kennedy – przedstawiam się raz jeszcze, bo za pierwszym razem z pewnością część z nich nie dosłyszała mojego nazwiska. – Jestem druidem Gai. Zostałem tu wezwany, żeby zamknąć portal, czyli to już mamy z głowy. Dzięki za pomoc.

– Malina Sokołowska – odpowiada blondynka o uroczym akcencie. – Przywódczyni sabatu Sióstr Trzech Zórz. Pozwoli pan, że spytam, co właściwie zabiło czarnoksiężnika? Akurat byłam wtedy zajęta i nie widziałam dobrze, co się stało.

– A, to był leniwiec.

– Leniwiec? Pan raczy sobie dworować. W tej okolicy nie ma żadnych leniwców. Poza tym one nie poruszają się tak szybko.

– Ta samica przybyła tu ze mną. I owszem, leniwce potrafią się dość szybko poruszać, jeśli się

im doda energii.

Jedna z czarownic zaczyna chichotać. Też ma jasne włosy, ale zebrane w kok na czubku głowy. Na nosie ma olbrzymie okulary. Malina ogląda się w jej stronę.

– Wywróżyłyśmy przecież, że pojawi się jakaś niespodziewana pomoc – przypomina Malinie okularnica. – Śmiem twierdzić, że zabójczy leniwiec na dopalaczach w rzeczy samej kwalifikuje się jako niespodziewana pomoc.

Teraz już cały sabat albo się uśmiecha, albo otwarcie chichocze.

– Wywróżyłyście se panie? To stąd się tu wzięłyście w środku lasu, co? – pytam.

– Tak. Mamy świadomość, że aktualnie w Szwecji dzieje się coś naprawdę przerażającego, ale postanowiłyśmy skupić się na bardziej lokalnych zagrożeniach. Zresztą już od dłuższego czasu miałyśmy oko na tego człowieka. – Malina macha palcem w kierunku ciała. – Nie byłyśmy więc zaskoczone, gdy postanowił wykorzystać ogólny chaos do swoich własnych celów.

– A jakie były jego cele? I kto to w ogóle był?

Malina wzrusza ramionami.

– Kolejny człowiek, który chce się wspinać po drabinie przemocy, by zdobyć więcej władzy.

– Hm, ja w każdym razie do takich nie należę, więc mogą panie wyluzować. Nie zrobię paniom krzywdy.

Malina kiwa głową i wyłącza magiczne zabezpieczenia. Pozostałe wiedźmy podążają za jej przykładem, a jedna, na obrzeżach sabatu, podnosi nawet moją koszulkę.

– Pańskie ubrania, jeśli chciałby się już pan ubrać.

Niespecjalnie. Najchętniej tobym teraz wskoczył do jakiegoś jeziora się umyć, ale tak czuję, że one by wolały, żebym już jednak wskoczył w ciuchy, no to podbiegam we wskazane miejsce i wkładam dżinsy i koszulę.

– Doceniam to, coście tu panie zrobiły. Sam nie dałbym rady z tyloma bestiami naraz. Więc to z paniami Granuaile uczy się polskiego?

– Owszem – potwierdza Malina. – Czy i pan może jest zainteresowany nauką tego języka?

– Może kiedyś, czemu nie – odpowiadam. – Na razie to muszę jeszcze popracować nad moim angielskim.

Malina przedstawia mnie swojemu sabatowi, a ja dyskretnie sprawdzam ich aury. Zresztą one z pewnością też mnie teraz lustrują. W przeszłości niejedna wiedźma próbowała mnie wpuścić w maliny i większość zachowywała się bardziej jak ten martwy chłoptaş niż jak jakieś samozwańcze opiekunki ludzkości, ale u tych naprawdę nie wyczuwam ani śladu chciwości czy nienawiści. Przebiegłości im nie brakuje, to fakt. Ale poza tym to kobiety pewne siebie, szczęśliwe i zdecydowanie bardziej zainteresowane chronieniem ludzi niż ich wykorzystywaniem. Z tego, co mówi Siodhachan, nie zawsze tak to było w tym sabacie, ale nawet on przyznaje, że wszystko zupełnie się zmieniło, gdy przywództwo objęła Malina. To tylko kolejny dowód, jak olbrzymi wpływ mają na wszystko wszelkiego rodzaju autorytety i nauczyciele. Gdy tak patrzę na nie i na to, jakie są razem silne, myślę sobie, że może pewnego dnia i mój gaj młodych druidów urośnie w siłę. I natychmiast coś mnie ściska w sercu na samą myśl o nich. Tak bardzo chciałbym już móc do nich wrócić – gdziekolwiek są – i móc nauczyć ich czegoś nowego.

Odkąd tylko przeniosłem się w czasie, widok rozpromienionych, zachwyconych twarzy moich uczniów jest dla mnie jednym z największych źródeł radości. I pewnie dlatego właśnie tak bardzo cenię sobie też towarzystwo Slomo. Ona widzi coś nowego dosłownie w każdej chwili, gdy nie dynda sobie na drzewie. I wszystko ją zachwyca. Tak se myślę, że chyba wiem, dlaczego to dla mnie takie ważne, by widzieć pasję innych do nauki. Siodhachan dał mi dość jasno do zrozumienia, że mogłem być lepszym nauczycielem, kiedy go uczyłem. Zraniona duma boli, jasne, i wiem przecież, że nie mogę zrobić nic, by naprawić moje błędy w pracy z Siodhachanem, ale mogę być lepszym nauczycielem dla mojego nowego gaju – o wiele lepszym. I tak se myślę, że na razie nieźle mi nawet idzie.

– Bardzo mi miło panie poznać. Gdzie ja w ogóle jestem, że tak spytam?

– To południowo-wschodnia Polska, niedaleko granicy z Ukrainą – odpowiada mi Roksana. To ta w okularach.

- Jest tu może jakieś jezioro w okolicy?
- Kilka kilometrów na zachód stąd znajduje się Jezioro Solińskie. Jeśli pobiegnie pan w tę stronę, na pewno pan go nie przegapi.
- Spore, tak?
- Wystarczająco duże, by się w nim wykąpać, jeśli do tego pan zmierza.
- Ano właśnie o to chodzi. Poza tym chciałem je pokazać leniwcce. Nigdy nie widziała jeziora, tylko rzeki. Mam paniom jeszcze pomóc zakopać te trupy czy coś?
- Nie, poradzimy sobie z tym – mówi Malina.

Dziękuję im jeszcze raz i zapewniam, że chętnie zobaczyłbym się z nimi w jakichś mniej niebezpiecznych okolicznościach przyrody, a potem zabieram Slomo z drzewa i biegniemy se trochę na zachód. Gdy tylko znikamy wiedzdom z oczu, znów się rozbieram i przemieniam w niedźwiedzia, spisując zafajdane łachy na straty. Zbliża się już świt, a ciemne niebo szarzeje, gdy Slomo raz jeszcze pakuje mi się na grzbiet. Niosę ją tak aż do jeziora, które okazuje się długie, rozgałęzione niczym pająk – wypełnia aż kilka dolin. Pewnie to przez tę tamę na rzece. Wygląda na to, że ludzie lubią sobie tu pływać łódkami, bo mnóstwo ich stoi zakotwiczonych przy brzegach. Zatrzymujemy się jeszcze na zboczu góry, żeby Slomo mogła zobaczyć, jak wschód słońca zalewa promieniami tafłę wody i rozświetla góry naprzeciwko nas.

<Ojej, Oaken, jakie to ładne! I ta woda tam tak po prostu jest?>.

<Nie, no trochę się pewnie rusza. Gdzieś tam na jednym końcu płynie gdzieś dalej. Chciałbym teraz zejść na dół i trochę się ochlapać, bo cały jestem we krwi, gównie i demońskiej mazi. Idziesz ze mną?>.

<Nie lubię pływać> mówi. <Ale pójdę zmyć krew i brud z moich rąk. Trochę mi smutno, że zrobiłam mu coś takiego>.

<Nie smuć się. Uratowałaś mnie i oszczędziłaś całemu światu wielu kłopotów. Ten synek chciał wyrządzić wszystkim straszną krzywdę, a gdybyś tylko dała mu szansę, zrobiłby to i tobie>.

Biegnę w dół z boczka. Slomo milczy, pewnie zachwycając się widokiem, ale i trawiąc to wszystko. W końcu mówi:

<Taki mi się wydawał zły na wszystko, co mnie nieco zdziwiło, bo tyle jest powodów do szczęścia na tym świecie. Wiesz, nawet jeśli wziąć pod uwagę tukany, to życie jest dość niesamowite. Może i on jest szczęśliwszy teraz, gdy umarł. Przynajmniej nie wścieka się już, że żyje>.

Jej próby zrationalizowania śmierci czarnoksiężnika są dość fascynujące, bo nie skupia się na moim lub swoim bezpieczeństwie, tylko na jego szczęściu. Uznaję, że lepiej może jej nie mówić, że jego dusza trafiła pewnie teraz do chrześcijańskiego piekła, gdzie raczej ma małe szanse na szczęście.

<Trudno powiedzieć na pewno> mówię tylko. <Ale za to na pewno wiem, że chciałbym bardzo znów być czysty i że cieszę się, że tu z tobą jestem>.

<Ja też, Oaken! I wiesz, co jest dziwne?>.

<Co takiego?>.

<W ogóle nie zobaczyłabym tego jeziora ani w ogóle tych wszystkich rzeczy, które ostatnio widziałam, gdyby nie ta kula ognia, która mało mnie nie zabiła i rozgniewała Pachamamę. Czy to nie dziwne, że coś tak okropnego może prowadzić do czegoś dobrego>.

<Masz rację, Slomo. Też mnie to zawsze zaskakuje>. I mówię zupełnie szczerze. Bo gdyby Gaja nie znalazła się w takim niebezpieczeństwie, nie zobaczyłbym tyłu jej pięknych zakątków i nie nauczył się jej jeszcze bardziej kochać, choć dopiero zaczyna do mnie docierać, ile jeszcze pracy nas czeka, żeby przywrócić jej jaką taką równowagę. Siodhachan też powinien założyć taki gaj uczniów jak ja i Granuaile też, gdy tylko będzie na to gotowa. Potrzebujemy o wiele więcej druidów.

Slomonobrodzie złazi z moich pleców, bo już dotarliśmy do brzegu. Jest na tyle wcześnie, że w okolicy nie ma nikogo, kto mógłby zacząć się zastanawiać, co na brzegu jeziora robi niedźwiedź czarny i leniwcce. Wchodzę w zimną wodę i natychmiast czuję, że to nieznośne pieczenie na prawym ramieniu ustaje. Gdy jestem już na tyle głęboko, że nie dosięgam łapami dna, przemieniam się w człowieka i choć zatyka mnie od tego chłodu, szoruję się porządnie.

Slomo nie ma chyba wielkiej wprawy w myciu się. Te jej pazury nadają się doskonale do

wspinania się po drzewach, ale średnio do delikatniejszych zadań. Chłapie się chwilę, trąc nadgarstki dłońmi, ale głównie prowadzi to do coraz większej frustracji.

Pomóc ci może z umyciem łap? Moje palce mogą się do tego lepiej nadawać.

<O tak, Oaken, co za wspaniały pomysł! Lubię być czysta, tylko nie jestem najlepsza w zachowywaniu tej czystości>.

Nic się nie martw. Właściwie to opisałaś fundamentalny stan egzystencjalny większości z nas.

Rozdział 20



Nim faerie Brighid w ogóle zdążyły się porządnie zaangażować w walkę, Olimpijczycy dojrzelili szansę na harce między skrzydłami armii i rzucili się rozrabiać. I naprawdę myślę, że dla nich była to tylko świetna zabawa – w każdym razie na pewno dla Zeusa i Aresa oraz ich rzymskich odpowiedników. Bogowie piorunków zlecieli niżej i posłali swoich bogów wojny na nieprzebrane masy nordyckich martwiaków, co właściwie niewiele dało, bo okute w zbroje ciała olimpijskie po prostu przeszły bezkolizyjnie przez zastępy draugarów. Po chwili Ares i Mars zatrzymali się i zaczęli wymachiwać wielkimi maczetami, odbijając draugary na boki, ale przecież to ich wcale nie zabijało. Dobrze się chyba bawili przekonani, że przez ich zbroję nie przebiją się żadne ciosy. Śmiali się przy tym w głos. Była to dla nich czysta rozrywka, bo przecież nie mieli nic do stracenia. Nie mogli umrzeć – nie tak naprawdę. Nawet jeśli odniosą katastroficzne obrażenia, po prostu opuszczą ciało i odrodzą się na Olimpie. Zeus i Jowisz nie zniżyli się do poziomu walki. Unosili się poza zasięgiem ciosów i z uśmiechem przyglądali igraszkom bogów wojny. Za to Atena i Minerwa nie przybyły tu dla sportu. Podobnie obaj Apollinowie. Tych czworo za plecami swoich beztroskich kolegów zabrało się porządnie do pracy. Boginie mądrości wywijają włóczniami o grotach z brązu, a bogowie sztuki zasłaniają się tarczami i wymachiwali mieczami, wbijając ostrza w twarze draugarów oraz skutecznie likwidując zreanimowane faerie. Pozycje mieli dobre, bo Hermes i Merkury przenieśli ich na przód ponad wojskiem. Zostawiwszy ich na froncie, bogowie złodziei polecili dalej nad draugarami, pewnie żeby szukać wśród martwiaków Hel i Lokiego. Na nosach mieli jakieś przedziwne gogle, które być może miały im pomóc w tym zwiadzie. I to pewnie na wyniki tego zwiadu czekali Zeus i Jowisz. Należało się domyślać, że Hel i Loki wydawali im się prawdziwym celem wartym bitwy. Chcieli ominąć sługi i przejść od razu do walki z bossami, bo przecież gra toczyła się o ciasteczka. Obawiam się tylko, że Hermes i Merkury nie bardzo radzili sobie z tym zadaniem. Może te gogle umożliwiały im przejrzanie iluzji, a może nie. Dawno temu Rzymianie wykorzystywali coś w tym stylu, żeby przejrzeć druidzkie kamuflaże. Był to, zdaje się, jakiś taki wynalazek Minerwy. Tylko że zarówno Loki, jak i Hel mieli przecież wypalone na ciele te swoje stygmaty, rodzaj runicznego zabezpieczenia przed wywróceniem, które jak dotąd bardzo skutecznie ich chroniły, a do tego Loki był w ogóle mistrzem przebierania się. Minerwa nie potrafiłaby raczej wymyślić czegoś, co by się przebijalo przez jego zabezpieczenia – no chyba że te gogle ukazywały magiczne spektrum. To by naprawdę pomogło im teraz znaleźć, tylko że ani nordyccy, ani olimpijscy bogowie nie słyną z magicznego wzroku. Zwykle przecież Odyn siadał sobie na swoim srebrnym tronie Hlidskjalfie; bez tego mebla nic nie potrafił dojrzeć. Z tych, którzy znajdowali się teraz na polu bitwy, właściwie tylko Brighid i ja mieliśmy taką zdolność widzenia. Chyba że byli tu gdzieś także inni bogowie Tuatha Dé Danann, ale podejrzewałem, że Brighid kazała im zostać w ukryciu na wypadek, gdyby ona sama nie wróciła z bitwy.

Nie włączałem na razie magicznego wzroku, bo wokół było tyle magii i bogów, że mogłoby mnie to zupełnie oślepić. Choć z drugiej strony być może byłby to najlepszy sposób, żeby zakończyć to wszystko – zlikwidowanie Hel na pewno dałoby nam sporą przewagę. Teraz to już zmartwychwstało także paru poległych Álfarów, a ja byłem tuż obok, będą więc musiał dodatkowo uważać także na nich, wciąż nie przestając walczyć z draugarami.

Wycofałem się nieco z pola bitwy i dopiero wtedy wrzuciłem tryb magicznego widzenia. Znajdowałem się na skraju walki, byłem też w kamuflażu i tylko dlatego było to w ogóle wykonalne w tych warunkach. Włączyłem odpowiadający za magiczne spektrum charms z mojego naszyjnika i zacząłem mrugać i filtrować to, co nagle zobaczyłem. Draugary miały swój magiczny ślad. Na lewo ode mnie znajdowali się zupełnie oślepiający białymi sylwetkami Olimpijczycy. Alfarowie mieli mnóstwo magii wklejonej w zbroje. Z wyjątkiem jednego – tuż obok mnie – który wyglądał jakoś zupełnie inaczej. Migotał mi przed oczyma szalonymi barwami, a taki ślad magiczny widziałem dotąd tylko u jednej osoby.

– Kojot? – spytałem. – To ty?

Elf z wdziękiem wbił włócznię w oko jakiegoś draugra, po czym wyjął ją elegancko i posłał mi tak kpiący uśmiech, że nawet na innej twarzy wydał mi się od razu znajomy. Wymknął się ze swojego szeregu i stanął tuż przy mnie, choć niby byłem przecież niewidzialny.

– Jasna sprawa, panie druid. Trochę to panu zajęło, nim się pan wreszcie połąpałeś.

– Co ty tu w ogóle robisz?

– A tak se rąbię te umarlaki jak każdy inny zwyczajny elf, zadzieram tego długiego białego nosa i w ogóle czuję się szykownie. A przy tym męczy mnie, czym te lalusie myją sobie włosy. – Spojrzał na gruby warkocz, który mu spływał w dół po ramieniu, i powąchał. – Wali gruszkami czy czymś.

– Może będziesz miał potem okazję ich spytać. Właśnie miałem zamiar iść poszukać Hel.

– O, serio? Mogę panu zaoszczędzić tego kłopotu, panie druid. – W tym momencie jeden draugar przedarł się przez szyk elfów i rzucił na Kojota, ale on zrobił tylko unik. Uniosłem miecz, lecz bóg Nawahów rzucił ostrzegawczo: – Nie, nie zabijaj go pan! Potrzebuję żywego. Tylko na kilka sekund. Potrzywasz mi go pan?

– Może przez sekundę dam radę. Są silne i potrafią przechodzić w formę bezcielesną.

Prawdę powiedziawszy, nigdy przedtem nie próbowałem wykręcać ręki draugrowi. Być może moje zimne żelazo zaburzy jego zdolność do stawania się duchem, trudno było powiedzieć.

– Weź pan chociaż spróbuj, dobra?

Skuliłem się i podciąłem draugarowi nogi, czego się raczej nie spodziewał, bo runął ciężko na ziemię. Stałem na jego mieczu, żeby go unieruchomić, a Kojot pochylił się po drugiej stronie, chwytając kościstą lewicą nieszczęśnika, jakby chciał mu pomóc wstać. Draugar patrzył na nas zdezorientowany, bo żaden z nas nie chciał go ukatrupić, a już zupełnie go zszokowało, że Kojot zaczął drzeć, od ręki poczynając, po czym zmienił wygląd z elfowego na... draugrowy. Wyglądał teraz zupełnie jak martwiak, którego mu unieruchomiłem. Była to kopia idealna, łącznie ze smrodem i organami wewnętrznymi przytrzymywanymi tylko cienką zasłoną z mięśni. Kojot miał teraz na sobie zardzewiałą kolczugę, hełm, złachmanione skórzane buciska i jakąś szmatę przewiazaną w talii.

– Okej, panie druid – powiedział nowym głosem. – To możesz go pan już teraz ubić.

Wbiłem miecz w twarz martwiaka, która drgnęła raz i tyle. Jakiś ambitny elf, który zobaczył nowego draugra za linią ataku, rzucił się natychmiast go zlikwidować, ale krzyknąłem ostrzegawczo, zrzuciłem kamuflaż i stanąłem przed Kojotem. Musiałem zablokować cios i zawołać do niego po staronordycku, żeby w ogóle zrozumiał, że ma sobie odpuścić.

– Ten jest po naszej stronie – wyjaśniłem, nie wchodząc w szczegóły. – Zaprowadzi nas do Hel i pomoże ją zlikwidować, żeby już więcej nie wskrzeszała zmarłych. – Odwróciłem się do Kojota i po angielsku wymamrotałem: – Uśmiechnij się ładnie, żeby wiedział, że nie masz złych zamiarów.

Kojot zamachał do elfa palcami niczym urocza wróżka, a potem wyszczerzył swoje zgniłe zęby w promiennym uśmiechu.

Udało nam się jeszcze namówić tego elfa, żeby nas przeprowadził przez front. Znów zarzuciłem kamuflaż i położyłem lewą rękę na ramieniu Kojota, a elf prowadził nas tak, żeby nie ściał nas żaden z jego kumpli. Wepchnął nas z powrotem w hordę draugarów, a te zignorowały Kojota, biorąc go za swego. Przepływały wokół niego i zupełnie ich nie interesowało, dlaczego właściwie przedziera się przez tłum w złym kierunku. Drepcząc potulnie za nim, spytałem go jednak, dokąd właściwie idziemy.

– Hel jest tam na wzgórzu, żeby mieć dobry widok na walkę. Już ją stąd widać.

– Widzisz ją? – Dla mnie to wszystko nadal było tylko jednym wielkim miszmaszem magii i nie

potrafiłem wyłowić z tego niczego konkretnego.

– No jasne.

– Czy Loki jest obok niej?

– Przed chwilą był, ale teraz go jakoś nie widzę. Powiedz mi pan, panie druid, jak taki śliczniutki elfik zeżre burrito i potem puści bąka, to wokół będzie pachniało kaczeńcami czy coś?

– To by pewnie wymagało obecności jakichś kwiatowych enzymów w ich jelitach.

– Pan tak to mówisz, jakby tak nie było. Idę o zakład, że biorą jakieś suplementy, suplementy kupne, że tak powiem, żeby kupa pięknie pachniała. Też takie chcę, cobym mógł se prykać na ludzi, a oni by się zachwycali aromatem.

– Grunt to mieć w życiu jakiś cel, Kojocie.

– No właśnie. Odświeżające suplementy do zbijania bąków, sam pan pomyśl, co za rewelacja. Ludzie by to kupowali na potęgę. Mogliby se prykać w samochodach i windach bez wstydu, bo tak by to ładnie pachniało. Jedliby se więcej kapuchy kiszzonej i fasoli. To by normalnie zrewolucjonizowało światową etykietę. Może nawet wypadałoby wręcz pierdnąć na kogoś, gdy się go poznaje.

Jeśli taka wymiana zdań wydaje się nieco dziwna w środku bitwy, to muszę tu zaznaczyć, że prędkość, z jaką posuwaliśmy się do przodu, nie była zawrotna i w rezultacie Kojot miał dość czasu na wygłaszanie swoich teorii na temat elfich bąków, a ja mogłem spokojnie spojrzeć na bitwę z perspektywy naszego wroga.

Siły broniące ludzkości prezentowały się stąd dość żałośnie. Odyn niby wysłał Wanów i einherjarów, żeby wzmocnili środek i skrzydła, ale za to Thor otaczał właśnie bogów mgłą. Dlaczego to robił? No chyba że nordyccy bogowie potrafią się przebić spojrzeniem przez taką mgłę.

Odpowiedź na moje pytanie pojawiła się kilka minut później, gdy armia Brighid spotkała się z draugarami i poradziła sobie nieco lepiej niż inni. Te faerie przynajmniej skutecznie ścinały draugary. Na przód wysunęli się cisowcy i całkiem nieźle im szło, a za nimi pozostałe faerie ciskały włóczniami. Mieli lepszą taktykę. Wśród nich walczyła też Pierwsza wśród Faerii. Olimpijczycy nadal wariowali sobie wśród draugarów, wyraźnie mając się za niezwykłych. A potem uderzył Loki.

Pierwszy padł Ares, zastanawiająco celnie trafiony w oczodół, a przezeń w mózg. A przecież facet miał hełm. Kilka sekund później poległ Mars i dopiero wtedy Zeus i Jowisz się zorientowali, że to jednak nie jest boże igrzysko. Spojrzeli w stronę wulkanu, szukając źródła strzał, i w pewnym sensie można powiedzieć, że je znaleźli, bo zaraz runęli z nieba na ziemię ze strzałami w czaszkach. Ciekawe, czy jak już się odrodzą z powrotem na Olimpie, to spojrzą wstecz na swój jakże krótki udział w tej bitwie i dostrzegą w tym hybris. Biorąc pod uwagę ich świetną reputację, to naprawdę niewiele tu zdziałali.

I wtedy dopiero przypomniałem sobie, że Loki ukradł przecież Granuaile w Indiach Zaginione Strzały Waju, choć teraz pewnie należało je nazwać raczej Odnalezionymi Strzałami. A były to strzały bogobójcze i długodystansowe. Bardzo właściwie podobne do włóczni Odyna zwanej Gungnirem, która zawsze trafiała w cel, albo do młota Thora, Mjöllnira. Następni padli Hermes i Merkury, i to zanim zdążyli dojrzeć Hel i Lokiego w tym ścisku.

Teraz przynajmniej rozumiałem, skąd ta mgła wokół nordyckich bogów. Loki nie mógł w nich celować, skoro ich nie widział. Ale też w tej sytuacji Odyn i spółka niewiele mogli mu zaszkodzić. Loki skutecznie ich zablokował.

Za to cholernie wkurzył pozostałych Olimpijczyków. Atena, Minerwa i Apollinowie przeszli z cierpliwego trybu wojownika w pracy w tryb bitewnego szału. Najwyraźniej uznali, że jeśli i oni mają za chwilę zginąć od strzał, przynajmniej chcą coś wskórać, nim to nastąpi. Lecz nie pojawiło się więcej strzał wbitych w boskie czaszki. Loki miał ich pewnie ograniczoną liczbę, a z pewnością zatrzymał sobie jedną specjalnie dla Odyna.

W każdym razie te, które już wystrzelił, można było odzyskać i ponownie wykorzystać. W kłębiącej się masie ciał nie widziałem, czy jakieś draugary już szukały strzał, ale Loki byłby głupi, gdyby choć nie spróbował ich znaleźć. Przecież gdyby na przykład dostały się w ręce jednego z Apollinów, mogłyby zostać wystrzelone przeciwko ojcu Hel.

– Widziałeś, skąd poleciały strzały? – spytałem Kojota.

– Jakie strzały? – wycharczał.

– Te, które zabiły Olimpijczyków.
– Co? Przegapiłem to.
– Jak mogłeś przegapić coś takiego? Przecież właśnie Loki wyeliminował nam z gry sześciu bogów.

– Hej, bardzo to miłe, że trzymasz pan se łapę na moim ramieniu i fajnie się panu ogląda to przedstawienie, panie druid, ale ja tu próbuję nam wyróżnić jakąś ścieżkę wśród tych zdechłaków i jeszcze nie spuścić z oka Hel, bo myślałem, że po to tu jesteśmy. A co, rozmyśliłeś się pan czy jak?

– Nie, nie, masz rację, przepraszam.

– Możesz mi pan zrelacjonować, co tam się dzieje – rzucił Kojot. – Bo tu to za szybko i tak nam nie pójdzie.

Opisałem mu więc pokrótce, jak stoimy aktualnie z bogami, a potem rzuciłem jeszcze okiem na pole, żeby zobaczyć, jak to tam wygląda.

– Na prawym skrzydle Álfarowie nadal tkwią w sytuacji patowej, ale za każdym razem, gdy któryś z nich ginie, Hel go wskrzesza. Tymczasem na lewym skrzydle wcale się tak nie dzieje z mrocznymi elfami.

– Nie?

– Nie widzę też, żeby mroczne elfy przemieniały się w dym, tak jak robiły wcześniej. Pewnie uświadomiły sobie, że nie muszą. Są po prostu szybsze niż draugary. Ale w każdym razie nie widzę ani jednego zmartwychwstałego mrocznego elfa. Bardzo interesujące. Może one mają jakieś naturalne zabezpieczenie przed nekromancją?

– No, ciekawe. W ogóle to można by coś takiego butelkować i sprzedawać. Zbiłbyś pan fortunę, a jakby to szło w późnym kapitalizmie, to aż miło pomyśleć. „Zabezpiecz siebie i swoją rodzinę na wypadek apokalipsy. Już dziś kup Antynekromański Tonik i Niezwykłe Zdrowy Eliksir Pana Druida!”. Czekać na apokalipsę, ludzie będą kupować te pańskie flaszki jak świeże bułeczki i trzymać w swoich bunkrach na wszelki wypadek. Sam pan wiesz, że połowa ludzkiej gospodarki opiera się na wszelkim wypadku, nie? Ubezpieczenia, prezerwatywy, pieluchy, wszystko to kupuje się na wszelki wypadek.

Zachichotałem, bo nie sposób było nie lubić Kojota, nawet jeśli w każdej chwili mógł ci wywinąć jakiś numer. Zresztą wiedziałem, że się zwyczajnie denerwuje. Humor często stanowi tarczę, którą zasłaniamy umysł przed strachem. A czego jak czego, ale strachu to nam nie brakowało. Widziałem już stąd lepiej zbocze wulkanu i choć wciąż nie potrafiłem dojrzeć Hel, wiedziałem, że Kojot ma rację i że ona tam jest, bo widać już było jej psa Garma. Sama Hel musiała więc być gdzieś niedaleko, może nie tuż obok, ale pewnie ledwie parę kroków dalej.

– Z tym psem będą kłopoty – powiedział Kojot na głos to, co właśnie sobie myślałem. – To ten, co nas gonił kilka lat temu, mam rację?

– Tak. Przez te wszystkie krainy Diné.

– Czyli zna już nasz zapach. Wywęszy nas, nim w ogóle się zbliżymy na tyle blisko, by mógł zaatakować. W każdym razie wywęszy pański zapach, bo ja to skopiowałem smród tego zdechłaka i wierz mi pan, panie druid, że nie pachnę już jak gruszczyki i radość życia.

– Tak, zauważyłem.

– Raczej jak suszone śliwki i rozpacz – skostatował Kojot.

– A z której strony wieje wiatr? Może nie zdoła mnie wywęszyć w tym tłumie.

– Może. Ale jak już zrobimy kuku Hel, to na pewno będzie miał wąty. Możemy się nim zająć przed albo po ataku na Hel, ale tak czy siak coś z nim trzeba będzie zrobić.

Przez chwilę szliśmy dalej w ciszy i namyślaliśmy się, co tu począć, aż w końcu powiedziałem:

– Nie uśmiecha mi się ranienie psa, nawet jeśli to dość zły pies.

– Mnie też.

– Czy Hel stoi na lewo, czy na prawo od Garma?

– Na lewo, pośrodku zbocza.

My byliśmy po prawej stronie pola.

– A może obeszlibyśmy ją takim łukiem i wyskoczyli na nią tam z lewej?

Kojot tak długo na to nie odpowiadał, że nie byłem pewien, czy w ogóle mnie usłyszał. Ale

właśnie gdy miałem powtórzyć moją propozycję, mruknął:

– Ja bym powiedział tak: ten plan ma swoje dobre i swoje złe strony. Dzięki niemu może nam się uda uniknąć konfrontacji z psem od razu na wejściu. A nawet w ogóle całkiem uniknąć konfrontacji z psem. To ta dobra strona.

– No, zgadzam się.

– Ale to zajmie trochę czasu. A nam i tak już wolno to idzie, mimo że przemy po linii prostej. Zginie więcej ludzi. A Loki znów zabiera się do strzelania.

– Co? Gdzie?

– Nie wiem wciąż, gdzie on jest, jeszcze go nie dojrzałem, ale tam na lewo, gdzie pan mówiłeś, padło paru bogów, widzę draugary, które idą w stronę góry tak jak my teraz. Jest ich sześć. A mówiłeś pan, że poległo sześciu bogów, nie?

– Tak.

– A więc możemy pójść za nimi, to doprowadzą nas do Lokiego, jeśli pan masz ochotę, albo możemy przeć dalej naprzód i jakoś sobie poradzić z psem, albo skręcić na lewo i próbować obejść go łukiem.

Nadal byłem zdania, że najważniejsze to najpierw wyeliminować Hel, nie Lokiego. Bo to ona wciąż werbowwała do naszych poległych, przez co jej armia rosła w siłę. Nie wiedziałem też, ile władzy nad draugarami będzie miał właściwie Loki, gdy już zabraknie Hel. Jeśli nam się poszczęści, zmarłaki wrócą po prostu do jej królestwa, gdy tylko zginie ich władczyni.

W sumie nie liczyłem na to, że pójdzie nam aż tak łatwo, ale w każdym razie usunięcie Hel z pola bitwy powinno matematycznie zwiększyć nasze szanse. Może i Loki miał swoje Strzały Waju, ale było ich jednak tak mało, że za każdym razem po wystrzeleniu sześciu będzie musiał się nieźle nagimnastykować. Wyglądało natomiast na to, że Hel może reanimować prawie każdego, kto polegnie na polu walki, jeśli tylko zwłoki mają głowę i nie są Svartálfarem.

– Lećmy dalej autostradą na Hel, że się tak wyrażę – zdecydowałem, ale Kojot nic nie odpowiedział, nawet nie stęknął, westchnąłem więc cicho nad tą zmarnowaną aluzją do AC/DC.

– Że co? – spytał dopiero wtedy. – To był jakiś żarcik czy jak, panie druid? Nawet jeśli, to na pewno beznadziejny.

Nie dało się zaprzeczyć, ale też beznadziejne żarciki to moja specjalność.

Dotąd moją drugą specjalnością było przeżywanie – to jeden z tych faktów, które są prawdziwe, dopóki raptem nie tracą prawdziwości. Jeśli chciałem przeżyć tę wycieczkę za linię wroga na przykład, powinienem już pewnie zacząć obmyślać strategię wyjścia. Bo Loki z pewnością zareaguje dość gwałtownie na zabicie Hel.

Usłyszałem charakterystyczny huk nad głowami i gdy podniosłem wzrok, ujrzałem kilka nadciągających z północy helikopterów. Ktoś ze szwedzkiego wojska albo może z policji zaciekał się, co to za rejwach. Teraz biedny pilot próbował pewnie zrozumieć, co widzi, i zastanawiał się, jak przekazać o tym raport, tak żeby go od razu nie wysłali do wariatkowa.

Wrogo nastawiony tłum, pomyślałem sobie. To jedyne właściwe sformułowanie. Powiedz im, że widzisz „wrogo nastawiony tłum nieznanego pochodzenia”, pomiń natomiast, że wygląda to jak kupa martwiaków walczących z elfami, krasnoludami i bodajże bogami i że w sumie bardzo to wszystko przypomina opisy Ragnaröku. Niech sami do tego dojdą, jak już wyślą posiłki, żeby dołączyły do tej awantury. Przecież nie mogą potem winić pilota za to, że powiedział, iż tłum był wrogo nastawiony.

Ale tak naprawdę to tylko oznaczało, że musimy działać szybciej. Jeśli dołączą do tego ludzie, a potem Hel ich zacznie wskrzeszać, łącznie z tą ich nowoczesną bronią, to – cóż – sytuacja może się szybko wymknąć spod kontroli. Nie żebyśmy jak na razie mieli ją pod kontrolą.

– Tam, panie druid. Widzisz ją?

– Co? Nie. Gdzie?

Kojot wskazał mi włócznią jakiś punkt na północnym zachodzie.

– U podnóża tej góry, ociupinkę w tę stronę.

Wpatrywałem się w hordę i nie widziałem nic szczególnego. Mogło to oznaczać, że jej nie potrafię dojrzeć. Albo że piętno Lokiego jakimś sposobem ukrywa ją nawet w magicznym spektrum.

Albo że z jakiegoś powodu Kojot znów sobie ze mnie zakpił. W sumie nie potrzebował powodu, jak się tak nad tym zastanowić. Wizja, że może sobie ze mnie zakpić, pewnie by wystarczyła, żeby rano chciało mu się wstać z łóżka.

- Nie widzę jej.
- Jaja se pan ze mnie robisz?
- Nie. A ty ze mnie?
- Cholera. Mniejsza z tym, idziemy dalej.

Moją uwagę przykuł jakiś ruch na prawo. Pies Hel, Garm, odwrócił właśnie łeb w naszą stronę. Zdawało mi się, że te jego żółte ślepie patrzą prosto na nas. Obnażył zęby i warknął. Zadrżały mu nozdrza, sapnął parę razy, a warczenie narastało, aż przeszło w niskie ujadanie, które poniosło się po polu.

- Za ładnie mu pan pachniesz, panie druid. Jak kawa i bekon z rana.

Chyba miał rację. Zwłaszcza że na polu nie było nikogo innego, czyj zapach by znał. Spiał mięśnie i ruszył czujnie w naszym kierunku, węsząc i usiłując mnie namierzyć.

Spróbowałem zastosować stary trik, który zadziałał kiedyś na pewnych Firbolgów – połuźniłem ziemię pod nim, po czym zacisnąłem ją na jego łapach, żeby go unieruchomić. Tym razem jednak niewiele ugrałem, bo przez ten portal wszystko wokół było zupełnie wyssane z energii. Ziemia była tu prawie martwa i nie miała już siły porządnie trzymać Garm. Tyle tylko, że się potknął i runął z rykiem, przygniótł przy tym kilka draugarów i chyba oberwał po drodze czymś ostrym. Zaraz jednak wstanie, to pewne, a mnie tymczasem kończyła się energia nawet na podtrzymywanie kamuflażu. Będzie mnie zaraz widać, a zewsząd otaczało mnie przecież morze wrogów.

- To jej się nie spodobało – doniósł mi Kojot. – Patrzy teraz na swoją psinę.
- Serio?

Znów mi coś wskazał włócznią.

- To ta brzydka, co się gapi na psa. Reszta patrzy przed siebie.

Takie ujęcie sprawy nieco mnie zbiło z tropu – jak Hel była „tą brzydką”, to niby kto tu jest ładny? I nadal nie mogłem jej dostrzec. Zupełnie jakby Kojot wymachiwał mi na całą chmarę mrówek i mówił: „No ta!”. Za to gdy mnie zapewnił, że zainteresowała się Garmem, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Dobra, to będę dalej denerwował jej psa, a ty prowadź w jej stronę. Jeśli nie będzie zwracała na nas uwagi, być może uda ci się ją zaatakować.

- Okej. Weź zrób pan tak, żeby nas nic nie zjadło, panie druid, a ja się skupię na naszym celu.

Z jednej strony nie chciałem zużywać resztek energii, z drugiej i tak przecież musiałem jej kiedyś użyć, a umrzeć też nie chciałem. Należało odwrócić uwagę Garm, więc na tym się skupiłem. Splotem parę zbroi draugarów z jego sierścią i poleciało na niego mnóstwo skórzanych części, które połączone były z metalowymi kawałkami i wierzgającymi draugarami. Na pewno zdołaliby się z tego w końcu wykaraskać, gdyby to na spokojnie przemyśleli, ale w danej chwili Garm miał na sobie mnóstwo dodatkowego ciężaru, a draugary leciały w jego stronę za każdym razem, gdy kończyłem splot. Pies myślał chyba, że go atakują, bo wcale nie powitał ich miło, obracając się i kłapiąc paszczą, jakby to były soczyste megapchły.

- Brawo – powiedział Kojot i w pierwszej chwili myślałem, że mówi do psa, ale potem dodał:

– Tak trzymać, panie druid. Podeszła do niego, to teraz nawet nie musimy zmieniać kursu.

Miałem nadzieję, że ma rację. Miałem nadzieję, że uda nam się zakraść po cichu i potem tak samo zmyć, gdy już zmienimy bieg historii i...

- Oj.
- Co?
- Hel się rozgląda. Wyczuła pana jak nic.

– Dobrze, że przynajmniej mnie nie widzi – powiedziałem i w tej samej chwili zorientowałem się, że ziemia pode mną jest już zupełnie wyssana z energii, a mój kamuflaż diabli wzięli. Mógłbym go niby znów narzucić, używając zapasów z mojego niedźwiedziego charmsa, ale uznałem, że przydadzą mi się raczej do czegoś innego.

Byłem teraz całkiem widzialny i ewidentnie żywy w morzu nieżywych. A co gorsza, Hel od razu mnie zauważyła i pisnęła wściekle na mój widok. Przynajmniej tyle mi to dało, że teraz mogłem ją namierzyć. Zadała sobie nieco trudu, by jej ciało wyglądało na zgniłe w pełni, nie tylko w połowie, jak zwykle, ale oczy jej dosłownie płonęły, więc jeśli to odzwierciedlało jej stan emocjonalny w tej chwili, to raczej była dość wzburzona. Zaoferowała mi kiedyś walkę przy swym boku podczas końca świata, ale odmówiłem. Tamtego dnia była sama, a ja miałem wsparcie i udało nam się ją przegonić. Teraz sytuacja nieco się zmieniła, delikatnie mówiąc.

Obnażyłem Fragaracha, odepchnąłem Kojota i krzyknąłem:

– Nie jesteś już ze mną!

Miałem tylko nadzieję, że podejmie grę i wtopi się w tłum. Kopnąłem draugary na prawo ode mnie, żeby zrobić sobie miejsce. Byłem pewien, że rzuca się od razu na mnie ze wszystkich stron, ale rozpięzły się na boki, a Kojot odskoczył z nimi. Pewnie dlatego że Hel leciała prosto na mnie, sunąc w dół zbocza. Jej fałszywa postać draugary stopiła się i znów była boginią o tym specyficznym wyglądzie i zapachu – w połowie żywą istotą, w połowie pozbawionym skóry, gnijącym trupem. Im była bliżej, tym większa rosła, przez co mogła stawiać coraz większe kroki, teraz już co najmniej trzymetrowe. Zacząłem się gorączkowo głowić, jak mam w ogóle walczyć z kimś takich rozmiarów. Jej ręce miały o wiele większy zasięg niż moje, a przecież miała przy sobie swój nóż zwany Głodem. Właśnie wyciągnęła go ze sprytnej skrytki między żebrami. W przeciwieństwie do miecza Lokiego Głód przynajmniej nie urósł razem z Hel, może dlatego że Loki po prostu rzucał na swoją broń złudzenie. Mimo to jednak był to nadal imponujący sztuciec.

Jej smród dotarł do mnie szybciej niż ona sama i od razu zatęskniłem za elfowym aromatem gruszek. Zamrugąłem, zakaszlałem i starałem się nie oszaleć od tego fetoru. Zrobiłem kilka kroczków do tyłu, a Hel stęknęła i wytrzeszczyła nagle oczy. Odruchowo machnęła rękoma, rozpaczliwie próbując zachować równowagę, ale już było za późno. Prawa fizyki zwyciężyły. To Kojot po mistrzowsku podłożył jej włócznię, gdy go mijała, a przecież trudno, żeby się spodziewała, że jeden z jej własnych draugarów podłoży jej haka. Tylko że ja też się tego nie spodziewałem. W rezultacie odskoczyłem, żeby nie walnęła mnie nożem przy upadaniu, ale już nie udało mi się uniknąć przygniecenia drugą połową jej ciała. Walnąłem w ziemię tak, że przez chwilę nie mogłem oddychać, a chwila ta była zdecydowanie za długa. Wielka łapa – ta pokryta skórą – chwyciła mnie mocno i podniosła, trzymając tak, że ręka z Fragarachem przyciśnięta była mocno do mojego boku i zupełnie bezużyteczna. Bogini wciąż leżała na ziemi, więc za wysoko nie zdołała mnie podnieść, ale za to walnęła mną o ziemię, i to tak niespecjalnie ostrożnie, na czym nieco ucierpiała moja głowa. Zobaczyłem jakieś migające światła i zrobiło mi się niedobrze – co pewnie było też związane z tym, że przyciągnęła mnie sobie teraz do twarzy, a jej oddech był wprost zabójczy. Ta część jej facjaty, gdzie widać było tkanki i kości, pełna była wijących się w mięsie policzka czerwii. W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że to musi być dla niej dość uciążliwe, a potem zacząłem się bezsensownie zastanawiać, dlaczego nie usunęła ich sobie przed tym jakże ważnym dla niej dniem.

– Druid – wycharczała. – Teraz umrzesz.

I tyle było pogawędki. Wystarczyło jej właściwie, że popatrzyła sobie na mnie triumfalnie, żeby nacieszyć się moją rychłą śmiercią. Jej druga ręka, ta koścista i z Głodem, nadciągała szybko i ostrzem do przodu. Poczułem zimną stal na szyi, a potem przesunęła nim w bok, podcinając mi gardło. Krew i powietrze natychmiast zaczęły uciekać, więc gdy tylko cofnęła nóż, po cichu włączyłem mój charms uzdrawiający, ale i tak bez trudu udało mi się panicznie krztusić i rzezić. Wiedziałem, że jedynie odrobinę zyskuję na czasie. Gdy tylko przestanie lecieć jucha, bogini połapie się przecież, że coś nie tak, i znów zada mi cios, tym razem być może nie zadowolając się zwykłym poderżnięciem gardła. Nie zostało mi wiele opcji, a ona uśmiechnęła się do mnie czarnymi zębami, gdy tymczasem moja farba tryskała na jej dłoń.

Raptem całym jej ciałem szarpnęło – łącznie z ręką, w której mnie trzymała. Hel zrobiła zaskoczoną minę, a potem skrzywiła się z bólu. Zaczęła się kurczyć, jej ręka już nie dawała rady utrzymać mojego ciała, opadłem więc na ziemię z gracją zdumionego dorsza, ale za to z nadzieją, że może zaraz będę mógł znów oddychać. Na plecach Hel zobaczyłem draugara, którego włócznia wbita

była w jej tułów. Kręcił nią, jakby mieszał sobie patyczkiem kawę, z zapalem rozrywając jej różne organy wewnętrzne.

– Hej tam, panie druid! – zawołał zachrypłym głosem Kojot. – Fajnie było, ale teraz to już umieram. Pan chyba też. Podcięła mu gardło, co? No, tyle z tego dobrego, że już mnie pan nie pomęczysz tymi swoimi beznadziejnymi żarcikami. A moi ludzie będą wreszcie bezpieczni.

Kojot raczej nie był znany z kłiwych pożegnań, ale trzeba mu oddać, że przynajmniej miał w życiu jasne priorytety. Nordycka bogini śmierci zacharowała jeszcze, drgnęła i nagle szlag ją trafił. Jednocześnie cała jej armia raptem zamarła – a przynajmniej ta jej część, która mnie otaczała, bo oczywiście nie wiem, czy pierwsze szeregi też zamarły na sekundę. Niestety draugary nie roztopiły się ani nie wybuchły kłębami kurzu. Rozglądały się tylko, jakby obudziły się po lunatycznym transie. Bez motywacji, jaką zapewniała im Hel, nagle zupełnie odechciało im się maszerować na armię, która wyraźnie miała wobec nich wrogie zamiary. Martwiaki rozglądały się, kombinując, jak się zmyć. Nie były nawet zainteresowane mną czy Kojotem ani śmierzącą bez życia Hel.

– Co jest, do licha? – zdenerwował się Kojot. – Nikogo nie rusza, czego tu właśnie dokonałem? Machnąłem piękną marmoladę z serca i płuc, sto procent zgniłej bogini w składzie, a oni nawet się na mnie nie wściekną?

Ale dlaczego właściwie mieliby się tym przejąć? Nie odczuwali względem Hel żadnej lojalności. Nikt nie chciał iść do jej krainy i nikogo nie traktowała tam dobrze. Ale istniało stworzenie wierne swojej pani, o czym przypomniało nam przerażające wycie.

– O kurwa – stęknął Kojot. Powiedziałbym to samo, gdybym tylko miał jak.

Garm zdołał już uwolnić się od większości draugarów, które do niego przylepiłem, a teraz zobaczył, że jego pani nie żyje. Mały to on nie był – ze cztery metry wzrostu – i nawet z odległości widział przecież, że my z Kojotem znajdujemy się podejrzanie blisko ciała Hel.

Gardło mi się już zrosło, a zaraz potem szyja, znów więc mogłem dostarczyć mózgowi trochę tlenu. Zostało mi energii na może jedną sztuczkę i to wszystko.

– Masz pan jakiś plan, panie druid? – spytał Kojot, gdy Garm obnażył zęby, najeżył sierść i szczechnął.

– Uciekaj. I zmień swój zapach! – wyrzęziłem.

– Tego mi pan nie musisz dwa razy powtarzać. No to pa!

Kojot rzucił włócznię i zeskoczył z nieruchomej Hel, po czym popędził w tłum zdezorientowanych draugarów. Garm popatrzył za nim, ale zaraz o nim zapomniał i spojrzał na mnie. Warknął. Mój zapach już przecież znał. I doskonale pamiętał, że już raz mu umknąłem. A teraz, gdy widział mnie tuż przy ciele swojej pani, nie zamierzał znów pozwolić mi uciec. Rzucił się naprzód, drepcząc po tych nieszczęsnych draugarach, które nie zdołały się rozpierschnąć na jego widok. Miałem prosty wybór: walczyć lub uciekać.

Jeśli zostanę, żeby walczyć, będę miał małe szanse, bo trzeba brać pod uwagę moje duże osłabienie i małą ilość magii do podkręcania szybkości i siły. Jeśli nie trafi mi się przysłowiowy „rzut krytyczny”, to moje długie życie skończy się w paszczy słusznie obrażonego na mnie psa. Istniał natomiast tylko jeden sposób, żeby uciec, i choć była to bezpieczniejsza opcja, także wymagała poświęcenia. Szanse na przetrwanie były jednak nieco większe, nie było więc co się wahać. Pobierając resztki magii, przemieniłem się w puchacza i poleciałem w kierunku dokładnie przeciwnym do tego, z którego nadciągał Garm. Plan był taki, żeby unosić się ponad zasięgiem włóczni, ale nie za wysoko, żeby nie stać się łatwym celem do ustrzelenia z łuku, w szczególności dla Lokiego.

Z bólem serca zostawiłem Fragaracha, choć wiedziałem, że znajdzie go teraz ktoś inny. Musiałem jednak za wszelką cenę osiągnąć pełną prędkość nieobciążonej sowy, czyli jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę, a tyle bym nie wyciągnął z ciężkim kawałem metalu w pazurach. I tak nie od razu udało mi się nabrać prędkości. Musiałem najpierw się nieźle natrzepotać skrzydłami, a nie było co liczyć na podładowanie magią. Garm miał przewagę, jeśli chodzi o rozpęd, a agresywne szczekanie sugerowało, że dosłownie zaraz mi siądzie na ogonie. Zmniejszyła dystans między nami, a mnie nijak nie udawało się go zwiększyć. Zaraz chapsnie mnie w locie, niczym smakowity kąsek. Jedyne, co mogłem robić, to mówić sobie: „Keep calm and... flap on”. Nie bez powodu jednak nikt nie drukuje tego sloganu

na koszulkach w takiej wersji.

Hałas za mną narastał wraz ze zbliżaniem się Garmy – rżenie zaskoczonych martwiaków, które ginęły pod jego łapami, gdy pędził, szczekanie i huk zderzeń, które zaliczał po drodze. Draugary przynajmniej go trochę spowalniały, nie osiągał więc pełnej prędkości, ale jednak był coraz bliżej. Czułem to. I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że draugary mogłyby mi właściwie trochę bardziej pomagać. Większość z nich wycofywała się właśnie, okrążając wulkan, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie. W rezultacie Garm tylko je właściwie zahaczał z flanki. Jeśli jednak polecę prosto pod prąd strumienia sunących draugarów, czyli w stronę wojsk faerycznych i nordyckich, mogę wykorzystać tę ich instynktowną ucieczkę.

Poczułem gorący i zasmarkany oddech na ogonie i wtedy skręciłem ostro, żeby lecieć prosto nad głowami wycofujących się wojsk martwiaków. Nie byli to wprawdzie przeszkoleni wojowie tacy jak einherjarowie, ale liczyłem, że w obliczu nadciągającego potwora odruchowo będą się bronić czym popadnie, a przecież mieli pod ręką te swoje ostre kije.

Garm nie połapał się w sytuacji i gnał chwilę dalej w tym samym kierunku, dzięki czemu zyskałem lekką przewagę, ale zaraz zatrzymał się i popędził za mną. Ten jego zwrot spotkał się jednak z ostrym sprzeciwem ze strony draugarów. Bez Hel, której by musiały być posłuszne, nie miały już taryfy ulgowej dla jej psa. Nie chciały przecież, żeby je podeptał, więc grotami włóczni próbowały go usilnie przekonać, żeby tego nie robił. A on z kolei nie miał nawyku zwracania uwagi na draugary swojej pani, wpakował się im więc prosto na włócznie. Spowolniło go to skutecznie. Zaskomlał i poddał się na chwilę, żeby lizać rany. Skręciłem w prawo i leciałem teraz w stronę najdalszego krańca pola bitwy. Musiałem znaleźć jakieś zaciszne miejsce, żeby podreperować siły. Miałem nadzieję, że Kojot robi o samo.

Draugary wciąż się wycofywały, natomiast ci, których Hel wskrzesiła już na polu bitwy, walczyli nadal. Cokolwiek im zrobiła, nie wymagało to widać jej kontroli. Pocieszałem się, że przynajmniej więcej już nikogo nie wskrzesi.

Ale poza tym końca kłopotów raczej nie było widać. Draugarom odechciało się walczyć z armiami, które na nich czekały, ale nie chciały też wskakiwać ładnie z powrotem przez portal do ponurego królestwa Hel. Lazły więc wokół jeziora na północ w stronę ludzkich siedzib, gdzie może kilka przewidujących jednostek, czekając na apokalipsę, przygotowało się na wszelki wypadek także na zombi, ale reszta z pewnością zostanie wzięta z zaskoczenia. No i pozostawało pytanie, co z Lokim...

Powietrze rozdarł dziki wrzask. To Loki znalazł ciało Hel.

– Dokąd to?! – ryknął po staronordycku i w pierwszej chwili myślałem, że to do mnie, ale okazało się, że mówi do draugarów. – Jeśli chcecie pokoju, musicie walczyć i zwyciężyć! Walczyć!

Nie wiedziałem, o czym on w ogóle mówi i do jakiego kłamstwa czy obietnicy odnosiły się te słowa, ale niestety podziały. Draugary obróciły się i zaczęły walczyć z o wiele większą werwą niż przedtem, a ten nagły zwrot akcji okazał się tragiczny w skutkach dla napierających wojsk, które w pościgu za draugarami złamały szeregi. Sama Brighid utrzymała się, ale faerie padały jak muchy. Resztki Olimpijczyków walczyły dzielnie. Einherjarowie i krasnoludy bili się dalej, lecz zarówno Álfarowie, jak i Svartálfarowie stracili dużo swoich. Nigdzie nie widziałem yeti, a panteon nordycki wciąż ukrywał się za ciemną chmurą Thora, choć przesunęli się nieco na prawo. Podejrzewam, że cokolwiek weszło w tę chmurę, już z niej nie wychodziło, a przynajmniej Loki nie mógł ich w ten sposób powystrzelać. Ale i oni nie potrafili go namierzyć. Wydawałoby się, że już dawno powinienem był zobaczyć w powietrzu włócznię Odyna lub młot Thora, ale na próżno ich wyglądałem.

Nad polem zagrzmiał tymczasem głos Lokiego:

– Druidzie! Mam twój miecz! Wiem, że to ty!

Dotarłem do krawędzi bitwy i wylądowałem na ziemi w bezpiecznym miejscu za szeregami Svartálfarów. Wyczułem tu niewielki strumyczek energii ziemi, zamierający, ale jednak jeszcze ciurkający. Przemieniłem się w psa, żeby dysponować jakąś prędkością i zębami, gdybym ich potrzebował, a potem napełniłem mój niedźwiedzi charms, żeby móc się znów leczyć.

A więc Loki znalazł Fragaracha. Na dobrą sprawę mogłem mu go zostawić. Wiedziałem, że mój miecz może mu się bardzo przydać, ale już trudno. Teraz powinienem podejść do pierwszego lepszego

splecionego drzewa i się stąd zmyć. Pomogłem zlikwidować Hel, dałem sobie podciąć gardło i mało nie zmieniłem się w smakołyk dla pieska. To chyba dość. Nie było naprawdę po co zostawać, chyba żeby pokibicować Atenie, coby wygrała dla mnie te tysiąc pudełek Girl Scout Cookies.

Na lewo ode mnie z tłumu mrocznych elfów wyszedł niepewnym krokiem jakiś draugar, po czym na moich oczach przemienił się w kojota. Był to oczywiście Kojot, któremu udało się przemknąć przez całe pole. Z wywieszonym jęzorem potruchtał w moją stronę i myślałem, że się przy mnie zatrzyma, ale on tylko skinął mi łbem i smyknął dalej. Zaśmiałem się. Kojot miał rację. Ruszyłem nawet za nim z myślą, że skoczmy gdzieś teraz na zasłużone piwo, ale zatrzymał mnie głos Lokiego.

– Chodź tu, druidzie! Zabiłeś wszystkie moje dzieci. Chodź i pokaż mi się! Ty wiesz, gdzie jestem. Ukaż swoją twarz.

Zamarłem. Kojot też. Obrócił się i usiadł, jakby był ciekaw, co teraz z tym zrobię. Przechyliłem łeb, a on zrobił to samo. Przedrzeźniał mnie.

Loki naprawdę tkwił w okropnym błędzie. Wcale nie zabiłem jego wszystkich dzieci – właściwie to nie zabiłem ani jednego. Za zabicie Fenrisa odpowiadały tak naprawdę Granuaile i Freja. Śmierć Jörmungandra to tylko widziałem. I gdyby Loki w ogóle się chwilę nad tym zastanowił, przecież by zrozumiał, że mój leżący na ziemi miecz zdecydowanie nie jest włócznią, która tkwi w plecach jego matki, a więc nie ja doprowadziłem do jej śmierci.

Ale i tak nie chciało mi się z nim spotykać. Nie miałem z nim szans – szczególnie bez Fragaracha, a i z nim musiałbym mieć kupę szczęścia. Ale wiedziałem, gdzie leży ciało Hel, i mogłem zaprowadzić tam innych. Gdyby tak udało im się zlikwidować Lokiego, sprawa byłaby załatwiona. Bez niego nordyccy bogowie już sami by sobie poradzili. Czy nie warto by więc jeszcze trochę im pomóc?

Uniosłem łapę i nie spuszczać wzroku z wilka preriowego, machnąłem nią w stronę bitwy. Bóg Nawahów pokręcił jednak łbem, po czym odwrócił się i sobie poszedł. Byłem więc zdany na siebie.

No trudno. W takim razie muszę sobie znaleźć jakąś zbroję i miecz, a potem jeszcze namierzyć Brighid. Być może bogini zdoła pokonać ogień Lokiego swoim ogniem. Gdy poczułem, że ziemia pod moimi stopami umiera, wiedziałem już, że Lokiego naprawdę trzeba jak najszybciej wyeliminować z gry.

Rozdział 21



Tym razem wybuch jest inny. Poprzednie następowały zresztą, gdy jeszcze byłam z Wukongiem na dachu, a teraz jestem o wiele bliżej i ziemia drży pod moimi stopami. Przez tatuaż na prawej pięcie czuję paroksyzm bólu, który szarpie żywiołakiem. Taki otwierający się raz po raz portal oznacza dla niego olbrzymie odsysanie energii. Ziemia wokół będzie tak martwa jak ta w Arizonie wokół miejsca, gdzie Aenghus Óg otworzył kiedyś portal. Tam była to porośnięta chaparralem pustynia, a tu mamy las podzwrotnikowy. Co oczywiście nie niepokoi królów Jamy, dążących przecież do o wiele większej zagłady, ale mnie doprowadza do furii i już nagle nie targają mną żadne wątpliwości, czy mam prawo sądzić tę sytuację. To w ogóle nie powinno było nastąpić.

Próbuję nawiązać kontakt z żywiołaczką Tajwanu.

//Pytanie: Kto otwiera portal?//

//Lokalne bóstwa// odpowiada mi bardzo zmęczonym głosem.

Tajwan ma z pewnością na myśli królów Jamy.

//Pytanie: Czy mogę ich powstrzymać?//

//Nie / Portal otwierany z drugiej strony//

Musiałyby go zamknąć ta sama osoba, która go otwiera, albo musiałabym pokonać królów piekieł. Przychodzi mi do głowy, że może powinnam inaczej zadać to pytanie.

//Pytanie: Czy mogę zapobiec następnemu otwarciu?//

//Tak / Najpierw zabij bóstwo//

Innymi słowy, jeśli chcę to zakończyć, powinnam chyba machnąć ręką na tę bitwę, skoczyć do następnego piekła i zabić kolejnego króla Jamy na jego własnym terenie.

– Wukongu, który to teraz król?

– Król Biancheng. Piąty postanowił trzymać się od tego z daleka. – Na zboczach pojawiają się demony i potępiency, a Wukong posyła im na spotkanie swoje klony. Nadciąga coraz więcej armii wroga.

– A kto jest siódmym?

– Król Taishan.

– Jaki on jest?

– Dlaczego pytasz?

– Czy myślisz, że jeśli bym go zlikwidowała zawczasu, udałoby się nam to szybciej zakończyć?

Czy pozostali królowie nadal będą się tu pchali, jeśli się zorientują, że Taishan nawet nie zdołał tu dotrzeć?

– Chcesz przekraść się na siódmy dwór piekieł i tam go zabić?

– Tak.

– To...

– Tylko nie mów mi, że to niebezpieczne. Bo przebywanie na tej górze w tej chwili również nie jest specjalnie bezpieczne. Po prostu powiedz mi, czy zabicie go powstrzymałoby pozostałych.

– Być może. Dlaczego inni mieliby ryzykować taką przewencyjną klęskę? A chciałem tylko powiedzieć, że to nieoczekiwane. Czyżbyś zaczęła spoglądać na sprawy inaczej?

– Nie, obawiam się, że to wciąż te same ramy myślowe. Po prostu chcę chronić Gaję. To jak wygląda ten król Taishan?

– Tak jak wszyscy królowie Jamy ma na głowie biret sędziego. Jego szaty są niebieskie, bo nadzoruje zimne piekło, czyli Utpalę, w której skóra wszystkich potępieńców zmienia się na niebieską. Ale króluje też w płonącym piekle zwanym Tapaną.

– Dobra. To czekaj, sprawdzę, czy to jest w ogóle możliwe.

Potępieni już do nas dotarli, muszę więc oddzielić przestrzenie myślowe, żeby móc dalej rozmawiać z żywiołaczką. Tym razem walczę w angielskiej przestrzeni myślowej zbudowanej z dzieł Whitmana, bo w ten sposób w łacińskiej mogę porozumiewać się z Tajwan.

//Pytanie: Gdzie znajduje się nic do siódmego piekła Diyu?//

//Nie ma druidzkiej nici / Potrzebna eskorta bóstwa z tutejszego panteonu//

A niech to. Nigdy dotąd nie przetestowałam mojej polskiej przestrzeni myślowej, bo wciąż nie jest kompletna. Jeszcze mam kilka wierszy do zapamiętania, a mój polski nie jest tak całkiem płynny, ale może wystarczy, żeby walczyć z tym potępieńcem. Te z szóstego piekła Bianchenga mają inne rany i ślady innych tortur niż te z czwartego. Wyraźnie nakłuwno je i nacinano czymś stalowym, a niektórym nadal wystają z ciała jakieś szpikulce, ale w każdym razie Scáthmhaide bez trudu rozłupuje im głowy.

Czas najwyższy przekonać się, czy potrafię żonglować trzema przestrzeniami myślowymi. I tak będę musiała się tego w końcu nauczyć, jeśli mam się przenieść do innych krain z kimś więcej niż Orlaith.

Przełączam się więc na polski i daję sobie chwilę na rozbieg. Zaczynam od *Monologu dla Kasandry*, żeby dobrze osadzić przestrzeń myślową. Wiersz jest jak znalazł, bo Kasandra mówiła przecież ludziom, że zdarzy się coś okropnego, i nikt jej nie wierzył:

To ja, Kasandra.

A to jest moje miasto pod popiołem.

A to jest moja laska i wstążki prorockie.

A to jest moja głowa pełna wątpliwości¹.

W głowie idę więc dalej przez ten wiersz, by walczyć, a żeby porozmawiać z Małpim Królem, przeskakuję do angielskiej przestrzeni myślowej.

– Wukongu. Tajwan mówi, że do piekła musiałyby mnie eskortować ktoś z waszego panteonu, ponieważ nie istnieją żadne druidzkie nici do tej akurat krainy.

Nie od razu odpowiada, przez chwilę słysząc więc tylko odgłosy bitwy: chrzęst, stękanie i wrzaski. W końcu jednak mówi:

– Jest ktoś, kto mógłby to zrobić. Zaraz tu będzie.

– Kto?

– Niesmiertelny wojownik Erlang Shen. Znasz go może?

– Oczywiście, że o nim czytałam! To ten, który cię kiedyś pokonał?

Małpi Król śmieje się, choć jego żelazny kij rozwała kolejnych potępionych, których odsyła z powrotem do Maharaurawy, czyli jednego z piekieł króla Bianchenga.

– A tak, pamiętam to dobrze. To on zwyciężył mnie w walce, gdy buntowałam się jeszcze przeciwko niebiosom. Teraz jednak walczymy po tej samej stronie. Według planu ma się pojawić, gdy tylko z piekła wyjdzie król Biancheng.

A gdy pojawia się kilka minut później, jest feerią barw i uosobieniem śmierci. Przy nim idzie pies – bardzo podobny do wilczarza, ale o wiele bardziej przyzwyczajony do bitwy niż Orlaith. I jeśli tylko będę miała na ten temat coś do powiedzenia, moja Orlaith nigdy nie będzie miała okazji tak się przyzwyczaić do wojny. Idą w naszą stronę, by dołączyć do nas u podnóża Góry Siedmiu Gwiazd, ale już po drodze wycinają w pień hordy potępionych.

Małpi Król to bez dwóch zdań imponująca postać, lecz gdy z niebios zstępuje Erlang Shen, mam wrażenie, że mógłby zabijać samym zabójczym wyglądem. Odziany jest w lejące się czerwone i białe jedwabie oraz utwardzaną, wykładaną złotem i jadem skórę. Nie potrzebuje żadnej stalowej zbroi, bo

jest właściwie kompletnie odporny na wszelką broń. Jego broń wygląda trochę jak włócznia, ale końcówkę ma podzieloną na trzy, a każde jej ostrze podwójne. Wieść niesie, że działa ona podobnie do Fragaracha w tym sensie, że przecina każdą zbroję niczym bawełniany łaśzek. W każdym razie na pewno jest ogromnie skuteczna w walce z potępionymi, bo Erlang Shen szatkuje ich po drodze, jakby to były ogórki, a nie ludzie z krwi i kości.

A gdy już dociera do nas, przedstawiamy się sobie i mówimy mu o moim planie, znów słyszę w głowie to pytanie: Dlaczego w ogóle tu jestem? Bo jest dla mnie oczywiste, że Erlang Shen i Małpi Król naprawdę potrafią sobie z tym sami poradzić. Obaj są o wiele bardziej utalentowani i potężni niż ja i bez mojej pomocy z łatwością pokonają króla Taishana. Nie potrzebują mnie nawet do przechodzenia między krainami – gorzej, to ja ich proszę o podrzucenie mnie na siódmy dwór! Po co więc Brighid mnie tu wysłała? O wiele bardziej niepokoją mnie jej plany niż wizje buddyjskich bóstw, bo Pierwsza wśród Faerii w pełni zasłużyła sobie przecież na ten tytuł. Zapracowała sobie na niego, bo jest silniejsza i sprytniejsza niż wszystkie inne faerie. To w takim razie na czym polega jej przebiegły plan, skoro udało jej się przekonać do niego samego Małpiego Króla? Przecież nie chodzi tu tylko o to, żebym pomogła obronić miasto przed tymi biednymi duszami. To znaczy Brighid na pewno chce zminimalizować szkody w okolicach Tajpeju, tak przecież jak gdziekolwiek indziej, ale gdyby chodziło tylko o to, nie musiałyby wysyłać tu ze mną Flidais z tymi wszystkimi zaszyfrowanymi wiadomościami, magicznymi jabłkami i tajemniczymi zagadkami Sun Wukonga. Powiedziałyby mi po prostu, że mam zminimalizować szkody, a przecież wykonałabym jej polecenie.

To bardzo nieprzyjemne uczucie, mieć świadomość, że bogowie grają tobą niczym jakimś ważnym pionkiem, gdy tymczasem nawet nie widzisz planszy i zupełnie nie znasz zasad gry.

A potem nagle wszystko zaskakuje mi w mózgu niczym kostka Rubika – no, może nie cała, ale w każdym razie część tej układanki. Nie patrzyłam dotąd na te wydarzenia z odpowiedniej perspektywy. Byłam niedzielnym kibicem, który obserwuje mecz z kanapy i wciąga się w to, co widzi, zupełnie nieświadomy tego, że ludzie patrzą na niego z kuchni albo z holu, albo nawet przez okno, i zaśmiewają się do rozpuku. Tak mnie wciągnęły te wszystkie drobne wydarzenia, że w ogóle nie zauważałam dotąd szerszego kontekstu.

Tu w ogóle nie chodzi o Tajwan. Z całą pewnością nie zostałam tu wysłana, żeby uratować tę wyspę, bo Tajwan znajduje się w dobrych rękach. Chodzi o to, czy potrafię wykroczyć poza mój własny narcyzm i pomóc większej sprawie. Chodzi o moje pole widzenia. O mój osąd. O to, że ktoś najwyraźniej uznał, iż nie potrafię sama ocenić, gdzie najlepiej zdołam pomóc Gai, zostałam więc wysłana tutaj dla bezpieczeństwa... o nie. To o to chodzi!

Wysłali mnie na taką misję, gdzie grozi mi tylko tyle niebezpieczeństwa, żeby mi się zdawało, że to coś ważnego. Nic dziwnego, że Flidais nie chciało się wchodzić w szczegóły mojego zadania. Dobrze wiedziała, że odstawia mnie tylko na basenik dla dzieci, żebym pochlapała się na płyciźnie. I wiedziała dobrze, że ona w Japonii będzie robiła mniej więcej to samo. Bogowie szinto tak samo nie potrzebują naszej pomocy, jak taoiśczeni i buddyjscy. Pytanie tylko, dlaczego Brighid zrobiła nam coś takiego.

Żeby ocalić druidyzm. Odpowiedź jest oczywista, gdy już wpadam na odpowiednie pytanie. Jeśli siły Lokiego zwyciężą w Szwecji, zostaną ja i Flidais, i jeszcze może ktoś więcej, jeśli jeszcze kogoś wysłała w bezpieczniejszy zakątek świata. Może Owen? Gdzie on teraz w ogóle jest? Mam tylko nadzieję, że zadbał o bezpieczeństwo swojego gaju.

Dopiero teraz zauważam, że obaj nieśmiertelni przestali walczyć, a Wukong rozstawił swoje klony tak, że utworzyły wokół nas bezpieczny krąg. Chyba trochę odleciałam, a oni czekają, aż oprzytomnieję.

– Wukongu. – Unosi tylko swoją krzaczastą brew. – Czy Brighid poprosiła cię, żebyś znalazł mi jakieś zajęcie na czas Ragnaröku?

Małpi Król przenosi wzrok na Erlanga Shena i uśmiechają się do siebie nieznacznie. Albo czekali, kiedy padnie to pytanie, albo może założyli się, czy w ogóle na to wpadnę.

– Być może nasza amerykańska przyjaciółka podważa wreszcie swoje przedsady – mówi Małpi Król do Erlanga Shena, co może nie jest bezpośrednią odpowiedzią na moje pytanie, ale jednak

potwierdza moje podejrzenia.

– Chrzańić to. Czyli w ogóle nie potrzebujecie tu mojej pomocy? Mogę iść walczyć gdzie indziej, a wy sobie sami z tym poradzicie?

– Oczywiście.

– Ale zamkniecie wszystkie te portale, tak? Bo za każdym razem, gdy się otwiera portal do piekła, najbardziej cierpi na tym ziemia.

– Zamkniemy – zapewnia mnie Wukong. – Ale czy zakończyłaś już naukę?

O cholera. Przeoczyłam coś ważnego, bo przecież w innym razie nie rzuciłaby takich dyskretnych podpowiedzi. Rozglądam się wokół, lecz nie widzę niczego, co by miało sens, więc pewnie chodzi o kolejny mój przedślad.

– Czekaj. Kiedy Brighid zaplanowała to z tobą, powiedziała ci może dlaczego?

– Obawiam się, że nie wolno mi sobie przypomnieć.

– Nie wolno ci?

Czyli Brighid wymogła na nim przysięgę, żeby nie zdradzał żadnych szczegółów ich rozmowy. Ale najwyraźniej Wukong uważa, że jednak powinnam o tym wiedzieć. I nagle – to podejrzenie. Strach chwyta mnie za gardło.

– Czy ktoś ją w to wrobił?

Małpi Król wzrusza bezradnie ramionami.

– Wukong związany jest przysięgą, nie może więc ci odpowiedzieć – odzywa się Erlang Shen.

– Ale ja nie. Brighid ustaliła z nami ten plan, bo zobowiązał ją do tego Siodhachan Ó Suileabháin.

Wyrywa mi się jęk zdumienia i smutku. A jednak mimo wszystko potwierdzają się moje najgorsze podejrzenia. Tak bardzo chciałam się mylić. Ale prawda jest taka, że Atticus wiedział, kiedy zacznie się Ragnarök. Miał dużo czasu, żeby to wszystko ukartować. I pewnie mu się zdawało, że słusznie postępuje. Rumienię się ze złości.

– Ze wszystkich chamsko patriarchalnych świństw, jakie mógł mi wykręcić... Cóż, będziemy musieli poważnie porozmawiać. A może nawet dojdzie między nami do ożywionej... jatki – dodaję, bo uzmysławiam sobie, że to właśnie tego typu zagrania sprawiły, iż Perun zostawił Flidais. Nikt nie ma prawa planować za kogoś bez konsultacji z tą osobą.

Co nie znaczy, że zmarnowałam tu czas. Czuję, że naprawdę wiele się tu nauczyłam i urosłam w sposób, który był zupełnie inny od tego, do jakiego jestem przyzwyczajona. I choć tak mnie frustrowały te tajemnicze pytania i mętne podpowiedzi, teraz widzę, że w sumie były skuteczne. To sposób myślenia, który powinnam dalej rozwijać.

– Sifu Sun – mówię, kłaniając się Małpiemu Królowi. – Czy mogę wrócić później, by więcej się od ciebie nauczyć?

– A czego chcesz się uczyć?

– Czegokolwiek będziesz chciał mnie nauczyć. Może jak robić idealną *bubble tea*, albo więcej o buddyzmie, albo o walce. Chciałabym też nauczyć się mandaryńskiego. Jestem już niemal gotowa na kolejną przestrzeń umysłową.

Sun Wukong uśmiecha się do mnie.

– Dobrze więc. Wiesz, gdzie jest mój sklep. Będę tam, gdy będziesz gotowa.

– Dziękuję. I dziękuję też za to, czego już mnie nauczyłeś.

– Nie pozwól, by ta nauka poszła w las.

– Nie pozwolę.

Znów mu się kłaniam, a potem jeszcze Erlangowi Shenowi. Przedzieram się przez potępionych w stronę splecionego drzewa. Tak jak zapowiedział Małpi Król, tuż obok ląduje po chwili król Biancheng – w lśniącej zbroi, z wściekłym wyrazem twarzy, rozglądający się za tą druidką, która śmiała zabić króla Wuguana. Wyciąga broń i rusza w moją stronę, ale kładę dłoń na splecionym drzewie i wynoszę się stąd, pozostawiając go Erlangowi Shenowi. W Szwecji trwa bowiem ważna dla mnie walka, a gdy już dotrę na pole bitwy, sama nie wiem, czy najpierw rzucę się na Lokiego, czy na Atticusa.

W. Szymborska, *Wiersze wybrane*, Kraków 2004. [wróć]

Rozdział 22



Jestem tak cholernie zmęczony po tym pływaniu, że chyba będę musiał sobie jednak strzelić tę superżywność, o której tyle gadają współcześni ludzie. Niech już będzie jarmuż, nawet jeśli Greta ma rację i to gorsze niż jaja starucha. Albo może jednak po prostu naleśniki z syropem klonowym i kubek gorącej czekolady. To może mniej ryzykowne, bardziej taki pewniak.

Z tego, co mówi żywiołak, należy wnioskować, że udało mi się mniej więcej zastosować Drugie Prawo Owena. Jest jeszcze sporo pożarów do wygaszenia, ale już ktoś się tym zajął, a poza tym jeszcze mają tam w Szwecji festiwal gównianego dnia, ale to już nie na moje pięści. Mam tylko nadzieję, że Siodhachanowi i Granuaile nic nie jest, ale jedyne, co mi się udaje wydobyć od żywiołaka, to zapewnienie, że jeszcze żyją. Ja natomiast dostaję pozwolenie na powrót do Flagstaffu oraz wspianały podarunek. W podziękowaniu za to, że uratowałem Bawarię, Amazonię i jeszcze kilka żywiołaków, pytają mnie, jak chciałbym, żeby mnie teraz nazywały, skoro nie podoba mi się przydomek Mściwy Druid. Mówię im, że mogłyby mnie nazywać Druid Oaken.

//A zatem niech będzie Druid Oaken / Harmonia//

//Harmonia// odpowiadam i pytam Slomo, czy chciałaby jeszcze, zanim ją odprowadzę do Peru, wpaść do mnie do domu. Podsuwam jej mentalny obraz drzew w okolicach Flagstaffu: sosen żółtych, jałowców grubokorych i topól osikowych.

<Jasne, Oaken!> zgadza się Slomo. <I będę pierwszym leniwcem w historii, który pozwisa sobie z tych drzew?>.

Tak mi się wydaje.

<Zdobycie Pierwszego Zwisu to dla każdego leniwca wielki zaszczyt. Ruszajmy więc!>.

Znów przemieniam się w niedźwiedzia i podwożę Slomo na grzbiecie. Na brzegu jeziora zaczynają się już pojawiać ludzie i boję się, że zaraz mogą nas zauważyć, staram się więc jak najszybciej oddalić. Podejrzewam, że jednak ktoś by się zaraz zainteresował, skąd tu w Polsce wziął się nagle peruwiański leniwiec. Przenosimy się przez splecione drzewo na ziemię Grety, gdzie jest późny wieczór dzień wcześniej. Slomo zsuwa mi się z pleców i wymiotuje cicho na ściółkę, a potem zatacza się nieco na prawo.

<Oj, Oaken, mam mroczki przed oczami. Tu jest jakoś okropnie sucho>.

Podpompowuję ją lekko energią ziemi.

<Teraz lepiej?>.

<Tak, dzięki> mówi. <Ale chyba i tak powinnam wrzucić jakiś liść na ząb>.

<Zaraz ci parę przyniosę. Zostań tu, za chwilę wracam>.

Skaczę szybko z powrotem do Peru, zbieram trochę liści z tych drzew, które Slomo lubi, i wracam zaledwie kilka minut później.

<Ojej! Wyglądają przepysznie! Dzięki!>.

<Zapraszam z powrotem na mój grzbiet. Teraz możesz jeść, kiedy będę cię niósł. Chcę cię przedstawić mojej kobiecie i uczniom. Będą tobą zachwyceni>.

Wszyscy wymienili już sobie kuleczki подарowane im przez Tasmanię na te z piaskowca Kolorado, dzięki czemu mogą porozumiewać się teraz ze Slomo mniej więcej tak jak ja – za pomocą obrazów i uczuć. I naprawdę są zachwyceni. Slomo zdobywa Pierwszy Zwis z topoli przy naszym domu i zajada sobie liście, a dzieci rozmawiają z nią i śmieją się wesoło. Zostawiam je po okiem rodziców, a sam wchodzę z Gretą i resztą watahy do domu, żeby powiedzieć im, co się ze mną działo, a oni relacjonują mi wydarzenia w Tasmanii.

– Jak się domyślasz, postanowiliśmy wrócić do domu, bo nie mieliśmy pojęcia, jak długo cię nie będzie – mówi Greta z kuchni, gdzie próbuje ziszczyć moje marzenie o naleśnikach.

W Polsce już była pora na śniadanie, ale tu, we Flagstaffie, właściwie czas iść spać. Ziewając,

uświadamiam sobie, że nie pamiętam nawet, jaki dziś dzień tygodnia ani kiedy spałem ostatnio dłużej niż kilka godzin.

Kilka minut później pojawiają się przywódcy watahy, Sam i Ty. Cieszą się ogromnie, że wróciłem – pewnie dlatego, że to oznacza, że znów będziemy się mogli nawzajem porządnie sprać w jakiejś rekreacyjnej bójce. Nie ma zbyt często okazji wyżyć się na kimś, kto stanowi dla nich wyzwanie, a bardzo to lubią. Ja w sumie też. Czasem zwyciężam, a czasem to oni wygrywają. Dobrze jest mieć kumpli, którzy cię po przyjacielsku spiorą czasem na kwaśne jabłko i nie mają ci za złe, jeśli to ty ich spierzesz. No i ci dwaj naprawdę stanowią doskonały przykład dla wszelkich kochanków. Są razem od ponad stu lat i każdy z nich dalej uważa, że wyszedł za męża za najlepszego faceta na całym świecie. Najpierw relacjonujemy sobie, co się wydarzyło, ale potem zaczynają nagle mówić o winie, a to akurat temat, o którym niewiele mogę powiedzieć. Siodhachan mówi w takich sytuacjach „I don't know Jack Shite”.

Swoją drogą, to nie do końca rozumiem to powiedzenie. Mam tyle pytań. Na przykład czasami ludzie w ogóle pomijają nazwisko i mówią tylko: „Ye don't know Jack”, ale i tak jakoś wszyscy wiedzą, że nie mówimy o Jacku Blacku ani o Jacku Danielu, ani o Jacku Placku – nie! Kiedy ktoś mówi: „Ye don't know Jack”, wszyscy z automatu wiedzą, że mówi, iż nie zna Jacka Shite'a. I tak w ogóle to nie rozumiem, dlaczego w ogóle chodziłby po świecie ktoś z takim nazwiskiem. Jak się ma takie okropne nazwisko, to nie można go zmienić na Jones czy coś równie nudnego, powszechnego i niezwiązanego z odchodami? A już kompletnie nie mogę się połapać, czy tak w sumie to *powinniśmy* znać tego Jacka Shite'a czy nie. Bo ludzie czasem mówią: „Ye don't know Jack Shite” i wyczuwasz z tonu ich głosu, że wszyscy inni to go znają. Ale znowu kiedy indziej ludzie prychną kpiąco i mówią właśnie: „You know Jack Shite”, ale w taki sposób, że należałoby wnioskować, że z tym człowiekiem to lepiej się nie zapoznawać, nawet przez przypadek. Ja w każdym razie nie miałem jeszcze przyjemności go poznać i właściwie to mam zgryz, czy powinienem próbować czy nie. To jakaś kontrowersyjna persona. Zaczynam się zastanawiać, czy Sam i Ty znają Jacka Shite'a, ale dochodzę do wniosku, że pewnie tak, skoro tyle wiedzą o winie, choć wolę ich nie pytać na głos.

Rozmowa jakoś dziwnie cichnie, gdy nagle Greta wrzeszczy moje imię, aż podskakuje.

– Hę? Co?!

– Musisz iść do łóżka – mówi. – Już dwa razy nam tu odpłynąłeś.

– Tak? Kiedy... Kiedy był ten pierwszy raz?

– Marsz do łóżka. Mamrotałeś coś właśnie o tym, że nie znasz jakiegoś Jacka.

– Ale Słomo...

– Nic jej nie będzie. Dzieci dadzą nam znać, jeśli będzie jej czegoś trzeba, to wtedy cię obudzimy.

Zresztą ona też pewnie powinna się zdrzemnąć, a tu przecież i tak nie ma żadnych drapieźników, które by się odważyły ją zaczepiać.

– O tak, z nią lepiej nie zaczynać – przyznaję.

Greta prosi tatę Thandi, Sonkwego, żeby dokończył smażyć naleśniki i odłożył je na potem, a mnie podciąga do pionu i prowadzi do sypialni. Wszystkie moje kończyny są ciężkie jak z ołowiu i już na oczy nie widzę. Mój mózg załapał, że jestem wreszcie bezpieczny, i chce się natychmiast wyłączyć, żeby dojść do siebie.

– Ze mną lepiej też nie zaczynać – mówi groźnie Greta i nie kłamie. Padam na łóżko i czuję, że szybko przyciska swoje usta do moich. – Dzięki, że wróciłeś do mnie w jednym kawałku, Misiaczku.

– Oaken – mamroczę na granicy jawy i snu.

– Co?

– Od teraz jestem Oaken.

– Dobrze, dobrze, mój ty dębowy Misiu.

Coś mi tu tak w ogóle nie gra, ale już nie mam siły wspiąć się z powrotem na wyżyny świadomości, żeby to rozpracować. Mam tę małą chwilę spokoju i zamierzam się nią nacieszyć, póki mogę, bo potem przed nami tyle cholernej roboty. I tyle szczeniaków do odchowania. Nie mogę zapomnieć o szczeniaku Orraith. Moi uczniowie będą zachwyceni...

Rozdział 23



Tak na marginesie stwierdzę tylko dla porządku coś, co pewnie jest i tak oczywiste: okradanie trupów w praktyce w ogóle nie wygląda tak jak w grach wideo. Klikasz, rozlega się cichy sygnał dźwiękowy i masz lekki wzrost poziomu serotoniny, bo do twojej sakiewki automatycznie wpadają monety, a zrabowane przedmioty lądują w wielkiej torbie i potem możesz je sprzedać jakiemuś enpekowi za parę mizernych dukatów. Wszystko odbywa się szybko, bez żadnej krwi ani tym bardziej ryzyka zarażenia się czymś czy sepsy. Tak naprawdę nie ma nawet kontaktu z trupem. Choć to samo można właściwie powiedzieć o każdym aspekcie tych gier – tak naprawdę nie ma niczego. Ale w każdym razie okradanie trupów zawsze było w grach spokojną rozrywką, częścią relaksującą, a szczerze, to wolałbym, żeby tak nie było, bo to z nas robi jakieś sepy.

Jeśli planujesz obrabować jakiegoś trupa, uprzedzam, że będzie ciężko – dosłownie i do tego stopnia, że może się to skończyć naciągniętym mięśniem. I przygotuj się na krew i gówno – nie mówię tu o smrodzie gówna, tylko o prawdziwym gównie. Wokół może się walać jakiś mózg. Całość zajmie o wiele dłużej niż kliknięcie myszką, a gdy już zedrzysz tę zbroję, okaże się pewnie, że nijak na ciebie nie pasuje. A broń w ten sposób zdobyta raczej nie będzie legendarnym Fragarachem.

A więc musiałem obszukać kilka faerycznych trupów, nim znalazłem to, czego było mi trzeba. Zadowolilem się łupem zdobytym przy trzecim trupie: zwykła koszula bez rękawów, którą mogłem włożyć pod kirys, i podstawowe bryczesy. Nałożyłem na nie spódniczkę z utwardzanej skóry, która miała chronić nogi. Ale żeby namierzyć buty, które w ogóle by na mnie pasowały, musiałem obszukać kolejne trzy trupy. Znalazłem też miecz, który nawet miał odrobinę magii, a gdy rzuciłem na niego okiem w faerycznym spektrum, okazało się, że ostrze jest nie do złamania. Wziąłem sobie również tarczę. Uznawszy, że już jestem jako tako wyposażony, zacząłem szukać Brighid.

Z całego serca pragnąłem mieć już to wszystko za sobą i położyć kres ogromnemu niebezpieczeństwu, na jakie naraziłem wszystkich moimi dwiema niefortunnymi wyprawami do Asgardu. Miałem na sumieniu wszystkich tych ludzi na całym świecie, którzy teraz zmagali się z pożarami wywołanymi przez Surta, oraz wszystkich tych, którzy już zginęli. Tych, którzy polegli tutaj, i poległych w innych bitwach wywołanych przez sojuszników Lokiego. Miałem na sumieniu Fand i Manannána, trójkę yeti i tylu innych. Mowy nie było, żebym się wymigał od moralnej odpowiedzialności za to wszystko, choćbym nie wiem jak sobie to próbował racjonalizować. Tak naprawdę powinienem sam zmagać się z tym całym Ragnarökiem. To ja zabiłem Norny, więc to przeze mnie ruszyła lawina wydarzeń – teraz to ja powinienem stać na ścieżce jej spadania.

Trochę mi zeszło, nim dotarłem na przód armii w taki sposób, żeby po drodze nie zabić żadnej faerii żelazną aurą. Przynajmniej cisowcy byli na nią odporni, a to oni chronili Brighid po obu flankach, gdy wymachiwała mieczem, waląc po karkach draugarów, przy czym sama od czasu do czasu obrywała. Na lewo od niej zobaczyłem przedziwną postać w zielono-srebrnej liberii. Była to faeria, ale zupełnie nieuzbrojona i nawet nie próbowała nikogo atakować. Po prostu sobie istniała, i to z niesamowitymi zabezpieczeniami kinetycznymi. Za każdym razem, gdy draugary atakowały tę postać, ich przemoc obracała się przeciwko nim samym. Na wszelki wypadek podszedłem więc do Brighid od prawej, żeby nie wchodzić w drogę tej faerii.

– Brighid! To ja, Siodhachan!

Musiałem powtórzyć to kilka razy, nim mnie usłyszała, ale gdy już zaszczyciła mnie spojrzeniem, zrobiła mi miejsce obok siebie, a szeregi cisowców zwały się za mną.

– Siodhachan? Co się stało? Dlaczego Loki ma twój miecz?

– Musiałem go zostawić tam, gdzie zabiliśmy Hel.

– Aha. Tak sobie właśnie pomyślałam, że tak mogło być, gdy jego głos zagrzemiał na całym polu. Powiedział, że zabiłeś mu wszystkie dzieci. Ale kim są ci „my”?

– Pomógł mi jeden z Kojotów, rdzennych Amerykanów. To taki przewidujący facet i nie chciał, żeby mu się ten bałagan zakradł także na jego kontynent. Ma już po dziurki w nosie inwazji.

– Rozumiem. Jest tu jeszcze?

– Nie, uznał, że dość zrobił. Słyszałaś też, jak Loki wyzwiał mnie do walki?

– Wszyscy to słyszeli.

– Wiem, gdzie jest, i mogę cię do niego zaprowadzić. Chcesz wygrać te ciasteczka?

Brighid wzruszyła ramionami.

– Mnie chodzi o zwycięstwo i honor, a nie o ciasteczka. – Nagle coś sobie przypomniała i zmarszczyła brwi. – Ale dlaczego chcesz mi pomagać? Przecież postawiłeś na Atenę.

– Tak, ale Atenę Loki z miejsca spali. A ciebie nie. I założę się, że masz też jakieś zabezpieczenie przed tymi jego strzałami.

Bogini poezji, ognia i kuźni uśmiechnęła się dumnie.

– Tak, już próbował zabić mnie z oddali jedną z tych swoich strzałek.

– Doskonale. Pozwolisz zatem, że osmielę się cię ponaglić, byśmy mogli już przejść do walki wartej twych umiejętności, do bitwy godnej twojej sławy, która na zawsze przetrwa w pieśniach bardów.

– Jak najbardziej, Siodhachanie. Ponaglaj. Sformujmy zatem oddział.

Jej wzrok przesunął się ze mnie gdzieś za moje prawe ramię i uśmiechnęła się, ale gdy się obejrzałem, zobaczyłem tylko tłum wycofujących się faerii, które wyraźnie nie zgłaszały się na ochotników. Spojrzałem znów na Brighid, a ona już wykrzykiwała rozkazy cisowcom i temu chłoptasiowi w liberii, którego nazywała Coriandrem. Cisowcy otoczyli nas sprawnie, a Coriander stanął na przedzie i zaczęli biec lekkim truchtem przez tłum draugarów, nie starając się nawet pozbawiać ich łbów, tylko odgarniając ich na boki. Parli przed siebie niczym lokomotywa, przy czym Coriander pełnił rolę odgarniacza. Nie próbowaliśmy już teraz wygrać tej bitwy trup po trupie, tylko mieliśmy konkretne zadanie do wykonania. Pokazałem im, żeby podążali na wprost, aż dotarliśmy tak do podnóża wulkanu, czyli de facto czegoś, co do niedawna było brzegiem jeziora, a tam skęciliśmy w prawo. Nigdzie jakoś nie widziałem Garma. Wiem, że niby próbował mnie już dwa razy pożreć, ale i tak miałem nadzieję, że nic mu nie jest i że zaszył się gdzieś lizać rany.

Rozejrzałem się, żeby ocenić naszą pozycję. Kiedy parliśmy z Kojotem przez armię wroga, przesunęliśmy się na wprost od Álfarów, czyli gdzieś mniej więcej w to miejsce, gdzie znów teraz wylądowałem.

– To już chyba blisko – powiedziałem do Brighid. – Trochę w górę zbocza. Loki na pewno zacznie strzelać ogniem albo i zmieniać swoją postać, więc uważaj.

– Trzymaj się w moim cieniu – odparła Brighid – a będziesz bezpieczny od ognia.

Miałem jednak spore wątpliwości, czy ktokolwiek z nas będzie bezpieczny. Przecież Loki z pewnością przemyślał sobie różne warianty tej bitwy i nie polegał tylko na hordach draugarów. Był tu dlatego, że wiedział, iż może pokonać Odyna, Thora i resztę, bo przecież inaczej nie miał szans na zwycięstwo. Miał dość czasu, żeby to wszystko zaplanować. Nie wyzwiałby mnie też na pojedynek, gdyby nie był pewien jego wyniku. Ja natomiast kalkulowałem sobie w ten sposób: i tak mi się należało, a cokolwiek się z nami stanie, pozostali bogowie to zobaczą i będą wtedy wiedzieli, gdzie jest Loki. Otwarta walka z nami będzie dla Lokiego jak wymalowanie sobie wielkiego kółka do celowania na czole. Albo na plecach. Mniejsza o szczegóły.

Oboje z Brighid braliśmy pod uwagę najgorsze. Ona kazała Ogmie zostać gdzieś tam w Tír na nÓg, żeby mógł stanąć na czele faerii, gdyby poległa, a do tego jeszcze odesłała Flidais do Japonii. Jeśli natomiast ja zginę, Granuaile i Owen będą kontynuować pracę druidów – szczególnie Owen, który przecież już miał naprawdę piękny gaj. Granuaile pewnie będzie chciała najpierw dodać sobie jeszcze kilka przestrzeni myślowych, nim przyjmie na naukę jakichś uczniów. Miałem tylko nadzieję, że w Tajwanie jest bezpieczna, bo przecież nie wiedziałem tak naprawdę, z czym przyjdzie jej się tam zmagać.

Pierwszą oznaką, że zbliżamy się na miejsce, była strzała, która walnęła w kinetyczne zabezpieczenia otaczające Coriandra. Jej grot roztrzaskał się na kawałki.

Drugim – niepodważalnym już – znakiem, że znaleźliśmy Lokiego, było jego pojawienie się nagle ponad tłumem. W kilka sekund urósł bowiem do gigantycznych rozmiarów i zalał nas deszczem ognia, który tryskał z jego miecza. Nie widziałem teraz nigdzie strzał ani Fragaracha. Coriander miał jakieś podstawowe zabezpieczenie przed ogniem, ale tak jak Strzały Waju nie poradziły sobie z jego kinetycznym zabezpieczeniem, tak teraz jego zabezpieczenie nie miało prawa wytrzymać żaru Lokiego. Podobnie było z cisowcami, którzy niczego się tak nie bali jak ognia. Gdy wili się i wrzeszczeli rażeni płomieniami, Brighid krzyknęła do Coriandra, żeby schował się za nią, a sama ruszyła naprzód z rozpostartymi ramionami, zbierając płomienie i przekierowując je na stojące po obu bokach Lokiego draugary. Bóg kłamstwa musiał zresztą zaraz potem opanować się trochę z tym ogniem, bo Brighid skoczyła na niego z mieczem gotowa zadać mu morderczy cios. Jakoś to zablokował. Metal szczęknął o metal, gdy się starli, po czym Loki wygiął się przedziwnie, żeby ją podstępnie przepuścić, a potem pchnął ją tak, że straciła równowagę. Tylko że teraz już miał po każdej swojej stronie wrogów i niewiele mógł na to poradzić. Machnął na najbliższe draugary, żeby nas atakowały albo go chroniły, co właściwie wychodziło na to samo. Rzuciły się na nas z każdej strony, a to z kolei oznaczało, że nie miałem za bardzo jak zaatakować Lokiego. On natomiast chciał się najpierw skupić na Brighid. Co miało sens. Bo gdy tylko jej się pozbędzie, bez trudu będzie nas mógł spalić na wiór.

Odwrocił głowę w naszą stronę, a lewą ręką wyciągnął nóż, który wydał mi się aż nadto znajomy – niebieski, zrobiony z lodu, z czerwoną linią wzdłuż ostrza. Było to wirujące ostrze yeti, to, które Loki ukradł Granuaile w Indiach.

– Ani mi się, kurwa, waż – warknął jakiś głos za mną, ale kiedy się odruchowo obróciłem, nie zobaczyłem nikogo poza cisowcami i draugarami.

Z drugiej strony, jeśli to ta osoba, którą podejrzewam, to i tak bym niczego nie zobaczył.

– Granuaile? – wybąkałem. – Jesteś tu?

– Porozmawiamy później – odparł bezcielesny głos. – Najpierw muszę coś załatwić.

– Myślałem, że jesteś w Tajwanie.

– O tym też pogadamy, wierz mi, że ci tego nie zapomnę.

– Co?

Ale już nie dostałem odpowiedzi, za to dostałem draugarami w twarz. Cofnąłem się w obręb ochronnego kręgu cisowców i znów zatęskniłem za Fragarachem. Miecze, które nie przecinają się przez zbroje, są do niczego. Zresztą Loki pewnie też właśnie odkrył tę prawdę życiową, walcząc z boginią. Przemieniał się co chwilę, właściwie przed każdym zadaniem ciosu, a Brighid nie dawała rady zareagować wystarczająco szybko, dzięki czemu zdołał już uderzyć ją i mieczem, i wirującym ostrzem. Tylko że oba ostrza ześlizgnęły się z jej zbroi. Zaraz potem Brighid unieszkodliwiła jego prawą rękę, bo zadała mu ranę wzdłuż ramienia. Potrzebując nowej broni, a nie mogąc sięgnąć po starą, żeby nie odsłonić się na atak, Loki zrobił to, co każdy szanujący się kowalny zmiennokształtny zrobiłby w tej sytuacji – sięgnął w głąb swojego ciała i wyciągnął z niego obślizgłego, lepiącego się od jego płynów ustrojowych Fragaracha. To nim zablokował kolejny atak Brighid. Prawdę powiedziawszy, zupełnie mnie zaskoczył, że tak sprawnie walczył. Kontratakował, przebił się sprytnie przez bloki Brighid i wtedy właśnie bogini dowiedziała się, czy zbroja, którą wykuła specjalnie, by zniósła atak Fragarachem, rzeczywiście jest wytrzymała.

Działała – tak jakby.

Normalnie Fragarach przechodzi przez zbroję jak przez dzins. Innymi słowy, zadający cios czuje pewien opór, ale taki, który właściwie nie ma znaczenia, jeśli cios zadało się fachowo. Brighid wykuła sobie zbroję w czasach, gdy martwiła się, że Fragarach mógłby wpaść w ręce jej wrogów i zostać wykorzystany przeciwko niej. Tak się złożyło, że nigdy dotąd nie miała więc okazji jej przetestować.

Cios Lokiego był potężny. Ostrze wbiło się w lewy naramiennik Brighid i górę jej napierśnika z taką siłą, że aż ją przewróciło do tyłu. Tylko że tym samym bogini zabrała Fragaracha ze sobą, bo brzeszczot utknął w zbroi. Trudno było powiedzieć, czy dotarł do jej ciała czy nie. Zbroja widać nie była idealna, ale jednak coś tam pomogła, bo normalnie taki cios Fragarachem albo obciąłby jej rękę, albo ją

zabił. Zarówno Loki, jak i Brighid byli chyba dość zaskoczeni takim rozwojem sytuacji. Loki znów był bez broni, a Brighid miała dodatkowy miecz, który tkwił w zbroi.

Nim którekolwiek z nich zdołało jednak dojść do siebie, Loki ryknął dziko i rozległ się trzask łamiącej się kości. Była to jego lewa kość łokciowa, a cięcie nastąpiło w okolicach jej głowy, czyli w nadgarstku. Loki upuścił wirujące ostrze. Cofnął się, złapał drugą ręką za ranny przegub, obnażył zęby i syknął wściekle, rozglądając się wokół. Granuaile zrzuciła splot niewidzialności. W lewej ręce trzymała wirujące ostrze.

– Cześć! – zawołała do niego. – Pamiętasz, jak mi to ukradłeś? – Machnęła mu wirującym ostrzem przed nosem. – Jak zastawiłeś na mnie pułapkę i połamałeś mi prawie wszystkie kości? Jak zwabiłeś mojego ojca w zasadzkę, by zginął?

– Ty...

– No, ja. Tak tylko chciałam, żebyś wiedział, kto cię dopadł.

– Nie!

Z prawej dłoni Lokiego trysnął ogień i miałem wielką nadzieję, że Brighid go jakoś ugasi, nim płomień dotrze do Granuaile, ponieważ nie miała przed nim żadnej ochrony. Ogień zgasł jednak nagle ledwie pół metra od Granuaile, gdy wbiła ostrze w udo Lokiego i rozorała mu mięsień nad kolanem. Wir na końcu ostrza już wciągał jego duszę do zbiorniczka, tylko że to nie był przecież normalny duch. Był to duch starego boga i czegoś takiego ostrze nie zdołało pomieścić. Zadrżało, po czym roztrzaskało się na okruchy lodu i mgłę, a podły duch Lokiego rozproszył się wokół. Tymczasem ciało Lokiego kurczyło się, a z jego środka wystrzeliwały przechowywane tam najróżniejsze przedmioty, w tym Strzały Waju i łuk, którego używał, by nimi zabijać.

Tak jak po śmierci Hel draugary zupełnie straciły zainteresowanie walką z wojownikami, którzy im oddawali, i natychmiast zaczęły sunąć w stronę znacznie uleglejszego z pewnością miasta pełnego bezbronnych ludzi. Panteon nordycki, który dotąd grał na zwłokę, ruszył nagle do akcji. Osłaniająca ich chmura urosła i uniosła się tak, że teraz zakrywała helikoptery wysłane tu przez ludzi, a gdy już ten parawan został skutecznie nad nami rozpięty, nordyccy bogowie skupili się na niszczeniu draugarów. Walkirie sfrunęły, by walić wielkimi toporami po karkach martwiaków. Mjöllnir orał draugary z góry, roztrzaskując im czaszki, po czym wracał do Thora, który znów nim ciskał. Z chmury wyjechał też Odyn. Nad nim krążyły Hugin i Munin, a po jego bokach jechały Frigg i Freya.

Obejrzałem się na cisowców i Coriandra – byli lekko przypieczeni, ale jednak żywi. Zostawiłem ich więc, żeby sprawdzić, czy z Brighid wszystko w porządku. Wstała właśnie i próbowała wyrwać sobie Fragaracha ze zbroi. Udało jej się to i podała mi miecz. Na głowni nie było krwi.

– Chyba to upuściłeś – powiedziała.

Odrzuciłem miecz, który ukradłem przed chwilą trupowi, i przyjąłem z jej rąk Fragaracha.

– Tak, rzeczywiście. Akurat gonił mnie wtedy taki jeden pies. – Spojrzałem na zachód.
– Ciekawe, co z nim.

Nigdzie go jakoś nie widziałem ponad tym morzem draugarów.

– Być może wciąż żyje, a jeśli tak, odprowadzimy go do Niflheimu.

Naszą uwagę przykuło nagle jakieś sapanie i stękanie. To Granuaile kopała nieruchome ciało Lokiego.

– Ty popieprzony potworze! Wrr! Zwycięstwo jest moje! – Przeszła kopać i przeszła nad trupem w stronę leżących na ziemi Strzał Waju. Podniosła je lewą ręką i spojrzała gniewnie w naszą stronę. – Zasłużyłam na to, by je sobie zatrzymać. To przez nie zginął mój ojciec, a ja dużo wycierpiałam, gdy ich szukałam.

Pokiwałem głową.

– Bez dwóch zdań.

– Oczywiście – przytaknęła Brighid, po czym wskazała ciało Lokiego. – Dobra robota. Nie wiem, czy chciałaś dostać za to ciasteczko, ale dostaniesz ich parę tysięcy.

– Jak ci poszło w Tajwanie? – spytałem.

– Cieszę się, że tam byłam – odparła Granuaile. – Sun Wukong to wspaniały nauczyciel, a Tajpej jest pięknym miastem. Mandaryński będzie moją następną przestrzenią myślową. Ale nie byłam tam tak

naprawdę potrzebna. Mistrzowie niebios doskonale sobie zwykle radzą z panami piekieł i świetnie zdawaliście sobie z tego sprawę. Podjęliście tę decyzję za mnie, traktując mnie jak dziecko, i wcale mi się to nie podoba. Być może wydaje wam się, że ponieważ jesteście ode mnie starsi, to jesteście mądrzejsi, ale naprawdę nie trzeba mieć tysięcy lat na karku, żeby wiedzieć, że tak się nie traktuje ludzi.

Żadne z nas nie zdołało jej jednak odpowiedzieć, bo w tej samej chwili pojawili się bogowie nordyccy. Pierwsi wylądowali Thor i Freja, każde zaparkowało swój rydwan po bokach ciała Lokiego. Zaraz potem przybyli Odyn i Frigg w towarzystwie walkirii i rozstawili się tak, żeby sunące tępo draugary nie przeszkadzały – nam, bo z całą pewnością zaraz zaczną dość poważnie przeszkadzać mieszkańcom Skoghall.

– Kto go zabił? – chciał wiedzieć Odyn.

Granuaile uniosła dłoń, w której trzymała strzały.

– Ja.

Nordyccy bogowie aż zamrugali z zaskoczenia. Widać spodziewali się, że zrobiła to Brighid.

– Druidka? Nie wiedzieliśmy nawet, że tu jesteś.

– Trochę się spóźniłam.

– Hm. W takim razie wygrywasz wszystkie ciasteczka.

– Taa, Brighid już coś o tym wspomniała.

– Mamy ważniejsze sprawy do załatwienia, Odynie – powiedziała Freja, wychodząc z rydwanu z mieczem w dłoni. – I dobrze o tym wiesz.

– Tak, wiem. Wybacz, Frejo. Druidzie – wskazał mnie, żeby nikt nie miał wątpliwości, do kogo mówi – popełniłeś wiele przestępstw wobec Azów i musisz teraz za nie odpowiedzieć.

– Przecież już za nie odpowiedziałem – przypomniałem mu. – Zawarliśmy umowę w Oslo. Oddałem ci Gungnira. Pomogłem zlikwidować zarówno Fenrisa, jak i Jörmungandra oraz przyczyniłem się do zabicia Hel i Lokiego.

– Nigdy nie zawarłeś żadnej umowy ze mną, druidzie – wtrąciła Freja. – To ty zamordowałeś Norny i wywołałeś to wszystko. Zabiłeś Sleipnira, twoje czyny doprowadziły do śmierci Ratatoska, mojego brata Frejra, Heimdalla, Thora i wielu walkirii.

– Po pierwsze – wskazałem na boga piorunów – na moje oko to Thor ma się świetnie. – Faktem jednak było, że nie da się tego powiedzieć o pozostałych osobach, które wymieniła. Albo w każdym razie nie byli obecni. Przez tłum draugarów przepchały się cztery postacie. Byli to Olimpijczycy: Atena, Minerwa i dwóch Apollinów. Sowy sfrunęły i usiadły na ramionach swoich bogiń mądrości. – A co do reszty, to przecież już wam to wynagrodziłem. Sama pomogłaś nam w walce z Fenrisem.

– Tak, bo Odyn mnie o to prosił. Zgodziłam się więc odłożyć zemstę na później, by osiągnąć strategiczne cele. To odroczenie już się jednak skończyło. Nie odpowiedziałeś za krzywdę, którą wyrządziłeś mnie osobiście, i Odyn doskonale o tym wie. I to za tę obelgę wyzywam cię teraz, żebyś stawił mi czoło.

– Chwila. Jaką znowu obelgę? – spytała Granuaile.

Przymknąłem oczy i westchnąłem. Wiedziałem właściwie, że Freja nigdy mi tego nie wybaczy. Trudno się jej było zresztą dziwić.

– Namówił olbrzymów mrozu, żeby pomogli mu najechać Asgard – wyjaśniła jej Freja.

– W ramach zapłaty obiecał im... mnie.

– Co?! Atticusie, nie powiedziałaś mi o tym.

– Nie powiedziałem.

Ludzie raczej rzadko wychylają się z tak wstydliwymi epizodami z przeszłości. Tak jak się tego już wcześniej obawiałem, nastąpił mój osobisty dzień sądu, a miałem niejedno na sumieniu. Była to fałszywa symfonia błędnych decyzji, które tylko narastały coraz bardziej od chwili, gdy postanowiłem stanąć do walki z Aenghusem Ógiem; głupich ruchów wynikających z poczucia honoru i lojalności, a nie logiki; zdumiewającej głuchoty na ostrzeżenia aż dwóch bogów – w tym jednego wszechwiedzącego – którzy przecież wprost mi mówili, że to się dla mnie dobrze nie skończy. I jeśli mam być ze sobą szczerzy, to wiedziałem, że gdybym nawet miał drugą szansę, pewnie znów popełniłbym te wszystkie błędy, bo po prostu taki jestem beznadziejny. Moje długie życie nie uczyniło mnie specjalnie mądrym,

nie dało mi licencji na prawość – umożliwiło mi tylko spieprzenie wszystkiego na jeszcze większą skalę. Przypomniało mi się stwierdzenie Kojota, że wszyscy prezydenci to narcyzi. Może ze mną jest podobnie – nie żebym był politykiem, oczywiście, ale jednak kimś, kto podejmuje zupełnie egoistyczne decyzje, zamiast zadbać o dobro większej grupy ludzi.

Odsunąłem się od Brighid i nogi miałem nagle jak z waty, gdy stanąłem przed nordycką boginią wojny i piękna. Pod względem fizycznym moje kolana były bez zarzutu – miałem więzadła i chrząstki dwudziestoparolatka – ale emocje potrafią potężnie wpływać na nasze ciała.

– Przepraszam, Frejo. Nie powinienem był tego robić.

– Nie chcę twoich przeprosin.

Uśmiech na jej twarzy nie obiecywał ani krztyny litości. Na usta pozostałych nordyckich bogów wypłynął bardzo podobny grymas i przypomniałem sobie, że widziałem już je u nich na początku bitwy. Od dawna to planowali. Oni wręcz czekali na tę chwilę.

– Tak, wiem. Ale i tak chciałem cię przeprosić. Ze szczerego serca.

Freja zignorowała moje słowa, przykucnęła lekko i uniosła miecz oraz brwi.

– A zatem odpowiesz mi za to, co mi uczyniłeś? Odpowiesz mi sam? Nie będziesz teraz błagał o pomoc Brighid albo wzywał Morrigan?

– Odpowiem. – Obejrzałem się na Granuaile i dodałem: – Sam. – Chciałem, żeby było jasne, że nie powinna interweniować.

Ziemia, na której staliśmy, była martwa, wyzuta z energii przez portal do nordyckiego piekła. Nie miałem już też żadnej magii w niedźwiedzim charmsie. Bez energii Gai nie mogłem podkręcić sobie siły ani szybkości, ani wykonać choćby najprostszego splotu. Byłem więc zwykłym człowiekiem stojącym do walki z boginią, która zmierzyła się kiedyś z Morrigan i wyszła z tego cało. Może i byłem nieźle przeszkolonym wojownikiem i na pewno dysponowałem wspaniałą bronią, ale jednak byłem tylko człowiekiem.

– Dobrze – powiedziała, przykucając, żeby móc skoczyć.

Stanąłem w obronnej pozycji i poczułem, jak mi się podnosi poziom adrenaliny. Dużo mi ona jednak nie pomogła.

Kiedy Freja zaatakowała, zrobiła to tak szybko, że była tylko smugą przed moimi oczyma, a Fragaracha udało mi się unieść do góry na czas tylko dlatego, że fuksem zgadłem, z której strony zada cios. Uderzyła we mnie z góry, na lewo od mojej głowy i choć idealnie ułożyłem miecz do blokady, siła jej ramienia była taka, że Fragarach tylko nieco spowolnił cios. Ostrze stuknęło w moją zdobyczną zbroję między szyją a ramieniem i udało mi się go utrzymać, ale i tak się potknąłem, a bogini kopnęła mnie jeszcze w pierś, żeby się upewnić, że runę na ziemię. Wylądowałem na świeżo ostygłej wulkanicznej skale, uderzając o coś głową, i od razu zobaczyłem jakieś światła.

Ktoś chichotał, ktoś wymiotował, ale nikt mnie nie atakował. Bogini czekała widać, aż wstanę. Bawiła się mną. A ja poczułem na karku ciepły strumień krwi. Rozciąłem sobie skórę na głowie i pewnie zafundowałem wstrząśnienie mózgu. Ale kiedy wstałem, nie miałem ochoty czekać na kolejnego kopniaka. Rzuciłem się na nią i zaatakowałem ją serią szybkich ciosów, tylko że zdołała odparować każdy z nich. Było dla mnie oczywiste, że nie wygram, a ona może to skończyć, kiedy tylko uzna za stosowne, ale przynajmniej się już nie uśmiechała. Minę miała skupioną. Czegoś szukała – ale czego? Dała mi ręką znak, żebym podszedł, jednak ani drgnąłem. Nie zamierzałem jej dać tego, co chciała.

– Dobrze – warknęła. – Najpierw trochę pocierpisz.

Najpierw? To niby co planowała na później?

Rzuciła się na mnie i choć próbowałem zablokować atak, aż się zakołysałem od serii ciosów pięściami i nogami. Głowicą miecza rąbnęła mnie w prawą skroń, co zupełnie mnie oszołomiło, po czym poczułem uderzenie w prawe ramię zaraz za chroniącą mnie zbroją i dopiero wtedy oświeciło mnie, o co jej od początku chodziło. Było już jednak za późno. Runąłem na ziemię o kilka kilo lżejszy, trysnęła krew, a mnie wyrwał się krzyk przerażenia i zdumienia.

Freja odcięła mi prawą rękę.

Rozdział 24



Okazuje się, że można się dosłownie pochorować z niepokoju. Zawsze myślałam, że to tylko tak się mówi, że ktoś jest chory ze zmartwienia. Ale teraz, gdy zaczyna się pojedynek, jestem tak zestresowana i tak bardzo boję się o Atticusa, że zaczynam wymiotować. Bez magii ziemi jest w porównaniu z Freją bardzo powolny. Nie ma szans i dobrze o tym wie, ale i tak walczy, a ona na pewno go zabije. Puszczam pawia już po pierwszym ciosie, który Freja zadaje Atticusowi. A kiedy go powala na ziemię, odrąbuje mu rękę i kopie go, wpadam w zupełną panikę, że teraz to Atticus wykrwawi się na śmierć, bo naprawdę nie ma jak się z tego uleczyć. Nie tylko nie ma tu żadnej energii ziemi, którą mógłby pobrać, ale jeszcze właśnie pozbawiła go jego triskelionu, który w ogóle umożliwił mu uzdrawianie. Oraz przemienianie się w zwierzęce formy i podróżowanie do innych krain.

Rzucam się do przodu i otwieram usta, żeby krzyknąć „Dość!”, ale Freja wycofuje się i odwraca w stronę nordyckich bogów.

– Załatwione! – oświadcza, wyraźnie uznawszy, że wymierzyła mu wystarczającą karę. Rozkłada dumnie ramiona, jej miecz ocieka krwią Atticusa. Wyraźnie cieszy ją uznanie zebranych wokół bogów i walkirii.

Podbiegam i przyklękam przy nim. Już jest w szoku, bo widzę, że nie potrafi nawet wyostrzyć wzroku. W srebrnym zbiorniku Scáthmhaide’a mam jeszcze resztki energii Gai, więc wykorzystuję ją i zamykam tętnice, żeby przynajmniej nie wykrwawił się na śmierć.

– Czy Olimpijczycy są świadkami? – pyta Freja i jest to tak dziwne pytanie, że aż podnoszę na nich wzrok.

Apollinowie kiwają głowami, Atena i Minerwa również.

– Przekażę Dianie i Bachusowi, że sprawa załatwiona – mówi Minerwa chłodnym, pięknym głosem.

– Artemida będzie zadowolona – dodaje Atena.

– Diana oczywiście życzy sobie trofeum – dorzuca Minerwa.

– Naturalnie. Jest wasze.

Nie wiem, o jakim trofeum mówią, spinam się więc odruchowo, gdy Minerwa rusza w moją stronę. Przecież równie dobrze może chcieć mu teraz wyrwać serce albo coś takiego. Bogini jednak tylko podnosi jego odrąbaną rękę.

– Tę wiadomość miał ci przekazać Merkury, ale skoro go tu nie ma, ja go zastąpię – mówi do Atticusa. – Diana i Bachus uznają to za zadośćuczynienie za krzywdy, które im wyrządziłeś. Nie musisz się już obawiać niczego z ich strony, póki nie uczynisz czegoś, co by wywołało ich gniew. Domyślam się, że podobnie rzecz ma się z Artemidą. – Bogini ogląda się na Atenę, a jej grecka odpowiedniczka kiwa głową.

– Tak.

Minerwa wraca wzrokiem do Atticusa.

– Czy chciałbyś, żebym coś im od ciebie przekazała?

Atticus kręci głową, zaciskając mocno usta i oddychając przez nos.

– A zatem żegnaj, druidzie. – Minerwa odchodzi z jego ręką, odbierając mu nadzieję na

przyciępienie jej do ciała.

Wyciągam szyję, żeby zobaczyć, jak reaguje na to wszystko Brighid, ale ona stoi z kamiennym wyrazem twarzy, jakby ją kto umieścił na wystawie zbroi w muzeum.

– Nic na to nie powiesz? – pytam ją.

– Powiedziałałam już dość, gdy wcześniej omawialiśmy to z nordyckimi i olimpijskimi bogami.

Pod żadnym warunkiem nie mieli prawa go zabić.

– Ale mieli *prawo* zrobić *to*?

– Trudno mi to im było uniemożliwić, Granuaile. Wyrządził im wiele krzywdy. Moim zwycięstwem jest to, że nie odebrali mu życia.

Bogowie, cali bogowie. Wciąż podejmują decyzje o naszym życiu i robią to bez naszej zgody.

– I mnie także teraz osądzicie i na coś skazecie?

– Nie, ty możesz iść wolno – odpowiada Brighid. – Właściwie to musisz już iść.

– Co? Dlaczego? – Oglądam się w tę stronę, gdzie jeszcze przed chwilą stali Olimpijczycy, i widzę, że wsiedli już na skrzydlate konie walkirii, a szafarki śmierci właśnie popędzają rumaki, by uniosły się ponad hordami draugarów.

Odpowiada mi Freja, która właśnie wyciera sobie miecz z krwi Atticusa, używając do tego jakichś szmat, które miała w rydwanie.

– Musimy zamienić z nim parę słów na osobności. Nie stanie mu się już żadna krzywda.

Też mam parę słów, które bym chciała z nią zamienić, ale gryzę się w język.

– Dobrze, tylko dajcie mi chwilę – proszę, na co kiwają niechętnie głowami.

Odwracam się w stronę Atticusa i staram się mówić jak najciszej, choć wątpię, żeby to cokolwiek dało, skoro jestem otoczona bóstwami.

– Przykro mi z powodu twojej ręki. Ale cieszę się, że żyjesz.

Kiwa tylko głową w milczeniu. Chyba zgrywa stoika albo może postanowił nie dać nordyckim bogom tej satysfakcji i przynajmniej nie wrzeszczeć z bólu, a gdyby się odezwał, to pewnie ten ból by mu się siłą rzeczy wymknął. Rozumiem, co czuje.

– Musimy porozmawiać – mówię mu. – Ale nie tu i nie teraz. Skoczę do domu po wszystko, czego potrzebujesz, bo nie dasz rady sam się tam przenieść. I trzeba pomyśleć, jak cię stąd wydostać. Czekaj. – Wstaję z ziemi, odnajduję wzrokiem Wszechojca i wołam do niego: – Czy mogę ci zaproponować pewną umowę? Oddam ci całą moją nagrodę, wszystkie ciasteczka, które mi się należą, w zamian za to, że przeprowadzisz Atticusa przez most Bifrost, gdziekolwiek sobie zażyczy, a zaraz potem przyprowadzisz mu jego psy.

– Umowa stoi! – mówi Odyn o wiele szybciej, niż się tego po nim spodziewałam.

Ani chwili się nad tym nie zastanawiał. Albo i tak chce wyświadczyć nam tę przysługę. Albo naprawdę ma obsesję na punkcie tych ciasteczek. Wściekła mina Frigg sugerowałaby, że raczej to drugie.

Przykucam przy Atticusie i kładę mu dłoń na piersi.

– Niedługo znów się zobaczymy. – Kiwa dwa razy głową, znów zaciska zęby z bólu. Wstaję i macham kijem wokół, żeby wskazać wszystkim bogów po kolei i przypomnieć im o obietnicy Frei.

– Ma mu się nie stać żadna krzywda.

Wybiegam z kręgu nieśmiertelnych intrygantów i pędzę na południe do najbliższego splecionego drzewa. Łzy, które dotąd udawało mi się powstrzymać, wszystko mi skutecznie zamazują. Trzeba i to uznać za moje drobne zwycięstwo – niczego nie uroniłam przed tymi nieludzkimi istotami: ani krwi, ani łez.

Rozdział 25



To zupełnie naturalne, że chce się krzyczeć, gdy nagle traci się całą rękę, ale poza tym pierwszym zaskoczonym wrzaskiem bólu udało mi się resztę przesunąć do innej przestrzeni myślowej, bo w przeciwnym razie dałbym nordyckim bogom zbyt wielką satysfakcję. A jako że niewiele zdołałbym im teraz zrobić, uznałem, że chociaż tyle mogę – pozbawić ich przyjemności wysłuchiwania moich krzyków. Lecz w tej innej przestrzeni myślowej opłakałem rękę, tym bardziej że miałem już pełną świadomość, iż do tego właśnie od początku dążyła Freja. Nie chodziło tylko o to, że tą ręką trzymałem miecz – była to ręką, dzięki której leczyłem, podróżowałem między krainami i przemieniałem się w zwierzęta. Będę nadal mógł wykonywać wiele splotów i będę miał pewne zdolności, ale jednak moja skuteczność w pracy dla Gai znacząco spadała. To życie, którym żyłem ponad dwa tysiące lat, właśnie się skończyło. Nigdy już nie wzniosę się pod niebiosa jako sowa i nie pomknę na czterech łapach jako pies. Nie będę już podróżował dookoła świata tak jak kiedyś.

Granuaile podeszła do mnie, żeby udzielić mi pierwszej pomocy, czym pewnie uratowała mi życie, a potem poprosiła Odyna, żeby przyprowadził mi psy, gdziekolwiek będę chciał przebywać – tak jakbym nie chciał wrócić do naszej chatki w Oregonie. Może i jestem tępy i wielu rzeczy nie rozumiem, ale to odczytałem bez pudła. Mój dzień sądu jeszcze się nie skończył – było dla mnie jasne, że w oczach mojej ukochanej okazałem się zbyt lekki.

Zrozumiałem w końcu, co miał na myśli Jezus, gdy ostrzegwał mnie, bym nie szedł do Asgardu, bo czeka mnie wtedy cierpienie, którego jeszcze nie zaznałem. Bo wszystko, co teraz czułem – ten nieznośny brak na granicy mojej woli życia – nie zaleczy się bynajmniej po kilku tygodniach rekonwalescencji. Fizyczny ból ustanie z czasem, lecz emocje związane z tą stratą pozostaną i będą mnie męczyć co dnia. Za każdym razem, gdy będę chciał wskoczyć do rzeki i pobaraszkować w niej jako wydra albo poszybować jako puchacz wirginijski, będę musiał pozostać w tej nieszczęsnej ludzkiej postaci i będę mógł za to winić tylko siebie. A więc tak – cierpienie jak najbardziej aż wrzało w tej przestrzeni myślowej, ale póki co skupiłem się na przestrzeni staronordyckiej, bo już podchodziła do mnie Freja. Podniosła z ziemi Fragaracha i przyklękła przy mnie na jedno kolano.

– Moim trofeum będzie ten miecz. Osobiście uważam, że powinieneś zostać zabity, bo nie przekonuje mnie argument, że prawie wyrównałeś szale, ale Brighid i inni lobbowali na twoją korzyść. – Pochyliła się nade mną. – A teraz muszę posprzątać po tobie cały ten bałagan, bo draugary właśnie docierają do Skoghall.

Przesunąłem wzrok na tłum sunący obok nas i uzmysłowiłem sobie, że to einherjarowie i krasnoludy pędzący w pogoni za draugarami.

– Gdziekolwiek postanowisz się teraz zaszyć, druidzie, radziłabym ci, żeby to było daleko stąd. W krainach nordyckich nie będziesz odtąd mile widziany. Ale póki będziesz to szanował, nie masz się czego z naszej strony obawiać.

Skinąłem tylko głową.

– Mam nadzieję, że z czasem o tym zapomnisz – dodała cichym, pełnym nienawiści głosem. – Mam nadzieję, że wkroczysz na nasze ziemie, dając mi wymówkę, by cię wykończyć. Bardzo proszę, nie krępuj się.

Odeszła, zabierając ze sobą Fragaracha, a wtedy podeszła do mnie Brighid, już bez hełmu, bo przecież niebezpieczeństwo minęło.

– Irlandia jest bezpieczna, a wraz z nią Tír na nÓg. Wiem, że tak tego w tej chwili nie odczuwasz i że być może nie chcesz nawet myśleć o moim udziale w tym wszystkim, ale wiedz jedno, Siodhachanie: uważam, że uczyniłeś dziś wiele dobrego. Jeśli w przyszłości będę ci mogła wyświadczyć jakąś przysługę, wezwij mnie.

Zawahała się, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale potem widać się rozmyśliła, bo tylko pokręciła głową i się pożegnała.

Zostałem więc w kręgu samych nordyckich bogów, a oni tylko się na mnie gapili. Przetoczyłem się na lewy bok i udało mi się jakoś wstać. Kręciło mi się nieco w głowie, stałem więc chwilę i czekałem, aż będę miał w ogóle siłę ostrożnie ruszyć w stronę Thora i Odyna. Skinąłem im głową, a oni odpowiedzieli tym samym, czekając, co powiem. Zacząłem od rudobrodego boga piorunów.

– Ty jesteś Thor?

– Tak.

– To w takim razie kogo Leif Helgarson zabił Moralltchem?

Thor prychnął ubawiony.

– A, mnie. – Uśmiechnął się radośnie, ale jego uśmiech natychmiast zniknął, gdy przypomniał sobie coś, co wywołało grymas rozgoryczenia. – To byłem stary ja. Tamta moja wersja była związana przepowiednią Norn co do Ragnaröku. Ubzdurałem sobie, że moje zachowanie nie będzie miało żadnych konsekwencji, póki nie spotkam Jörmungandra. I przez to zbłądziłem. To prawdziwe przekleństwo przepowiedni i losu... założenie, że nie jest się właściwie odpowiedzialnym za swoje czyny. Ale myliłem się, bo konsekwencje jednak nastąpiły, prawda? Szczerze mówiąc, słusznie zostałem pociągnięty do odpowiedzialności przez tych, których skrzywdziłem. I wiesz, co jest w tym cudownego? Że jestem szczęśliwy. Przepelnia mnie wdzięczność. Znow się ucieleśniłem dzięki tym, którzy nadal mnie czczą, i muszę powiedzieć, że to zupełnie nowa, pełna nadziei era ludzkości. Wiem już, co to znaczy być dobrym. I mam nadzieję, że i ty to zrozumiesz, druidzie. Teraz bowiem to ciebie rozliczono z twoich czynów i być może odświeży ci to perspektywę.

– Albo sprawi, że stanę się zgorzkniały i będę szukał zemsty.

Thor pokiwał głową, jakby dopuszczał i taką możliwość, a potem wskazał mi brodą nieruchomą postać Lokiego.

– On był zgorzkniały i szukał zemsty.

– Też prawda. A co z Heimadalem, Frejrem i pozostałymi?

– Miejmy nadzieję, że i oni otrzymają wystarczająco dużo modłów, by się znow pojawić, ale na razie pozostają wspomnieniami. Ja jednak nie mam ci niczego za złe. Odyn ma inną opinię na ten temat, lecz ja uważam, że wyświadczyłeś mi wręcz przysługę. Być może z czasem zrozumiesz, że i my wyświadczyliśmy ci podobną.

– Być może.

– Cieszę się, że mieliśmy okazję porozmawiać, lecz mam jeszcze dużo pracy, pozwolisz więc, że już sobie pójdę.

Pomaszerował w kierunku swojego rydwanu, po czym odleciał nim na północ w pogoni za draugarami, zostawiając mnie z Odyнем, Frigg i walkiriami. Odyn patrzył chwilę za nim, po czym skupił wzrok na mnie.

– Nie podzielam zdania Thora, druidzie. Wciąż mam ci wiele za złe i miałem nadzieję, że zginiesz w tej bitwie.

– Tak, już o tym wspominałeś.

Frigg nic nie powiedziała, ale jej mina mówiła wszystko. Zgadzała się z Odyнем.

– Zadowolę się jednak świadomością, że jesteś nieszczęśliwy. I daleko stąd. To dokąd?

– Na wschodnie wybrzeże Tasmanii, jeśli można prosić. Na wschód od Triabunny, nad zatokę Oakhampton. Przyrowadź mi też tam moje psy, Oberona i Starbucka.

– Nie ma sprawy. Ruszajmy więc, bo mam jeszcze wiele do zrobienia, ale zależy mi na tych ciasteczkach. Postawiłeś ich też trochę, prawda?

Zazgrzytałem zębami.

– Tak.

– Doskonale. Dam ci znać, dokąd w Midgardzie masz je wysłać. Chcę samoasy.

– Oczywiście. Będę pamiętał.

W milczeniu ruszyłem za nim i za Frigg do najbliższego kawałka niezniszczonej ziemi, bo potrzebowali jej, żeby wezwać Bifrost. Jechali na koniach, ale nie zaproponowali, że mnie podwiozą. Po prawej ujrzałem walkirie, które złapały w sieć rannego Garma. A więc przeżył. To dobrze.

Duża część pola golfowego zupełnie wyschła i obumarła przez ten portal, a ja wlokłem się po martwej ziemi.

– Czy portal do Helu wciąż jest otwarty? – spytałem, bo nie czułem pod stopami żadnej energii.

– Nie – odparł Odyn. – Zamknął się, gdy zginął Loki.

Być może Granuaile zajmie się leczeniem tej ziemi. Będzie musiała zająć się wieloma sprawami, ale pewnie bez mojej pomocy.

Przez niezdolnie krótką chwilę poczułem znów połączenie z Gają, ale zaraz potem Odyn wezwał Bifrost i ruszyliśmy przez gwiazdną przestrzeń między krainami, aż w końcu doprowadził mnie na północną plażę zatoki Oakhampton. Wyjaśniłem mu, jak dotrzeć do mojej chaty i które psy są moje, i zostałem sam w ciemnościach Tasmanii. Była to ta dziwna pora między północą a świtem, kiedy przez brak światła i ruchu wydaje się, że świat się zatrzymał.

Na stojąco połączyłem się z tasmańskim żywiołakiem i poprosiłem go o pomoc w leczeniu mojego kikuta. Granuaile zatrzymała krwotok, ale rana wciąż była otwarta, podatna na wszelkie zakażenia i dość bolesna. Gdy skóra zaczęła się szybko goić i wygładzać w miejscu, gdzie powinna być ręka, od razu poczułem wielką ulgę, ale i rozpacz. Wraz z ręką straciłem poczucie równowagi i zakotwiczenia. Żyłem, ale zupełnie nie potrafiłem myśleć o tym, co mam teraz zrobić.

Rzadko uświadamiamy sobie, że zaczyna się lub kończy jakiś rozdział w naszym życiu, chyba że mamy to szczęście spojrzeć na dane wydarzenia po fakcie. Nasze miłości, zwycięstwa i tragedie nie istnieją, jeśli nie przetrwamy na tyle długo, by tak je nazwać. Nie wiem, czy osiągnąłem w życiu wiele więcej niż to, ale przynajmniej przetrwałem na tyle długo, żeby móc cieszyć się i rozpaczać, doceniać zwycięstwa i żałować błędów.

A jednego i drugiego miałem w bród.

W zasadzie to, że przetrwałem Ragnarök i jeszcze bogowie obiecali zostawić mnie wreszcie w spokoju, należy jednak uznać za pewne zwycięstwo. Tylko jakoś tego tak w danej chwili nie odczuwałem, bo gdy straciłem dużą część mojego połączenia z Gają, straciłem... zbyt wiele.

Być może się to zmieni z czasem, choć czas ma to do siebie, że bardzo wolno płynie, gdy się cierpi. Spędziłem bliżej nieokreśloną chwilę w mroku, wsłuchując się w fale bijące o piaszczysty brzeg, i myślałem sobie, że może ta noc nigdy się nie skończy, aż w końcu niebo poszarzało i zaczęło świtać. Wtedy właśnie znów pojawiło się światło Bifrostu i z mostu zeskoczyły na plażę dwa psy. Odyn nie zszedł już nawet na pogawędkę, co zupełnie mi nie przeszkadzało.

<Atticus! Wyszedłeś z tego cały i zdrowy!> krzyknął mi Oberon w głowie i popędził w moją stronę.

<Cześć, Atticus! Dobry człowiek!> dodał Starbuck.

– No, powiedzmy, że prawie cały – mruknąłem. – Ostrożnie, nie skaczcie jeszcze na mnie. Mam problemy ze złapaniem równowagi.

<Na cierpiące koty, Atticusie, co się stało z twoją ręką?>.

– Przepadła – powiedziałem. – Ale światu już nic nie grozi.

Przynajmniej chwilowo. Przynajmniej nie Loki w każdym razie. Bo pewnie dalej płonie wiele pożarów, które trzeba ugasić, a w dodatku ludzkość zacznie zadawać mnóstwo pytań i nie otrzyma na nie żadnych satysfakcjonujących odpowiedzi. Ludzie będą musieli się nauczyć żyć z tą zagadką i odbudować to, co zostało zniszczone, a ja tymczasem będę musiał rozwiązać zagadkę, jak odbudować moje życie.

<Nic poza wiewiórkami, chciałeś powiedzieć>.

– No tak. Poza wiewiórkami. To zagrożenie wciąż wisi nad nami wszystkimi.

<To co się właściwie stało?>.

Westchnąłem.

– Czy możemy zrobić tak, że opowiem wam o tym później? Muszę sobie to najpierw wszystko przemyśleć i... Chyba w ogóle chciałbym to wszystko spisać. Lewą ręką. Co samo w sobie będzie niezłym wyzwaniem.

<A, jasne. Spoko. To co teraz robimy?>.

– Myślę, że powinienem coś zjeść i się napić.

<Ty zawsze masz najlepsze pomysły na świecie, Atticusie>.

<Tak! Jedzenie!> powiedział Starbuck.

– No to chodźmy. Miasto jest na zachód stąd. Teraz będziemy tu mieszkać, choć właściwie jeszcze nie wykombinowałem, gdzie konkretnie, i musimy jakoś rozwiązać ten problem. Ale przede wszystkim zjedzmy śniadanie. Tak dla zasady.

<Tak! Zasady są ważne>.

– W rzeczy samej. Zresztą najwyższy czas, żebym gruntownie przeanalizował swoje. Ale w każdym razie „przede wszystkim zjeść śniadanie” to żelazna zasada. Chodźmy.

Tak naprawdę to myślę, że być może psy są ważniejsze niż zasady. Obdarzają nas miłością i lojalnością wtedy, gdy najbardziej tego potrzebujemy.

Rozdział 26



Z pomocą żywiołaka Tasmanii odnajduję Atticusa w herbaciarni w Triabunnie. Siedzi z psami na żółto-zielonej werandzie zastawionej doniczkami. Zamiast siąść na jednym z wiklinowych foteli, usadowił się na samym skraju podłogi, żeby bosą stopą móc dotykać ziemi. Przed nim jeszcze długie leczenie i w ogóle nie wygląda najlepiej. Pozbył się napierśnika, który rąbnął komuś na polu walki, ale spodnia koszulka jest cała podarta i poplamiona krwią po prawej. Wciąż ma na sobie skórzaną spódniczkę, która była częścią jego zbroi, i jestem pewna, że w oczach współczesnych uchodzi za totalnego świra. Prawdę powiedziawszy, dziwię się, że w ogóle obsłużono go w tej herbaciarni. Wygląda na zmęczonego i zrozpaczonego, a na mój widok nie uśmiecha się ani nie wita, choć jego psy zaczynają merdać ogonami.

Zrzucam z ramienia płócienną torbę.

– Cześć. Przyniosłam ci trochę świeżych ubrań i rzeczy. Nowy telefon na kartę, dowód tożsamości, karty kredytowe, trochę australijskiej gotówki i takie tam.

– Dzięki. Odyn powiedział ci, gdzie jestem?

– No.

– Mogłabyś mi wyjąć z torby jakąś koszulkę? Ta pani z herbaciarni chciała od razu wołać karetkę, jak mnie zobaczyła w tym stanie.

– Jasne.

Ściąga zakrwawioną koszulę przez głowę i wkłada nową, którą mu podałam. Tylko lekko się przy tym wzdryga. Pewnie nieźle już wyciszył nerwy kikuta.

Boję się tego, co teraz nastąpi. Siadam przy nim na werandzie, też kładę stopy na ziemi.

– A więc...

– Zaczekaj. Oberonie, moglibyście ze Starbuckiem skoczyć za tę herbaciarnię i zobaczyć, co tam się dzieje w krzakach albo coś? Musimy porozmawiać chwilę na osobności. Gdyby ktoś was niepokoił, zawyż.

Psy posłusznie znikają za rogiem domu, co budzi moją podejrzliwość.

– Już wiesz, dlaczego tu jestem?

– Tak, ale nie wywróżyłem tego, jeśli o to ci chodzi. Kiedy powiedziałaś Odynowi, żeby odstawił mnie, gdziekolwiek zechcę, ale nie do domu, trudno było się nie domyślić. A teraz jeszcze przyniosłaś mi dowód tożsamości i ubrania.

Wzdrygam się i wciągam nerwowo powietrze. Nie miałam świadomości, że to takie oczywiste.

– Aha. Przepraszam.

– Ale nie krępuj się. Powiedz to.

Robię głęboki wdech i wyrzucam to z siebie:

– Przede wszystkim chcę, żebyś wiedział, że decyzję podjęłam, zanim wtrącili się nordyccy bogowie. Wiem przecież, że przeżywasz właśnie najgorszy dzień w życiu, i naprawdę nie chcę cię jeszcze bardziej dobijać. Ale później sytuacja w zasadzie się nie zmieni, a po tym, jak usłyszałam, co zrobiłeś Frei... Na bogów, Atticusie, aż za dobrze wiem, co ona czuje. Mam ochotę sama ci jeszcze przyłożyć. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś coś takiego. To tylko potwierdza, co już i tak czułam.

Uważam, że każde z nas powinno pójść swoją drogą. Bo gdy wysłałeś mnie tak podstępnie do Tajwanu, właściwie podjąłeś tę decyzję za mnie. I nie ma znaczenia, że wydawało ci się, że to dla mojego dobra. Nie mogę żyć, zachodząc cały czas w głowę, jakich manipulacji dopuszczasz się za moimi plecami. Wiem oczywiście, że nie tylko ty tak robisz. Jasne, że Brighid jest przekonana, że to w porządku. I Flidais też. Ale to nie jest w porządku. Mam tego serdecznie dość. Nie jestem niczym pionkiem. – Zasycha mi nagle w gardle, gdy widzę, że z oka Atticusa sływa łza i sunie w stronę jego szczęki. Chyba trochę się nakręciłam. Spokojniej już ciągnę: – Jestem ci oczywiście wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, i bardzo dużo ci zawdzięczam. Jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, zawsze możesz na mnie liczyć. Ale to... my... To koniec.

Kiwa głową, a gdy mi odpowiada, jego głos jest spięty, zachrypły:

– Po pierwsze, przepraszam, Granuaile. Popełniłem błąd. Po drugie, rozumiem twoją decyzję. Najwyraźniej nadszedł czas, żebym poszedł do kąta tego świata i przemyślał swoje postępowanie. Czy mogę spytać, jakie masz plany co do chaty?

– A tak, racja. Na razie nie mogę się wyprowadzić, bo Orlaith dopiero co się oszczeniła. Musimy tam zostać przez najbliższe trzy miesiące, póki będzie karmić małe, a potem się wyprowadzimy. Możesz mi dać tyle czasu?

– Oczywiście. Możesz tam zostać o wiele dłużej, jeśli chcesz. Ale kiedy będziesz już chciała się wyprowadzić, daj mi, proszę, znać, dobrze? Chciałbym ją sprzedać.

– Oczywiście. – Przecież wiem, że stara mi się to ułatwić. – Potrzebujesz jeszcze czegoś? Przynieść ci coś?

– Nie, dzięki. Ubrania i podstawowe środki płatności wystarczą. Ale jeśli coś mi się przypomni, to dam znać.

– Dobra. – Wstaję trochę zdezorientowana tym, że właśnie odchodzę od kogoś, kto był tak wielką częścią mojego życia. Jest to jednak konieczne. Przedemną szeroka droga i chcę zobaczyć, dokąd prowadzi. – To na razie. Mam nadzieję, że po tym wszystkim... Wiesz, niech harmonia będzie z tobą.

Życzy mi tego samego i odchodzę. Wrócę zaraz do chaty w Oregonie, żeby przytulić się do Orlaith i zasnąć. Mam nadzieję, że harmonia odnajdzie nas oboje, choć przez jakiś czas będzie musiała szukać nas w innych miejscach.

Będę kontynuować moją naukę w Polsce, a Orlaith będzie karmić swoje szczeniaki. Potem znajdziemy im jakiś dobry dom. Jeśli nie w gaju Owena, to u jakichś innych szczęściarzy. Myślę, że później przeniesiemy się z Orlaith do Tajwanu, żeby zobaczyć, czego tam możemy się nauczyć i jak tam możemy się rozwijać. Może najpierw powinnam też się dowiedzieć, skąd ta małpa w sklepie Wukonga wiedziała, że już wkrótce nadejdzie dla mnie tak żałosny czas. Bo naprawdę jestem smutna. Nie o takiej przyszłości myślałam zaledwie kilka miesięcy temu.

Być może pewnego dnia znów będziemy z Atticusem razem, a być może nie i będzie dla mnie tylko kimś w rodzaju kolegi z pracy. Piszę to, wiedząc, że to przeczyta. Atticus wie z doświadczenia, że pożądanie to alchemia okoliczności, chemii i wciąż zmieniających się emocji i że być może już nigdy między nami nie zaiskrzy. Choć czego jak czego, przyszłości mamy przed sobą całkiem sporo.

Dobrze było powtórzyć sobie, jak dotarłam do tego miejsca. Choć w ramach podsumowania mogę jedynie stwierdzić, że podarował mi niesamowite życie i sam takie przeżył. Mimo to jednak wciąż tworzy się na nowo, i ja także. Jak my wszyscy właściwie.

Jedna rzecz cieszy mnie bezbrzeżnie: wiem, że i on, i ja będziemy zawsze kochać Gaję, zarówno razem, jak i osobno.

Rozdział 27



Owen! Owen, obudź się. Musisz to zobaczyć.

– He? Co? Co mam zobaczyć?

Nade mną stoi Greta, a przez okno wpadają promienie słoneczne.

– Ludzie próbują zrozumieć, co się wczoraj wydarzyło. Wiadomości są wprost przezabawne.

– Wiadomości? Brr.

– Poza tym twoja leniwka chyba za tobą tęskni, więc wstawaj.

– Psiakrew! Slomo! – To mnie natychmiast otrzeźwia. – Nic jej nie jest?

– Chyba nie, ale trudno powiedzieć. Czy ona tu z nami zostaje?

– Sam nie wiem. Hej, a co ty na to, żeby uczniowie mieli po szczeniaku wilczarza każdy?

Granuaile ma ich sześć i chciała nam je dać. Czy wataha nie miałyby nic przeciwko temu?

Greta aż się wzdryga.

– To by oznaczało dużo siusiania i dużo kupania... wszędzie.

– Mamy wielki kawał ziemi i mogą z tym wychodzić na zewnątrz. Szkolenie natychmiastowe, po druidowemu.

Moja miłość zastanawia się nad tym, po czym wzrusza ramionami.

– Jasne, dlaczego nie? Ale wiesz, lepiej przegadaj to najpierw z rodzicami. Jeśli któryś się nie zgodzi, to nie. Nie możemy nikogo wykluczać. A teraz to już chodź, musisz to zobaczyć.

Mnie te wiadomości jakoś wcale nie wydają się przezabawne. Trzęsienia ziemi w Bawarii. Zwierzęta mordujące ludzi w Peru. Jakieś dziwne demony i latające małpy na Tajwanie. Konflikty między dziwnymi postaciami niemal w każdym kraju. Świadkowie twierdzący, że widzieli bogów i inne nadprzyrodzone istoty. Mnóstwo ofiar w ludziach. A do tego pożary na całym świecie i wszystkie będące wynikiem jednej głupiej eksplozji w Szwecji. Gretę śmieszy, że ludzie wciąż znajdują kolejnych ekspertów, którzy jak jeden mąż powtarzają, że nie wiedzą, co jest grane, i że to wszystko nie ma sensu.

– Wczoraj mogliśmy normalnie wyjść na miasto i przemienić się w wilki na oczach wszystkich

– mówi Greta. – I nawet by to nie trafiło dziś do wiadomości.

– Jest jakiś pożar w okolicy? – pytam. – Bo jeśli tak, to chciałbym pomóc go gasić.

To chyba najważniejsze zadanie w najbliższych dniach, a może nawet tygodniach... gaszenie pożarów, bo wprawdzie nie czynią olbrzymiej szkody, ale za to ogromnie wpływają na mniejsze ekosystemy.

– Przełączę na lokalne wiadomości. I nie martw się o dzieci. Są z rodzicami w mieście. Chcieli ci dać spokój, żebyś się wyspał.

– Dzięki, to zjrzę do Slomo. – Nalewam sobie w kuchni kubek kawy, a potem za pomocą połączenia, które utworzyłem wczoraj, przesyłam wiadomości, które mają wyrażać szczęście, przywitać ją, zapytać o jej zdrowie i stanowić odpowiednik uśmiechu. – *Jak się dziś miewa moja ulubiona leniwka?*

Odpowiada natychmiast, a ja uśmiecham się naprawdę, nie tylko mentalnie, i wychodzę na dwór z parującym kubkiem.

<Cześć, Oaken! Trochę mi zimno i sucho. I głodna jestem, a skończyły mi się już świeże liście. Ale twoi mali ludzie są kapitalni. Chcą być Drutami Goi tak jak ty?>.

Druidami Gai, tak.

<A, tak czułam, że coś źle wymawiam. Słowa to są trudne. Łatwiej mi idzie z obrazami i uczuciami. Jesteś jeszcze w domu?>.

Właśnie wyszedłem, żeby cię znaleźć.

<Jestem na drzewie niedaleko domu. Czy już mówiłam, że tu jest zimno i sucho?>.

Tak. Powinniśmy cię chyba odstawić z powrotem do dżungli i znaleźć ci jakieś ładne drzewo do zwisania. Takie, z którym miło by ci było dłużej pogawędzić.

<Świetny pomysł! Szkoda tylko, że nie możesz pozwisać ze mną. Moglibyśmy popatrzeć sobie na małpy i chronić się nawzajem przed tukanami>.

Na moje oko tukany nie powinny ci zawracać łba, Slomo.

<One tylko czyhają na okazję. Nie wolno nam tracić czujności>.

Znajduję ją trochę na wschód od domu. Zwisa do góry nogami z gałęzi jałowca i uśmiecha się do mnie.

To już zupełnie skończyły ci się liście?

<Tak, wszystkie zjadłam>.

Chcesz teraz wrócić do domu?

<Tak. Ale będę jednocześnie szczęśliwa i smutna. Mamy po leniwemu na to takie słowo. *Dolofabolo*. Macie na to słowo po ludzku?>.

Kupę słów, bo mamy kupę języków. Można na przykład powiedzieć, że coś jest słodko-gorzkie. Chodź już, wskakuj mi na grzbiet. Podładuję cię trochę energią, żebyś mogła się szybciej poruszać.

<Powrót do domu będzie dla mnie słodko-gorzki> tłumaczy Slomo, spadając mi na plecy i zarzucając mi przednie łapy na szyję.

Dolofabolo, kochana.

<Nie zrozum mnie źle, Oaken. Naprawdę lubię oglądać nowe rzeczy i chętnie zobaczyłabym ich więcej. Ale muszę też odpocząć i podładować się w znajomym otoczeniu>.

Doskonale cię rozumiem – zapewniam ją, truchtając nieśpiesznie w kierunku splecionego drzewa, które rośnie na naszej posiadłości. – Ja też chcę jeszcze zobaczyć mnóstwo rzeczy, ale nie można tak podróżować bez przerwy. Każdy potrzebuje zacisznego miejsca, gdzie może się zaszyc, pożuć życie w spokoju i przetrawić wszystko powoli.

<Tak, o to właśnie mi chodzi!>.

To może będziemy robili takie właśnie małe wypadki, ot, skoczmy gdzieś na jeden dzień, a potem wrócisz do domu i przegadasz to z jakimś drzewem?

<Tak! Teraz, gdy już wiem, że świat jest taki wielki, chciałabym zobaczyć każdy jego zakamarek! Ale w małych dawkach, proszę. I na Oakena, tak jak teraz>.

Ha! Lubisz podróżować na Oakena, co?

<Tak. Widzę wtedy dużo, a ty poruszasz się o połowę wolniej od małp, co jak dla mnie jest nadal superszybko, ale jednak nie za szybko>.

Kiedy przenosimy się na nizinę Amazonki, wilgoć uderza mnie w twarz niczym mokry śledź i już tam zostaje.

<Aaach!> woła Slomo z ulgą. <Tak lepiej!>.

A potem puszcza pawia na moje ramię. Teraz jest mi tam równie ciepło i mokro jak wszędzie w Amazonii. Ale mówię sobie, że przecież wymiotowała z czułością. Choć niewykluczone, że projektuje na nią czułość, którą sam czuję wobec niej.

Tak se w ogóle myślę, że naprawdę dobrze, że ją poznałem. Jej zachwyty światem obudził mój zachwyty. To coś, co czują codziennie moi uczniowie i co muszę w sobie kultywować. Niebezpieczeństwo starzenia się polega na tym, że człowiek za bardzo się do wszystkiego przyzwyczaja i staje się za bardzo zadufany w sobie. A tymczasem powinniśmy szukać tego, co nowe i dziwne, doceniać to i wręcz wyprawiać dzikie fiesty na cześć takich rzeczy za każdym razem, gdy pojawiają się w naszym życiu. Powinniśmy budować drogi prowadzące do naszych małych głów i z nich, zamiast stawiać mury wokół nich. A mnie trzeba było wykopać dwa tysiące lat w przyszłość, żebym to zrozumiał. Musiałem zostać postawiony w sytuacji bez odwrotu, żeby w ogóle doszło do mnie, w jakiej mrocznej mentalnie studni tkwiłem przez cały ten czas. Miałem szczęście, że Siodhachan rzucił mi linę, żeby mnie z niej wyciągnąć, ale idę o zakład, że miliardy ludzi żyją w takich ciemnych studniach i nawet nie próbują z nich uciec. Siedzą tam zadowoleni z siebie i nie rozumieją, że zupełnie uniemożliwiają sobie duchowe rośnięcie.

A niech mnie bóbr glutami ciśnie, jeśli jeszcze raz pozwolę sobie skurczyć się do takiego małego umysłu. Nie tego chcę dla siebie i nie tego chcę dla mojego gaju. Ci nowi druidzi nauczą się, jak wielka jest Gaja i że jest dla nas wszystkich, a my powinniśmy być dla niej całe.

Kierujemy się na północ od splecionego drzewa, aż Slomo nagle wskazuje mi drzewo na „idealny zwis”. Za diabła nie widzę, czym się ono różni od pozostałych, ale to dlatego właśnie ona jest ekspertką, a nie ja. Daję jej dość energii, żeby wspięła się po nim sprawnie i usadowiła na gałęzi, a potem obiecuję jej, że wpadnę po nią za kilka dni.

<A jeśli zmienię w tym czasie drzewo?>.

Jest takie ryzyko?

<Nie, w sumie to nie>.

To znajdę cię, nic się nie martw.

Razem z tą leniwką zobaczę cały świat. I będę kochał Gretę i uczył moich uczniów, a gdy tylko się da, będę stosował Drugie Prawo Owena. A więc tak wygląda droga przede mną. Jest plan. Może nawet pewnego dnia poznam wreszcie tego całego Jacka Shite'a.

Siodhachan mówił, że Ragnarök będzie końcem świata, ale cieszę się, że znów coś spieprzył, bo jak na moje oko, zamiast końca świata wyszedł mu właściwie nowy początek.

Epilog



Jedną z rozlicznych zalet posiadania gadającego psa jest to, że taki pies nie pozwala ci się zapić na śmierć. Wiem, bo próbowałem kilka dni temu. Kupiłem sobie dwunastopak i zdążyłem w kilka minut wypić cztery piwa, nim Oberon uciekł mi z resztą w pysku i cisnął całość z klifu, na którym się wylegiwałem. Butelki rozbiły się o skały nad zatoką Oakhampton.

– Oberonie, czyś ty zwariował?

<A pamiętasz beagle’a imieniem Bingo, Atticusie? Martwiło go, że jego człowiek za dużo pije, aż w końcu musiał ratować go przed marnym końcem. Robię to samo. Poza tym niepokoję się też o twój pęcherz. On jest taki malutki> dodał.

– No tak, ale teraz to szkło może poranić jakąś rybę albo ukwiał, albo coś...

<Szkło? Może podumajmy przez chwilę nad jednym z najważniejszych pytań zadanych przez Johna McClane’a w *Szklanej pułapce*: „Kogo, kurwa, obchodzi szkło?”. Martwić to się powinieneś o swój stan umysłu. Musisz koniecznie coś zrobić, żeby się zrelaksować, a próba doprowadzenia pęcherza do eksplozji się nie liczy. Może joga albo kąpiel z pianą, albo wypoczynkowa przebieżka za wombatem...>

Na wzmiankę o wombacie ożywił się też Starbuck i zaczął biegać w kółko z przejęcia.

<Tak, wombaty!> krzyczał.

– Oberonie.

<Spróbuj tylko je ze mną pogonić, Atticusie, a zobaczysz, jakie to relaksujące! Za każdym razem, gdy już prawie doganiam takiego wombata, myślę sobie właśnie, jakie to wspaniale relaksujące...>

– Oberonie. Ja... nie chcę o tym teraz słuchać.

<Dobra. To posłuchaj tego: wciąż masz dwie prace>.

– Nie mam teraz żadnej pracy. Zainwestowałem z Suluk Black w energetykę słoneczną, co powinno mi zapewnić kasę do końca świata.

<Nieprawda. Masz dwie prace. Po pierwsze: karmić mnie. Po drugie: leczyć diabły tasmańskie. Czyli inaczej: karmić mnie i służyć Gai. A przez „karmić mnie” mam na myśli dawać mi wszystko, czego chcę. A że właśnie szwendamy się po jakiejś dzicy, szukając diabłów, które by się nadawały do leczenia, poproszę termosik pełen ciepłego sosu kiełbaskowego. Wiem, że ludziom się wydaje, iż nie da się ugasić pragnienia sosem, ale tkwią w okropnym błędzie. Sos bowiem wspaniale nawadnia i wzmacnia organizm, a zawodowi sportowcy to trąbią go non stop>.

– Wcale nie.

<Jeszcze nie, ale będą. Po prostu nie są trochę na czasie z osiągnięciami nauki, poza tym niełatwo osiągnąć taką konsystencję, którą by było łatwo trąbić. Nie! Miałem na myśli wiskozę. Otóż to. A więc wiskozowcy pracują właśnie nad tym w pocie czoła, a ja zasługuję na termos z sosem za to, że ci o tym powiedziałem>.

– Wiskozowcy? Nie ma takiego słowa.

<W takim razie wiskozologowie>.

Moja przepona porusza się szybko i uświadamiam sobie nagle, że to dlatego, że się śmieję. A gdy moje spowolnione myśli w końcu przetrawiają słowa Oberona i słyszę jego zmyślone terminy w głowie,

śmieję się jeszcze bardziej. I po chwili wymyka mi się to spod kontroli, poddaję się i nie próbuję już za wszelką cenę utrzymać pionu, a Oberon i Starbuck wykorzystują okazję i rzucają się lizać mnie po twarzy. Nie zmniejsza to ani odrobinę rozpaczy, którą czuję, ale przypomina mi, że poza nią istnieje wiele innych emocji i że mimo całej tej udręki nie zaszkodzi mi odrobina wesołości. I Oberon ma rację, jeśli chodzi o zadania, które mam do zrobienia. Bez względu na to, jak mi źle, muszę przecież nakarmić psy i służyć Gai. Być może, jeśli się na tym skupię, przetrwam jakoś do lepszych dni. Gdy w końcu przestają się śmiać, drapię oba psy, każdego po kolei, a potem wtulają się we mnie i zapadają w poważną drzemkę na szczycie klifu.

W Tír na nÓg znów miałbyś rękę – szepcze głos w mojej głowie.

– Morrigan?

Moim oczom ukazuje się szafarka śmierci, oczywiście naga. Siedzi w pubie z wysokim kuflem ciemnego piwa. Ja siedzę naprzeciwko i także mam kufel, ale za to żadnych ciuchów. Wszyscy inni klienci są ubrani, nie zwracają jednak na nas najmniejszej uwagi. To będzie jeden z *tych* snów. Teraz, gdy już mi się ukazała, bogini mówi normalnym głosem, a nie szepetem w mojej głowie.

– A jakie tu mamy wyśmienite piwo, Siodhachanie. Już Goibhniu o to dba. Poza tym nie mają do nas dostępu żadne życiowe zmartwienia, żadne troski czy stres.

– No tak, bo mówisz o śmierci, prawda? Masz na myśli Tír na nÓg jako życie po śmierci, a nie tę krainę, przez którą zawsze przechodzę, gdy podróżuję między różnymi światami.

– Tak. Mamy tu teraz wyśmienite towarzystwo. Są z nami Manannán i Fand, troje yeti i wielu innych. To zdecydowanie lepsze niż twoja obecna sytuacja.

Sięgam moją wyśnioną dłonią po wyśniony browar i upijam przepyszny łyk.

– Nie mam teraz ani dobrego piwa pod ręką, ani nawet ręki, to prawda. Ale nie jestem jeszcze gotów pogodzić się z myślą, że to sprawia, iż śmierć będzie lepszym rozwiązaniem niż życie.

– Przecież jesteś dokumentnie nieszczęśliwy.

– To prawda. Jestem w rozpaczy, mam złamane serce i zamęczają mnie sumieniofretki. Ale nie marzę o śmierci jako o alternatywie.

– Dlaczego nie? Miałeś dobre życie.

– Na pewno długie, nie wydaje mi się jednak, żeby się kwalifikowało jako dobre. Przez większość czasu się ukrywałem, przez resztę walczyłem, a po drodze podjąłem mnóstwo złych decyzji. Chciałbym spróbować teraz być po prostu dobry, tak prawdziwie dobry dla Gai. Nazbierać sobie trochę punktów karmicznych.

Oczy Morrigan błyskają czerwienią.

– Karma nie jest irlandzkim pomysłem. Kiedy przejdiesz za zasłonę, nie będę cię sądzić. Nikt nie będzie. Dobrze o tym wiesz.

– Tak, wiem. Ale sądząc sam siebie, chciałbym odzyskać jakąś równowagę w życiu, nim z niego zrezygnuję.

Morrigan uśmiecha się kpiąco, ale przynajmniej próbuje to ukryć, unosząc kufel do ust. Po chwili jednak poddaje się, odstawia piwo, a jej uśmiech przechodzi w chichot.

– Wiesz, za co cię uwielbiam, Siodhachanie?

– W sumie to nie. Pozostaje to dla mnie zagadką.

– Często postrzegasz dobro w sobie jako coś złego i równie często podejmujesz beznadziejne decyzje przekonany, że przysłużysz się dobru. Jesteś cudownie pokręcony.

Mniej więcej to samo można właściwie powiedzieć o Morrigan, ale uznaję, że lepiej będzie o tym nie wspominać.

– Aha. I uważasz, że potrafisz mnie naprawić?

– Dlaczego miałabym cię naprawiać? Lubię cię takiego, jaki jesteś.

– Yyy... Dziękuję. Mimo twojej akceptacji moich wad chciałbym jednak przez jakiś czas popracować nad sobą. Pozwolisz, że spytam: dlaczego jesteś nadzy?

Morrigan prychnie i macha na to ręką.

– Należałoby raczej zapytać, dlaczego ci ludzie są ubrani. Zdecydowanie za dużo czasu spędzasz z tymi pruderyjnymi śmiertelnikami.

– To rzeczywiście dobre pytanie. I pewnie masz rację.

– Ja zwykle mam rację. Byłbyś o wiele szczęśliwszy z nami w Tír na nÓg. Ze mną. Kiwam głową, żeby zyskać na czasie i starannie dobrać słowa.

– Pewnie tak. Ale nie wydaje mi się, żebym na razie zasłużył sobie na szczęście. Bądźmy w kontakcie. Może poprzez te dziwne sny, w których już mnie parę razy odwiedzałaś. Pijmy sobie te wspaniałe piwa nago w towarzystwie obcych ludzi. Na jawie będę dalej obchodził wszystkie rytuały tak jak zawsze, ale one są dość jednostronne, nie bardzo da się wtedy pogadać. Jeśli chcesz, żeby łączyło nas coś więcej niż dotąd, przejdźmy porządne zaloty. Może coś z tego wyrośnie.

– A jeśli nie?

– No to wtedy nie. Ale i tak w tym czasie będziemy się dobrze razem bawić. Rzecz w tym, Morrigan, że potrzebuję trochę czasu. Czy mogę cię o coś spytać? Bo widzisz, wciąż próbuję to wszystko przetrawić i tak sobie właściwie myślę na głos... Zanim postanowiłaś stanąć do walki z Artemidą i Dianą, przemyślałaś to nieco, prawda? Nie była to spontaniczna decyzja?

– Nie. A raczej tak. Tak, moje wyjście było zaplanowane. Nosiłam się z tym od wieków.

– Od wieków! Aha. A weź pod uwagę, że ja zacząłem się nad tym zastanawiać zaledwie kilka dni temu. Muszę to przemyśleć. Uporządkować moje sprawy. Może wszystko to spisać. Czy wiesz, co było katalizatorem tego wszystkiego? Czy wiesz, co doprowadziło nas do tej chwili, do tego momentu w tym śnie? Tamten dzień, gdy przyleciałaś do mojego sklepu w Tempe i powiedziałaś mi, że znalazł mnie Aenghus Óg.

Morrigan przechyla głowę, jej oczy znów jakby błyskają czerwienią.

– Czy to... wyrzut?

– Nie, skąd. O nic cię nie obwiniam, tylko ustalam związki przyczynowo-skutkowe. Winę ponoszę wyłącznie ja. Mówię tylko, że potrzebuję czasu. Czasu, abym... Przepraszam, ale czy znasz może takiego poetę T.S. Eliota?

– Nie. A był Irlandczykiem?

– Rzeczywiście nie. Pretensje roszczą sobie do niego zarówno Anglicy, jak i Amerykanie. Ale przypomniał mi się jeden z jego poematów, bo właśnie tam pisał o tym, że nastanie jeszcze czas: „Czas, abyś; czas, abym; czas na to / Niekończące się niezdecydowanie, / Na to, by mieć coś w planie, lecz wciąż zmieniać zdanie, / Nawet na widok grzanek i filiżanek z herbatą”¹. W końcu ty miałaś wiele tysięcy lat więcej na to, żeby sobie wszystko przemyśleć, prawda?

– Mam tylko nadzieję, Siodhachanie, że teraz nie próbujesz ode mnie wyciągnąć informacji, ile mam lat.

– Skądże znowu. Stwierdzam tylko, że żyłaś dłużej niż ja, co właściwie jest oczywiste.

– Tak.

– I to właśnie biorąc pod uwagę, mam nadzieję, że zrozumiesz, iż potrzebuję chwili, żeby sobie to wszystko przemyśleć. I może to być dłuższa chwila. Zupełnie tak, jak i ty potrzebowałaś dłuższej chwili, żeby podjąć swoją decyzję.

– Rozumiem to, Siodhachanie. Szanuję to i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uzbroić się w cierpliwość. Lecz może o czymś zapominasz: nie masz przecież żadnych powodów, by obawiać się śmierci. W Tír na nÓg czekają cię same przyjemności. To mogę ci zagwarantować.

– Możesz?

– Oczywiście! Siodhachanie... Ja cię kocham.

Być może kiedy indziej inaczej bym zareagował na taką chwilę szczerości z jej strony. Ale ponieważ właśnie dumam nad moimi rozlicznymi wadami, które doprowadziły do tego, że zostałem sam jak palec, i to w dodatku w posiadaniu pięciu palców mniej, nie mogę zupełnie pojąć, jak to w ogóle możliwe.

– Bogowie niejedyni, Morrigan, ale dlaczego?

Bogini poprawia się na stołku i zaczyna bawić kuflem.

– Jako że jestem właśnie jednym z tych bogów, których wezwałeś oto na ratunek, pozwól, że zachowam dla siebie moje powody. Nie... nie nawykłam do mówienia o takich uczuciach.

– Tak, rozumiem, wycofuję pytanie.

– Czy wahaś się... z powodu Granuaile? – Unosi rękę, by powstrzymać moją odpowiedź i wyjaśnić: – Nie jestem o nią zazdrosna i nigdy nie byłam. Pytam tylko z ciekawości.

Wzdycham.

– Może po części. Ale nie tylko o to chodzi. Muszę jeszcze tyle naprawić. Tyle żalów muszę przeboleć. Muszę wypracować sobie spokój. Mam nadzieję, że pewnego dnia poczuję, jak smutek odrywa się od mojej przeszłości, i poczuję się usprawiedliwiony, wiedząc, że jako istota niedoskonała nie mogłem podjąć innej decyzji niż te, które prześladowały mnie tak długo. Wiem, że to musi być możliwe. Ale moje serce nie potrafi tego jeszcze poczuć. Mam nadzieję, że z czasem, jeśli codziennie będę się ćwiczył w łagodności, w końcu zejdę w tę zieloną dolinę, w której będę mógł wreszcie być wolny od mojego nieszczęsnego ja. Będzie to zwyczajstwo jak żadne inne i chcę tam dotrzeć i przez jakiś czas tam pożyć. I wiem, że powiesz, że mógłbym spędzić ten czas w Tír na nÓg. Ale tu mogę spędzić ten czas na pracy dla Gai.

Morrigan powoli kiwa głową.

– Przedemną również jeszcze wiele pracy. To mi odpowiada. A zatem poczekam. A tymczasem, tak jak powiedziałeś, możemy się widywać, pić i zalecać do siebie.

Nieznajomi rozplynęli się we mgle, a Morrigan stała się tylko cieniem. Obudziłem się z drzemki bez ręki, bez piwa i z panicznym strachem o to, co przyniesie przyszłość. Ale wstałem i powiedziałem psom, że czas wrócić do pracy.

Odwróciłem się tyłem do oceanu, bo chciałem wejść głębiej w łąd, żeby tam skontaktować się z żywiołakiem i ustalić z nim, gdzie znajduje się następna nora diabłów tasmańskich, ale przed sobą, zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, ujrzałem jakąś kobietę. Stała i wyraźnie na mnie czekała.

Nie od razu ją rozpoznałem. Była w średnim wieku, miała śniadą cerę i ubrana była w skromną, granatową sukienkę. Wokół głowy dla ochrony przed słońcem owinęła biały szal. Gdy ruszyłem w jej stronę, powitała mnie przyjaznym uśmiechem, ale nie zawołała, póki nie podszedłem bliżej. Od razu było widać, że nie należy do osób, które lubią podnosić głos. Dłonie miała luźno splecione przed sobą i w palcach trzymała jakąś kopertę koloru kości słoniowej.

– Witaj, Siodhachanie – powiedziała, gdy byłem na tyle blisko, że mogła mówić normalnym tonem. – Czy mnie poznajesz?

– Przykro mi, ale nie – odpowiedziałem, kręcąc głową.

– Wyglądam teraz trochę inaczej. – Jej brązowe oczy promieniały nad dużych rozmiarów nosem i widać było, że ma w ich kącikach zmarszczki od śmiechu. – Ostatni raz, gdy widzieliśmy się w Arizonie, byłam biała, bo pojawiłam się wtedy dzięki modlitwom Katie MacDonagh. Pobłogosławiłam ci wówczas pewne strzały.

Mogła to być tylko jedna osoba.

– Maryja?

– Pamiętasz mnie! – Uśmiechnęła się.

– Oczywiście! Cudownie znów cię zobaczyć. Mam nadzieję, że nic się nie stało?

– Nie, nie, dziecko, wszystko w porządku. Katie prosiła, żeby cię pozdrowić. Jestem tu, by przekazać ci wiadomość od mojego syna. Właściwie to list.

– Jezus napisał do mnie list?

– Tak, moim zdaniem to nieco ekscentryczne, bo nie mamy w niebiosach nawet znaczków, że już o usługach pocztowych nie wspomnę, ale on lubi nas zaskakiwać, sam wiesz. – Podała mi list.

– Tak, można wręcz powiedzieć, że z tego słynie. Dziękuję.

– Nie ma za co, moje dziecko. Zostawię cię z tym teraz. Mój syn nie oczekuje odpowiedzi, a tymczasem muszę zająć się pewnymi ludźmi w mieście. Ale ogromnie się cieszę, że jesteś już bezpieczny. Pokój z tobą.

– Pokój z tobą, Maryjo. – Spojrzałem na kopertę, na której widniało moje imię bez adresu. – Ha! Napisał to czerwonym atramentem?

Maryja zachichotała.

– Bardzo go to śmieszyło i był pewien, że docenisz ten żarcik.

– Doceniam. Przekaż mu, proszę, moje uszanowanie.

– Dziękuję, przekażę. Żegnaj.

Odwróciła się w stronę miasta, a jej szal delikatnie wzdęła popołudniowa bryza. Skupiłem się na liście. Z tyłu znajdowała się woskowa pieczęć z wyciśniętą sylwetką lecącego gołębia. Złamałem pieczęć, rozłożyłem arkusik papieru i zacząłem czytać.

Drogi Siodhachanie!

Witaj w jednej z tych osi czasu, w których przetrwałeś. Jeżeli zastanawiasz się, czy istniała taka, w której jesteś teraz szczęśliwy, odpowiedź brzmi: nie. Rozpacz Twoja jest uniwersalna i jest to właściwie ten moment, kiedy mógłbym powiedzieć „A nie mówiłem?”, ale przecież jesteśmy przyjaciółmi i chciałbym, żeby tak pozostało. Jako że nie posłuchałeś jednak mojej rady wcześniej, mam nadzieję, że przynajmniej tym razem się wreszcie do niej zastosujesz:

Żyj w pokoju. Nie podnoś już więcej miecza, a odnajdzie cię harmonia.

Tak na marginesie: masz rozpięty rozporek. Był cały czas rozpięty, gdy rozmawiałeś z moją mamą. Tak, zauważyła to.

Twój w radości i z whisky,

Jezus

Spojrzałem w dół, żeby sprawdzić, czy to możliwe – niestety, miałem rozpięty zamek.

– O Matko Boska! – Pospiesznie zapiąłem spodnie i spojrzałem w górę. – Przepraszam – wymamrotałem, a potem zamachałem kilka razy listem w powietrzu. – I dziękuję za radę. Teraz jestem gotów cię posłuchać i będę żył w pokoju. Jeśli wcześniej nie umrę ze wstydu.

Oberon, czujny jak zawsze, nie przegapił oczywiście tej okazji, by mi podogryzać.

<Ha, ha, ha. Hej, Atticusie, a pamiętasz, jak paradowałeś z rozpiętym rozporkiem przed matką Boga? W sumie to było właśnie teraz, ale nie chciałem, żebyś przypadkiem zapomniał>.

T.S. Eliot, *Pieśń miłosna Alfreda Prufrocka* (fragm.), przeł. S. Barańczak, w: tegoż *Od Walta Whitmana do Boba Dylana. Antologia poezji amerykańskiej*, Kraków 1998. [\[wróć\]](#)

Naprawdę już ostatni epilog



Tydzień po tym, jak odwiedziła mnie we śnie Morrigan, a potem popełniłem to przerażające faux pas przy Maryi, siedziałem pod eukaliptusami z Oberonem i Starbuckiem. Zrobiliśmy sobie krótką przerwę w pracy z diabłami tasmańskimi. Bez mojego uzdrawiającego tatuażu leczenie pierwszego diabła zajęło dużo czasu, bo musiałem stworzyć splot od zera, ale gdy już miałem makro, z pomocą Tasmanii szło to teraz całkiem sprawnie. Zjedliśmy właśnie trochę salami z krakersami i fundowałem Oberonowi dość leniwe i roztargnione drapanie po brzuchu.

<Wiem, że to zabrzmi egoistycznie, Atticusie, ale naprawdę tęsknię za twoją drugą ręką. To drapanie po brzuchu to już jednak nie to samo>.

– Przykro mi, stary.

<Przecież musi być jakiś sposób, żeby to naprawić. Hej, czekaj!>. Mój pies przetoczył się i usiadł, machając z przejęcia ogonem. Starbuck zerwał się na równe łapy i przyczał na wypadek, gdyby Oberon chciał się bawić. <Atticusie, a ten typek, który jest ci winien parę przysług?>.

– Jaki typek, Oberonie?

<Pamiętam, jak ze dwa wieki temu opowiadałeś mi o nim przy ognisku. To chyba było wtedy, kiedy Bystra Dziewczyna jeszcze pobierała u ciebie nauki. I pamiętam, że jedliśmy taką całkiem dobrą potrawkę, gdy już wyjąłeś mi z niej marchewki. Opowieść była o takim bogu, co chciał, żebyś mu wyciągnął z jakiejś biblioteki jakieś coś, ale przy okazji ukradłeś książkę pełną strasznie hałaśliwego kociego seksu, a potem kiedy indziej ten sam bóg posłał cię po taki magiczny kociołek, co go musiałeś zabrać jakimś nekromancie w Walii>.

– A, mówisz o Ogmie!

– No właśnie. Mówiłeś przecież, że wisi ci sporą przysługę za te dwie rzeczy, nie?>.

– Tak, to prawda.

<No to czas, żeby ci się facet zrewanżował, nie uważasz? Bo ile niby jeszcze zamierzasz czekać, nim zażadasz przysług, które ci się należą jak psu buda, co? Przecież się nie zepsuły niczym kanapka filadelfijska zostawiona na słońcu? Bo to by było... po prostu straszne. Smutno mi się robi na samą myśl o takim horrendum. Dlaczego ludzie porzucają swoją kanapki, Atticusie, dlaczego? Nie mają żołądków? Kubków smakowych? Serca?! Pomóż mi to zrozumieć!>. Odchylił łeb i zawył z rozpacz, a Starbuck natychmiast mu zawtórował, choć nieco wyższym tonem.

– Oberonie, zaczekaj... wymyśliłeś coś naprawdę niezłego, po czym zaplątałeś się w dygresji. Nie potrafię wyjaśnić przyczyn bezlitosnego porzucania kanapek zupełnie tak samo, jak nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie oglądają w telewizji, jak inni ludzie łowią ryby. Są to tajemnice, których nie sposób zgłębić. Ale co do tego, że Ogma jest mi coś winien, to masz rzeczywiście rację. Zwłaszcza że w obu przypadkach narażałem życie, żeby wyświadczyć mu te niemałe przecież przysługi.

<A to oznacza, że zasłużyłem sobie na spory przysmak, prawda? Poproszę wieloryba czy coś>.

– Wieloryby to nie przysmaki, Oberonie.

<To była tylko taka sugestia mająca odzwierciedlać rozmiar przysługi, jaką ci właśnie wyświadczyłem. Nie szkodzi, jeśli nie dasz mi wieloryba. Możesz zamiast tego dać mi stado bydła albo kupić mi restaurację serwującą kurczaka z goframi. Będzie się nazywała Kurczaki i Gofry Oberona, bo wszystkie te kurczaki i gofry będą moje>.

– Dobra, zobaczymy najpierw, czy to zadziała. Niech się nad tym zastanowię...

Tej samej nocy wezwałem Morrigan, choć nie byłem pewien, czy wyświadczy mi taką uprzejmość. W jej groźnym szepcie usłyszałem z początku nutkę zadowolenia.

Siodhachanie, nie spodziewałam się, że tak szybko się odezwiesz.

– Przyznaję, że miałem nadzieję, iż zgodziłabyś mi się może pomóc z kilkoma przysługami, które jest mi winien Ogma.

Nie rozumiem. Chcesz, żebym ja spłaciła przysługi Ogmy czy żebym wymusiła na Ogmie spłacenie tych przysług?

– Ani jedno, ani drugie. Jedna z tych przysług polegałaby na tym, żeby Ogma znalazł Miacha, tego, którego zabił jego własny ojciec Dian Cecht, i dowiedział się od niego, jak mu się udało dokonać tego, z czego nadal słynie.

Teraz rozumiem. Prosisz mnie o przysługę, żeby Ogma mógł wyświadczyć ci przysługę.

– Nie proszę o przysługę w znaczeniu wiążącej umowy. Myślałem raczej, że może chciałabyś to zrobić dla mnie, nie oczekując niczego w zamian.

Niby dlaczego miałabym uczynić coś takiego?

– Bo to by świadczyło o tym, że potrafisz zachowywać się w sposób, do którego nie nawykłaś. Byłby to dla ciebie dowód, że się rozwijasz.

Być może i to by o tym świadczyło. Ale niewykluczone, że wykorzystujesz tylko uczucie, do którego nieopatrznie się przy tobie przyznałam, do własnych celów. Że być może mną manipulujesz.

– Być może. Ale nie musisz zawsze postrzegać każdej transakcji czy wymiany jako sytuacji, w której jedna strona zwycięża, a druga przegrywa.

Postrzegam to tak, bo taka jest prawda.

– Nie, jeśli chce się budować relację opartą na zaufaniu do drugiej osoby. W takiej relacji obie osoby mogą i powinny wygrywać.

Doprawdy? I niby na czym w tym wypadku polegałaby moja wygrana?

– Byłbym ci wdzięczny i myślałbym o tobie z czułością.

Czy sugerujesz, że byś mnie pokochał?

– Nie, tego nie powiedziałem. Ale sama wiara w to, że jesteś gotowa zrobić dla mnie coś bez zapłaty, to już wielki krok w tę stronę. To wręcz kluczowe.

A ty? Czy zrobiłeś kiedykolwiek dla mnie coś takiego?

– Czciłem cię i obchodziłem wszystkie należne ci rytuały przez ponad dwa tysiące lat. Modliłem się do ciebie, wyzwałem i szanowałem cię. I raz zabrałem cię na mecz baseballa tylko po to, żeby pobyć w twoim towarzystwie. Nawet kupiłem ci uroczą baseballówkę i w ogóle.

A tak, pamiętam. Ta desperacja na ławce rezerwowych była wprost wspaniała. Dobrze więc. Powiedz Ogmie, żeby się do mnie zgłosił, gdy będzie gotowy, a zabiorę go do cienia Miacha i nie będę oczekiwała od ciebie żadnych przysług w zamian.

– To bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję.

Żeby ściągnąć z kolei Ogmę, musiałem modlić się kilka dobrych dni, wzywać go i nawet przekazywać prośby do niego przez żywiołaki. Nie walczył w Ragnaröku, bo Brighid uznała, że należy go na wszelki wypadek zostawić w bezpiecznym miejscu, a teraz najwyraźniej nie spieszył się, żeby z niego wyleźć. Kiedy w końcu się pojawił, był wyraźnie nie w humorze. Akurat kończyliśmy z psami wczesną kolację na plaży w rezerwacie przyrody nad zatoką Mayfield, gdy bóg wyłonił się z lasu eukaliptusów. Zachodzące słońce podświetlało już chmury na pomarańczowo z elementami magenty, a w wyższych partiach na fioletowo. Ogma ostentacyjnie skrzyżował ręce na piersi, czyli zrobił to, czego ja już zrobić nie mogłem.

– Witaj, Ogmo. Odzyskałem kiedyś dla ciebie Kocioł Dagdy i obrabowałem Bibliotekę Aleksandryjską, w obu przypadkach w zamian za obietnicę, że w przyszłości wyświadczysz mi jakąś przysługę.

– Tak, pamiętam. Ale to nieco daleka przeszłość.

– Przysługi nie mają daty ważności. Jestem teraz gotów cię o nie poprosić.

– Tyle to się domyśliłem. Co to takiego?

– Po pierwsze, chciałbym, żebyś skontaktował się z Morrigan, która zaprowadzi cię do cienia

Miacha. Uleczył on ramię Nuady i chciałbym, żebyś się dowiedział, jak to zrobił.

– To więcej niż jedna przysługa.

– Nie, to tylko jedna przysługa: naucz się od Miacha, jak uleczył Nuadę. Sugeruję ci, żebyś w tym celu skontaktował się z Morrigan, bo w ten sposób szybciej go znajdziesz, a poza tym Morrigan już zgodziła się to dla ciebie zrobić.

– A jeśli Miach nie zechce mnie nauczyć tej sztuczki?

– Oczywiście będziesz próbował tak długo, aż w końcu cię nauczy. Choć zaznaczę tu na marginesie, że Morrigan potrafi być bardzo przekonująca, jeśli tylko zechce.

– Chyba już się nawet domyślam, jak brzmi twoja druga prośba – mruknął Ogma, spoglądając na mój kikut.

– Tak. Ulecz mnie tak, jak Miach uleczył Nuadę. Chciałbym mieć rękę z krwi, ciała i kości, tak żebym znów był cały i mógł mieć tatuaże splatające mnie z ziemią.

– Tylko mnie już nie prosz o wytatuowanie – warknął wściekłe bóg.

– Nie poproszę. – Zamierzałem poprosić o to Brighid, jeśli oczywiście plan się powiedzie i będę miał znów rękę. Wspomniała przecież wtedy po bitwie, że jest mi gotowa pomóc.

– Po co to wszystko? Zrobiłeś już swoje. Teraz Granuaile i Owen zapewnią ciągłość druidyzmu. Idź wreszcie do Tír na nÓg na wieczny odpoczynek.

– Straciłem wiele, Ogmo, ale nie straciłem jeszcze woli życia. Ani poczucia odpowiedzialności. Wciąż pozostało do wykonania wiele pracy dla Gai.

Poza tym założyłem się przecież z Owenem i chciałem wygrać.

Ogma odchrząknął i splunął czymś obrzydliwym na piasek, co chyba miało dać mi do zrozumienia, co myśli o mojej odpowiedzi.

– To trochę zajmie, jeśli w ogóle jest możliwe. Gdzie będziesz?

– Gdzieś na tej wyspie, bo oczywiście nie mogę już się przenosić między krainami. Możesz zawsze poprosić żywiołaka Tasmanii, to ci poda moją lokalizację.

Bóg skrzywił się, jakby właśnie połknął skwaśniałe mleko, ale nic nie powiedział. Nie mógł mnie po prostu zabić, żeby zlikwidować ten problem. W każdym razie nie bez poważnych konsekwencji. Po to właśnie wspominałem o Morrigan. Odmówienie mi przysług, które był mi przecież winien, także nie wchodziło w grę. Nieraz już tak sobie właśnie myślałem, że sfera „przysług w przyszłości” to taka szara strefa historii. Właściwie gdyby nie ta mętna waluta, wiele rzeczy by się w ogóle nie wydarzyło na świecie. Ogma wymamrotał słowa pożegnania i zniknął. Nie wiedziałem, czy zobaczę go znów w przyszłym tygodniu, czy w przyszłym miesiącu, czy w przyszłym w roku, czy w ogóle kiedykolwiek. Podobnie zresztą rzecz się miała z Granuaile. Nie miałem żadnej gwarancji, że cokolwiek się ułoży.

Ale przynajmniej miałem jakiś cień nadziei na wyleczenie się i większą nadzieję na to, że nauczę się żyć inaczej, już bez ukrywania się przed faeriami i bogami z najrozmaitszych panteonów. W ciemności czasu, który się przede mną rozciągał, widziałem małe, drżące światełko, które mogło być przebaczeniem. Być może to inni wybaczą mi wyrządzone krzywdy, a może to ja wybaczę sam sobie. Tak czy siak, miałem nadzieję, że kiedyś do niego dotrę i mnie oświecili.

Tymczasem miałem przecież całą planetę, o którą należało dbać, i dwa psy, które bynajmniej nie zapomniały o mojej obietnicy, że po kolacji będzie czas na swawole na plaży. I nagle ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że przecież nie muszę się już trzymać tak kurczowo tego mojego amerykańskiego akcentu. Wróciłem więc do mojego starego irlandzkiego i poczułem się tak, jakbym otulił się ukochanym kocem.

– Co tam, pieski? Co powiecie na trochę piachu i chlapania, nim se tu rozbijemy jakiś obóz na noc?

Oberon i Starbuck nie czekali ani chwili, tylko popędzili w stronę mokrego piasku. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca ich jęzory powiewały na słonym wietrze jak różowe chorągiewki. W głowie usłyszałem zawadiacki głos Oberona:

<Kto ostatni w wodzie, ten stary druid!>.

Roześmiałem się i popędziłem za nimi po plaży. Tak, stary ze mnie druid. I zamierzam jeszcze bardziej się zestarzeć. Minie jeszcze wiele, wiele lat, nim zobaczę swój ostatni zachód słońca.

Podziękowania

Przebóg! To dziwne i cudowne, i smutne uczucie tak dotrzeć do końca serii. Słodko-gorzkie. *Dolofabolo*, jak by powiedziała Slomo.

Być może wrócę do tego świata z przygodami uczniów Owena, ale w każdym razie na tym koniec opowieści Żelaznego Druida. Możecie se założyć, że Atticus i Granuaile wciąż chodzą po tym świecie, opiekując się Gają, a Oberon wciąż uwielbia kiełbaski i pudlice. (Orlaith z kolei ma słabość do nowofundlandów. Psy nie są monogamiczne, nie musimy się więc martwić o ich związek).

Tymczasem pracuję nad dwiema nowymi seriami. Będę zaszczycony, jeśli sięgniecie po *Plagę olbrzymów*, która już jest dostępna w księgarniach, oraz po książkę, którą piszę wspólnie z Delilah S. Dawson, a która nosi tytuł *Kill the Farm Boy*.

Dziękuję mojemu agentowi Evanowi Goldfriedowi oraz mojej redaktorce Tricii Narwani za to, że w ogóle dali mi szansę. I dziękuję Wam, czytelnicy, za to, że kupujecie książki z tej serii i opowiadacie o nich krewnym i znajomym. Bez Was nigdy nie zdołałbym spełnić swojego marzenia i dokończyć tego cyklu.

Następujące dobre ludzie pomogły mi z polskimi fragmentami zamieszczonymi w tekście angielskim: Loë, Bartosz Grabowski, Piotr Warzecha, Anna Pyrich, Edi Skrobiszewska, Anna Flasz-Szydlik, Dagna Korosacka, Miłosz Kasprowicz, Aleksander Glaz oraz Andrzej Stępiński.

Dwa wersy wiersza Wang Weia z mandaryńskiego na angielski przetłumaczył Sam Hamill (angielski tytuł wiersza: *Reply to a Magistrate*).

Przeogromne podziękowania należą się również Fang-Chin Chang z Gaea Books w Tajpeju, która była tak miła i odpowiadała na moje pytania dotyczące miasta. Wszelkie nieścisłości są oczywiście moje. I, bardziej ogólnie, dziękuję wszystkim ludziom z Tajwanu za to, że są tacy wspaniali. Moja wizyta w Tajpeju w lutym 2017 roku była cudowna.

Wielkie dzięki mojej adiustatorce Kathy Lord, która ratuje mnie przed małymi i dużymi błędami i zasługuje na beczkę whisky.

Piąteczka należy się z kolei narratorom audiobooków Luke'owi Danielsowi i Christopherowi Raglandowi, którzy tchnęli życie w tę serię dla tak wielu słuchaczy.

Ilustrator Gene Mollica i designer Dave Stevenson niech przyjmą wielkie dzięki za niesamowite okładki tej serii. Sprawili, że mnóstwo ludzi sięgnęło po te książki, i są naprawdę świetni w tym, co robią.

Bardzo doceniam pracę Ryana Kearneya, Julie Leung, Davida Moencha, Keitha Claytona oraz Scotta Shannona z Del Rey.

Zawsze jestem wdzięczny za miłość i wsparcie mojej rodziny, przyjaciół i psów. I Wam – za to, że dołączyliście do mnie na tę serię. Mam nadzieję, że bawiliście się równie dobrze jak ja. Niech harmonia będzie z Wami.

O autorze

Kevin Hearne przytula drzewa, głaszcze pieski i tańczy do heavy metalu. Uważa, że tacos to naprawdę bardzo sprytny wynalazek. Jest autorem *Plagi olbrzymów* i bestsellerowej serii „Kroniki Żelaznego Druida”.

kevinhearne.com

[Facebook.com/authorkevin](https://www.facebook.com/authorkevin)

Twitter: @KevinHearne

W cyklu

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

ukazały się:

Na psa urok

Raz wiedźmie śmierć

Między młotem a piorunem

Zbrodnia i Kojot

Kijem i mieczem

Kronika wykrakanej śmierci

Nóż w lodzie

Kolek na dachu

Rozdziobią nas Loki, wrony

Tarcza Gai

Tego autora polecamy również pierwszy tom nowego cyklu

SIEDEM KENNINGÓW

Plaga olbrzymów